


Autor przełomowego Słepowidzenia

P E T E R W A T T S
ROZGWIAZDA



ArsMACHINA 

Zawiera wstęp autora napisany
specjalnie z myślą o polskich czytelnikach

Peter Watts

Rozgwiezda

Starfish

Tłumaczenie:
Dominika Rycerz-Jakubiec



Dla Susan Oshaneck -
na wypadek, gdyby wciąż żyła.

Oraz dla Laurie Channer -
która, ku mojemu niespodziewanemu szczęściu,
żyje na pewno.

[Strona tytułowa](#)

[Spis treści](#)

[PRELUDIUM](#)

[Ceratus](#)

[BENTOS](#)

[DUET](#)

[Dusiciel](#)

[Nisza](#)

[Porządki](#)

[RZYM](#)

[Neotenia](#)

[Windziarz](#)

[Zauroczenie](#)

[Autoklaw](#)

[Łóżko wodne](#)

[Doppelgänger](#)

[Anioł](#)

[Zdziczały](#)

[Cień](#)

[BALET](#)

[Tancerz](#)

[Zwarcie](#)

[Masa krytyczna](#)

[NEKTON](#)

[ŁĄDOWIEC](#)

[Rozruch](#)

[Mułogrzebacz](#)

[Krzyk](#)

[Sitowie](#)

[Duchy](#)

[CEZA](#)

[Entropia](#)

[Karuzela](#)

[Wylinka](#)

[Alibi](#)

[KWARRANTANNA](#)

[Bańka](#)

[Lewatywa](#)

[Renegat](#)

[MÓZGOSER](#)

[Temat i wariacja](#)

[Strefa zero](#)

[Oprogramowanie](#)

[Racter](#)

[GRA KOŃCOWA](#)

[Nocna zmiana](#)

[Rozproszenie](#)

[Gad](#)

[Wynurzenie](#)

[Reflektor](#)

[Świt](#)

[Jerycho](#)

[Detrytus](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[ŹRÓDŁA](#)

[O Autorze](#)

Strasznie się przez was stresuję.

Daleko mi do któregośkolwiek z Wielkich Nazwisk. Nigdy nie znalazłem się na żadnej liście bestsellerów. Zdarzało mi się napisać książki, które pod względem komercyjnym radziły sobie całkiem nieźle, a także jedną, która okazała się kompletną klapą. Niemniej jednak kilka moich tytułów zdobyło niemałe uznanie krytyków – a z tego co mi wiadomo „Blindsight” jest jedyną powieścią science fiction, której tekst stanowi bazę do rozważań zarówno na zajęciach z nauk ścisłych, jak i filozofii. Kiedy tak przeglądam swoje CV nie sposób nie zauważyć, że moje dzieło nominowano do całej masy nagród.

Nie zdobyłem jednak *żadnej* z nich, dopóki nie wydano mnie w Polsce. „Blindsight” znalazł się na ostatecznych listach kandydatów do pół tuzina najważniejszych nagród branży SF; wygrał słownie zero. Wygrał dopiero i to aż *dwukrotnie*, gdy Wojciech Próchniewicz przetłumaczył go na „Ślepowidzenie”: zdobył wtedy nagrodę Sfinks oraz otrzymał najwięcej głosów w plebiscycie portalu Katedra w kategorii najlepsza książka zagraniczna.¹¹¹

Od tamtej pory „Blindsight” – a jeśli już o tym mowa, to również i inne moje dzieła – wygrał także inne błyskotki w innych krajach. Jednak po raz pierwszy miało to miejsce właśnie tutaj; przed ukazaniem się „Ślepowidzenia” było tylko wydające się nie mieć końca pasmo porażek. Polskie wydanie jakby zdjęło jakąś klątwę o szerokim zasięgu.

Nie chodzi zresztą tylko o nagrody. Wklepuję swoje nazwisko w wyszukiwarkę – korzystam z serwisu Google Tłumacz – i mam pewne mgliste pojęcie o tym, jak odbierane jest moje dzieło na całym świecie. Jeśli chodzi o recenzje online, wpisy na blogach i wszelkie sieciowe wymiany zdań, Polska była dla mnie dużo bardziej życzliwa niż w zasadzie jakikolwiek inny kraj z dostępem do Internetu. Nie jestem właściwie pewien dlaczego. Powiedziano mi, że dowolna kultura literacka ukształtowana przez twórców takich jak Stanisław Lem, będzie o wiele bardziej skłonna przyjąć coś tak obcego i niejasnego, a historie wymagające pewnego *wysiłku* ze strony czytelników odbierze jako coś niezwykłego. (Czasami krytycy porównywali „Blindsight” do „Solaris”: czy to nazywając go prawowitym dziedzicem pod kątem prezentowanej filozofii, czy też uznając za nędznego naśladowcę, który nie dorasta arcydziełu Lema do pięt. Sam fakt, że ktokolwiek w ogóle czyni takie porównania schlebia mi o wiele bardziej, niż mogłoby się wam wydawać.)

Dlatego właśnie tak bardzo się teraz stresuję. Biorąc pod uwagę entuzjazm, z jakim polski fandom przyjął „Ślepowidzenie”, jak niby „Rozgwiazda” – czy też w ogóle *jakakolwiek* z moich pozostałych książek – mogłaby się z nim zmierzyć? Jakim cudem piorun miałby uderzyć drugi raz w to samo miejsce?

„Rozgwiazda” była moją pierwszą powieścią. Angielska wersja liczy sobie już ponad dziesięć lat. Pod pewnymi względami starałem się nie szarżować; nie będąc pewnym swoich umiejętności składania słów, umieściłem swych bohaterów w mikrokosmicznej bańce, odciętej od poplątanych zawiloci szerokiego świata. Świeżo po opuszczeniu środowiska akademickiego, z doktoratem za pasem, miejscem akcji uczyniłem dno oceanu. (Przynajmniej mogę zaświadczyć, że poświęciłem ponad dekadę na badanie tego cholerstwa. Dzięki stwarzaniu pozorów rzeczywistości muszę chyba zarobić gdzieś po drodze jakieś dodatkowe punkty.)

Ryzykowałem jednak pod innymi względami. Nie znajdziecie raczej zbyt wielu powieści, których bohaterowie byliby tak, no cóż, *nieprzyjemni*. Mało który autor będzie próbował skłonić was do solidaryzowania się z pedofilem. No a kiedy ostatnim razem zagładę miliona niewinnych istnień przedstawiono wam nie jako nieopisaną potworność, a straszliwy, acz nieunikniony akt heroizmu?

Czasami ryzyko popłaca. Krytycy pokochali „Starfisha” (a recenzje czytelników na Amazon.com

uplasowały go nawet na wyższej pozycji niż „Blindsight”). New York Times nadał mu tytuł Notable Book of the Year. Lecz z drugiej strony sprzedanie tej powieści za granicą wydawało się niemal niemożliwością; wydawcy z Niemiec i Rosji jako powód odrzucenia książki podali, że jest ona *zbyt mroczna*. (Jeśli twoje dzieło okazuje się zbyt mroczne dla Rosjan, wiesz już, że osiągnąłeś pewien kamień milowy.) Za wyjątkiem jedyne go wydawcy z Włoch, „Starfish” nie zaczepił się na żadnym innym rynku, poza północnoamerykańskim. Dopiero za sprawą „Blindsightu” moje wcześniejsze publikacje wróciły do gry.

A teraz decyzja należy do was.

Zamiast patrzeć w górę, skierujcie wzrok w *dół*. Zamiast sięgać do gwiazd, dajcie nura w oceaniczne głębiny. W obu tych miejscach znajdziecie ludzi kompletnie zagubionych i kompletnie stukniętych; ludzi, których raczej nie zaprosilibyście na uroczystą kolację zorganizowaną dla cywilizowanych osób. Na tym jednak kończą się podobieństwa: podczas gdy akcja „Ślepowidzenia” miała miejsce w próżni, „Rozgwiazda” pogrzebie was pod trzema setkami atmosfer. Podczas gdy w przypadku „Ślepowidzenia” zagrożenie pochodziło od artefaktu wielkości miasta, demony z „Rozgwiazdy” są zbyt małe, by dostrzec je gołym okiem. A podczas gdy poruszane w „Ślepowidzeniu” problemy natury filozoficznej wydają się na tyle osobliwe, że ocierają się o nieludzkość, kwestie podejmowane przez „Rozgwiazdę” są o wiele bardziej... wewnętrzne, jeśli można tak powiedzieć. „Ślepowidzenie” sprowadziło ludzkość do niewiele znaczącej drobiny w rozległym, jałowym i obojętnym wszechświecie. Natomiast w „Rozgwieździe” aż kipi od ludzkości: ugiętej, powykręcanej, zepchniętej w kąt i przytłoczonej ogromem swej własnej, straszliwej głupoty.

A wy, którą wizję wolicie.

Ceratius

Otchłań najpewniej odbierze ci mowę.

Światło słoneczne nie musnęło tych wód od miliona lat. Atmosfery gromadzą się tu setkami, a rowy oceaniczne mogłyby pochłonąć tuzin Everestów, nie wydając z siebie nawet jednego beknięcia. Mówi się, że życie powstało w morskich głębinach. Może. Nie mógł to być jednak łatwy poród, sądząc po istotach, które pozostały tu do dziś – potwornych, powykręcanych w koszmarnie kształty przez brak światła, ciśnienie i pierwotne, chroniczne wygłodzenie.

Nawet tutaj, wewnątrz kadłuba, otchłań wisi nad tobą swym ciężarem niczym sklepienie katedry. To nie jest miejsce, w którym wykrzykuje się nieistotne bzdury. Jeśli już w ogóle musisz się odezwać, mówisz ściszym głosem. Ale wygląda na to, że ci turyści kompletnie mają to w dupie.

Joel Kita przywykł do nasłuchiwania rozbrzmiewającego wokół oddechu skafu, jego mowy złożonej ze szczęków i syków. Polegał na tych dźwiękach; odczyty tylko potwierdzały to, co powiedział mu już pomruk żołądka bestii. Lecz Ceratius był łodzią turystyczną – w pełni wyizolowaną, o znacznie podwyższonej wysokości sufitu, pełną leżanek wypoczynkowych i wyposażoną w małe automaty z napojami i używkami umiejscowione na tyle każdego siedzenia. Jedynym, co dane jest dziś Joelowi usłyszeć, jest paplanina ładunku.

Zerka przez ramię. Przewodniczka, dwudziestokilkuletnia Hinduska z fryzurą na zebkę – Preteela Jakaśtam – posyła mu przelotny, smutny uśmiech. Jest reliktem i dobrze o tym wie. Nie może konkurować z biblioteką pokładową i nie występuje w zestawie z animacjami w 3D ani wielokanałową ścieżką dźwiękową. Tak naprawdę jest tylko rekwizytem. Ci ludzie zrzucają się na jej pensję nie dlatego, że robi coś pożytecznego, ale właśnie dlatego, że nie robi. Jaki jest sens bycia bogatym, jeśli kupuje się tylko to, co niezbędne?

Jest ich ośmioro. Starszy, dobiegający pierwszej setki gość w mieszkumajstruje przy guzikach swojej kamery. Pozostali podłączyli się już do swych zestawów, odtwarzających program starannie zaprojektowany tak, żeby zająć ich na czas schodzenia w głąb, a jednocześnie nie wyrzucić zbyt silnego wrażenia, by cel podróży nie okazał się dla nich zawodem. Ostatnio ta granica stała się bardzo cienka.

Joel wolałby, żeby program trochę skuteczniej przykuwał uwagę ładunku; może zamknęliby się, gdyby bardziej ich zainteresował. Zapewne i tak nie obchodzi ich, czy potwory morskie z Channer warte są robionego wokół nich szumu. Ci ludzie nie znaleźli się tutaj dlatego, że otchłań jest taka imponująca; znaleźli się tutaj, bo jej zobaczenie tak wiele kosztuje.

Przebiega wzrokiem po tablicy rozdzielczej. Nawet ona sprawia wrażenie przesadnie rozbudowanej: niemal połowę panelu zajmują kontrolki odpowiadające za klimat i podmorskie rozrywki. Znużony, podłącza się do sygnału z przypadkowego zestawu, otwierając okno z danymi na głównym wyświetlaczu.

Osiemnastowieczny drzeworyt krakena ożywa dzięki cudowi nowoczesnej animacji. Prymitywnie wykonane macki oplatają maszty galeonu i wciągają go w potężne fale. Rozbrzmiewa kobiecy głos, zaprojektowany tak, by jak najskuteczniej przykuć uwagę obu płci:

– Od zawsze wyobrażaliśmy sobie, że morza zamieszkują potwory...

Joel wyłącza się.

Pan Mieszek podchodzi do niego od tyłu i poufale kładzie dłoń na jego ramieniu. Joel opiera się pragnieniu, by ją strząsnąć. Z turystycznymi łodziami podwodnymi jest jeszcze jeden problem – nie ma prawdziwego kokpitu, tylko zestaw przełączników na przedzie kabiny pasażerskiej. Nie możesz

odgrodzić się od ładunku.

– Niezła makieta – odzywa się pan Mieszek.

Joel przypomina sobie o zawodowych obowiązkach i uśmiecha się.

– Od dawna kursujesz na tej trasie? – Skórę wapniaka pokrywa lśniąca, złotawa opalenizna – efekt stosowania hodowlanego ksantofilu. Uśmiech Joela lekko blednie. Słyszał oczywiście o jego wszelkich korzyściach: ochronie przed promieniowaniem UV, wyższej zawartości tlenu we krwi, większej ilości energii. Mówi się nawet, że zmniejsza zapotrzebowanie na żywność – nie, żeby którykolwiek z tych ludzi musiał martwić się o ceny artykułów spożywczych. Mimo to, jak na gust Joela, jest to zbyt przeciwne naturze. Implanty powinny być wykonane z mięsa, a przynajmniej z plastiku. Gdyby ludzie mieli przeprowadzać fotosyntezę, posiadaliby liście.

– Pytałem...

Joel kiwa głową.

– Od kilku lat.

Chrząknięcie.

– Nie wiedziałem, że Podmorskie Safari istnieje od tak dawna.

– Nie pracuję dla Podmorskiego Safari – odpowiada Joel tak uprzejmie, jak to tylko możliwe. – Jestem wolnym strzelcem. – Wapniak pewnie i tak wie swoje; wywodzi się z pokolenia, w którym każdy rokrocznie składał przysięgę wierności temu samemu panu. Wtedy nikt nie uważał tego za złe.

– To świetnie. – Pan Mieszek poklepuje go z ojcowska po ramieniu.

Joel delikatnie ustawia stery na bakiurkę. Płynęli tuż przy południowo-wschodniej grani Grzbietu, ze zgaszonymi reflektorami; sonar pokazuje krajobraz pozbawiony wyrazu, pełen błota i głazów. Sam ryft znajduje się w odległości kolejnych pięciu czy dziesięciu minut. Na ekranie program turystyczny opowiada o ogromnych kałamarnicach atakujących łodzie ratunkowe w czasie II wojny światowej, pokazując na dowód szereg archiwalnych fotografii przedstawiających ludzkie nogi upstrzone wielkimi jak pięści, stożkowatymi ranami w miejscach, gdzie zakończone rogami przysawki wydarły z nich kawały ciała.

– Paskudne. Zobaczmy jakieś ogromne kałamarnice?

Joel potrząsa głową.

– To inna wycieczka.

Program rozpoczyna litanię głębinowych okropieństw: kawał mięsa wyrzucony na plażę na Florydzie, wskazujący na istnienie ośmiornicy o rozpiętości macek sięgającej trzydziestu metrów. Gigantyczne larwy węgorzy. Hipotetyczne potwory, które mogły kiedyś żywić się olbrzymimi wielorybami, wymierające anonimowo ze względu na niedobory pożywienia.

Joel uważa, że dziewięćdziesiąt procent z tego to bzdury, a reszta tak naprawdę nie ma znaczenia. Nawet olbrzymie kałamarnice nie zapuszczają się w *prawdziwe* głębiny; zresztą mało *co* to robi. Brak pożywienia. Joel kręci się tu od lat i nigdy nie widział *prawdziwych* potworów.

Oczywiście za wyjątkiem tego miejsca. Dotyka przełącznika; na zewnątrz głośnik o wysokiej częstotliwości zaczyna wyć w kierunku otchłani.

– Kipiące i wrzące kominy hydrotermalne, ciągnące się wzdłuż stref spreadingu na dnach wszystkich oceanów świata – trajkocze program – dostarczają pożywienia ławicom gigantycznych małży oraz trzymetrowym rurkoczulkowcom. – W tym miejscu następuje pokaz archiwalnego materiału filmowego przedstawiającego społeczność komina. – A jednak nawet w strefach spreadingu olbrzymie rozmiary osiągają tylko filtrowce i mułogrzebacze. Ryby, będące tak jak i my kręgowcami, występują tu niezwykle rzadko i dorastają zaledwie do kilku centymetrów. Osobnik z gatunku węgorzycowatych wije się niemrawo na ekranie, przypominając raczej odcięty palec niż

rybę.

– Z wyjątkiem tego miejsca – dodaje program po dramatycznej pauzie. – Jest bowiem coś niezwykłego w tym niewielkim obszarze Grzbietu Juan de Fuca, coś niewyjaśnionego. Tu żyją smoki.

Joel używa innego przełącznika. Do życia, na tle bioluminescencyjnego spektrum, budzą się zewnętrzne reflektory wabiące; światła w kabinie przygasają. Pośród nagłej jasności, zachęconym dźwiękami mieszkańcom ryftu ukazuje się nagle ławica ryb służących za pokarm.

– Nie znamy sekretów Komina Channer. Nie wiemy, w jaki sposób powstają w nim te wszystkie dziwne i fascynujące olbrzymy. – Wyświetlacz programu pogrąża się w mroku. – Wiemy jedynie, że wreszcie udało nam się wytropić kryjówkę potworów. Jest tutaj, na zboczu Wulkanu Osiowego.

Coś łomocze w zewnętrzną powłokę kadłuba. Akustyka kabiny pasażerskiej sprawia, że dźwięk wydaje się nienaturalnie głośny.

Pasażerowie wreszcie się zamykają. Pan Mieszek mamrocze coś pod nosem i rusza w kierunku swojego siedzenia, podobny do wielkiego, spieszącego się chloroplastu.

– Na tym kończy się nasze wprowadzenie. Do państwa zestawów podłączone są zewnętrzne kamery. Można nimi kierować, wykonując zwykłe ruchy głową. Joystick na prawej poręczy służy do regulacji ostrości oraz do nagrywania. Mogą państwo także zdecydować się na obserwację bezpośrednią, korzystając z jednego z wielu bulajów. Jeśli będą państwo potrzebować jakiegokolwiek pomocy, nasza przewodniczka oraz pilot są do państwa dyspozycji. Organizatorzy Podmorskich Safari pragną powitać państwa w Kominie Channer oraz życzą przyjemnych wrażeń przez resztę wycieczki.

Dwa kolejne łomotnięcia. Coś błysnęło szarawo w przednim iluminatorze; przez krótką chwilę w świetle reflektora zamajaczył wijący się brzuch i wirujące płetwy. Na tablicy kontrolnej Joela ikony reprezentujące zewnętrzne kamery włączają się i miotają na wszystkie strony.

Chwilowo bezużyteczna, Preteela wślizguje się na fotel drugiego pilota.

– Rozpętał się tam zwyczajowy szal karmienia.

Joel ścisza głos.

– Tu. Tam. Co za różnica?

Kobieta uśmiecha się w ostrożnym, niemym geście aprobaty. Ma piękny uśmiech, który niemal odwraca uwagę od pasiastych włosów. Joel zauważa coś na grzbiecie jej lewej dłoni; wygląda jak tatuaż referencyjny, ale z jakiegoś powodu mężczyzna wątpi, by był prawdziwy. Prawdopodobnie to tylko ekstrawagancka ozdoba.

– Jesteś pewna, że obejdą się bez ciebie? – pyta cierpko.

Preteela ogląda się za siebie. Ładunek na nowo zaczyna swoje. Patrz na to. *Hej, złamał sobie na nas zęba. Chryste, ależ one brzydkie...*

– Dadzą sobie radę – mówi.

Coś wyłania się po drugiej stronie bulaju: ma paszczę niczym worek pełen igieł, a z zuchwy zwisa mu wąs zakończony świecącą główką. Szczęki otwierają się tak szeroko, jakby miały wypaść, po czym zatraskują się gwałtownie. Zęby prześlizgują się po oknie, nie czyniąc mu żadnej szkody. Płaskie, czarne oko łypie gniewnie na dwoje ludzi.

– Co to takiego? – dopytuje się Preteela.

– To ty jesteś przewodnikiem wycieczki.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Ja też nie. – Joel posyła niewielki ładunek elektryczny na zewnątrz kadłuba. Przestraszony potwór natychmiast chowa się w mroku. Co jakiś czas we wnętrzu Ceratiusa rozbrzmiewają kolejne uderzenia, wywołując coraz to nowe stłumione okrzyki ze strony ładunku.

– Ile jeszcze do Channer?

Joel zerka na ekran taktyczny.

– W zasadzie już prawie jesteśmy. Średniej wielkości gorąca szczelina około pięćdziesięciu metrów na lewo.

– Co to takiego? – Na ekranie pokazał się szereg jaskrawych kropek, z których każdą dzieliła od poprzedniej dokładnie taka sama odległość.

– Paliki geodezyjne. – W zasięgu, za pierwszym, pojawił się kolejny rząd. – No wiesz, dla tego programu geotermalnego.

– Może przepłyniemy się tamtędy? Założę się, że ich generatory muszą robić wrażenie.

– Myślę, że generatorów jeszcze tam nie ma. Dopiero kładą fundamenty.

– I tak byłby to miły dodatek do wycieczki.

– Powinniśmy trzymać się stamtąd z daleka. Jeśli ktoś tam jest, wpakujemy się w niezłe gównno.

– A jest? – Znow ten sam uśmiech, tym razem z premedytacją.

– Pewnie nie – przyznaje Joel. Budowę wstrzymano kilka tygodni temu, co szczególnie go irytowało. Liczył na lukratywne kontrakty, pod warunkiem, że Grid Authority wreszcie ruszy swe korporacyjne dupsko i skończy, co zaczęło.

Preteela patrzy na niego wyczekująco. Joel wzrusza ramionami.

– Jest tam dość niestabilnie. Trochę może nami rzucać.

– Niebezpiecznie?

– Zależy, jak definiujesz niebezpieczeństwo. Prawdopodobnie nie.

– Więc zrobmy to – Preteela przelotnie kładzie dłoń na jego ramieniu w geście porozumienia.

Ceratus węszy w poszukiwaniu nowego kursu. Joel wyłącza reflektory wabiące i podkręca dźwięk, by zaszerwować pożegnalną serię pisków. Na zewnątrz potwory – to znaczy te z nich, które nie wycofały się z gracją, gdy ich maleńkie, rybie mózdzki zarejestrowały, że metal jest niejadalny – rozbiegły się z wrzaskiem w noc, połyskując płonącymi liniami bocznymi. Ładunek zamarł na chwilę w pełnej zdumienia ciszy. Preteela Jakaś tam gładko wypełnia powstałą lukę.

– Kochani, popłyniemy okrężną drogą, żeby zobaczyć nowy nabytek ryftu. Jeśli podłączycie się do sygnału przekazywanego przez sonar, zauważycie, że zbliżamy się do szachownicy nadajników dźwiękowych. Zostały one zainstalowane przez Grid Authority w procesie budowy jednej z nowych stacji geotermalnych, o których ostatnio tak wiele się słyszy. Jak może wam być wiadome, podobne projekty wdrażane są w strefach spreadingu od Galapagos po Aleuty. Kiedy zostaną one podłączone do sieci, ludzie będą właściwie mieszkać na stałe tu, na ryfcie.

Joel nie może w to uwierzyć. Preteela miała szansę prześcignąć bibliotekę, a gada zupełnie jak ona. Fantazje kształtujące się w jego śródmózgowiu znikają w kłębach dymu. Gdyby spróbował dobrać się teraz do kombinezonu wyimaginowanej Preteeli, pewnie radośnie zaczęłaby przytaczać nikomu niepotrzebne ciekawostki.

Włącza zewnętrzne reflektory. Muł. Więcej mułu. Na sonarze monotonna konstelacja sieci pełnie ku nim coraz bliżej.

Coś chwyta Ceratusa i obraca go. Odczyt z termistora zamontowanego na kadłubie na krótką chwilę skacze bardzo wysoko.

– To komin termiczny – woła Joel przez ramię. – Nie ma powodów do niepokoju.

Od sterburty pojawia się przyćmione, miedziane słońce. W gruncie rzeczy to pochodnia na tyce, znacznik terytorialny odpierający otchłań przy pomocy żarówki sodowej i pulsowania o bardzo niskiej częstotliwości. Tak właśnie Grid Authority obsikuje skałę, by *wszyscy bez wyjątku wiedzieli, że to nasza nora.*

Od bakburty ciągnie się linia wież zwieńczonych reflektorami. Na samym przedzie wylania się przecinający ją kolejny szereg, przypominający latarnie uliczne rozświetlające wypełnioną smogiem noc. Iluminują one dziwny, niedokończony krajobraz wypełniony plastikiem i metalem. Wielkie, metalowe obudowy spoczywają na dnie niczym wykolejone wagony towarowe. Zdalnie sterowane roboty podwodne w kształcie kropli leżą uśpione w płaskich, zamrożonych kałużach plastiku, twardszych niż bazalt. Z tej zakrzepłej powierzchni wystają rury o ostrych krawędziach, przypominające wydrążone kości odpiłowane poniżej stawów.

Wysoko w górze, przy jednej z wież po lewej stronie, coś mrocznego i mięsistego atakuje źródło światła.

Joel sprawdza ikony kamer: wszystkie ustawione są na przybliżenie i skierowane wzwyż i na lewo. Preteela, oszczędzając tlen, dała sobie spokój z paplaniną, podczas gdy wapniaki po prostu gapią się z otwartymi ustami. Dobrze. Chcą więcej bezmyślnej, rybiej przemocy, to dostaną więcej bezmyślnej, rybiej przemocy. Ceratius podnosi dziób i przechyla się na lewą burtę.

To żabnica. Raz za razem uderza w reflektor, nie zważając na zbliżającego się Ceratiusa. Promień grzbietowy grzmoci dziko; wabik na jego końcu, jarzący się twór przypominający kształtem robaka, świeci wściekle.

Preteela znów stoi u jego boku.

– Nieźle daje w kość temu światłu, co?

Ma rację. Wierzchołek transpondera trzęsie się pod wpływem uderzeń wielkiej ryby, co jest dziwne; bestie te są wprawdzie duże, ale niezbyt silne. Na dobrą sprawę, wieża porusza się w tę i z powrotem nawet wtedy, gdy żabnica jej nie dotyka.

– O kurwa! – Joel chwyta za stery. Ceratius staje dęba niczym żywa istota. Blask transpondera widoczny jest teraz nad dolną krawędzią bulaju; miejsce poniżej górnej zajmuje ciemność, całkowicie pochłaniając widok. Ładunek wydaje z siebie przestraszone krzyki. Joel je ignoruje.

Ze wszystkich stron dochodzi głuchy, odległy odgłos, jakby coś ryczało.

Joel wdusza gaz. Ceratius zaczyna się wspinać. Coś uderza od tyłu; rufę znosi na lewo, a wraz z nią dziób. Ciemność za oknami nagle zaczyna kipieć i w świetle lamp kabiny zmienia kolor na błotnisty brąz. Odczyt z termistora na kadłubie skacze wysoko dwa, trzy razy. Temperatura otoczenia wzrasta z 4 do 280°C, po czym wraca do poprzedniej wartości. Przy niższym ciśnieniu Ceratius opadałby pośród wrzącej pary. W tym przypadku jednak tylko obraca się w ultragorącej wodzie, szukając przyczepności.

Wreszcie udaje mu się ją odzyskać. Łódź wspina się ku upragnionym, lodowatym wodom. Za szybą, wirując, przepływa szkielet ryby składający się z samych zębów i promienistych ości. Mięso wygotowało się do ostatniego skrawka.

Joel ogląda się za siebie. Preteela zaciska palce na oparciu jego fotela; jej kostki mają ten sam kolor, co tańczące na zewnątrz ości. Ładunek pogrzyżył się w grobowej ciszy.

– Jeszcze jeden komin termiczny? – pyta drżącym głosem Preteela.

Joel potrząsa głową.

– W dnie oceanicznym utworzyła się szczelina. Podłoże jest tu bardzo cienkie – Zdobywa się na oszczędny śmiech. – Mówiłem ci, że może być tu trochę niestabilnie.

– A-ha. – Kobieta rozluźnia uchwyt. Odciski paznokci pozostają odbite w gąbce. Preteela pochyla się i szepcze: – Rozjaśnij nieco światła w kabinie, dobrze? Tak do poziomu przytulnego salonu... – Po czym rusza w kierunku rufy, by zająć się ładunkiem. – To dopiero było ekscytujące. Joel uspokaja, że tego typu niewielkie wybuchy zdarzają się przez cały czas. Choć oczywiście potrafią zaskoczyć, nie ma powodów do niepokoju.

Joel rozjaśnia światła w kabinie. Ładunek siedzi cicho, kryjąc głowy w zestawach jak strusie w piasku. Preteela krząta się wokół nich, wygładzając piórka.

– Oczywiście, została nam jeszcze dalsza część wycieczki, na którą czekamy z niecierpliwością...

Mężczyzna zwiększa czułość sonaru i ustawia rufę. Na monitorze taktycznym szaleje jaskrawa burza. Poniżej siatkę konstrukcyjną GA szpeci świeżo powstały ze stopionych skał grzbiet śródoceaniczny

Preteela stoi znów u jego boku.

– Joel?

– Tak?

– Mówią, że ludzie mają tu *mieszkać*?

– A-ha.

– Wow. Kto taki?

Joel spogląda na nią.

– Nie widziałaś reklam? Tylko najlepsi i najbystrzejsi. By stawić czoła wiecznej nocy i nieść kaganek cywilizacji.

– Ale na poważnie, Joel. Kto taki?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Cholera wie.

Dusiciel

Gdy na stacji Beebe gasną światła, słysząc jęki metalu.

Lenie Clarke leży w swej koi nasłuchując. Nad jej głową, ponad rurami, przewodami i powłoką delikatną niczym skorupa jajka, wiszą trzy kilometry czarnego oceanu, próbując ją zmiażdżyć. Pod sobą wyczuwa ryft rozdzierający dno morskie z siłą wystarczającą do poruszenia kontynentu. Leżąc tak w tym kruchym schronieniu, słyszy, jak pancierz Beebe przesuwa się o mikrometry; słyszy, jak trzeszczy w szwach, nie do końca poniżej progu ludzkiego słuchu. Na Grzbiecie Juan de Fuca Bóg jest sadystą, a na imię mu Fizyka.

Jakim cudem mnie do tego namówili? – zastanawia się. Dlaczego tu jestem? Ale zna już odpowiedź.

Słyszy, jak Ballard porusza się po korytarzu. Clarke zazdrości Ballard. Ballard nigdy nie nawala; sprawia wrażenie, jakby zawsze miała życie pod kontrolą. Wydaje się niemal *szczęśliwa*, że tu jest.

Clarke stacza się z koi i po omacku szuka przełącznika. Kajutę zalewa ponure światło. Ścianę obok pokrywają rury i panele dostępu; gdy znajdujesz się trzy tysiące metrów pod wodą, estetyka jest kwestią bardzo drugorzędną wobec funkcjonalności. Lenie odwraca się i w lustrze na grodzi dostrzega śliskiego, czarnego płaza.

Wciąż od czasu do czasu jej się to przytrafia. Czasami zapomina, co jej zrobili.

Wymaga świadomego wysiłku, by wyczuć maszynę przyczajone w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się jej lewe płuco. Tak bardzo przywykła do chronicznego bólu w klatce piersiowej, do tego subtelnego bezwładu plastiku i metalu kiedy się porusza, że przestała zdawać sobie z nich sprawę. Wciąż pamięta, jak to było być w pełni człowiekiem i myli to wspomnienie z autentycznym odczuciem.

Jednak chwile wytchnienia nigdy nie trwają długo. W Beebe wszędzie są lustra; mają za zadanie optycznie powiększyć przestrzeń osobistą. Clarke czasami zamyka oczy, by ukryć się przed odbiciami, którymi wciąż jest atakowana. To nie pomaga. Zaciska powieki i wyczuwa pod nimi nakładki rogówkowe, zakrywające jej gałki oczne jak gładkie, białe katarakty.

Wywleka się z kajuty i zmierza korytarzem w stronę mesy. Tam czeka już Ballard, która przyoblekła się w skórę głębinową i tak dla niej typową aurę pewności siebie.

Wstaje.

– Gotowa do wyjścia?

– Ty tu dowodzisz – odpowiada Clarke.

– Tylko na papierze. – Ballard uśmiecha się. – Tu na dole nie ma żadnej hierarchii, Lenie. Jeśli o mnie chodzi, jesteście sobie równe.

Po dwóch dniach spędzonych na ryfcie, Clarke wciąż zaskakuje to, jak często Ballard się uśmiecha. Uśmiecha się z byle powodu. Nie zawsze wydaje się to szczerze.

Coś z zewnątrz uderza w Beebe.

Uśmiech Ballard blednie. Raz jeszcze słyszą to samo: mokre, głuche uderzenie w tytanową powłokę stacji.

– Trzeba trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić – odzywa się Ballard. – Prawda?

I znowu.

– To brzmi jak coś *dużego*...

– Może powinniśmy wyłączyć światła – podsuwa Clarke. Wie jednak, że tego nie zrobią.

Zewnętrzne reflektory Beebe palą się dwadzieścia cztery godziny na dobę; elektryczne ognisko,

mające odegnać mrok. Nie widzą ich z wnętrza stacji – Beebe nie ma żadnych okien – ale sama świadomość obecności niewidocznego ognia w pewien sposób dodaje im otuchy.

Łup!

Zazwyczaj.

– Pamiętasz, jak to było w czasie szkolenia? – Ballard stara się przekrzyczeć hałas. – Jak mówili nam, że ryby są zwykle takie... małe...

Jej głos cichnie. Beebe skrzypi z lekka. Nasłuchują jeszcze przez chwilę, ale to jedyny odgłos, jaki do nich dociera.

– Pewnie się zmęczyło – kwituje Ballard. – Mogłyby już się nauczyć, że to nic nie daje. – Zbliża się do drabinki i schodzi na dół.

Clarke, z pewną dozą niecierpliwości, rusza jej śladem. Niektóre dźwięki w Beebe niepokoją ją o wiele bardziej niż daremne ataki nieświadomej ryby. Słyszy, jak zmęczone stopy metali negocjują warunki kapitulacji. Czuje, że ocean szuka sposobu na wdarcie się do środka. Co, jeśli je znajdzie? Pacyfik runie na nią całym swym ciężarem, zgniatając ją na galaretkę. A może się to wydarzyć w każdej chwili.

Lepiej stawić temu czoła na zewnątrz, gdzie wie, co ją czeka. Tutaj może tylko czekać, aż to się stanie.

Wychodzenie na zewnątrz jest jak powtarzające się codziennie tonięcie.

Clarke, w szczelnie zapiętej skórce głębinowej, stoi twarzą w twarz z Ballard w śluzie ledwo będącej w stanie je pomieścić. Nauczyła się tolerować tę bliskość; gładkie osłony na oczach nieco jej w tym pomagają. *Zapieczętować plomby, sprawdzić latarki czołowe, przetestować wtryskiwacz...* Rytuał, krok po kroku, przybliżyła ją do tej straszliwej chwili, kiedy obudzi maszyny uśpione w jej wnętrzu i *zmeni się*.

Kiedy złapie oddech i utraci go.

Kiedy gdzieś w jej piersi wytworzy się próżnia, wysysająca wstrzymywane powietrze. Kiedy ocalałe płuco wyschnie w swej klatce, a flaki się zapadną; kiedy mioelektryczne demony zaleją jej zatoki i uszy środkowe solą fizjologiczną. Kiedy każdy pęcherz gazowy zniknie w czasie wystarczającym na wykonanie wdechu.

Odczucia są zawsze takie same. Nagłe, obezwładniające mdłości; ograniczona przestrzeń śluzi utrzymuje ją w pionie, gdy próbuje upaść; kotłująca się wokół woda morska. Jej twarz znika pod powierzchnią; obraz rozmazuje się, po czym znów odzyskuje ostrość, gdy dostosowują się nakładki rogówkowe.

Uderza o ścianę, żałując, że nie może krzyczeć. Podłoga śluzi opada jak kłapa szubienicy. Wijąc się, Lenie Clark spada w otchłań.

Wychodzą z płonącymi latarkami czołowymi z przeraźliwie zimnego mroku ku oazom sodowej jasności. W Gardle zewsząd wyrastają maszyny. Przypominają metalowe chwasty. Pokrywające dno morskie kable i przewody ciągną się w różnych kierunkach niczym pajęczce sieci. Rzędy podobnych do podwodnych monolitów głównych pomp, mierzących ponad dwadzieścia metrów, nikną w mroku po obu stronach. Poplątane konstrukcje skąpane są w wiecznym półmroku światła, rzucanego przez zamontowane wysoko reflektory.

Kobiety zatrzymują się na chwilę z dłońmi spoczywającymi na linie, która je tu doprowadziła.

– Nigdy do tego nie przywyknę – odzywa się zgrzytliwie Ballard, wydobywając z siebie karykaturę zwykłego głosu.

Clarke spogląda na umieszczony na nadgarstku termistor.

– Dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza. – Słowa metalicznie bzyczą w jej krtani. Mówienie bez oddychania wydaje się takie *niewłaściwe*.

Ballard puszcza linę i nurkuje w stronę światła. Po chwili Clarke bez tchu rusza jej śladem.

Drzemie tu tyle mocy, tyle uspionej potęgi. Całe kontynenty toczą tu ciężkie boje. Magma zamarza; woda morska wrze; dno oceaniczne co roku rodzi się w bólach, centymetr po centymetrze. Tu, w Gardle, ludzkie maszyny nie *wytwarzają* energii – jedynie trzymają się jej kurczowo i podkradają niewielkie porcje, przesyłając je na stały ład.

Clarke sunie przez kaniony z metalu i skał, wiedząc, co znaczy być pasożytem. Spogląda w dół. Dno pomiędzy maszyną zaścielają skorupiaki wielkości głazów, szkarłatne robaki długie na trzy metry. Rzesze spragnionych siarki bakterii tworzą w wodzie mleczne woale.

Pośród wody rozlega się nagle straszliwy wrzask.

Nie brzmi jak krzyk. Brzmi jak wibrująca w zwolnionym tempie wielka struna harfy. A jednak Ballard krzyczy, przez oporny interfejs będący kombinacją ciała i metalu.

– LENIE!

Clarke odwraca się w samą porę, by zobaczyć jak jej własna ręka znika w niewyobrażalnie wielkiej paszczy.

Podobne do bułatów zęby zaciskają się na jej ramieniu. Clarke wpatruje się w oddalony o pół metra czarny pysk pokryty łuskami. Jakaś maleńka, beznamiętna część jej jestestwa poszukuje oczu w tej straszliwej mieszance promieni, zębów i zniekształconego ciała, ale ich nie znajduje. *Jakim cudem to mnie widzi?* – zastanawia się.

Wtedy dociera do niej ból.

Czuje, jak jej ramię jest wrywane ze stawu. Stwór rzuca się, machając głową w tę i z powrotem, próbując rozszarpać ją na kawałki. Każde pociągnięcie sprawia, że jej nerwy palą żywym ogniem.

Kobieta wiotczeje. *Proszę, jeśli zamierzasz mnie zabić, po prostu to zrób, tylko, Boże, niech to się szybko skończy*. Czuje silne mdłości, ale ani „skóra” pokrywająca usta, ani zapadnięte wnętrzności nie pozwalają jej zwymiotować.

Wyłącza ból. Ma w tym duże doświadczenie. Chowa się w swym wnętrzu, porzucając ciało na pastwę wygłodniałego napastnika; gdzieś z daleka wyczuwa, że jego szarpnięcia stają się nagle coraz bardziej nieskoordynowane. U jej boku jest jeszcze jedna istota; ma ręce, nogi i nóż – *no wiesz, nóż, taki jak ten, który masz przypasany do nogi i o którym kompletnie zapomniałaś* – i nagle potwora już nie ma, a ona została wyswobodzona z jego uchwytu.

Clarke zmusza mięśnie szyi do pracy. To jak kierowanie marionetką. Jej głowa odwraca się. Widzi Ballard walczącą z czymś równie wielkim jak ona sama. Tylko że... Ballard rozrywa to na strzępy gołymi rękami. Przypominające sople zęby tego czegoś łamią się i pękają. Ciemna, lodowata woda unosi wypływającą z jego ran krew, której podobne do dymu strugi odzwierciedlają rytm przedśmiertnych konwulsji.

Stwór słabo drga. Ballard odpycha go od siebie. W kręgu światła błyskawicznie pojawia się tuzin mniejszych ryb i zaczyna rozszarpać trupa. Fotofory na ich bokach błyskają niczym oszalałe tęcze.

Clarke przygląda się temu z drugiego końca świata. Ból w jej boku, ciągły i pulsujący, staje się lekko przytłumiony. Kobieta patrzy na swoje ramię – wciąż tam jest. Może nawet bez problemu ruszać palcami. *Bywało gorzej, myśli*.

A potem: *Dlaczego wciąż żyję?*

Ballard pojawia się u jej boku; jej oczy, ukryte pod soczewkami, same lśnią jak fotofory.

– Jezu Chryste – odzywa się zniekształconym szeptem. – Lenie? Wszystko w porządku?

Clarke rozmyśla przez chwilę nad niedorzecznością tego pytania. Jednak, co zaskakujące, czuje się cała i zdrowa.

– Tak.

A jeśli nie, to wie, że to jej własna, cholerna wina. Po prostu się poddała. Po prostu czekała na śmierć. Sama się o to prosiła. Zawsze sama się prosiła.

Znów są w służbie; woda wokół nich opada. W nich też: uwięziony dotychczas oddech Clarke, wreszcie swobodnie sunie przez trzewia, na nowo wypełniając jej płuca, wnętrza i ducha.

Ballard zrywa plombę z twarzowej części swej „skóry”; jej słowa płyną wartkim strumieniem.

– Jezu. Jezu! No nie wierzę! Mój Boże, widziałaś to? Są tutaj ogromne! – Przesuwa dłonie po twarzy, zdejmując nakładki rogówkowe; mleczone półkule odsłaniają ogromne, orzechowe oczy. – I pomyśleć, że normalnie mają zaledwie kilka centymetrów...

Zaczyna się rozbierać, zrywając „skórę” wzdłuż przedramion i nie przestając mówić.

– A mimo to była taka delikatna, wiesz? Wystarczy uderzyć dostatecznie mocno i po prostu się rozpada! Jezu!

Ballard zawsze ściąga cały sprzęt w środku. Clarke podejrzewa, że gdyby tylko mogła, wydarłaby przetwornik z własnej piersi i cisnęła go w kąt razem ze „skórą” i nakładkami na oczy, gdzie przeleżałby aż do następnego razu, gdy znów będzie potrzebny.

Może ma w kabynie swoje drugie płuco, zastanawia się Clarke. Może trzyma je w słoiku, a w nocy wciska je z powrotem w klatkę piersiową...

Czuje się lekko otumaniona; pewnie to wpływ neuroinhibitorów produkowanych przez implanty za każdym razem, gdy znajduje się na zewnątrz. *To niewielka cena, którą trzeba zapłacić, by w mózgu nie doszło do zwarcia – naprawdę, nie powinnam na to narzekać...*

Ballard zsuwa „skórę” do pasa. Tuż pod jej lewą piersią, z klatki piersiowej wystaje wlot elektrolizera.

Clarke przygląda się z roztargnieniem tej dziurkowanej tarczy w ciele Ballard. *Tędy wpływa w nas ocean, myśli. Stara wiedza wydaje się nagle jakby nabierać nowego znaczenia. Wsysamy go w siebie, kradniemy jego tlen i znów wypluwamy.*

Kłujące odrętwienie przesącza się z jej ręki na klatkę piersiową i szyję. Clarke potrząsa głową. Jeden raz, by je odegnąć.

Nagle osuwa się po włazie.

Jestem w szoku? Mdleję?

– To znaczy... – Ballard urywa i spogląda na Clarke z nagłym niepokojem. – Jezu, Lenie.

Wyglądasz okropnie. Nie powinnaś była mówić, że wszystko z tobą w porządku, skoro tak nie było.

Mrowienie dociera do podstawy czaszki Clarke.

– Czuję się... dobrze – mówi. – Nie mam niczego złamanego. Jestem tylko trochę potłuczona.

– Bzdury. Zdejmij „skórę”.

Clarke wyprostowuje się z trudem. Odrętwienie ustępuje nieco.

– To nic takiego. Sama się tym zajmę.

Nie dotykaj mnie. Proszę, nie dotykaj mnie.

Ballard bez słowa postępuje kilka kroków naprzód i zrywa plombę ze „skóry” na wysokości przedramienia Clarke. Zdiera materiał i odsłania paskudnego, fioletowego siniaka. Spogląda na towarzyszkę, unosząc brew.

– To tylko siniak – odzywa się Lenie. – Zajmę się nim, naprawdę. Tak czy siak, dzięki. – Wrywa rękę, uciekając przed troską Ballard.

Ta przygląda się jej przez chwilę, po czym uśmiecha się nieznacznie.

– Lenie – mówi. – Nie musisz się wstydzić.

– Czego?

– No wiesz. Że musiałam cię uratować. Że straciłaś głowę, gdy to coś cię zaatakowało. To zrozumiałe. Większość ludzi ma problemy z przystosowaniem się. Ja po prostu miałam szczęście.

Racja. Ty zawsze masz szczęście, prawda? Znam takich, jak ty, Ballard, nigdy w niczym nie zawiodłaś.

– Nie musisz czuć wstydu z tego powodu – zapewnia Ballard.

– Nie czuję – odpowiada szczerze Clarke. W zasadzie niczego już nie czuje. Tylko mrowienie. I napięcie. I coś w stylu mglistego zdumienia, że w ogóle żyje.

Gródź poci się.

Głębokie wody muskają metal swymi lodowatymi dłońmi, a w środku Clarke obserwuje, jak wilgotne powietrze skrapla się i ścieka po ścianie. Siedzi sztywno na koi przy przyćmionym, fluorescencyjnym świetle, a każda ściana kajuty znajduje się w zasięgu jej ręki. Sufit wisi zbyt nisko. Pokój jest zbyt wąski. Czuje, jak ocean zgniata stację wokół niej.

A ja mogę tylko czekać...

Balsam anaboliczny nałożony na obrażenia jest ciepły i kojący. Clarke obmacuje fioletowe ciało ręki wprawnymi palcami. Narzędzia diagnostyczne w kabinie medycznej potwierdziły jej przypuszczenia. Tym razem miała szczęście: kości nie zostały naruszone, a naskórek uszkodzony. Zaplombowuje „skórę”, ukrywając pod nią siniaki.

Przekręca się na pryczy, obracając się twarzą ku wewnętrznej stronie ściany. Jej odbicie spogląda na nią oczami podobnymi do oszronionego szkła. Clarke obserwuje swą podobiznę, podziwiając, jak idealnie naśladuje ona każdy jej ruch. Ciało i jego widmo poruszają się jednocześnie; zamaskowane sylwetki i obojętne twarze.

To ja, myśli. Tak teraz wyglądam. Próbuje odczytać, co kryje się za tą lodowatą fasadą. Czy jestem znudzona, podniecona, zdenerwowana? Jak to rozpoznać, skoro jej oczy schowane są za nieprzezroczystymi nakładkami rogówkowymi? Nie widzi ani śladu napięcia, które zawsze odczuwa. Mogłabym być przerażona. Mogłabym zsikać się w moją „skórę”, a nikt by o tym nie wiedział.

Pochyliła się. Odbicie wychodzi jej na spotkanie. Spoglądają na siebie; biel w biel, lód w lód. Na chwilę nieomal zapominają o toczonej przez Beebe wojnie z ciśnieniem. Na chwilę przestaje przeszkadzać im klaustrofobiczna samotność trzymająca je w swym uścisku.

Ileż to razy, zastanawia się Clarke, marzyłam o oczach tak martwych, jak te?

Metalowe trzewia Beebe wypełniają korytarz biegnący na zewnątrz kajuty Clarke. Ledwo może się wyprostować. Kilka kroków prowadzi ją wprost do mesy.

Ballard, znów przebrana w zwykłą koszulkę z rękawami, stoi przy jednym z terminali bibliotecznych.

– Rachityzm – odzywa się.

– Co?

– Tutejsze ryby nie dostają dostatecznie dużo pierwiastków śladowych. Gniją od chorób wywołanych tymi niedoborami. Nieważne, jak bardzo są groźne. Jeśli ugryzą zbyt mocno, połamią sobie na nas zęby.

Clarke wciska guziki na procesorze żywności; w odpowiedzi na jej dotyk, maszyna zaczyna mruczeć.

– Myślałam, że na ryfcie jest dużo różnych rodzajów pożywienia. Dlatego właśnie wszystko rośnie tu takie wielkie.

– Jest mnóstwo pożywienia, tylko nie najlepszej jakości.

Ledwo zjadliwa papka wycieka z procesora prosto na talerz Clarke, która przygląda się jej przez chwilę. *Chyba wiem, o czym mowa.*

– Zamierzasz jeść w sprzęcie? – pyta Ballard, gdy Clarke zasiada za stołem.

Clarke spogląda na nią ze zdziwieniem.

– Tak. A co?

– Och, nic takiego. Po prostu byłoby miło porozmawiać z kimś, kto ma żrenice.

– Przepraszam. Mogę je zdjąć, jeśli...

– Nie, to nic takiego. Mogę z tym żyć. – Ballard wyłącza bibliotekę i siada naprzeciwko Clarke. –

Więc jak ci się tu podoba, póki co?

Clarke wzrusza ramionami, nie przerywając jedzenia.

– Cieszę się, że będziemy tu tylko przez rok – ciągnie Ballard. – Po jakimś czasie to miejsce może zacząć działać na nerwy.

– Mogło być gorzej.

– Och, ale ja nie narzekam. W końcu szukałam nowych wyzwań. A ty?

– Ja?

– Co cię tu sprowadza? Czego tu szukasz?

Clarke milczy przez chwilę.

– Tak naprawdę to nie wiem – odpowiada wreszcie. – Chyba odosobnienia.

Ballard podnosi wzrok. Clarke spogląda na nią z obojętnym wyrazem twarzy.

– Cóż, w takim razie zostawię cię samą – kwituje ciepło Ballard.

Clarke przygląda się, jak kobieta znika w korytarzu. Słyszy syk zamykającego się wjazdu kajuty.

Daj sobie spokój, Ballard, myśli. Nie jestem osobą, którą chciałabyś poznać.

Zbliża się początek porannej zmiany. Procesor żywności z typowym dla siebie ociąganiem wypłuwa z siebie śniadanie Clarke. W pomieszczeniu łączności Ballard kończy właśnie rozmowę telefoniczną. W chwilę później pokazuje się we włączu.

– Kierownictwo mówi – Przerywa. – Masz niebieskie oczy.

Clarke uśmiecha się słabo.

– Już je widziałas.

– Wiem. Po prostu to takie zaskakujące, minęło trochę czasu, od kiedy ostatnio widziałam cię bez nakładek.

Clarke siada ze swoim śniadaniem.

– A więc co mówi Kierownictwo?

– Wszystko przebiega zgodnie z planem. Reszta załogi zjedzie tu za trzy tygodnie, a za cztery zostaniemy podłączeni do sieci. – Ballard siada naprzeciwko Clarke. – Czasami zastanawia mnie, dlaczego jeszcze nie jesteśmy.

– Myślę, że po prostu chcą się upewnić, czy wszystko działa.

– Mimo to wydaje mi się, że jak na okres próbny trwa to dość długo. Można by się spodziewać, że... Cóż, że będą chcieli uruchomić program geotermalny tak szybko, jak tylko się da, po tym co się stało.

Masz na myśli po tym, jak załamali się Lepreau i Winshire.

– Jest coś jeszcze – kontynuuje Ballard. – Nie mogę połączyć się z Piccard.

Clarke podnosi wzrok. Stacja Piccard zakotwiczona jest na Ryfcie Galapagos; to niezbyt stabilne miejsce do cumowania.

– Poznałaś tamtejszą dwójkę? Kena Lubina i Lane Cheung?

Clarke potrząsa głową.

– Przeszli szkolenie przede mną. Poza tobą nie poznałam nigdy żadnego innego ryftera.

– Mili ludzie. Pomyślałam, że zadzwonię do nich, zapytam jak tam w Piccard, ale nikt nie może się z nimi połączyć.

– Padła linia?

– Mówią, że coś w tym stylu. Nic poważnego. Wysyłają tam skaf, żeby to sprawdzić.

Może w dniu oceanicznym utworzyła się szczelina, która połknęła ich w całości, myśli Clarke.

Wystarczy, że jedna płyta w kadłubie została osłabiona.

Coś skrzypi, głęboko w nadbudówce Beebe. Clarke rozgląda się naokoło. Wydaje się, że gdy nie patrzyła, ściany przysunęły się bliżej.

– Czasami wołałabym – odzywa się – żebyśmy nie utrzymywali w Beebe ciśnienia takiego, jak na powierzchni. Czasami wołałabym, żebyśmy podkręcili je do poziomu panującego tutaj, na dole. Żeby odciążać kadłub.

Wie, że to życzenie jest niemożliwe do spełnienia; większość gazów powoduje natychmiastową śmierć, jeśli wdycha się je pod ciśnieniem trzystu atmosfer. Nawet tlen zabija, jeśli jego gęstość wzrośnie choćby o ułamek procenta.

Ballard wzdryga się teatralnie.

– Skoro *ty* chcesz oddychać dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami wodoru, to proszę bardzo. Mnie jest dobrze tak, jak jest – uśmiecha się. – Poza tym, masz pojęcie, ile czasu zajęłaby potem dekompresja?

Coś piszczy w kabinie systemowej, próbując zwrócić ich uwagę.

– Aktywność sejsmiczna. Cudownie. – Ballard znika we wnętrzu pomieszczenia łączności. Clarke rusza jej śladem.

Złocistożółta linia wije się w poprzek jednego z wyświetlaczy. Przypomina zapis sygnału EEG u kogoś, komu śnią się koszmary.

– Zakładaj oczy z powrotem – mówi Ballard. – Gardło zaczyna wariować.

Słyszą to aż w Beebe; złowrogi, niemal elektryczny syk dochodzący od strony Gardła. Clarke podąża za Ballard w jego stronę, jedną ręką przytrzymując się lekko liny prowadzącej. Coś jest nie tak z odległą plamą światła wskazującą ich cel. Kolory są niewłaściwe. *Mieszają się.*

Wpływają w tę rozjarzoną aureolę i już wiedzą, dlaczego tak jest. Gardło płonie.

Szafirowe zorze suną przez generatory, migocząc. Na końcu szeregu, niemal niewidoczny w oddali, w mrok wzbija się wirujący słup dymu przypominający ogromną trąbę powietrzną.

Odgłos, jaki wydaje, wypełnia głębinę. Clarke na chwilę zamyka oczy i słyszy grzechotniki.

– Jezu! – Ballard próbuje przekrzyczeć hałas. – To nie powinno tak się zachowywać!

Clarke sprawdza swój termistor. Urządzenie nie może się uspokoić; temperatura wody w ciągu zaledwie kilku sekund skacze z czterech do trzydziestu ośmiu stopni i z powrotem. Obserwującymi to wszystko kobietami szarpia niezliczone, efemeryczne prądy wodne.

– Skąd ten pokaz światel? – odkrzykuje Clarke.

– Nie wiem! – odpowiada Ballard. – Pewnie bioluminescencja! Bakterie wrażliwe na ciepło!

Nagle, niespodziewanie, cała wrzawa cichnie.

Ocean milknie. Fosforyzujące pajęczyny wiją się słabo na powierzchni metalu, po czym znikają. W

oddali tornado wydaje z siebie westchnięcie i rozpada się na kilka wirów, które wkrótce dokonują swego żywota.

W miedzianym świetle zaczyna spadać delikatny deszcz czarnego popiołu.

– Smoker^[2] – odzywa się Ballard pośród nagłego spokoju. – I to *duży*.

Płyną do miejsca wybuchu gejzeru. W dnie morskim, pomiędzy dwoma generatorami, ziele świeża rana, pęknięcie długie na kilka metrów.

– To nie powinno się wydarzyć – protestuje Ballard. – Właśnie dlatego postanowili budować tutaj, na litość boską! Miało być stabilnie!

– Ryft nigdy nie jest stabilny – odpowiada Clarke. Gdyby był, przebywanie tutaj nie miałooby większego sensu.

Ballard przepływa pośród opadów i sprawdza tablicę dostępu jednego z generatorów.

– Cóż, według tego, nie ma żadnych uszkodzeń! – krzyczy, zajrzawszy do środka. – Poczekaj, zmienię kanały!

Clarke dotyka jednego z cylindrycznych czujników przymocowanych do jej pasa i zagłębia w szczelinę. *Powinnam się zmieścić*, wyrokuje.

I się mieści.

– Miałyśmy szczęście – mówi Ballard gdzieś ponad jej głową. – Pozostałe generatory też są w porządku. Och, jedną chwilę; w dwójce zatkał się kanał chłodzący, ale to nic poważnego. Wspomaganie da sobie z tym radę dopóki... *Wyłącz stamtąd!*

Clarke podnosi wzrok, trzymając jedną dłoń na zakładanym przez siebie czujniku. Ballard patrzy na nią, spoglądając w dół świeżo utworzonego komina skalnego.

– *Oszalałaś?* – wrzeszczy. To aktywny smoker!

Clarke ponownie pochyla głowę i wpatruje się w głąb szybu. Komin wiję się, znikając im z oczu, pośród mineralnych oparów.

– Potrzebujemy odczytów temperatury z wnętrza krateru mówi.

– Wyłącz stamtąd! Może znowu wybuchnąć i cię usmażyć!

Pewnie może, myśli Clarke.

– Dopiero co wystrzelił – odkrzykuje. – Zajmie to trochę czasu zanim znów wytworzy się odpowiednie ciśnienie. – Przekręca gałkę czujnika; maleńkie, wybuchowe bolce wbijają się w skałę, umocowując urządzenie.

– Wyłącz stamtąd, *natychmiast!*

– Sekundkę. – Clarke włącza czujnik i odbija się od dna. Gdy zaczyna wyłaniać się ze szczeliny, Ballard chwyta ją za rękę i zaczyna odciągać od smokera.

Clark sztywnieje i wrywa się z jej uścisku.

– *Nie... dotykaj mnie!* Gryzie się w język. – Jestem na zewnątrz, ok? Nie musisz...

– Dalej – Ballard nie przestaje płynąć. – Tutaj.

Znajdują się teraz na granicy jasności; po jednej stronie leży oświetlone Gardło, druga skryta jest w mroku. Ballard staje twarzą w twarz z Clarke.

– Odbiło ci? Mogłyśmy wrócić do Beebe po bezzałogowego robota! Mogłyśmy umieścić czujnik zdalnie!

Clarke nie odpowiada. Zauważa, że coś porusza się w oddali za plecami Ballard.

– Uważaj, za tobą – mówi.

Ballard odwraca się. Połykacz sunie, falując przez wody niczym brązowy dym, cichy i bez końca; Clarke nie może dojrzeć jego ogona, choć z mroku wyłoniło się dobrych kilka metrów ciała stworzenia.

Ballard sięga po nóż. Po chwili Clarke robi to samo.

Szczęki połykacza rozwierają się, podobne do wielkiej łopatki o poszarpanych brzegach.

Ballard rzuca się na stwora z wzniesionym ostrzem.

Clarke wyciąga rękę.

– Czekał, on nie atakuje *nas*.

Łeb ryby znajduje się już w odległości jakichś dziesięciu metrów. Jej ogon wreszcie wydostaje się z ciemności.

– Oszalałaś? – Ballard odsuwa się poza zasięg dłoni Clarke, nie spuszczać wzroku z potwora.

– Może nie jest głodny.

Clarke widzi oczy zwierzęcia – dwie groźnie spoglądające, małe, nieruchome kropki na czubku pyska.

– One *zawsze* są głodne. Przespałaś całe szkolenie?

Połykacz zamyka paszczę i przepływa obok. Wyciąga się wokół kobiet, zataczając szeroki, kręty łuk. Głowa odwraca się, by na nie spojrzeć. Rozwiera szczęki.

– Pieprzyć to – rzuca Ballard i atakuje.

Jej pierwszy cios robi długie na metr nacięcie w boku ryby. Stwór przez chwilę wpatruje się w Ballard, jakby zaskoczony. Potem, ociężale, zaczyna się rzucać.

Clarke obserwuje scenę w bezruchu. Dlaczego nie może zostawić go w spokoju? Dlaczego zawsze musi udowadniać, że jest lepsza od wszystkiego innego?

Ballard uderza raz jeszcze; tym razem rozdziera wielki, nabrzmiąły guz, będący zapewne żołądkiem.

Uwalnia tkwiące w nim rzeczy, które wypływają przez ranę: dwie gigantury oraz jakąś zniekształconą istotę, której Clarke nie umie rozpoznać. Jedna gigantura wciąż żyje i najwyraźniej jest w paskudnym nastroju. Zaciska zęby na pierwszej rzeczy, którą napotyka na swojej drodze.

Ballard. Od tyłu.

– *Lenie!* – Jej ręka trzymająca nóż kreśli urywane łuki. Gigantura rozpada się na kawałki, jednak jej szczęki nie puszczaają.

Drgający konwulsyjnie połykacz zderza się z Ballard, posyłając ją ruchem wirowym w kierunku dna.

Clarke wreszcie rusza z miejsca.

Połykacz ponownie zderza się z Ballard. Clarke schodzi niżej i płynąc przy samym dnie, odciąga kobietę na bok.

Nóż Ballard nie przestaje wykręcać się i opadać. Za skrzelami z gigantury pozostał już tylko okaleczony wrak, ale nacisk jej szczęk ani trochę nie zelżał. Ballard nie jest w stanie wykręcić się dostatecznie mocno, by dosięgnąć jej czaszki. Clarke zbliża się do niej od tyłu i ujmuje głowę stwora w dłonie.

Ta wpatruje się w nią nieprzyjawnym, bezmyślnym wzrokiem.

– Zabij ją! – wrzeszczy Ballard. – Jezu, na co ty w ogóle czekasz?

Clarke zamyka oczy i zaciska dłonie. Trzymana przez nią czaszka roztrzaskuje się na kawałki niczym tani plastik.

Zapada cisza.

Po chwili kobieta podnosi powieki. Połykacz zniknął, umknął w mrok, by wyleczyć rany lub umrzeć. Lecz Ballard wciąż tu jest – i jest wściekła.

– Co się z tobą *dzieje*'? – pyta.

Clarke otwiera dłonie. W wodzie, wokół jej palców, unoszą się resztki kości i galaretowatego

ciała.

– Powinnaś mnie osłaniać! Dlaczego przez cały czas jesteś tak cholernie *bierna*?

– Przepraszam. – Czasem to działa.

Ballard sięga do tyłu.

– Jest mi zimno. Chyba przebiła mi „skórę”...

Clarke przepływa za jej plecy i sprawdza.

– Kilka dziur. A tak poza tym, jak się czujesz? Masz coś złamane?

– Przebiła się przez skórę głębinową – mówi Ballard, jakby sama do siebie. – A kiedy zaatakował mnie ten połykacz, mógł – odwraca się w stronę Clarke, a w jej głosie, pomimo zniekształcenia, pobrzmiwa szok i niepewność. – Mogłam zginąć. Mogłam *zginąć!*

Przez chwilę wydaje się, że Ballard została odarta ze „skóry”, nakładek na oczy i pewności siebie. Po raz pierwszy Clarke jest w stanie przejrzeć ją na wylot, dostrzec ukryte w jej wnętrzu słabości, które rozprzestrzeniają się niczym delikatna siateczka pęknięć.

Ty też możesz nawalić, Ballard. To nie jest tylko zabawa. Teraz to rozumiałaś.

To boli, nieprawdaż?

Gdzieś w środku czuje nutę sympatii.

– Już dobrze – mówi. – Jeanette, już...

– Ty *idiotko!* – syczy Ballard. Łypie gniewnie na Clarke niczym złośliwa, ślepawa staruszka. – Po prostu sobie pływałaś! Pozwoliłaś, by to się stało!

Clarke czuje, jak skorupa na nowo zatrząskuje się wokół niej. W samą porę. To nie jest tylko gniew, uświadamia sobie. To nie jest tylko pod wpływem chwili. Nie lubi mnie. Ani trochę mnie nie lubi.

A potem, ze zdziwieniem, że nie zorientowała się wcześniej, uświadamia sobie coś jeszcze: *Nigdy nie lubiła.*

Nisza

Stacja Beebe unosi się pośród wód przycumowana do dna niczym szara, spiżowa planeta, otoczona na równiku pierścieniem reflektorów. Na biegunie południowym jest śluza dla nurków, a na północnym włącz dokowy dla skafów. Pomiędzy nimi znajdują się dźwigary i liny kotwiczne, przewody i kable, a także Lenie Clarke.

Kobieta dokonuje rutynowego wzrokowego przeglądu kadłuba: to standardowa procedura przeprowadzana raz na tydzień. Ballard jest w środku, testuje jakiś sprzęt w pomieszczeniu łączności. Takie zachowanie nie jest do końca zgodne z duchem systemu koleżeńkiego. Clarke bardziej to odpowiada. Przez ostatnich kilka dni odnosiły się do siebie uprzejmie – od czasu do czasu Ballard powracała nawet do swojej opatentowanej poufności – ale im więcej czasu spędzały razem, tym bardziej wszystko stawało się wymuszone. Clarke wie, że coś w końcu pęknie.

Poza tym, tutaj samotność wydaje się po prostu czymś naturalnym.

Sprawdza właśnie zaciski kabli, gdy w kręgu światła nagle pojawia się brzytwopysk. Ma około dwa metry długości i jest głodny. Z otwartą paszczą taranuje najbliższy reflektor Beebe. Kilka zębów roztrzaskuje się pod wpływem uderzenia o kryształową soczewkę. Brzytwopysk zawraca, uderzając ogonem o kadłub i odpływa w dal, niemalże niknąc w mroku.

Clarke przygląda mu się z zafascynowaniem. Stwór pływa w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, po czym znów rusza do ataku.

Reflektor bez problemu wytrzymał cios, czyniąc więcej szkody swojemu napastnikowi, jednak ryba uderza raz za razem. Wreszcie, wycieńczona, urywanymi ruchami opada na muliste dno.

– Lenie? Wszystko w porządku?

Clarke czuje, jak słowa bzyczą w jej dolnej szczęce. Naciska przełącznik nadawania na swojej skórze głębinowej.

– Wszystko w porządku.

– Usłyszałam coś – ciągnie Ballard. – Chciałam się tylko upewnić, że wszystko z tobą...

– Wszystko dobrze – odpowiada Clarke. – To tylko ryba.

– Niczego się nie uczą, co?

– Nie, chyba nie. Do zobaczenia później.

– Do...

Clarke wyłącza odbiornik.

Biedna, głupia ryba. Ile tysiącleci zajęło im nauczanie się, że bioluminescencja oznacza pożywienie? Jak długo Beebe musiałaby tu pozostać, by nauczyły się, że elektryczne światło go nie oznacza?

Mogłybyśmy wyłączyć przednie reflektory. Może zostawiłyby nas w spokoju.

Wpatruje się w przestrzeń poza elektryczną poświatą Beebe. Jest tam tyle czerni. Patrzenie na nią sprawia niemalże fizyczny ból. Jak daleko byłaby w stanie zapuścić się w ten lepki całun bez światła i bez sonaru, by wciąż móc wrócić?

Clarke wyłącza latarkę czołową. Noc przysuwa się nieco bliżej, lecz światła Beebe trzymają ją na dystans. Kobieta odwraca się, aż wreszcie staje twarzą w twarz z ciemnością. Przyczają się niczym pająk, oparta o kadłub Beebe.

Odpycha się.

Mrok chwyta ją w objęcia. Clarke płynie, nie oglądając się za siebie, aż wreszcie zmęczenie ogarnia jej nogi. Nie wie, jak bardzo się oddaliła.

Muszą to być jednak całe lata świetlne. Ocean jest pełen gwiazd.

Za jej plecami najjaśniej, ostrymi, żółtymi promieniami świeci stacja. Po przeciwnej stronie kobieta ledwo dostrzega Gardło, blady wschód słońca na horyzoncie.

Wszędzie indziej żyjące konstelacje rozświetlają punktowo ciemności. Tu sznur pereł wyświeśla w dwusekundowych odstępach oferty seksualne. Tu znów nagły rozbłysk pozostawił Clarke odwracające uwagę powidoki, kłębiące się w jej polu widzenia; coś ucieka, korzystając z jej chwilowej ślepoty. Tam zaś fałszywy robak wije się leniwie, poruszany prądem, w niewidoczny sposób powiązany z podniebieniem jakiegoś drapieży.

Jest ich tak wiele.

Czuje nagły ruch wody, jakby coś dużego przepłynęło tuż obok. Rozkoszny dreszcz przebiega po jej ciele.

Prawie mnie dotknęło, myśli. Ciekawe, co to było. Na ryfcie jest pełno potworów, które nie wiedzą, kiedy przestać. Nieważne, jak dużo jedzą. Żarłoczność jest częścią ich jestestwa, tak samo jak rozciągliwe brzuchy i szczęki potrafiące wyskoczyć z zawiasów. Wyglodniałe karły rzucają się na dwukrotnie większych od siebie gigantów i czasami wygrywiają. Otchłan jest pustynią; nikt nie może pozwolić sobie na luksus oczekiwania na lepszą okazję.

Ale nawet na pustyni zdarzają się oazy, które czasem odnajdują głębinowi łowcy. Natrafiają na mało odżywcze dostatki ryftu i obżerają się; ich potomkowie stają się ogromni i rozdęci na szkielecie z tak delikatnych kości.

Miałam wyłączone światło i to coś zostawiło mnie w spokoju. Ciekawe...

Ponownie włącza latarkę. Przez chwilę niemal nic nie widzi pośród nagłej jasności, po czym przyzwyczajają się. Ocean ponownie pogrąża się w nieprzeniknionej ciemności. Nie pojawiają się żadne koszmary. Promień światła natrafia na puste wody, gdzie by go nie skierowała.

Wyłącza latarkę. Na chwilę, w czasie której jej nakładki dostosowują się do zmniejszonej ilości światła, zapada zupełny mrok. A potem znów pojawiają się gwiazdy.

Są takie piękne. Lenie Clarke leży na dnie oceanu i przygląda się migoczącej wokół niej otchłani. Nieomal wybucha śmiechem, gdy zdaje sobie sprawę, że trzy tysiące metrów od promieni słonecznych, ciemno staje się jedynie przy włączonych światłach.

– Co się z tobą dzieje do jasnej cholery? Wiesz, że nie było cię przez trzy godziny? Dlaczego nie odpowiadałaś?

Clarke pochyła się i zdejmuje płetwy.

– Chyba wyłączyłam odbiornik – mówi. – Byłam.. Chwila, powiedziałaś...?

– *Chyba?* Zapomniałaś już o wszystkich przepisach bezpieczeństwa, które wbijali nam do głowy? Masz mieć włączony odbiornik od momentu opuszczenia Beebe aż do powrotu!

– Powiedziałaś *trzy godziny*?

– Nie mogłam nawet wyjść cię poszukać, bo nie zdołałam znaleźć cię na sonarze! Musiałam tak po prostu tu siedzieć i mieć nadzieję, że w końcu się pojawisz!

Wydaje się, że upłynęło zaledwie kilka minut, od kiedy odepchnęła się i zanurkowała w mrok. Clarke wspina się po drabince do mesy, zmrożona słowami towarzyszki.

– Gdzie *byłaś*, Lenie? – chce wiedzieć Ballard, postępując jej śladem. Clarke słyszy delikatne, płaczliwe tony w jej głosie.

– Ja... ja musiałam być na dnie – odpowiada. – Dlatego sonar nie mógł mnie namierzyć. Nie oddalałam się.

Zasnąłam? Co robiłam przez trzy godziny?

– Po prostu kręciłam się po okolicy. Straciłam poczucie czasu. Przepraszam.

– To nie wystarczy. Nie rób tego więcej.

Na chwilę zapada cisza. Przerzywa ją nagle, znajome uderzenie ciała o metal.

– Chryste! – warczy Ballard. – Wyłączam reflektory zewnętrzne w tej chwili!

Cokolwiek to jest, atakuje jeszcze dwukrotnie, nim Ballard udaje się dotrzeć do pomieszczenia łączności. Clarke słyszy, jak ta wali w kilka guzików.

Po chwili Ballard wraca do mesy.

– Już. Teraz jesteśmy niewidoczne.

Coś uderza jeszcze raz. I jeszcze.

– Albo i nie – kwituje Clarke.

Ballard stoi, wsłuchując się w rytm ciosów.

– Nie pokazują się na sonarze – odzywa się prawie szeptem. – Czasem, kiedy słyszę, że się zbliżają, ustawiam go na ekstremalnie bliski zasięg. Ale on w ogóle ich nie wyłapuje.

– Żadnych pęcherzy gazowych. Echo nie ma się od czego odbić.

– Nas jakoś w większości przypadków widać bez problemu. Ale tego czegoś nie. Nie da się ich znaleźć, niezależnie od tego, jak podkreści się sygnał. Są jak duchy.

– To nie duchy – niemal nieświadomie Clarke liczy uderzenia: *osiem, dziewięć...*

Ballard odwraca się, stając z nią twarzą w twarz.

– Zamknęli Piccard – mówi, a jej głos wydaje się cichy i zdławiony.

– Co?

– Grid Authority twierdzi, że to tylko problemy techniczne. Ale mam znajomego w dziale kadr. Zadzwoiłam do niego, gdy byłeś na zewnątrz. Powiedział, że Lana jest w szpitalu. I odniosłam wrażenie... – Ballard potrząsa głową. – Zabrzmiało to tak, jakby Ken Lubin zrobił coś tam, na dnie. Myślę, że mógł ją zaatakować.

Trzy łupnięcia na zewnątrz w krótkich odstępach. Clarke czuje na sobie wzrok Ballard. Milczenie przeciąga się.

– A może i nie – mówi wreszcie Ballard. – Robiono nam te wszystkie testy osobowości. Gdyby był agresywny, wychwyciliby to przed wysłaniem go na dół.

Clarke przygląda się jej, nasłuchując sporadycznych uderzeń ryby.

– A może – może to ryft w jakiś sposób go *zmienił*. Może błędnie ocenili, jaki wpływ będzie miała na nas praca pod ciśnieniem. Że tak to ujmę – Ballard zdobywa się na słaby uśmiech. – Nie tyle fizyczne niebezpieczeństwo, co stres, wiesz? Rzeczy codzienne. Samo przebywanie na zewnątrz może po jakimś czasie zacząć działać ci na nerwy. Woda morska przetaczająca się przez klatkę piersiową. Zatrzymywanie oddychania na całe godziny. To jak żyć bez bicia serca.

Spogląda na sufit; dźwięki dochodzące z zewnątrz są teraz bardziej nieregularne.

– Na zewnątrz nie jest tak źle – odzywa się Clarke. Przynajmniej nie można cię zgnieść.

Przynajmniej nie musisz martwić się, że płyty puszczą.

– Wydaje mi się, że zmiana nie następuje nagle. Raczej zakrada się, krok po kroku. A potem, pewnego dnia po prostu budzisz się już odmieniona, jesteś w jakimś stopniu inna, tylko że nie zauważyłaś momentu przemiany. Tak jak Ken Lubin.

Spogląda na Clarke, zniżając nieco głos.

– I ty.

– Ja – Clarke obraca w głowie słowa Ballard, czekając na jakąś reakcję. Nie czuje nic poza obojętnością. – Myślę, że nie masz się czego obawiać. Nie jestem z tych agresywnych.

– Wiem. Nie obawiam się o swoje własne bezpieczeństwo, Lenie. Obawiam się o twoje.

Clarke patrzy na nią zza nieprzeniknionej osłony swych soczewek, nie odpowiadając.

– Zmieniłaś się od momentu, kiedy tu przybyłaś – ciągnie Ballard. – Odsuwasz się ode mnie, narażasz się na niepotrzebne ryzyko. Nie wiem, co dokładnie się z tobą dzieje. Prawie jakbyś próbowała się zabić.

– Nie próbuję – odpowiada Clarke i stara się zmienić temat. Wszystko w porządku z Laną Cheung? Przez chwilę Ballard przygląda się jej badawczo. Zrozumiała aluzję.

– Nie wiem. Nie udało mi się uzyskać żadnych szczegółów.

Clarke czuje, że coś w jej wnętrzu zawiązuje się na węzeł.

– Ciekawe, czym go sprowokowała – mruczy pod nosem.

Ballard wpatruje się w nią z otwartymi ustami.

– Jak to *sprowokowała*? Nie wierzę, że to powiedziałaś!

– Chodziło mi o to...

– Wiem, o co ci chodziło.

Walenie na zewnątrz ustało. Ballard nie rozluźnia się. Stoi przygarbiona w tych dziwnych, luźnych ubraniach noszonych przez lądowców i wpatruje się w sufit, jakby nie mogła uwierzyć, że zapadła cisza. Znow spogląda na Clarke.

– Lenie, wiesz, że nie lubię nadużywać swojego stanowiska, ale taką postawą wystawiasz nas obie na ryzyko. Wydaje mi się, że to miejsce zaczyna mieć na ciebie zły wpływ. Naprawdę mam nadzieję, że zaczniesz znow kontaktować. W przeciwnym razie będę zmuszona wystąpić o przeniesienie cię.

Clarke odprowadza ją wzrokiem, gdy ta opuszcza mesę. *Kłamiesz, uświadamia sobie. Jesteś śmiertelnie przerażona i to nie tylko dlatego, że ja się zmieniam.*

To dlatego, że ty też.

Pięć godzin po fakcie Clarke dowiaduje się: na dnie morskim coś się zmieniło.

Śpimy, a ziemia przesuwana się, myśli, studiując wyświetlacz topograficzny. A następnym razem, albo jeszcze następnym może usunąć się spod nas. Ciekawe, czy będę miała czas cokolwiek poczuć.

Odwraca się, słysząc za plecami jakiś dźwięk. Ballard stoi w mesie, chwiejąc się lekko. Jej twarz sprawia wrażenie oszpeconej przez koncentryczne okręgi w oczach i przez ciemne wgłębienia wokół nich. Nagie oczy zaczynają wyglądać obco dla Clarke.

– Dno morskie zmieniło się – odzywa się Clarke. – Około dwieście metrów na zachód od nas pojawiła się nowa wychodnia.

– To dziwne. Nic nie poczułam.

– To stało się jakieś pięć godzin temu. Spałaś.

Ballard spogląda na nią surowo. Clarke bada wzrokiem jej zmizerniałą twarz. *Po namyśle...*

– Obudziłabym się – mówi Ballard. Przeciska się obok Clarke do wnętrza pomieszczenia i sprawdza wyświetlacz topograficzny.

– Wysoka na dwa metry, długa na dwanaście – recytuje Clarke.

Ballard nie odpowiada. Wklepuje komendy na klawiaturze; obraz topograficzny znika, zastąpiony przez kolumnę liczb.

– Tak jak myślałam – mówi. – Żadnej poważnej aktywności sejsmicznej od ponad czterdziestu dwóch godzin.

– Sonar nie kłamie – odpowiada spokojnie Clarke.

– Sejsmograf też nie – ripostuje Ballard.

Na chwilę zapada cisza. W tego typu sytuacjach obowiązuje standardowa procedura, obie doskonale wiedzą, jak ona wygląda.

– Musimy to sprawdzić – mówi Clarke.

Lecz Ballard tylko kiwa głową.

– Daj mi chwilę na przebranie się.

Nazywają go kalmarem: to około metrowy walec napędzany silnikiem odrzutowym, wyposażony w reflektor na przedzie i uchwyt holowniczy z tyłu. Clarke, zawieszona w wodzie pomiędzy Beebe a dnem morskim, sprawdza go jedną ręką. W drugiej trzyma pistolet hydrolokacyjny. Celuje w ciemność; ultradźwiękowe trzaski przeczesują noc, pozwalając jej zorientować się w położeniu.

– Tam – mówi, wskazując kierunek.

Ballard zaciska dłoń na uchwycie holowniczym własnego kalmara. Maszyna ciągnie ją za sobą. Po chwili Clarke rusza jej śladem. Grupę zamyka trzeci kalmar, niosący w nylonowej torbie przeróżne czujniki.

Ballard płynie niemal na pełnym gazie. Latarka na jej kasku i szperacz kalmara przeszywają wody niczym bliźniacze światła latarni morskiej. Clarke, która wygasila własne reflektory, dogania ją mniej więcej w połowie drogi do celu. Posuwają się ramię w ramię kilka metrów ponad mulistym dnem.

– Twoje światła – odzywa się Ballard.

– Nie potrzebujemy ich. Sonar działa w ciemnościach.

– A więc teraz łamiesz przepisy dla samego dreszczyku emocji?

– Te ryby ciągną do wszystkiego, co świeci.

– Włącz światła. To rozkaz.

Clarke nie odpowiada. Obserwuje kładące się obok promienie; kalmar Ballard świeci równym, niezachwianym blaskiem, zaś jej latarka czołowa przecina wodę nieregularnymi łukami za każdym razem, gdy ta porusza głową.

– Powiedziałaś – powtarza Ballard – żebyś włączyła – *Chryste!*

To coś mignęło zaledwie na ułamek sekundy w chwili, gdy omiótł to reflektor Ballard. Kobieta nagle odwraca głowę i *to* niknie jej z oczu. Potem jednak wyłania się ponownie w świetle rzucanym przez kalmara, ogromne i straszliwe.

Otchłań szczyrzy do nich obnażone zęby.

Paszcza rozciąga się na całą szerokość snopa światła i po obu stronach niknie dalej w mroku. Wypełniające ją stożkowate zęby wielkości ludzkich dłoni w żadnym wypadku nie sprawiają wrażenia kruchych.

Ballard wydaje z siebie zdławiony odgłos i nurkuje w błoto. Bentosowy muł wrze wokół niej niczym kłębiąca się chmura; kobieta znika pośród gradu planktonicznych ciał.

Lenie Clarke zatrzymuje się i zastyga bez ruchu w oczekiwaniu. Wpatruje się jak sparaliżowana w ten groźny uśmiech. Całe jej ciało wydaje się naelektryzowane, nigdy nie była siebie tak namacalnie świadoma. Każdy nerw wystrzeliwuje i zamiera w tym samym momencie. Clarke jest przerażona.

Ale jednak w jakiś sposób ma przy tym pełną kontrolę nad sobą. Podczas gdy rozważa ten paradoks, porzucony kalmar Ballard zwalnia i zatrzymuje się zaledwie kilka metrów od nieskończonego rzędu zębów. A kiedy dziwi się swemu analitycznemu opanowaniu, trzeci kalmar, wraz z ładunkiem czujników, przepływa obok, zmniejszając prędkość i zajmuje miejsce obok swego towarzysza.

W świetle reflektorów uśmiech nie ulega najmniejszej zmianie.

Clarke podnosi pistolet hydrolokacyjny i naciska spust. *Jesteśmy na miejscu*, uświadamia sobie, sprawdzając odczyt. *To jest ta wychodnia.*

Podpływa bliżej. Uśmiech wisi pośród wody, zagadkowy i kuszący. Kobieta zauważa teraz kawałki kości u nasady zębów oraz strzępy zgniłego mięsa falujące na wysokości dziąseł.

Odwraca się i cofa. Chmura na dnie zaczyna powoli opadać.

– Ballard – odzywa się swym sztucznym głosem.

Nikt jej nie odpowiada.

Czując się jak ślepiec, Clarke sięga w błoto, aż wreszcie udaje jej się wymacać coś ciepłego i drżącego.

Dno morskie eksploduje jej prosto w twarz.

Ballard wystrzeliwuje z mułu, niczym kometa, ciągnąca za sobą ziemisty ogon. Ze wzburzonej chmury wyłania się jej dłoń zaciśnięta na czymś, co błyska w promieniach światła. Clarke zauważa nóż i wywija się w ostatniej chwili; ostrze odbija się od jej „skóry”, rozpalając nerwy klatki piersiowej. Ballard atakuje ponownie. Tym razem Clarke chwytą dłoń z nożem, gdy ta przelatuje tuż obok, wykręca ją i popycha. Ballard przewraca się.

– To ja! – krzyczy Clarke; vocoder zmienia jej głos w bzyczące vibrato.

Ballard wstaje; białe oczy patrzą niewidzącym wzrokiem, nóż wciąż spoczywa w jej dłoni.

Clarke podnosi ręce.

– Wszystko w porządku! Nic tu nie ma! On nie żyje!

Ballard zatrzymuje się. Wpatruje się w Clarke. Spogląda na kalmary i oświetlany przez nie uśmiech. Sztynnieje.

– To jakiś wieloryb – ciągnie Clarke. – Nie żyje już od dłuższego czasu.

– W-wieloryb? – pyta schrypniętym głosem Ballard. Zaczyna się trząść.

Nie musisz się wstydzić, o mały włos, a Clarke powiedziała by to na głos, ale tego nie robi.

Wyciąga natomiast rękę i delikatnie dotyka ramienia Ballard. *Czy tak się to robi?* zastanawia się.

Ballard odskakuje jak oparzona.

Chyba nie...

– Hm, Jeanette... – zaczyna.

Ballard przerywa jej, unosząc trzęsącą się dłoń.

– Wszystko ze mną w porządku. Chcę... Myślę, że powinniśmy już wracać, nie sądzisz?

– Okej – odpowiada Clarke. Jednak naprawdę wcale tak nie uważa.

Mogłaby przebywać tu przez cały dzień.

Ballard znów siedzi nad biblioteką. Odwraca się, a gdy Clarke podchodzi bliżej, niedbale dotyka dłonią regulacji kontrastu; wyświetlacz ciemnieje, nim Clarke udaje się dostrzec, co na nim jest. Ze zdziwieniem zerka na wiszący przy terminalu zestaw wizualizacyjny. Skoro Ballard nie chce, by zobaczyła co czyta, mogła po prostu z niego skorzystać.

Ale wtedy nie zobaczyłaby, jak nadchodzi...

– Myślę, że to był Ziphiid – informuje Ballard. – Wal dziobogłowy. Tyle że miał za dużo zębów. Rzadko się je spotyka. Nie nurkują na takie głębokości.

Clarke słucha bez zbytniego zainteresowania.

– Musiał umrzeć i rozłożyć się dużo wyżej, a potem zatonać ciągnie Ballard nieco podniesionym głosem. Spogląda ukradkiem na coś po drugiej stronie mesy. – Zastanawiam się, jakie jest prawdopodobieństwo, że coś takiego się wydarzy.

– Co?

– Znaczący, że w całym oceanie coś tak ogromnego przypadkiem spadnie sobie z nieba kilkaset metrów dalej. Szanse muszą być dość niske.

– Tak, chyba tak. – Clarke wyciąga rękę i rozjaśnia wyświetlacz. Jedną połowę ekranu, świecącą delikatnym blaskiem, zajmuje jaskrawy tekst. Na drugiej widać obracający się model złożonej cząsteczki.

– Co to? – pyta Clarke.

Ballard rzuca kolejne ukradkowe spojrzenie na drugą stronę mesy.

– To tylko jakiś stary tekst biopsychologiczny, który biblioteka miała w swoim katalogu.

Przeglądałam go sobie. Kiedyś się tym interesowałam.

Clarke spogląda na nią.

– Aha.

Pochyla się i studiuje dane na wyświetlaczu. Jakiś techniczny żargon chemiczny. Właściwie jedyną rzeczą, którą z tego rozumie, jest podpis pod graficzną reprezentacją.

Odczytuje go na głos:

– Prawdziwe szczęście.

– Tak. Trójpierścieniowiec z czterema łańcuchami bocznymi – Ballard wskazuje na ekran. –

Zawsze, kiedy jesteś szczęśliwa, ale tak naprawdę szczęśliwa, to właśnie jego sprawka.

– Kiedy *to* odkryto?

– Nie wiem. To stara książka.

Clarke wbija wzrok w obracający się model. W jakimś sensie ją niepokoi. Unosi się nad tym triumfującym, głupim podpisem i głosi coś, czego ona wcale nie chce słyszeć.

Rozgryźli cię, mówi. Jesteś mechaniczna. Chemikalia i elektryczność. Wszystko, czym jesteś, każdy sen, każde działanie, wszystko sprowadza się do zmiany napięcia gdzieś w twym wnętrzu albo do – co ona takiego powiedziała? – trójpierścieniowca z czterema łańcuchami pobocznymi.

– To niewłaściwe – mruczy Clarke. Albo będą mogli nas naprawić, gdy się zepsujemy.

– Słucham?

– To oznacza, że jesteśmy tylko... biologicznymi komputerami. Z twarzami.

Ballard wyłącza terminal.

– To prawda – mówi. – A niektórzy z nas chyba tracą i je.

Przytyk zostaje zanotowany, ale nie sprawia przykrości. Clarke wyprostowuje się i rusza w stronę drabiny.

– Gdzie idziesz? Znow wychodzisz na zewnątrz? – dopytuje się Ballard.

– Zmiana jeszcze się nie skończyła. Pomyślałam, że przeczyszczę kanał dwójki.

– Trochę za późno, by się za to zabierać, Lenie. Zmiana dobiegnie końca, nim dobrniemy choćby do połowy. – Ponownie ucieka gdzieś wzrokiem. Tym razem Clarke podąża za jej spojrzeniem ku lustru ciągnącemu się przez całą długość odległej ściany.

Nie dostrzega tam niczego szczególnie interesującego.

– Popracuję do późna. – Clarke chwyta się poręczy i opuszcza stopę na najwyższy szczebel.

– Lenie – zaczyna Ballard, a Clarke mogłaby przysiąc, że głos jej drży. Spogląda na nią, ale ta kieruje się do pomieszczenia łączności. – Cóż, obawiam się, że nie mogę iść z tobą – mówi. – Jestem w trakcie usuwania usterek w jednym z programów telemetrycznych.

– W porządku – kwituje Clarke. Czuje, jak wzrasta napięcie. Beebe znow się kurczy. Kobieta rusza w dół po drabinie.

– Na pewno nie przeszkadza ci, że wyjdiesz na zewnątrz sama? Może powinnaś poczekać do jutra.

– Nie, nie mam nic przeciwko.

– Cóż, pamiętaj, by mieć włączony odbiornik. Nie chcę, żebyś znowu mi się zgubiła.

Clarke jest już w komorze odpływowej. Wspina się do śluzu i przechodzi cały rytuał. Już nie przypomina to tonięcia. Raczej ponowne narodziny.

Budzi się pośród ciemności i odgłosów płaczu.

Przez kilka minut leży zdezorientowana i niepewna. Szloch dochodzi ze wszystkich stron, cichy ale wszechobecny we wnętrzu rezonującej skorupy Beebe. Poza nim i biciem własnego serca, Clarke nie słyszy żadnego innego dźwięku.

Boi się. Nie jest pewna, dlaczego. Pragnie, by dźwięki ucichły.

Zwleka się ze swej koi i gmera przy włazie, który w końcu otwiera się, odsłaniając pogrążony w półmroku korytarz; z mezy, z jednego z jego końców dochodzi słabe światło. Dźwięki dobiegają z przeciwnej strony, z gęstniejącego mroku. Clarke rusza ich śladem przez gąszcz rur i przewodów.

Kwatera Ballard. Właz jest otwarty. Odczyt migocze szmaragdowo w ciemności, nie ukazując żadnych szczegółów przygarbionej sylwetki na pryczy.

– Ballard – odzywa się łagodnie Clarke. Nie chce wchodzić do środka.

Cień porusza się, wydaje się spoglądać na nią.

– Dlaczego tego nie okażesz? – pyta błagalnym głosem.

Clarke marszczy brwi w ciemnościach.

– Co mam okazać?

– Dobrze wiesz co! Jak bardzo się boisz!

– Boję się?

– Przebywania tutaj, utknięcia na dnie tego cholernego, mrocznego oceanu!

– Nie rozumiem – szepcze Clarke. Klaustrofobiczne odczucia znów zaczynają poruszać się niespokojnie w jej wnętrzu.

Ballard prychnie, ale kpina wydaje się wymuszona.

– Och, doskonale rozumiesz. Myślisz, że to jakieś zawody; myślisz, że jeśli uda ci się zatrzymać wszystko w sobie, to jakimś cudem wygrasz – ale to zupełnie nie tak, Lenie; takie duszenie wszystkiego w sobie w niczym nie pomaga. Tu, na dole, musimy być w stanie sobie zaufać albo będziemy zgubione...

Zmienia nieco pozycję na koi. Wspomagane nakładkami oczy Clarke mogą teraz wyłowić z mroku parę szczegółów; sylwetkę Ballard okalają ostre krawędzie, zagięcia i załamania układające się w kształt normalnego ubrania, rozpiętego do pasa. Kobiecie przychodzą na myśl na wpół spreparowane zwłoki, które usiadły na stole, by oplakiwać swe kalectwo.

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli – mówi.

– Staralam się być miła – wyjaśnia Ballard. – Próbowałam się z tobą dogadać, ale jesteś taka *oziębła*, nawet nie przyznasz, że – to znaczy, *nie może* ci się tu podobać, nikomu nie mogłoby, więc dlaczego po prostu nie przyznasz...

– Ale mi się wcale nie podoba. Ja... ja *nienawidzę* tego miejsca. Czuję się tak, jakby Beebe miała mnie zmiążyć. A jedyne, co mogę zrobić, to czekać, aż to się stanie.

Ballard kiwa głową pośród ciemności.

– Tak, tak, wiem o czym mówisz. – Wydaje się, że wyznanie Clarke podziałało na nią zachęcająco.

– I nieważne, ile razy powtarzasz sobie, że... – urywa – nienawidzisz *tego* miejsca?

Powiedziałam coś nie tak?, zastanawia się Clarke.

– No wiesz, na zewnątrz jest niewiele lepiej – ciągnie Ballard. Na zewnątrz jest nawet jeszcze gorzej! Tam są lawiny błotne i smokery, i ogromne ryby, które cały czas próbują cię zjeść, nie możesz przecieżyć... Ale *tobie* ani trochę to wszystko nie przeszkadza, prawda?

Gdzieś po drodze przybrała oskarżycielski ton. Clarke wzrusza ramionami.

– Nie, nie przeszkadza – Ballard mówi teraz dużo wolniej. Jej głos opada do szeptu. – Tak naprawdę, to ci się tam *podoba*. Prawda?

Clarke kiwa głową z ociąganiem.

– Tak. Chyba tak.

– Ale tam jest tak... Ryft może cię zabić, Lenie. Może *nas* zabić. Na sto różnych sposobów. Czy to cię nie przeraża?

– Nie wiem. Nie myślę o tym zbyt często. Chyba w pewnym sensie mnie przeraża.

– Więc dlaczego jesteś tam taka szczęśliwa? – wykrzykuje Ballard. – To nie ma najmniejszego sensu...

Właściwie to nie jestem „szczęśliwa”, myśli Clarke.

– Nie wiem. To nie jest wcale takie dziwne, mnóstwo ludzi robi niebezpieczne rzeczy. Co z osobami uprawiającymi swobodne spadanie? Albo z alpinistami?

Lecz Ballard nie odpowiada. Jej ciało sztywnieje. Nagle wyciąga rękę i zapala światło.

Lenie Clarke mruga oczami pośród niespodziewanej jasności. Po chwili pomieszczenie ciemnieje. To znak, że zaczynają działać jej nakładki.

– Jezu Chryste! – wrzeszczy na nią Ballard. – Teraz już nawet *sypiasz* w tym stroju?

O tym Clarke także nie pomyślała. Po prostu wydawało jej się to prostszym rozwiązaniem.

– Przez cały ten czas otwierałam przed tobą swoje serce, ale ty miałaś dla mnie tylko tę twarz *maszyny!* Nie masz nawet na tyle przyzwoitości, by pokazać mi swoje cholerne *oczy!*

Clarke cofa się zaskoczona. Ballard wstaje z łóżka i postępuje krok do przodu.

– I pomyśleć, że udawało ci się uchodzić za człowieka, zanim dostałaś ten strój! Idź i poszukaj sobie czegoś do zabawy w tym swoim pieprzonym oceanie!

Zatrząskuje właz tuż przed jej twarzą.

Przez kilka chwil Lenie Clarke wpatruje się w zamkniętą gródź. Na jej twarzy, z czego doskonale zdaje sobie sprawę, maluje się spokój. Na jej twarzy zazwyczaj maluje się spokój. Jednak stoi tam bez ruchu, dopóki skulona rzecz w jej wnętrzu nieco się nie rozluźni.

– Dobrze – odzywa się wreszcie bardzo cicho. – Chyba tak zrobię.

Ballard czeka na nią, gdy ta wyłania się ze śluzy.

– Lenie – mówi cicho. – Musimy porozmawiać. To ważne.

Clarke pochyła się i zdejmuje płetwy.

– Mów.

– Nie tutaj. W mojej kajucie.

Clarke obrzuca ją wzrokiem.

– Proszę.

Clarke rusza w górę po drabinie.

– Nie zdejmujesz...? – Ballard urywa, gdy Clarke wbija wzrok w podłogę. – Nieważne. W porządku.

Gdy są już w mesie, Ballard wysuwa się na prowadzenie. Clarke rusza jej śladem do kabiny.

Ballard zamyka właz i siada na koi, zostawiając miejsce dla Clarke.

Ta rozgląda się po ciasnym wnętrzu. Ballard zakryła lustrzaną gródź zapasowym prześcieradłem.

Kobieta poklepuje dłonią miejsce obok siebie.

– Chodź, Lenie. Usiądź.

Clarke niechętnie siada. Nagła uprzejmość Ballard dezorientuje ją. Ballard nie zachowywała się

w podobny sposób od momentu, kiedy...

Kiedy miała nade mną przewagę.

– To, co usłyszysz, pewnie nie będzie dla ciebie zbyt przyjemne – mówi Ballard – ale musimy zabrać cię z ryftu. Przede wszystkim nie powinni byli w ogóle cię tu przysyłać.

Clarke nie odpowiada.

– Pamiętasz testy, które nam robili? – pyta Ballard. – Badali naszą odporność na stres: zamknięcie, przedłużające się odosobnienie, chroniczne, ciągłe fizyczne niebezpieczeństwo, tego typu rzeczy.

Clarke lekko kiwa głową.

– No i?

– No i – ciągnie Ballard – zastanawiałaś się choć przez chwilę nad tym, że poszukiwali tych cech nie wiedząc, jaka osoba będzie je posiadać? Albo co sprawiło, że stała się kimś takim?

Wewnątrz Clarke zastyga w bezruchu. Na zewnątrz nic się nie zmienia.

Ballard pochyła się lekko do przodu.

– Pamiętasz, co mówiłaś? O wspinaczce wysokogórskiej i swobodnym spadaniu, i o tym, dlaczego ludzie specjalnie robią niebezpieczne rzeczy? Trochę czytałam, Lenie. Zaczęłam czytać o tym, kiedy cię poznałam.

Poznałaś?

– I wiesz, co łączy tych miłośników ryzyka? Wszyscy mówią, że nie żyłaś naprawdę, dopóki nie otarłaś się o śmierć. Potrzebują niebezpieczeństwa. Ono ich napędza.

Wcale mnie nie znasz...

– Niektórzy z nich to weterani wojenni, inni długo byli zakładnikami, jeszcze inni, z takich czy innych powodów, po prostu spędzili mnóstwo czasu w martwych strefach. A wielu z tych naprawdę uzależnionych...

Nikt mnie nie zna.

– ...tych, którzy nie potrafią być szczęśliwi, jeśli przez cały czas nie żyją na krawędzi – wielu z nich zaczęło naprawdę wcześniej, Lenie. Gdy byli jeszcze dziećmi. A ty, założę się... że nawet nie lubisz, gdy ktoś cię dotyka...

Odejdź. Odejdź.

Ballard kładzie dłoń na ramieniu Clarke.

– Jak długo byłaś wykorzystywana, Lenie? – pyta łagodnie. Ile lat?

Clarke strząsa jej rękę, ale nie odpowiada. *On nie chciał mi zrobić nic złego.* Zmienia pozycję na koi, odwracając się nieco od swej towarzyszki.

– W tym rzecz, prawda? Nie tylko jesteś odporna na różne traumatyczne doświadczenia, Lenie. Ty jesteś od nich *uzależniona*. Mam rację?

Clarke potrzeba zaledwie chwilę, by ochłonać. Pomagają jej w tym nakładki na oczy i „skóra”. Ze spokojem odwraca się znów w stronę Ballard. Nawet delikatnie się uśmiecha.

– „Wykorzystywana” – mówi. – *A to ci dopiero* staroświeckie określenie. Sądziłam, że zniknęło z użycia po polowaniach na czarownice na Florydzie. Pasjonuje cię historia, Jeanette?

– Istnieje pewien mechanizm – wyjaśnia Ballard. – Czytałam o tym. Wiesz, jak mózg radzi sobie ze stresem, Lenie? Pompuje do krwiobiegu różne uzależniające stymulanty. Beta-endorfiny, opioidy. Jeśli będzie się to zdarzało dostatecznie często i trwało przez dostatecznie długi czas, uzależnisz się. Nic na to nie poradzisz.

Clarke wyczuwa, jak jakiś odgłos rośnie w jej gardle, urywany i kaszlący, przypominający nieco dźwięk rozdieranego metalu. Po chwili rozpoznaje, że to śmiech.

– Nie zmyślam! – upiera się Ballard. – Jeśli mi nie wierzysz, możesz sama to sobie sprawdzić!

Nie wiesz nawet, jak wiele wykorzystywanych dzieci spędziło całe swoje życie, będąc uzależnionymi od damskich bokserów, albo samookaleczania, albo swobodnego spadania.

– I to czyni je szczęśliwymi, czy tak? – Clarke wciąż się uśmiecha. – *Lubią*, gdy się je gwałci, albo bije, albo...

– Nie, oczywiście, że nie są szczęśliwe! Ale pewnie nigdy nie byłaś bliżej szczęścia, niż wtedy, kiedy to czujesz. Dlatego mylisz ze sobą te dwie rzeczy i szukasz sytuacji stresowych, gdzie tylko się da. To fizjologiczne uzależnienie, Lenie. Sama się o to prosisz. Zawsze sama się o to prosiłaś.

Sama się o to proszę. Ballard czytała i Ballard wie: Życie to czysta elektrochemia. Nie ma sensu tłumaczyć, jakie to *uczucie*. Nie ma sensu tłumaczyć, że są gorsze rzeczy od bycia pobitą. Są nawet gorsze rzeczy od bycia przetrzymywaną i gwałconą przez własnego ojca. Są takie okresy, kiedy absolutnie nic się nie dzieje. Kiedy zostawia cię w spokoju, a ty nie wiesz, na jak długo. Siedzisz naprzeciwko niego przy stole, zmuszając się do jedzenia, podczas gdy twoje poobijane wnętrzności próbują na nowo się pozrastać; on głaszcze cię po głowie i uśmiecha się do ciebie, ale ty wiesz, że wytchnienie trwało już zbyt długo i że on przyjdzie po ciebie dziś w nocy, jutro, a może pojutrze.

Oczywiście, że sama się o to prosiłam. Jak inaczej miałabym sobie z tym poradzić?

– Słuchaj. – Clarke potrząsa głową. – Ja... – lecz nagle mówienie przychodzi jej z trudem. Wie, co chce powiedzieć; Ballard nie jest jedyną osobą, która czyta. Ballard nie potrafi tego dostrzec, ponieważ całe jej życie to pasmo spełnionych oczekiwań, ale to, co spotkało Lenie Clarke nie jest niczym niezwykłym. Pawiany i lwy zabijają swoje młode. Samce cierników atakują swoje partnerki. Nawet *owady* dokonują gwałtów. Tak naprawdę to nie jest wykorzystywanie, to po prostu – biologia.

Ale z jakiegoś powodu nie potrafi powiedzieć tego na głos. Próbuje kilkakrotnie, ale w końcu udaje jej się wydusić z siebie zaledwie prawie że dziecinne wyzwanie:

– Co ty *w ogóle* wiesz?

– Coś jednak wiem, Lenie. Wiem, że jesteś uzależniona od własnego bólu, więc wychodzisz na zewnątrz i rzucasz wyzwanie ryftowi, żeby cię zabił, a on w końcu to robi, nie widzisz tego?

Dlatego właśnie nie powinnaś tu być. Dlatego właśnie musimy odesłać cię z powrotem.

Clarke wstaje.

– Nie zamierzam nigdzie wracać. – Odwraca się w stronę wjazdu.

Ballard wyciąga rękę.

– Musisz zostać i mnie wysłuchać. Jest coś jeszcze.

Clarke spogląda na nią z całkowitą obojętnością.

– Dziękuję ci za troskę. Ale wcale nie muszę zostać. Mogę wyjść stąd, kiedy tylko zechcę.

– Jeśli wyjdiesz teraz, wszystko się wyda – oni nas obserwują! *Jeszcze* się nie zorientowałaś? – Ballard podnosi głos. – Posłuchaj, oni *wiedzieli* o tobie! *Szukali* kogoś takiego, jak ty! Sprawdzali nas, nie wiedzą jeszcze, kto lepiej się tu sprawdzi, więc obserwują nas i czekają, kto pierwszy się złamie! Cały ten program wciąż jest w fazie próbnej, nie widzisz tego? Wszyscy, których wysłali tu na dół – ty, ja, Ken Lubin i Lana Cheung, jesteśmy częścią jakiegoś bezlitosnego testu.

– A ty go oblewasz – odzywa się cicho Clarke. – Rozumiem.

– Wykorzystują nas, Lenie! Nie wychodź!

Palce Ballard chwytają Clarke niczym przyssawki ośmiornicy. Clarke odpycha je. Odblokowuje wjazd i pchnięciem otwiera go na oścież. Słyszy, jak za jej plecami Ballard podnosi się.

– *Jesteś chora!* – wrzeszczy Ballard. Coś uderza Clarke w tył głowy, wypychając ją bezwładnie na korytarz. Upadając, boleśnie uderza ręką o płataninę rur.

Przetacza się na bok i podnosi rękę, by się chronić. Lecz Ballard przechodzi ponad nią i zakrada się do mesy.

Nie boję się, zauważa Clarke, wstając. Uderzyła mnie, ale ja się nie boję. Czy to nie dziwne? Gdzieś nieopodal słychać dźwięk tłuczonego szkła.

W mesie Ballard krzyczy:

– Koniec eksperymentu! Wyłączyć, pieprzone ghule!

Clarke przemierza korytarz jej śladem i wchodzi do mesy. Kawałki umieszczonego tu lustra zwisają z ramy niczym wielkie, poszarpane stalaktyty. Podłogę pokrywają odłamki szkła.

Ze ściany, za potłuczonym zwierciadłem, wystaje rybie oko, ogarniające swym spojrzeniem każdy kąt pomieszczenia.

Ballard patrzy prosto w obiektyw.

– Słyszeliście? Nie zamierzam dłużej grać w wasze głupie gierki! Mam dość udawania!

Kwarcytowa soczewka odpowiada obojętnym spojrzeniem.

A więc miałaś rację, przyznaje w zadumie Clarke. Przypomina sobie prześcieradło w kabinie

Ballard. Zorientowałaś się, znalazłaś odbiorniki we własnej kajucie, ale, Ballard, droga

przyjaciółko, nie powiedziałaś mi o tym.

Od jak dawna wiedziałaś o wszystkim?

Ballard rozgląda się i zauważa Clarke.

– Ją udało wam się nabrać – syczy w stronę rybiego oka. – Tyle że *ona* to beznadziejny przypadek!

Ona jest nienormalna! Wasze małe teściki nie robią *na mnie* najmniejszego jebanego wrażenia!

Clarke postępuje kilka kroków w jej stronę.

– Nie nazywaj mnie beznadziejnym przypadkiem – mówi całkowicie spokojnym głosem.

– Tym właśnie *jesteś!* – wrzeszczy Ballard. – Jesteś chora! Dlatego właśnie jesteś tu na dole! Oni

potrzebują kogoś chorego, polegają na tym, a ty odpłynęłaś już tak daleko, że nie potrafisz tego

dostrzec! Ukrywasz wszystko za tą – tą swoją *maską* i siedzisz tam jak jakaś masochistyczna meduza,

przyjmując każdego kopniaka, którego ktoś ci wymierzy – *prosisz* się o to!

To kiedyś było prawdą, uświadamia sobie Clarke, gdy jej dłonie zaciskają się w pięści. To

dziwne. Ballard zaczyna się cofać; Clarke zbliża się do niej, krok po kroku. Dopóki nie znalazłam

się tu, na dole, nie wiedziałam, że mogę się bronić. Że mogę wygrać. Nauczył mnie tego ryft, a

teraz także i Ballard...

– Dziękuję – szepcze Clarke i mocno uderza Ballard w twarz.

Ballard leci do tyłu i wpada na stół. Clarke ze spokojem postępuje kolejny krok do przodu. Kątem

oka zauważa swoje odbicie w szklanym soplu; jej oczy, skryte za nakładkami, wydają się niemal

świecić.

– O Jezu – jęczy Ballard. – Lenie, *przepraszam*.

Clarke staje nad nią.

– Nie przepraszaj – mówi. Widzi siebie jako jakiś wybuchający schemat, którego każda część

została starannie oznakowana. *Tyle tu gniewu, myśli. Tyle nienawiści. Tyle tu tego, że trzeba się na*

kimś wyladować.

Spogląda na kulącą się na podłodze Ballard.

– Myślę – wyrokuje Clarke – że zacznę od ciebie.

Lecz terapia dobiega końca, nim Clarke udaje się porządnie rozkręcić. W mesie rozlega się

niespodziewany dźwięk – przenikliwy, cykliczny i jakby znajomy. Przypomnienie sobie, co to

takiego, zajmuje Clarke dobrą chwilę. Opuszcza nogę.

W pomieszczeniu łączności dzwoni telefon.

Jeanette Ballard wraca dziś do domu.

Przez pół godziny skaf opadał coraz głębiej w noc. Teraz zaś monitor w pomieszczeniu łączności pokazuje, jak podchodzi do modułu dokującego Beebe, podobny do wielkiej, rozdętej kijanki. Rozbrzmiewają odgłosy mechanicznej kopulacji, by po chwili ucichnąć. Umieszczony w suficie właz otwiera się.

Zastępca Ballard schodzi w dół po drabinie, tocząc wokół nieprzeniknionym spojrzeniem pozbawionych źrenic oczu. „Skóra” pokrywa już większość jego ciała. Nie założył rękawic, a „skóra” na jego rękach jest rozpięta aż do łokci. Clarke zauważa ledwo widoczne blizny biegnące wzdłuż jego nadgarstków i uśmiecha się lekko w duchu.

Czy czekała tam jakaś kolejna Ballard, zastanawia się, w razie gdybym to ja się nie sprawdziła?

Na końcu korytarza, poza zasięgiem wzroku, właz otwiera się z sykiem. Po chwili w pomieszczeniu pojawia się Ballard, ubrana w koszulkę z rękawami, z zapuchniętym okiem i jedną, jedyną walizką w ręce. Sprawia wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć, ale wstrzymuje się, widząc nowo przybyłego. Przygląda mu się przez chwilę. Oszczędnie kiwa głową i bez słowa wspina się po drabinie do brzucha skafu.

Nikt nic do nich nie mówi. Nie ma żadnego powitania ani podnoszącej morale gadki. Może załoga została poinformowana. Może sama do tego doszła. Właz dokowy zatrzaskuje się. Jeszcze rozlega się ostatnie szczęknięcie i skaf odłącza się od stacji.

Clarke przechodzi na drugą stronę mesy i zagląda w kamerę. Sięga dłonią pomiędzy odłamki rozbitego lustra i wrywa przewód zasilający ze ściany.

Już tego nie potrzebujemy, myśli i wie, że gdzieś daleko stąd ktoś przyznaje jej rację.

Clarke i nowo przybyły obrzucają się nawzajem taksującym spojrzeniem martwych, białych oczu.

– Jestem Lubin – odzywa się wreszcie mężczyzna.

Porządki

Więc to tak. Mówią, że jesteś dręczycielem.

Lubin stoi przed Clarke; u jego stóp spoczywa worek z rzeczami. Mężczyzna reprezentuje słowiański typ urody; ma ciemne włosy, jasną skórę i twarz sprawiającą wrażenie wyciosanej przez niewprawnego cieślę. Oczy osłania pojedyncza, gęsta brew. Nie jest wybitnie wysoki – mierzy coś około metra osiemdziesiąt – ale za to masywny.

Wyglądasz jak dręczyciel.

Blizny. Nie tylko na nadgarstkach, ale też na twarzy. Ledwie widoczna sieć będąca echem dawnych obrażeń. Zbyt delikatna, by wziąć ją za świadomie wybraną ozdobę, nawet jeśli coś takiego trafia w gusta Lubina, ale z drugiej strony zbyt rzucająca się w oczy, by być pozostałością po zabiegach rekonstrukcyjnych; technologia medyczna pozwala na usuwanie podobnych znamion już od dziesiątków lat. Chyba że... chyba że obrażenia były *naprawdę* paskudne.

W tym rzecz? Czy dawno temu coś wyżarło ci twarz aż do kości?

Lubin pochyła się i podnosi swój worek. Jego zakryte oczy nie zdradzają absolutnie niczego.

Swego czasu znałam różnych dręczycieli. Pasujesz. W pewnym sensie.

– Jakieś preferencje co do tego, którą kabinę mam zająć? – pyta mężczyzna. To dziwne, że taki głos idzie w parze z jego twarzą. Brzmi niemalże przyjemnie.

Clarke potrząsa głową.

– Moja jest druga po prawej. Wybierz sobie, którą chcesz z pozostałych.

Mężczyzna przechodzi obok niej. Z krawędzi odległej ściany zwisają lustrzane ostrza; popękane odbicie Lubina znika w głębi korytarza za plecami Clarke. Kobieta przechodzi przez mesę i zbliża się do roztrzaskanej ściany.

Któregoś dnia powinnam zrobić z tym porządek...

Wcześniej podobał jej się wygląd luster po poprawkach wprowadzonych przez Ballard. Odbicia przypominające rozrzucone puzzle w pewnym sensie wydają się bardziej pomysłowe. Bardziej impresjonistyczne. Teraz jednak zaczynają ją męczyć. Może przyszła pora na kolejną zmianę.

Ze ściany spogląda na nią fragment Kena Lubina. Clarke bez namysłu uderza pięścią w szkło. Grad odłamków spada z brzękiem na podłogę.

Może i jesteś dręczycielem. Tylko spróbuj. Tylko kurwa spróbuj.

– Och – odzywa się Lubin zza jej pleców. – Ja...

Zostało dość lustro, by mogła sprawdzić; na jej twarzy nie malują się żadne emocje. Odwraca się, by stanąć do niego przodem.

– Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem – mówi cicho Lubin i wycofuje się.

Wygląda na to, że naprawdę mu przykro.

Więc to tak. Nie jesteś dręczycielem. Clarke opiera się o gródź. *A w każdym razie nie moim typem dręczyciela.* Nie jest do końca pewna, skąd to wie. Nie ma między nimi tej niezbędnej chemii. Lubin, jak sądzi Clarke, jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Tyle że nie dla niej.

Uśmiecha się do siebie. Kiedy kogoś bijesz, nigdy nie musisz przeproszać.

A potem oczywiście jest już za późno.

Jest już dostatecznie zmęczona dzieleniem kajuty sama ze sobą. Dzielenie jej z kimś innym jeszcze mniej jej się uśmiecha.

Lenie Clarke leży na koi i obserwuje swoje ciało na całej jego długości. Zza palców stóp spogląda

na nią chłodno druga Lenie Clarke. Pogmatwana topografia przedniej grodzi, znajdującej się za jej głową, okala jej odbitą twarz, przypominając postawione w pionie, płaskie złomowisko.

Kamera w lustrze musi widzieć dokładnie ten sam obraz, co ona, tyle że zniekształcony na brzegach. Clarke spodziewa się obiektywu szerokokątnego; GA nie zostawiłoby kątów poza zasięgiem pola widzenia. Jaki jest sens prowadzenia eksperymentów, jeśli nie możesz mieć na oku swych zwierzątek laboratoryjnych?

Zastanawia się, czy ktoś ją teraz obserwuje. Pewnie nie; a w każdym razie żaden człowiek. Pewnie mają do tego jakąś maszynę, niezmordowaną i obojętną, coś co z nieustającą uwagą potrafi obserwować, jak Clarke pracuje, sra, albo robi sobie dobrze. Zaprogramowano ją tak, by wezwać kogoś z krwi i kości, gdy ta zrobi coś interesującego.

Interesującego. Kto definiuje ten parametr? Czy pozostaje on w zgodzie z naturą eksperymentu, czy też ktoś uwzględnił na boku również swoje prywatne upodobania? Czy ktoś jeszcze robi sobie dobrze wtedy, kiedy Lenie Clarke?

Przekręca się na łóżku i zwraca twarzą w stronę grodzi u węzłowia. Z podłogi obok pośłania wytryskują poplątane jak spaghetti wiązki światłowodów, wspinają się po ścianie i znikają w suficie; dane sejsmiczne w drodze do pomieszczenia łączności. Wlot klimatyzacji wydmuchuje powietrze prosto na jej policzki. Za nim metalowa tęczęwka lśni w świetle pociętym przez kratę na pasy, gotowa zamknąć się w tej samej chwili, kiedy delta ciśnienia przekroczy jakąś krytyczną wartość milibarów na sekundę. Beebe to dwór o wielu pokojach, z których każdy może stać się odizolowanym pomieszczeniem, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Clarke ponownie kładzie się na koi i pozwala, by jej palce dotknęły pokładu. Leżący na podłodze kartridż telemetryczny prawie całkiem wysechł, wyparowująca woda morska zostawiła na jego powierzchni misterne strużki soli. To podstawowy model o szerokim spektrum, nafaszerowany półtuzinem czujników: aktywności sejsmicznej, temperatury, pływów, typowych siarczanów i substancji organicznych. Ich wystające główki zniekształcają powierzchnię obudowy urządzenia, upodabniając je do nabijanej kolcami maczugi.

I właśnie dlatego ono się teraz tu znajduje.

Kobieta zaciska palce na uchwycie i podnosi kartridż z podłogi. Jest ciężki. Oczywiście unosi się w wodzie morskiej, nie opadając na dno, ale zgodnie z parametrami w warunkach ciśnienia atmosferycznego waży 9,5 kilo. Większość tej masy stanowi bardzo wytrzymała, odporna na ciśnienie obudowa. Nie ruszyłby jej nawet aktywny smoker przy pięciuset atmosferach.

Może jest więc lekką przesadą używać czegoś takiego przeciwko jednemu, nędzemu lustru. W końcu Ballard zabrała się za to gołymi rękami.

To dziwne, że nie zrobili ich z nietłukącego szkła. Ale wygodne.

Clarke siada, ważąc kartridż w dłoni. Odbicie odwzajemnia jej spojrzenie; w jego oczach, pozbawionych wyrazu, ale nie pustych, pojawia się coś na kształt rozbawienia.

– Pani Clarke? Wszystko w porządku? – To Lubin. – Usłyszałem...

– Tak, wszystko dobrze – rzuca kobieta w stronę zamkniętego włazu. Całą kajutę zaściela szkło. Jeden uparty odłamek długości pół metra wciąż zwisa z ramy niczym obluzowany ząb. Clarke wyciąga rękę (kawałki lustra ześlizgują się z jej ud) i uderza go lekko, a ten upada na pokład i roztrzaskuje się.

– Po prostu robię porządki – odkrzykuje.

Lubin nie odpowiada. Kobieta słyszy, jak odchodzi korytarzem.

Świetnie się tu odnajdzie. Minęło już kilka dni, a on usilnie starał się trzymać na dystans. Nie ma

między nimi żadnej seksualnej chemii, niczego, co mogłoby sprawić, że skoczą sobie do gardeł. Cokolwiek Ken Lubin zrobił Lanie Cheung – cokolwiek tych dwoje zrobiło sobie nawzajem – tu nie będzie stanowiło problemu. Upodobania Lubina są zbyt skonkretyzowane.

A jeśli już o to chodzi, to Clarke również.

Kobieta wstaje, pochylając głowę, by uniknąć metalowych inkrustacji na suficie. Pod jej stopami chrzęści szkło. Świeżo odsłonięta gródź za lustrem we fluorescencyjnym świetle sprawia wrażenie pokrytej olejem; wygląda niczym żebrowana, szara twarz o zaledwie dwóch wyróżniających cechach. Pierwszą jest sferyczna soczewka, mniejsza niż paznokieć, wciśnięta w jeden z narożników. Clarke wyciąga ją z oprawki i przez chwilę trzyma pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Maleńkie, szklane oko. Upuszcza je na migoczący pokład.

Jest też nazwa, wybita na jednym z żeber: HANSEN FABRICATION.

To pierwszy raz od przybycia tutaj, kiedy widzi nazwę firmy, pomijając loga GA wytłoczone na ramionach skór głębinowych. Z jakiegoś powodu wydaje jej się to dziwne. Bada listwę świetlną biegnącą przez całą długość sufitu: jest biała i pozbawiona jakichkolwiek wyróżniających cech. Awaryjny zbiornik z hydroksem obok wjazdu ma datę testów przeprowadzonych przez Ministerstwo Transportu, parametry ciśnienia, ale żadnego producenta.

Kobieta nie wie, czy powinno mieć to dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Jest teraz sama. Właz zamknięty, koniec z inwigilacją – nawet jej własne odbicie zostało roztrzaskane do tego stopnia, że nie da się już go naprawić. Po raz pierwszy Lenie Clarke czuje się naprawdę bezpieczna tu, w brzuchu stacji. Nie bardzo wie, co z tym poczuciem zrobić.

Może mogłabym się nieco rozluźnić. Unosi dłonie do twarzy.

W pierwszej chwili myśli, że oślepla; dla pozbawionych nakładek oczu kajuta wydaje się pogrążona w mroku; ściany i meble stały się zaledwie sugestiami cieni. Pamięta, jak po odjeździe Ballard stopniowo zmniejszała ilość światła, pogrążając w mroku swój pokój, pogrążając w mroku każdy inny zakątek stacji Beebe. Lubin robił dokładnie to samo, choć nigdy o tym nie rozmawiali.

Po raz pierwszy zdumiewają ją ich działania. To nie ma sensu; nakładki na oczy automatycznie dostosowują się do zmian w natężeniu światła w poszczególnych pomieszczeniach, zawsze wpuszczając do siatkówki taką samą, optymalną jego ilość. Po co wybierać życie w ciemności, skoro nawet jej nie dostrzegasz?

Kobieta delikatnie zwiększa natężenie światła; wewnątrz kajuty rozjaśnia się. Jaskrawe kolory gryzą w oczy na tle wszystkich odcieni szarości. Zbiornik z hydroksem żarzy się fluorescencyjną pomarańczą; odczyty migoczą na czerwono, niebiesko i zielono; uchwyt wmontowanej w gródź szafki wygląda jak mały, żółty wykrzyknik. Nie pamięta, kiedy ostatni raz dostrzegła jakąś barwę; nakładki potrafią wyłowić z ciemności nawet najbardziej niewyraźne obrazy, ale ginie przy tym większość widma optycznego. Dopiero teraz, gdy jest więcej światła, kolory mogą powrócić.

To się jej nie podoba. Wnętrze wydaje się surowe i nie na miejscu. Clarke z powrotem umieszcza na oczach nakładki i przyciemnia światła do zwyczajowego minimum. Gródź blednie i przyjmuje odcień pastelowych błękitów.

No i dobrze. Zresztą i tak nie powinnam stać się zbyt nierozważna.

Za kilka dni Beebe będzie miała pełną obsadę. Clarke nie chce, by obnażanie się weszło jej w krew.

Neotenia

Z początku nie wyglądało ludzko. Nie wyglądało nawet jak coś, co żyje. Wyglądało jak kupka brudnych szmat, które ktoś cisnął u podstawy filara Cambie. Gerry Fischer nie spojrzałby na nią drugi raz, gdyby Skytrain nie przemknął z sykiem nad jego głową w odpowiednim momencie, zalewając okolicę migającymi pasami światła.

Stał i patrzył. Oczy odpowiadały mu spojrzeniem, na przemian wylaniając się z cienia i ponownie w nim tonąc.

Nie poruszył się, dopóki pociąg nie odjechał po swych nadziemnych torach. Świat powrócił do odcieni jednostajnej, burej szarości. Chodnik. Ciągący się poniżej torów pas kurzu, poszarzałego i usychającego od niezliczonej ilości opadów betonowego pyłu. Neony i lasery Dzielnicy Komercyjnej odbijające się słabo na wiszących nisko chmurach.

I to coś z oczami, ta kupka szmat przy filarze. Chłopiec.

Mały chłopiec.

To właśnie robisz, gdy naprawdę kogoś kochasz, jak zawsze mawiała Cień. Koniec końców, dzieciak mógłby tu *umrzeć*.

– Wszystko w porządku? – zapytał wreszcie.

Kupka szmat poruszyła się nieco i jęknęła.

– Wszystko dobrze. Nie zrobię ci krzywdy.

– Zgubiłem się – powiedziała kupka bardzo dziwnym głosem.

Fischer postąpił krok naprzód.

– Jesteś uchodźcą? – najbliższy pas terenu przeznaczony dla uchodźców znajdował się w odległości ponad stu kilometrów i był dobrze strzeżony, ale czasem komuś udawało się wydostać na zewnątrz.

Oczy przetoczyły się z jednej strony na drugą: *nie*.

Ale też, pomyślał Fischer, co innego miał powiedzieć? *Może boi się, że go wydam.*

– Gdzie mieszkasz? – zapytał, uważnie słuchając odpowiedzi.

– Orlando.

W tym głosie nie było naleciałości azjatyckich czy hindi. Kiedy Fischer był dzieckiem, jego matka zawsze powtarzała mu, że nieszczęścia nie zważają na kolor skóry, lecz on wiedział teraz swoje. Dzieciak brzmiał jak rodowity mieszkaniec N'Am; a więc nie był uchodźcą. Co znaczy, że ktoś pewnie będzie go szukał.

Co w pewnym sensie wydawało się zbyt...

Przestań.

– Orlando – powtórzył na głos. – *Naprawdę się zgubiłeś. Gdzie twoja mama i tata?*

– Hotel. – Kupka szmat oderwała się od filara i przysunęła bliżej. – Vanceattle – słowa wydawały się świszczące, jakby dzieciak mówił przez zatoki. *Może miał ten, ten* – Fischer szukał właściwego określenia – rozszczęp podniebienia czy coś takiego.

– Vanceattle? Który?

Wzruszenie ramionami.

– Nie masz zegarka?

– Zgubiłem go.

Musisz mu pomóc, powiedziała Cień.

– No więc, um, posłuchaj. – Fischer potarł skronie. – Mieszkam niedaleko stąd. Możemy stamtąd

zadzwoń.

Nie było znów tak wielu Vanceattle w położonej niżej części kontynentu. Policja wcale nie musiała się dowiedzieć. A nawet jeśli się dowie, nie będzie mogła postawić mu zarzutów. Nie za coś takiego. Co niby miał zrobić, zostawić dzieciaka na pastwę złodziei organów?

– Jestem Gerry – powiedział Fischer.

– Kevin.

Kevin wyglądał na jakieś dziewięć, dziesięć lat. W każdym razie wydawał się dość duży, by wiedzieć jak korzystać w publicznego terminalu. Ale było z nim coś nie tak. Był zbyt wysoki i zbyt chudy, a gdy się poruszał, płątały mu się ręce i nogi. Może miał jakiś uraz mózgu. Może był jednym z tych nanotechnologicznych dzieci, które się nie udały. A może po prostu jego matka, będąc w ciąży, spędzała zbyt wiele czasu na zewnątrz.

Fischer zaprowadził Kevina do dwupokojowego mieszkania, którego był współwłaścicielem. Nie pytając o pozwolenie, chłopiec padł na kanapę. Fischer zajrzał do lodówki: piwo korzenne. Dzieciak przyjął je z nerwowym uśmiechem. Mężczyzna usiadł obok i uspokajającym gestem położył mu dłoń na udzie.

Z twarzy Kevina zniknął wszelki wyraz, jakby ktoś wyciągnął korek.

No *dalej*, powiedziała Cięń. Przecież się nie skarży, prawda?

Ubranie Kevina było brudne. Jego spodnie pokrywało zaschnięte błoto. Fischer wyciągnął rękę i zaczął je odrywać.

– Trzeba zdjąć z ciebie te ciuchy. Umyć cię trochę. Możemy tu brać prysznic tylko w dni parzyste, ale zawsze możesz umyć się gąbką...

Kevin siedział bez ruchu. Jedną ręką ścisnął swój napój, kościste palce porobiły wgniecenia w plastiku; druga spoczywała na kanapie.

Fischer uśmiechnął się.

– Wszystko w porządku. To właśnie robisz, gdy naprawdę...

Kevin wbił wzrok w podłogę i zaczął się trząść.

Fischer odnalazł rozporek, pociągnął. Nacisnął delikatnie.

– Wszystko w porządku. Wszystko w porządku. Nie martw się.

Kevin przestał się trząść. Kevin uniósł wzrok i uśmiechnął się.

– To nie ja powinienem się martwić, dupku – powiedział świszczącym, dziecięcym głosem.

Wstrząs rzucił Fischera na podłogę. Po chwili wpatrywał się w sufit, a drżące ręce w magiczny sposób stały się niemożliwym do uniesienia balastem. Jego cały system nerwowy bzyczał niczym umieszczona we wnętrzu ciała sieć drutów wysokiego napięcia.

Puścił mu pęcherz. Ciepła, mokra plama rozlała się na wysokości jego krocza.

Kevin stanął nad nim i spojrzał w dół, w jego ruchach nie było już śladu niezgrabności. W jednej ręce wciąż ścisnął plastikowy kubek. W drugiej tkwiła elektryczna pałka.

Powoli i z pełną premedytacją Kevin odwrócił pojemnik z napojem do góry dnem. Fischer przyglądał się, jak płyn ścieka falującą strużką niemal od niechcienia i rozbryzguje się na jego twarzy. Zapięły go oczy; Kevin stał się niewyraźną, patykowatą plamą za mgłą łagodnego kwasu. Fischer spróbował zamrunąć, potem jeszcze raz i wreszcie mu się udało.

Jedna z nóg Kevina uniosła się do kopnięcia.

– Geraldzie Fischerze, jesteś aresztowany...

Wystrzeliła do przodu. Bok Fischera eksplodował bólem.

– ...za czyn lubieżny względem nieletniego...

Uniosła się. I wystrzeliła. Ból.

– ...zgodnie z paragrafami 151 i 152 Kodeksu Karnego N'Am Pacific.

Dziecko uklęknęło i popatrzyło mu w twarz ze złością. Z bliska cechy charakterystyczne były idealnie widoczne: głębia spojrzenia, wielkość porów w skórze, plastyczna sprężystość dorosłego ciała przesiąkniętego substancjami hamującymi działanie androgenów.

– Nie wspominając już o naruszeniu *kolejnego* zakazu zbliżania się – dodał Kevin.

Ile czasu? Fischer zastanawiał się z roztargnieniem. Szok nerwowy sprawił, że cały świat jawił mu się jakby za mgłą. *Ile miesięcy potrzeba, by zahamować rozwój i na powrót zamienić mężczyznę w dziecko?*

– Masz prawo do... A, pieprzyć to.

I ile czasu potrzeba, by odwrócić tę przemianę? Czy Kevin w ogóle może jeszcze dorosnąć?

– Znasz swoje jebane prawa lepiej niż ja.

To wcale się nie dzieje. Policja nie posunęłaby się aż tak daleko, nie ma na to pieniędzy, a zresztą po co? Jakim cudem ktokolwiek byłby skłonny dać się tak *zmienić*? Tylko po to, by dorwać Gerry'ego Fischera? Dlaczego?

– Chyba powinienem cię zgłosić, prawda? Ale z drugiej strony może pozwolę ci poleżeć jeszcze chwilę we własnych szczytach...

Z jakiegoś powodu odniósł wrażenie, że Kevin cierpi bardziej niż on. To nie miało sensu.

Wszystko w porządku, powiedziała łagodnie Cięń. To nie twoja wina. Oni po prostu nie rozumieją.

Kevin znów go kopał, ale Fischer prawie tego nie czuł. Próbował coś powiedzieć, cokolwiek, co sprawiłoby, że jego oprawca poczuje się lepiej, ale jego nerwy ruchowe wciąż były przypalone.

Mógł za to płakać. Odpowiadały za to inne połączenia nerwowe.

Tym razem było inaczej. Zaczęło się tak samo; skanowanie, pobieranie próbek i bicie, potem jednak zabrano go, umyło i wsadzono do bocznego pomieszczenia. Dwóch strażników usadziło go przy stole naprzeciwko przysadzistego, małego człowieka o twarzy usianej pieprzykami.

– Witaj, Gerry – powiedział, udając, że nie zauważa obrażeń Fischera. – Jestem doktor Scanlon.

– Jesteś psychiatrą.

– Właściwie to jestem raczej kimś w rodzaju mechanika – wykrzywił twarz w nadętym uśmiešku mówiącym: *Właśnie wykazałem się niesamowitą błyskotliwością, ale pewnie i tak jesteś zbyt głupi, by zrozumieć mój żart*, Fischer doszedł do wniosku, że nie przepada za Scanlonem.

Mimo to, tacy jak on bywali już wcześniej przydatni, z tymi całymi ich pogadankami o „*zdolności do składania zeznań*” i „*odpowiedzialności karnej*”. Fischer nauczył się, że tak naprawdę nie chodziło o to, co się zrobiło, a dlaczego. Jeśli zrobiłeś coś dlatego, że jesteś zły, to znajdowałeś się w niezłych tarapatach. Jeśli jednak zrobiłeś dokładnie to samo dlatego, że jesteś chory, to czasami lekarze cię kryli. Fischer nauczył się, jak być chorym.

Scanlon wyciągnął opaskę z kieszeni na piersi.

– Gerry, chciałbym chwilę z tobą porozmawiać. Czy mógłbyś to dla mnie założyć?

Wnętrze opaski było usiane czujnikami. Po założeniu chłodziła Fischerowi czoło. Mężczyzna rozejrzał się po pomieszczeniu, ale nie dostrzegł żadnych monitorów ani odczytów.

– Świetnie – Scanlon skinął głową na strażników. Począł, aż wyjdą i dopiero wtedy odezwał się ponownie.

– Dziwny z ciebie człowiek, Gerry Fischerze. Nie trafiamy na zbyt wielu takich, jak ty.

– Inni lekarze nie podzielali tego zdania.

– Naprawdę? A co takiego mówili?

– Mówili, że jestem typowy. Mówili, że mnóstwo tych od 151 kierowało się takimi samymi *pobudkami*.

Scanlon pochylił się.

– Cóż, no wiesz, to prawda. To klasyczne teksty: „Uczyłem ją o jej budzącej się seksualności, doktorze”. „Zadaniem rodziców jest uczyć swe dzieci, doktorze”. „Szkoly też nie lubią, a przecież to dla ich dobra”.

– Nigdy nie mówiłem niczego takiego. Nie mam nawet dzieci.

– Nie, nie masz. Ale chodzi o to, że pedofile często twierdzą, że działają w jak najlepiej pojętym interesie dzieci. Albo, jak wolisz, zamieniają wykorzystywanie seksualne w czyn altruistyczny.

– To *nie jest* wykorzystywanie. To coś, co robisz, gdy naprawdę kogoś kochasz.

Scanlon odchylił się na krześle i przez kilka chwil wpatrywał się intensywnie w Fischera.

– To właśnie jest takie interesujące, jeśli chodzi o ciebie, Gerry.

– Co?

– Wszyscy *posługują się* tym tekstem. Jesteś jedyną osobą, jaką spotkałem, która naprawdę zdaje się w to *wierzyć*.

Ostatecznie powiedzieli, że mogą zająć się postawionymi mu zarzutami. Fischer wiedział, że oczywiście musi kryć się za tym coś więcej; zmuszą go, by najpierw zgłosił się na ochotnika do jakiegoś eksperymentu, zgodził się oddać kilka swoich organów czy też poddał się dobrowolnej kastracji. Ale haczyk – kiedy już się pojawił – nie był żadną z tych rzeczy. Fischer prawie nie mógł w to uwierzyć.

Chcieli oferować mu posadę.

– Myśl o tym jak o pracy społecznej – powiedział Scanlon. – Spłata długu względem społeczeństwa. Większość czasu spędzisz pod wodą, ale zostaniesz do tego dobrze przygotowany.

– Pod wodą gdzie?

– Komin Channer. Około czterdziestu kilometrów na północ od Wulkanu Osiowego, na Grzbiecie Juan de Fuca. Wiesz gdzie to jest, Gerry?

– Na jak długo?

– Rok, co najmniej. Możesz przedłużyć pobyt, jeśli zechcesz.

Fischerowi nie przychodził do głowy żaden powód, dla którego miałby to zrobić, ale nie miało to znaczenia. Jeśli nie pójdzie na ten układ, wsadzą mu regulator do głowy na całą resztę życia. Które, jeśli się nad tym zastanowić, może wcale już tak długo nie potrwać.

– Rok – powiedział. – Pod wodą.

Scanlon poklepał go po ramieniu.

– Nie spiesz się, Gerry. Przemyśl to. Decyzję będziesz musiał podjąć dopiero po południu.

Zrób to, nalegała Cię. Zrób to, albo cię potną, a wtedy się *zmienisz*.

Lecz Fischer nie zamierzał dać się popędzać.

– A co miałbym robić przez ten rok pod wodą?

Scanlon pokazał mu filmik.

– Jeezu – powiedział Fischer. – Nie znam się na żadnej z tych rzeczy.

– Żaden problem. – Scanlon uśmiechnął się. – Nauczysz się.

No i się nauczył.

Większość procesu miała miejsce podczas snu. Każdej nocy robili mu zastrzyk, by, jak powiedział Scanlon, pomóc mu w nauce. Następnie umieszczona przy łóżku maszyna karmiła go snami. Nigdy

dokładnie ich nie pamiętał, ale coś musiało zostawać mu w głowie, bo gdy co dzień rano zasiadał przed ekranem konsoli wraz z nauczycielką – żywą osobą, a nie programem – wszystkie pokazywane mu przez nią teksty i diagramy wydawały się dziwnie znajome. Jakby znał je od wielu lat, tylko zapomniał. Teraz pamiętał wszystko: tektonikę płyt i strefy subdukcji, prawo Archimedesesa, przewodność cieplną dwuprocentowego hydroksu. Aldosteron.

Aloplastykę.

Odtwarzał w pamięci swoje usunięte lewe płuco i znał parametry techniczne maszyn, które zajęły jego miejsce.

Każdego popołudnia przyczepiali kable do jego ciała i przepuszczali prąd o niskim natężeniu przez mięśnie prążkowane. Powoli zaczynał rozumieć, co się wtedy działo; określano to terminem „*provokowanych ćwiczeń izometrycznych*”, którego znaczenie przyszło do niego we śnie.

Tydzień po operacji obudził się z gorączką.

– Nie ma powodów do niepokoju – oznajmił mu Scanlon. – To po prostu ostatnie stadium infekcji.

– Infekcji?

– W dniu, w którym tu trafiłeś, wstrzyknęliśmy ci retrowirusa. Nie wiedziałeś?

Fischer chwycił Scanlona za ramię.

– Coś jak chorobę? Ty...

– To całkowicie bezpieczne, Gerry. – Scanlon uśmiechnął się cierpliwie, wyplątując się z jego uścisku. – Tak naprawdę, to bez tego nie pociągnąłbyś tam zbyt długo; ludzkie enzymy nie działają zbyt dobrze w warunkach wysokiego ciśnienia. Naszprycowaliśmy więc ujarzmionego wirusa dodatkowymi genami i puściliśmy go w ruch. Przepisuje cię od podstaw. Sądząc po gorączce, powiedziałbym, że już prawie skończył. Za jakiś dzień lub dwa powinieneś poczuć się lepiej.

– Przepisuje?

– Połowa twoich enzymów wstępuje teraz w dwóch smakach. Dostały geny od jednej z tych ryb głębinowych. Buławiki, chyba tak się nazywają. – Scanlon poklepał Fischera po ramieniu. – Jak to jest być po części rybą, Gerry?

– *Coryphaenoides armatus* – powiedział wolno Fischer.

Scanlon zmarszczył brwi.

– Co takiego?

– Buławiki – Fischer skoncentrował się. – Głównie dehydrogenazy, prawda?

Scanlon rzucił przelotne spojrzenie na stojącą przy łóżku maszynę.

– Um, nie jestem pewien.

– Tak, to było to. Dehydrogenazy. Przy czym podrasowali je, by zmniejszyć ilość energii koniecznej do aktywacji. – Postukał się w skroń. – To wszystko jest tutaj. Tyle że nie przerobiłem jeszcze samouczka.

– To świetnie – powiedział Scanlon; nie zabrzmiało to jednak zbyt przekonująco.

Pewnego dnia wsadzili go do wysokiego na pięć pięter zbiornika, skonstruowanego na zasadzie tłoka; jego pokrywę można było opuszczać, by niczym ogromna dłoń, zginała wszystko, co znajdowało się w środku. Zamknęli włącz i napełnili zbiornik wodą morską. Scanlon uprzedził go o spodziewanych zmianach.

– Zalewamy twoją tchawicę oraz jamy w obrębie czaszki, ale płuco i wnętrzności są elastyczne, więc po prostu się ściskają. Uodparniamy cię na ciśnienie, rozumiesz? Mówią, że trochę przypomina to tonięcie, ale przyzwyczaisz się.

Właściwie nie było tak źle. Flaki Fischera skreśliły się w supełek, a zatoki paliły go żywym

ogniem, ale wolał to od kolejnej rundy z Kevinem.

Pływał więc w zbiorniku, podczas gdy woda morska przepływała przez rurki w jego klatce piersiowej, i próbował się oprzeć mdlącemu odczuciu wynikającemu z braku oddychania.

– Odbierają jakieś zawirowania. – Głos Scanlona zdawał się dobiegać ze wszystkich stron naraz, zupełnie jakby to ściany mówiły. – Z twojego kanału wylotowego.

Z klatki piersiowej Fischera wydobywała się gęsta strużka pęcherzyków gazu. Nakładki na oczy sprawiały, że wszystko wydawało się cudownie wyraźne, niczym podczas halucynacji.

– To tylko odrobina...

Nie jego głos. Jego słowa, ale wypowiedane przez coś innego, jakąś tandetną maszynę nieposiadającą pojęcia o harmonice. Jedna ręka odruchowo powędrowała do dysku umieszczonego w jego gardle.

– ...wodoru – powiedział, podejmując kolejną próbę. – Żaden problem. Ciśnienie wypchnie go, gdy zejdem dość głęboko.

– Tak. Ale mimo wszystko. – Jakieś inne, stłumione słowa, które Scanlon wypowiadał do kogoś innego. Fischer poczuł, jak coś wibruje delikatnie w jego piersi. Pęcherzyki gazu urosły, a potem zmniejszyły się. Wreszcie zniknęły.

Wrócił Scanlon.

– Lepiej?

– Tak. – Chociaż tak naprawdę Fischer nie wiedział, jak właściwie się z tym czuje. Nie bardzo podobało mu się, że jego pierś wypełniona jest maszyną. Nie bardzo podobało mu się, że musi oddychać poprzez dzielenie wody na cząsteczki wodoru i tlenu. Ale *najbardziej* nie podobało mu się, że jakiś technik, którego nawet nie miał okazji poznać, majstruje przy jego wnętrznościach, korzystając ze zdalnego sterowania, sięga w głąb jego ciała i grzebie w nim bez pytania. To sprawiało, że czuł się, jakby go...

Zgwałcono, prawda?

Czasami Cień była zwykłą suką. Zupełnie jakby to nie *ona* go do tego namówiła.

– Gerry, wyłączymy teraz światła.

Ciemność. Woda szumi dźwiękiem ogromnej maszyny.

Po chwili Fischer zauważa zimną, niebieską iskrę, mrugającą do niego gdzieś z góry. Wydaje się dawać dużo więcej światła, niż powinna. Pod jego wzrokiem wewnątrz zbiornika pojawiło się na nowo jako mgliste, niebieskie cienie na czarnym tle.

– Wzmacniacze światła działają prawidłowo? – chciał wiedzieć Scanlon.

– Uhm.

– Co widzisz?

– Wszystko. Wnętrze zbiornika. Właz. Na niebieskawo.

– Zgadza się. Źródłem światła jest lucyferyna.

– Jest niezbyt jasno – powiedział Fischer. – Wszystko jest jakby w półmroku.

– Cóż, bez twoich nakładek na oczy byłoby ciemno choć oko wykol.

I nagle rzeczywiście tak się stało.

– Hej.

– Nie martw się, Gerry. Wszystko w porządku. Po prostu wyłączyliśmy światło.

Leżał tam, w całkowitej ciemności. W kąci oka wiły mu się męty.

– Jak się czujesz, Gerry? Masz wrażenie, jakbyś spadał? Klaustrofobia?

Prawie czuł spokój.

– Gerry?

– Nie. Nic. Czuję się... dobrze.

– Ciśnienie na poziomie dwóch tysięcy metrów.

– Nie odczuwam tego.

Może jednak nie będzie tak źle. Rok. Jeden rok...

– Doktorze Scanlon – odezwał się po chwili. Przyzwyczajał się nawet do metalicznego bzyczenia swego nowego głosu.

– Jestem tutaj.

– Dlaczego ja?

– Co masz na myśli, Gerry?

– Nie miałem, no wie pan, kwalifikacji. Założę się, że nawet po tym całym szkoleniu, jest mnóstwo ludzi, którzy byliby w tym lepsi ode mnie. Prawdziwi inżynierowie.

– Chodzi nie tyle o to, co wiesz – odparł Scanlon. – A jaki jesteś.

Wiedział, jaki jest. Od kiedy pamiętał, ludzie zwykli go oświecać w tej kwestii. Nie wiedział jednak, co to do cholery ma wspólnego z czymkolwiek.

– A jaki w takim razie jestem?

Z początku myślał, że nie otrzyma odpowiedzi. Wreszcie jednak Scanlon przemówił, a gdy to zrobił, w jego głosie było coś, czego Fischer nigdy wcześniej nie słyszał.

– Wstępnie przystosowany – powiedział.

Windziarz

Dwa kilometry poniżej jego stóp rozlewał się Ocean Spokojny. Za jego plecami siedział ładunek składający się z psycholi o pustych oczach. Natomiast podnośnik pilotowany był przez dużą pizzę z dodatkowym serem. Wszystko to podobało się Joelowi Kicie mniej więcej w takim stopniu, w jakim można się było spodziewać.

Przynajmniej tym razem się tego spodziewał. Choć raz GA nie wpakowało się bez ostrzeżenia w jego życie z jednym ze swoich eksperymentów w zakresie teorii chaosu. Wiedział, że to nastąpi z prawie tygodniowym wyprzedzeniem, kiedy dla odmiany zaskoczyli tym Ray'a Sterickera. Ray siedział wtedy w tym samym kokpicie, obserwował proces instalacji pizzy i niewątpliwie zastanawiał się, kiedy określenie „gwarancja zatrudnienia” zaczęło funkcjonować jako oksymoron.

– Mam to niańczyć przez tydzień – powiedział wtedy. Joel wspiał się do wnętrza skafu, by przeprowadzić zwyczajową kontrolę przed lotem i natrafił na czekającego przy sterach przyjaciela. Ray wskazał gestem otwarty właz prowadzący do kokpitu podnośnika, gdzie kilku techników zajętych było sprzęganiem czegoś z układem sterowania. – Na wypadek gdyby spieprzyło coś w terenie. Potem zabieram się stąd.

– Zabierasz dokąd? – Joel nie mógł w to uwierzyć. Ray od zawsze kursował na trasie obejmującej Grzbiet Juan de Fuca i to nawet zanim wprowadzono program geotermalny. Był nawet *zatrudniony* wtedy, gdy tego typu rzeczy były czymś powszechnym.

– Na jakiś czas pewnie na trasę obejmującą Gordę. A potem, kto wie? Wkrótce wszystko zostanie zmodernizowane.

Joel zerknął przez umieszczony w suficie właz. Technicy bawili się kwadratowym pudełkiem w kolorze wanilii o boku długości pół metra i około dwa razy grubszym niż nadgarstek Kity.

– *Czym w ogóle jest ta pieprzona rzecz? Jakimś autopilotem?*

– Z jedną, drobną różnicą. Ten potrafi startować i lądować. Oraz robić różne urocze rzeczy w międzyczasie.

To nie była dobra wiadomość. Ludzie zawsze byli lepsi w łączeniu w jedną całość trójwymiarowych danych przestrzennych od próbujących zastąpić ich maszyn. Nie żeby maszyny nie potrafiły rozpoznać drzewa czy budynku, gdy wskazało im się któryś z tych obiektów, ale kompletnie się gubiły, kiedy tylko obróciło się go o kilka stopni. Zmieniały się kształty, kontrasty i cienie, a uaktualnienie swych map przestrzennych oraz zorientowanie się, że *tak, to wciąż jest drzewo i nie, nie przekształciło się ono w nic innego, głupku, po prostu przyjąłeś inny punkt widzenia*, zajmowało wszystkim tym arsenowym oszustom zbyt wiele czasu.

W niektórych miejscach nie stanowiło to problemu. Na przykład na powierzchni oceanów. Albo autostradach o kontrolowanym dostępie, gdzie samochody posiadały swoje własne transpondery identyfikacyjne. Albo nawet na spodniej stronie ogromnego, unoszącego się w powietrzu, zgniecionej pączka wypełnionego nośną próżnią. To były poważane i szacowne środowiska dla autopilotów na długo przed przełomem wieków.

Jednak starty i lądowania oznaczały zupełnie inne otoczenie. Zbyt wiele rzeczywistych obiektów poruszających się lub mijanych zbyt szybko, zbyt wiele rzeczy, na które trzeba uważać. Kilka miliardów lat naturalnej selekcji wciąż było decydującym atutem, kiedy pas szybkiego ruchu stawał się tak zatłoczony.

Najwyraźniej aż do teraz.

– Wynośmy się stąd. – Ray zeskoczył na lądowisko. Joel ruszył jego śladem aż na krawędź dachu.

Wokół nich rozciągały się zielone, splątane dywany kudzu, okrywające dachy sąsiednich budynków. Zawsze kojarzyły się Joelowi postapokaliptycznie – chwasty i bluszcz wypełzające na powrót z dziczy, by zadusić pozostałości jakiejś upadłej cywilizacji. Tyle tylko, że to konkretne zielsko miało *ocalić* cywilizację.

W oddali, znad przeznaczonego dla uchodźców pasu terenu na wybrzeżu, unosiły się ku niebu ledwie widoczne strużki dymu. *To by było na tyle, jeśli chodzi o cywilizację.*

– To jeden z tych inteligentnych żeli – odezwał się w końcu Ray.

– Inteligentnych żeli?

– Mózgoser. Wyhodowane komórki mózgowe na tacy. Dokładnie to samo, co podłączają do Sieci, by blokować infekcje.

– Wiem, co to takiego, Ray. Po prostu za cholere nie mogę w to uwierzyć.

– No cóż, lepiej uwierz. Daj im trochę czasu, a dobiorą się i do ciebie.

– Pewnie tak. – Joel przez chwilę przetrawiał tę informację. – Ciekawe kiedy.

Ray wzruszył ramionami.

– Na razie możesz odetchnąć. Wszystkie te nieprzewidywalne, wulkaniczne pierdoły, rzeczy wybuchające pod tobą. To paskudniejsze niż latanie odkurzaczem. Trudniej cię zastąpić.

Odwrócił się i spojrzał na podnośnik oraz skaf wbity w jego podbrzusze.

– Aczkolwiek nie potrwa to długo.

Joel wyłowił z kieszeni plaster; trójpierścieniowiec z niewielką domieszką litu. Bez słowa podał go Ray'owi. Ten tylko splunął.

– Mimo wszystko dzięki. Przez chwilę *chcę* się powkurwiać, wiesz?

A teraz, osiem dni później, Ray'a Sterickera już nie było.

Zniknął po ukończeniu swej ostatniej zmiany zaledwie dzień wcześniej. Joel próbował go namierzyć i wyciągnąć na jakiś ostry melanz, ale nie zastał go na miejscu, a Ray nie odbierał zegarka. Tak więc Joel Kita znów był w robocie, zupełnie samotny, wyłączając ładunek: czworo bardzo dziwnych ludzi w czarnych strojach i pozbawionych wyrazu, białych soczewkach zakrywających oczy. Na ramieniu każdego z nich wytłoczono identyczne logo GA, a pod nim umieszczono naszywkę z nadrukowanym nazwiskiem. Przynajmniej te nie były takie same, choć różnice wydawały się dość banalne; kobieta, mężczyzna, duży czy mały, wszyscy wydawali się podobnymi odmianami tej samej marki i modelu. *Ach tak, Mk-5 był zawsze takim miłym chłopcem. Dość cichym, trzymającym się na uboczu. Kto by pomyślał...*

Joel już wcześniej widział ryfterów. Jakiś miesiąc wcześniej zawiózł dwójkę do Beebe, tuż po tym, jak zakończono tam prace konstrukcyjne. Jedna z nich sprawiała wrażenie prawie normalnej, wychodziła z siebie, by podtrzymać rozmowę czy pożartować, jakby starała się w ten sposób zrekompensować fakt, że wygląda jak zombie. Joel zapomniał, jak miała na imię.

Druga nie odezwała się nawet jednym słowem.

Jeden z ekranów taktycznych skafu zapiszczał, przedstawiając raport o postępach.

– Dno znów się podnosi – zawołał Joel. – Trzy tysiące pięćset. Jesteśmy już prawie na miejscu.

– Dzięki – odezwał się jeden z nich, FISCHER, jak głosiła jego plakietka. Cała reszta po prostu siedziała bez ruchu.

Kokpit skafu od przedziału pasażerskiego oddzielał właz ciśnieniowy. Jeśli się go zamknęło, pomieszczenie na rufie mogło służyć jako śluza, można było nawet zwiększyć tam ciśnienie, co umożliwiało nurkowanie saturowane, oczywiście o ile nikomu nie przeszkadzało, że było mnóstwo zachodu z dekompresją. Można również zamknąć właz, by mieć trochę prywatności, jeśli nie

podobało ci się, że odsłaniasz plecy przed niektórymi pasażerami. Oczywiście byłoby to niegrzeczne. Dla zabicia czasu Joel zastanawiał się nad jakąś akceptowalną społecznie wymówką, która pozwoliłaby mu zatrzasnąć wielki, metalowy dysk tuż przed twarzami ryfterów, ale po chwili zrezygnował.

Natomiast właz grzbietowy – ten, który prowadzi do kokpitu podnośnika – był *zamknięty*, co wydawało się niewłaściwe. Zazwyczaj pozostawał otwarty aż do momentu zrzutu. Ray i Joel gadali przez niego o różnych pierdołach, nieważne jak długo trwała podróż – a jeśli celem był Channer, mowa o trzech godzinach.

Wczoraj, piętnaście minut po starcie, zupełnie bez ostrzeżenia, Ray Stericker zamknął właz. Przez cały czas trwania lotu nie padło z jego strony ani jedno niepotrzebne słowo, w ogóle ledwo co używał interkomu. A dziś – cóż, dziś nie było już nikogo, z kim można by porozmawiać.

Joel wyrztał przez jeden z bocznych iluminatorów. Widok przesłaniało mu znajdujące się w odległości zaledwie kilku centymetrów od drugiej strony szyby poszycie podnośnika; metalowa powłoka naciągnięta na żebra z włókien węglowych, szary płat tworzący wklęsłe kwadraty pod wpływem wsysającej go do środka potężnej próżni. Skał podróżował wciśnięty w owalne wgłębienie pośrodku podnośnika. Jedyne iluminatorem z widokiem na cokolwiek innego niż szare poszycie był ten pomiędzy stopami Joela; ocean, daleko w dole.

Chociaż teraz już nie tak daleko. Słyszał, jak nad jego głową syczy i szumi powietrze wypuszczane z worków balastowych podnośnika. Ostrzejsze dźwięki, bardziej odległe, odbijały się trzeszczącym echem po całym kadłubie, gdy łuki elektryczne ogrzewały powietrze w kilku zbiornikach trymowych. To był jeszcze zwyczajowy obszar działania dla autopilota, ale Ray i tak zwykł robić to samodzielnie. Gdyby nie zamknięty właz, Joel nie zauważyłby różnicy.

Mózgoser odwalał kawał dobrej roboty.

W zasadzie, to widział go kilka dni temu, wykonując dostawę na podwodną platformę wiertniczą tuż za Grey's Harbor. Ray uderzył w śrubę mocującą i wieko pudełka odsunęło się na bok, wpasowując się w niewielkie wgłębienie przy krawędzi i odsłaniając przezroczysty panel.

Pod nim, zatopiona w przejrzystej cieczy, znajdowała się pofałdowana warstwa brei, nieco zbyt szara, by uchodzić za mozzarellę. Papkę przetykały pasy brązowego szkła, uszeregowane w równiutkie, równoległe rzędy.

– Nie powinienem tego tak otwierać – powiedział Ray. – Ale pieprzyć ich. W końcu to cholerstwo nie jest światłoczułe.

– A co to za małe, brązowe części?

– Szkło pokryte tlenkiem indowo-cynowym. Półprzewodnik.

– Jezu. I to teraz pracuje?

– Nawet, gdy rozmawiamy.

– Jezu – powtórzył Joel. I dodał – Ciekawe, jak programuje się coś takiego.

Ray prychnął.

– Tego się nie programuje. Trzeba to *nauczyć*. To coś uczy się przez wzmacnianie pozytywne, jak pieprzone dziecko.

Nagła, płynna zmiana pędu. Joel powrócił do teraźniejszości; podnośnik wisiał nieruchomo pięć metrów nad falami. Dokładnie u swego celu. Oczywiście na powierzchni widać było tylko bezkres oceanu; transponder Beebe znajdował się w odległości trzydziestu metrów w głąb w linii prostej. Wystarczająco płytko, by móc namierzyć jego sygnał, a jednocześnie dość głęboko, by nie stanowić zagrożenia nawigacyjnego. I zbyt głęboko, by służyć jako podwodny punkt cumowniczy dla łodzi wynajętych przez łowców legendarnych potworów morskich z Channer.

Mózgoser wyświetlił słowo na tablicy taktycznej skafu: OPUŚCIC?

Palec Joela zawisł na chwilę nad przyciskiem OK, po czym opadł. Zatrzaski dokujące otworzyły się ze szczękiem; podnośnik opuścił Joela Kitę i jego ładunek do wody. Przez kilka sekund, gdy skaf kołysał się w uprzęży, przez bulaje zaglądało do środka światło słoneczne. Fala uderzyła w przedni iluminator.

Świat doznał nagłego szarpnięcia, obrócił się i zabarwił na zielono.

Joel otworzył zbiorniki balastowe i spojrzał przez ramię.

– Moi drodzy, schodzimy w głąb. Ostatni rzut oka na słońce. Nacieszcie się nim, póki możecie.

– Dzięki – powiedział Fischer.

Nikt więcej się nie poruszył.

Zauroczenie

Wstępnie przystosowany.

Nawet teraz, na dnie Oceanu Spokojnego, Fischer nie ma pojęcia, co Scanlon chciał przez to powiedzieć. Nie *czuje* się wstępnie przystosowany, jeśli ma to oznaczać, że powinno mu tu być jak w domu. Nikt nawet się do niego nie odezwał w czasie schodzenia w dół. Nikt nie odzywał się też zbyt do kogokolwiek innego, ale gdy nie odzywali się do Fischera, wydawało się to mieć szczególnie osobiste podłoże. A jeden z nich, Brander – ciężko ocenić przez te nakładki na oczy i tak dalej – ale Fischer odniósł wrażenie, że Brander przygląda mu się, jakby skądś się znali. Brander wygląda na zbira.

Wszystko znajduje się tu na zewnątrz; rury, wiązki kabli i przewody wentylacyjne przymocowane są do grodzi na widoku. Widział to wszystko na filmikach przed przybyciem na miejsce, ale jakimś sposobem wywołały w nim one wrażenie jaśniejszego miejsca, pełnego światła i luster. Na przykład ściana przed którą teraz stoi; powinno tam być lustro. A jest tylko szara, metalowa, połyskująca oleście gródź.

Fischer przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Na końcu mesy Lubin, oparty o postument biblioteki, spogląda na nich przesłoniętymi, obojętnymi oczami. Przez pięć minut, jakie upłynęły od ich przybycia odezwał się tylko raz:

– Clarke jest jeszcze na zewnątrz. Wraca.

Coś szczeka pod podłogą. Nieopodal z bulgotem mieszają się woda i nitroks. Słysząc dochodzące z dołu odgłosy otwieranego wjazdu i ruchu.

Kobieta wspina się po drabince do mesy, z jej ramion spływają kropelki wody. Od szyi w dół spowija ją czerń skóry głębinowej, pozbawiając jej szczupłą sylwetkę niemal wszystkich cech płciowych. Ma rozpięty kaptur; przyklejone do czaszki blond włosy otaczają twarz bledszą niż każda inna, jaką Fischer miał okazję oglądać do tej pory. Jej usta tworzą szeroką, cienką linię. Jej oczy, przesłonięte, tak jak i jego własne, są białymi, pozbawionymi wyrazu owalami, tkwiącymi w twarzy dziecka.

Obrzuca ich wzrokiem: Brandera, Nakatę, Caraco, Fischera. Oni również odpowiadają jej spojrzeniem i czekają.

Kobieta wzrusza ramionami.

– Wymieniam sól w dwójce. Myślę, że kilkoro z was może się ze mną zabrać.

Nie wydaje się do końca ludzka. Mimo to *jest* w niej coś znajomego.

Jak myślisz, Cieniu? Znam ją?

Lecz Cień milczy.

Jest tam ulica, przy której wszystkie budynki pozbawione są okien. Latarnie rzucają chorobliwe, miedziane światło na kolonie gigantycznych małży i wielkich, sznurkowatych, brązowych stworów wyłaniających się z oślizgłych, szarych rurek (rurkoczułkowce, przypomina sobie: *Riftia cholerniewielkus*, czy coś takiego). To tu, to tam, spośród natłoku bezkręgowców, wyrastają naturalne kominy, słupy zbudowane z bazaltu, krzemu i skryształizowanej siarki. Za każdym razem, gdy Fischer odwiedza Gardło, przywodzi mu ono na myśl naprawdę paskudny przypadek trądzi.

Lenie Clarke prowadzi ich wzdłuż ulicy Głównej: Fischera, Caraco i kilka zdalnie sterowanych kalmarów z ładunkiem. Po obu stronach pochylają się nad nimi generatory. Przed nimi drogę przecina ciemna, kłębiąca się zasłona. *Migocze*. Wzdłuż jej brzegów, w tę i z powrotem, śmiga ławica małych

rybek.

– W tym problem – byczy Lenie, oglądając się na Fischera i Caraco. – Wzburzony szlam. Za dużo, żeby skierować go gdzieś indziej.

Minęli już osiem generatorów. To oznacza, że przed nimi zostało ich jeszcze sześć zatopionych w mule. Podwójna zmiana, nawet jeśli ściągną Lubina i Brandera. Fischer ma nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby. W każdym razie, jeśli chodzi o Brandera.

Lenie pod pływa do obłoku szlamu. Kalmary z jękiem podążają jej śladem, ciągnąc za sobą narzędzia. Fischer zbiera się w sobie, by do nich dołączyć.

– Nie powinniśmy sprawdzić odczytu termicznego? – woła Caraco. – To znaczy, co, jeśli jest tam gorąco?

Właściwie sam się nad tym zastanawiał. Zastanawiał się nad podobnymi kwestiami, od kiedy usłyszał przypadkiem, jak Caraco i Nakata wymieniają się plotkami o katastrofie Mendocino. Nakata słyszała, że była to bardzo stara, miniaturowa łódź podwodna z iluminatorami z pleksiglasu. Caraco słyszała, że z termoakrylanu. Nakata powiedziała, że okręt utknął w centrum strefy ryftu. Caraco powiedziała, że nie, że po prostu płynął tuż nad dnem i wybuchł pod nim smoker.

Zgodziły się jednak co do tego, jak szybko stopiły się okna. Nawet szkielety obróciły się w proch. Co i tak nie robiło zbyt wielkiej różnicy, bo każda kość w każdym ciele została roztrzaskana przez panujące wokół ogromne ciśnienie.

Zdaniem Fischera Caraco brzmi bardzo rozsądnie, ale Lenie Clarke nawet nie odpowiada. Po prostu wpływa w czarną, migoczącą chmurę i znika. W miejscu, gdzie się rozplynęła, szlam rozjarza się nagłym blaskiem, tworząc fosforyzujący ślad. Ryby rzucają się na niego całą chmarą.

– Czasami zupełnie jej to nie obchodzi – byczy cicho Fischer. – Znaczy, czy będzie dalej żyć, czy umrze...

Caraco patrzy na niego przez chwilę, po czym ruchem nóg kieruje się w stronę pióropusza mułu. Z wnętrza chmury byczy głos Clarke.

– Nie mamy zbyt wiele czasu.

Caraco nurkuje w kłębiącą się ścianę pośród rozbłysku światła. Za nią kotłuje się gromada ryb – Fischer zauważa, że kilka z nich jest już całkiem słuszych rozmiarów.

No *dalej*, mówi Cień.

Coś się porusza.

Fischer obraca się. Przez chwilę widać tylko nikiącą w oddali ulicę Główną.

Potem coś wielkiego, czarnego i... i *koślawego* wyłania się zza jednego z generatorów.

– Jeej. – Nogi Fischera same zaczynają się poruszać. – Nadchodzą! – próbuje krzyknąć. Vocoder zamienia to w skrzek.

Głupi. Głupi. Ostrzegali nas, blask przyciąga małe rybki, a małe rybki przyciągają duże ryby, a jeśli nie będziemy uważać możemy wejść im w drogę.

Pióropusz znajduje się teraz tuż przed nim, ściana osadów, rzeka na dnie oceanu. Fischer nurkuje w sam środek. Coś szczypie go lekko w łydkę.

Wszystko pogrąża się w czerni, rozświetlanej co jakiś czas błyskami. Mężczyzna włącza latarkę czołową; promień światła niknie we wzburzonym szlamie w odległości pół metra od jego twarzy.

Jakimś cudem jednak Clarke go dostrzega.

– Wyłącz to.

– Nie widzę...

– I dobrze. Może one też nie.

Fischer wyłącza światło. Okryty mrokiem wyciąga pałkę gazową z pokrowca przy nodze.

Caraco odzywa się z oddali:

– Myślałam, że są ślepe...

– Niektóre z nich.

Mają też inne zmysły, na które mogą się zdać. Fischer obraca w myślach listę: zapach, dźwięk, fale ciśnienia, pola bioelektryczne... Tu, na dole, żadna istota nie *polega* na wzroku. Jest on po prostu jedną z opcji.

Jeśli pióropusz blokuje *tylko* światło, to są w dupie.

Lecz na jego oczach mrok zaczyna się rozwiewać. Czarny szlam staje się brązowy, a wreszcie niemal szary. Stopniowo do wnętrza przesącza się słabe światło reflektorów z ulicy Głównej.

To nakładki na oczy, uświadamia sobie. *Dostosowują się. Super.*

Mimo to wciąż nie widzi na zbyt dużą odległość. To jakby utknąć w brudnej mgle.

– Pamiętajcie – to Clarke, gdzieś bardzo blisko. – Nie są takie twarde, na jakie wyglądają. Raczej nie spowodują zbyt wielu poważnych obrażeń.

Nieopodal terkocze pistolet hydrolokacyjny.

– Niczego nie odbieram – bzyczy Caraco. Wszędzie naokoło kłębi się mleczny osad. Fischer wyciąga rękę; niknie mu z oczu na wysokości łokcia.

– O kurwa – Caraco.

– Wszystko z tobą...

– Coś złapało mnie za nogę... Chryste, to coś jest naprawdę *duże*.

– *Lenie!* – woła Fischer.

Uderzenie od tyłu. Plaśnięcie w potylicę. Cień, czarny i kolczasty, rozplywa się w ciemności.

Hej, to nie było takie...

Coś wczepia się w jego nogę. Spogląda w dół: szczęki, zęby, monstrualna głowa niknąca w mroku.

O Jezuu!

Fischer uderza pałką w pokryte łuskami ciało. Coś ustępuje pod wpływem ciosu niczym żelatyna.

Cichy, głuchy odgłos. Ciało nadyma się i pęka; z rozdarcia wystrzeliwuje chmura bąbelków.

Coś jeszcze raz uderza od tyłu. Klatka piersiowa Fischera zostaje złapana w kleszcze. Męczyzna atakuje na oślepa. W twarz buchają mu szlam, popiół i czarna krew.

Chwyta coś po omacku i wykręca. W rękę zostaje mu złamany ząb o długości połowy jego przedramienia; zaciska pięść i ten kruszy się. Upuszcza go, zatacza łuk pałką i uderza coś u swego boku. Kolejna eksplozja mięsa i sprężonego dwutlenku węgla.

Znika nacisk wywierany na jego pierś. Coś, co wczepiło się w jego nogę, nie porusza się. Fischer pozwala sobie zatonać, osuwa się na podstawę barytowego komina.

Nic go nie atakuje.

– Wszystko ze wszystkimi w porządku? – jednostajny głos Lenie z vocodera.

Fischer potwierdza mruknięciem.

– Dzięki Bogu za złe odżywianie – bzyczy Caraco. – Jeśli te stwory kiedykolwiek dostaną dość witamin, będziemy w czarnej dupie.

Fischer sięga dłonią w dół i odrywa szczęki martwego potwora od swojej łydki. Żałuje, że pozbawiony jest oddechu, który teraz mógłby złapać.

Cieniu?

Jestem tu.

Czy tak właśnie wyglądało to dla ciebie?

Nie. To teraz nie trwało tak długo.

Męczyzna leży na dnem i próbuje zamknąć oczy. Nie może; skóra głębinowa przylega do

powierzchni nakładek, wiążąc powieki w małych, ślepych zaułkach. *Przykro mi, Cieniu. Tak strasznie mi przykro.*

Wiem, odpowiada ona. Już dobrze.

Lenie Clarke stoi nago w kabinie medycznej, spryskując siniaki na nodze. Nie, nie nago; na oczach wciąż ma nakładki. Jedyńm, co widzi Fischer, jest skóra.

To nie wystarcza.

Strużka krwi ścieka po jej boku, tuż poniżej wlotu wody. Kobieta ściera ją z roztargnieniem i montuje nowy wkład do hypo.

Ma małe piersi, przypominające niemal nastoletnie wzgórki. Nie ma bioder. Jej ciało jest tak samo blade, jak jej twarz, za wyjątkiem siniaków i świeżych, różowych szwów, umożliwiających dostęp do implantów. Wygląda jak anorektyczka.

To pierwsza dorosła osoba, której Fischer kiedykolwiek pragnął.

Podnosi wzrok i zauważa go, stojącego w drzwiach.

– Rozbierz się – nakazuje i wraca do pracy.

Fischer zrywa plomby i zaczyna zdierać skórę. Lenie kończy zajmować się nogą i wbija ampułkę w ranę w boku. Krew krzepnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Ostrzegali nas przed rybami – odzywa się Fischer. – Ale mówili, że są bardzo delikatne.

Mówili, że w razie potrzeby, damy radę pokonać je gołymi rękami.

Lenie spryskuje ranę w boku przy pomocy hypo i ściera pozostały osad.

– Masz szczęście, że powiedzieli ci aż tyle. – Ściąga z wieszaka górną część skóry głębinowej i naciąga ją na siebie. – Gdy wysyłali nas na dół, ledwo wspomnieli cokolwiek o gigantyzmie.

– To głupie. Musieli o tym wiedzieć.

– Mówią, że to jedyny komin, w którym ryby są tak wielkie. A w każdym razie jedyny, który do tej pory odkryli.

– Dlaczego? Co jest w nim takiego wyjątkowego?

Lenie wzrusza ramionami.

Fischer rozebrał się do pasa. Kobieta spogląda na niego.

– Getry też. Złapała cię za łydkę, prawda?

Ten jednak potrząsa głową.

– Wszystko w porządku.

Lenie spuszcza wzrok. Skóra głębinowa ma zaledwie kilka milimetrów grubości; nic się pod nią nie ukryje. Fischer czuje, jak jego wzwiedziony członek mięknie pod wpływem spojrzenia kobiety.

Zimne, białe oczy Lenie wracają z powrotem do jego twarzy. Policzki zaczynają mu płonąć, nim sobie przypomina: ona nie może zobaczyć jego oczu. Nikt nie może.

Jest tu prawie całkiem bezpieczny.

– Siniaki są największym problemem – mówi wreszcie Lenie. – Rybom rzadko udaje się przebić skórę głębinową, ale siła ukąszenia to już inna sprawa. – Jej ręka dotyka jego ramienia, niewzruszenie i fachowo, obmacując krawędzie uszkodzenia. Boli, ale Fischerowi to nie przeszkadza.

Kobieta zdejmuje nakrętkę z tubki maści anabolicznej.

– Masz, wetrzyj to.

Ból słabnie po zetknięciu z lekiem. W miejscu, w którym go zaaplikował, ciało mężczyzny staje się ciepłe i zaczyna mrowić. Nieco przestraszony, wyciąga rękę i dotyka ramienia Lenie.

– Dzięki.

Ta bez słowa wywija się poza jego zasięg i pochyla się, by zaplombować „skórę” na nodze. Fischer przygląda się, jak getry oblepiają jej ciało. Sprawiają wrażenie niemal żywych. Są niemal żywe, przypomina sobie. „Skóra” posiada pewne odruchy, zmienia swą przepuszczalność i przewodność cieplną w zależności od temperatury ciała. Utrzymuje, jak to się nazywało, homeostazę.

Teraz patrzy, jak pochłania ciało Lenie niczym jakaś gładka, czarna ameba, spod której widać jednak sylwetkę kobiety, czarny lód zamiast białego, lecz wciąż jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział. Jest tak odległa. Ktoś w jego wnętrzu każe mu uważać -

– *Odejdź, Cieniu.*

– ale on nie może się powstrzymać, prawie może ją *dotknąć*, pochyloną, plombującą buty. Jego ręka pieści powietrze tuż nad jej ramieniem, śledzi linię jej wygiętego grzbietu tak blisko, że gdyby nie ta głupia skóra głębinowa, mógłby poczuć ciepło jej ciała i – Lenie wyprostowuje się, zderzając się z jego dłonią. Podnosi głowę; coś płonie za jej nakładkami na oczy. Fischer wycofuje się, ale jest już za późno; całe jej ciało sztywnieje i kipi wściekłością.

Tylko jej dotknąłem. Nie zrobiłem nic złego, po prostu jej dotknąłem...

Kobieta postępuje krok naprzód.

– Nie rób tego więcej – mówi tak beznamiętnym głosem, że mężczyzna przez chwilę zastanawia się, jakim cudem jej vocoder działa bez wody.

– Ja nie... nie chciałem.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie rób tego więcej.

Kątem oka Fischer dostrzega ruch.

– Jakiś problem, Lenie? Potrzebujesz pomocy? – to głos Brandera.

Kobieta potrząsa głową.

– Nie.

– Okej – Brander wydaje się zawiedziony. – Będę na górze.

Znów ruch na granicy widzenia i cichnące odgłosy.

– *Przepraszam* – mówi Fischer.

– Dobrze – odpowiada Lenie i mija go, zmierzając do komory odpływowej.

Autoklaw

Nakata nieomal wpada na nią u podstawy drabiny. Clarke piorunuje ją wzrokiem; Nakata usuwa się na bok, obnażając zęby w pełnym uległości uśmiechu ssaka z rzędu naczelnych.

Brander jest w mesie i ślęczy nad biblioteką.

– Wszystko z tobą...?

– Wszystko w porządku. – Wcale tak nie jest, ale Lenie pracuje nad tym. Temu gniewowi bardzo daleko do masy krytycznej; to w zasadzie odruch, iskra, która wypłynęła z głównego zbiornika. Przygasa wraz z upływem czasu. Nim kobieta dociera do swej kajuty, niemalże współczuje Fischerowi.

Nie jego wina. Nie chciał zrobić nic złego.

Zamyka za sobą właz. Teraz może śmiało coś walnąć, jeśli tylko będzie miała na to ochotę.

Rozgląda się bez przekonania w poszukiwaniu celu, ale ostatecznie pada tylko na koję i wpatruje się w sufit.

Ktoś stuka w metal.

– Lenie?

Kobieta podnosi się i napiera na właz.

– Hej Lenie, wydaje mi się, że zepsuł się kanał pomocniczy w jednym z kalmarów. Czy może mogłabyś...

– Jasne. – Clarke kiwa głową. – Dobrze. Tylko nie teraz, okej... hmm...

– Judy – podsuwa Caraco, sprawiając wrażenie nieco urażonej.

– A tak. Judy. – Tak naprawdę wcale nie zapomniała. Ale ostatnio w Beebe zrobiło się zbyt tłoczno. Lenie nauczyła się od czasu do czasu gubić imiona. Pomagało to w utrzymywaniu wygodnego dystansu.

Czasami.

– Przepraszam – mówi, przeciskając się obok Caraco. – Muszę wyjść na zewnątrz.

Istnieje kilka miejsc, gdzie ryft jest niemalże łagodny.

Zazwyczaj gorąco wystrzeliwuje w górę w postaci wrzących, błotnistych słupów lub poszarpanych bełtów rozgrzanej cieczy. Przy ciśnieniu rzędu trzystu atmosfer para nie ma nawet szans się uformować, lecz skoki termiczne zamieniają wodę w wirującą, płynną kolumnę, gorętszą niż stopione szkło. Jednak nie tutaj. W tym konkretnym miejscu, wtulonym pomiędzy poduszki zastygłej lawy i ukrytym przed wścibskimi uszami Beebe, ciepło przesącza się przez błoto niczym delikatna bryza. Skała stanowiąca jego podłoże musi być porowata.

Zaszywa się tu, kiedy tylko może, po drodze trzymając się dna, by zmylić sonar Beebe. Pozostali nie wiedzą jeszcze o tym miejscu; wolałaby, by tak zostało. Czasami przyływa tu, by poprzyglądać się, jak prądy konwekcyjne wprawiają błoto w ruch, tworząc leniwe zakrętaszy. Czasami zrywa plomby ze swej „skóry”, pozwalając, by jej twarz i ręce powygrzewały się w sącącym się trzydziestostopniowym cieple. Czasami przyływa tu, by po prostu pospać.

Leży, wpatrując się w ciemność, a za plecami ma wirujący szlam. Tak właśnie zasypiasz, gdy nie możesz zamknąć oczu; gapisz się w mrok, a gdy zaczniesz coś widzieć, wiesz, że śniesz.

Widzi teraz siebie, najwyższą kapłankę nowej społeczności troglodytów. Była tu pierwsza. Podczas gdy pozostałych wciąż jeszcze otwierały i modyfikowały brudne łapy lądowców, ona dawno odnalazła tu spokój. Jest matką założycielką, wzorcem, do którego odwołują się inni,

niedoświadczeni pracownicy. Przybywają tu, na dół, widzą, że jej oczy są zawsze zakryte i zaczynają robić to samo.

Wie jednak, że nie do końca jest to prawdą. To ryft jest tu prawdziwą siłą twórczą, ślepią prasą hydrauliczną narzucająca im kształt, który sama dla nich wybrała. Jeśli pozostali w czymkolwiek przypominają Clarke, to tylko dlatego, że wszyscy włączani są w tę samą formę.

No i nie zapominajmy o GA. Jeśli Ballard miała rację, to dopilnowali, byśmy już na samym początku za bardzo się od siebie nie różnili.

Oczywiście występują wszystkie te powierzchowne różnice. Trochę różnorodności rasowej. Szablonowi dręczyciele, szablonowe ofiary, jednakowa liczba kobiet i mężczyzn...

Ta myśl zmusza Clarke do uśmiechu. Można liczyć na Kierownictwo, że wrzuci w jedno miejsce bandę świrów z zaburzeniami seksualnymi, po czym upewni się, że zachowano równowagę pomiędzy ilością przedstawicieli poszczególnych płci. *Jak to miło z ich strony, że dopilnowali, by nikt nie został wykluczony.*

Oczywiście za wyjątkiem Ballard.

Przynajmniej uczą się na błędach. Drzemiąc na głębokości trzech tysięcy metrów, Lenie Clarke zastanawia się, jaki popełnią następnym razem.

Nagły, przeszywający ból w oczach. Clarke próbuje krzyknąć; inteligentne implanty wyczuwają ruch języka i warg, który błędnie przekładają na:

– Nnnnaaaaah...

Zna to uczucie. Zaznała go już wcześniej, raz czy dwa razy. Nurkuje na ślepo w przypadkowo wybranym kierunku. Ból głowy z intensywnego staje się wręcz niemożliwy do zniesienia.

– Aaaaaa!

Zawraca i zmierza w przeciwnym kierunku. Trochę lepiej. Włącza latarkę czołową i młóci nogami najmocniej, jak tylko potrafi. Świat z czarnego staje się jednolicie brązowy. Widoczność zerowa. Zewsząd kipiące błoto. Clarke słyszy, jak gdzieś niedaleko pęka skała.

W świetle latarki wyrasta nagle wychodnia, z którą kobieta zderza się ułamek sekundy później. Impet wstrząsa jej czaszką i przechodzi w dół, wzdłuż kręgosłupa niczym małe trzęsienie ziemi. Teraz do palącego bólu w oczach dochodzi drugi, zupełnie inny rodzaj. Clarke omija przeszkodę po omacku i rusza dalej. Jej ciało wydaje się... *cieple.*

Potrzeba naprawdę wysokiej temperatury, by ciepło przedostało się przez skórę głębinową, zwłaszcza klasy czwartej. Tworzy się je w końcu właśnie *po to*, by wytrzymywały naprężenia termiczne.

Natomiast nakładki na oczy...

Czerń. Świat znów stał się czarny i dokładnie widoczny. Światło latarki mknie przez otwartą przestrzeń i zostawia trzęsący się ślad na szlamie w odległości dobrych dziesięciu metrów.

Lecz obraz wciąż nieco faluje.

Ból wydaje się słabnąć. Kobieta nie jest tego pewna. Tak wiele nerwów wyło przez tak długi czas, że teraz nawet echa ich krzyku stanowią torturę. Zaciska dłonie na głowie, nie przestając młócić nogami; ich ruchy obracają ją twarzą w stronę miejsca, z którego wypłynęła.

Jej sekretna kryjówka eksplodowała, zamieniając się w ścianę szlamu i związków siarki, kipiącą z rozdartego dna morskiego. Clarke sprawdza odczyt z termistora; 45°C, a przecież oddaliła się o kilka metrów. Wygotowane szkielety ryb wirują w kominach termicznych. Gdzieś dalej syczą niewidoczne gejzery.

Wybuch musiał nastąpić błyskawicznie; każde ciało, które znalazłoby się w zasięgu erupcji

wygotowałyby się do kości nim zdążyłoby zadziałać coś tak skomplikowanego jak odruch ucieczki. Clarke wstrząsają dreszcze. I jeszcze raz.

To tylko szczęście. To tylko głupie szczęście, że byłam dość daleko. Mogłam być już martwa. Mogłam być martwa mogłam być martwa mogłam być martwa...

Nerwy w jej klatce piersiowej płoną żywym ogniem; kobieta zgina się wpół. Ale nie da się szlochać, nie oddychając. Nie da się płakać z przymusowo otwartymi oczami. Rutynowe procedury z trudem wprowadzane są w życie po latach pozostawania w uśpieniu, lecz wszystkie elementy, z których korzystały, zostały pozmieniane. Całe ciało budzi się skrzepowane kaftanem bezpieczeństwa.

Martwa, martwa, martwa.

Dołącza się ta jej mała, odległa część; część, którą Clarke zachowuje właśnie na takie okazje. Część ta dziwi się, gdzieś z daleka, sile jej reakcji. Nie był to absolutnie pierwszy raz, kiedy Lenie Clarke sądziła, że zginie.

Był to jednak pierwszy raz od wielu lat, kiedy najwyraźniej nie było jej to obojętne.

Łóżko wodne

Zdejmowanie skóry głębinowej jest dla niego jak patroszenie się.

Nie może uwierzyć, jak bardzo nauczył się na niej polegać, jak ciężko mu z niej wyjść. Fischer siedzi na pryczy i wpatruje się w zamknięty właz, podczas gdy Cień szepcze: *Wszystko w porządku, jesteś tu sam, jesteś bezpieczny*. Mija pół godziny nim udaje mu się zmusić się do uwierzenia jej.

Gdy wreszcie odsłania oczy, światła w kajucie są tak przyciemnione, że ledwo cokolwiek widzi. Rozjaśnia je do momentu, aż pomieszczenie nabiera odcieni szarości. Nakładki na oczy spoczywają w jego dłoni, blade i nieprzejrzyste w półmroku, przypominające galaretowate skorupki jaj. To dziwne uczucie, mrugać nie czując ich pod powiekami. Fischer czuje się taki *obnażony*.

Mimo to musi to zrobić. To część całego procesu. O to w tym wszystkim chodzi; żeby się otworzyć.

Lenie jest w swojej kajucie, zaledwie kilka centymetrów dalej. Gdyby nie gródź, Fischer mógłby wyciągnąć rękę i jej dotknąć.

To właśnie robisz, gdy naprawdę kogośkochasz, powiedziała Cień dawno temu. Więc robi to dla samego siebie. Dla Cienia.

Myśląc o Lenie.

Czasami wydaje mu się, że oprócz niego Lenie jest jedyną prawdziwą osobą na całym ryfcie. Pozostali to roboty o szklanych oczach, matowych, czarnych ciałach robotów, wykonujące kolejne, zaprogramowane czynności, które służą tylko temu, by utrzymać w działaniu inne, większe maszyny. Nawet ich nazwiska mają mechaniczne brzmienie. Nakata. Caraco.

Ale nie Lenie. We wnętrzu jej „skóry” kryje się osoba, a jej oczy może i są przeszkłone, ale nie szklane. Jest *prawdziwa*. Fischer wie, że może jej dotknąć.

Oczywiście właśnie dlatego wciąż pakuje się w kłopoty. Nie przestaje dotykać. Ale z Lenie byłoby inaczej, gdyby tylko udało mu się do niej dotrzeć. Przypomina Cień bardziej niż ktokolwiek inny. Aczkolwiek jest starsza.

Ma tyle lat, ile ja bym teraz miała, mruczy Cień, i może właśnie w tym rzecz.

Jego usta poruszają się: – *Tak strasznie mi przykro, Lenie*. – Ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Cień go nie poprawia.

To właśnie robisz, powiedziała, po czym zaczęła płakać. Tak jak teraz Fischer. Tak, jak zawsze płacze, gdy dochodzi.

Jakiś czas później budzi go ból. Fischer leży skulony na pryczy, a coś kłuje go w policzek: mały kawałek stłuczonego szkła.

Lustra.

Mężczyzna przygląda mu się zdezorientowany. Srebrny odłamek szkła z ciemnym, krwawym czubkiem, podobny do niewielkiego zęba. W jego kajucie nie ma lustra.

Fischer wyciąga rękę i dotyka grodzi za poduszką. Tam jest Lenie. Lenie jest tuż po drugiej stronie. Lecz tutaj, po *tej* stronie, widać ciemną linię, cieniste obramowanie, którego wcześniej nie zauważył. Śledzi wzrokiem jego kształt, wodząc oczami wzdłuż półcentymetrowej szczeliny dzielącej je od krawędzi ściany. Gdzieniegdzie wciąż tkwią w niej małe kawałki szkła.

Wcześniej było tu lustro, zasłaniające całą gródź. Dokładnie tak, jak na filmikach Scanlona. A sądząc po pozostawionych, małych odłamkach, nie zostało po prostu usunięte. Ktoś je rozbił.

Lenie. Przeszła przez całą stację nim reszta przybyła na miejsce i roztrzaskała wszystkie lustra.

Fischer nie ma pojęcia skąd ta pewność, ale z jakiegoś powodu wydaje mu się, że jest to dokładnie jedna z tych rzeczy, które zrobiłaby Lenie Clarke, gdyby nikt nie patrzył.

Może nie lubi na siebie patrzeć. Może się wstydzi.

Idź i z nią porozmawiaj, mówi Cień.

Nie mogę.

Owszem, możesz. Pomogę ci.

Mężczyzna podnosi z ziemi górną część swej „skóry”, która prześlizguje się po jego ciele, aż wreszcie jej krawędzie stapiają się ze sobą wzdłuż linii mostka. Następnie przestępuje ponad wciąż rozrzuconymi po podłodze rękawami i getrami i sięga po nakładki na oczy.

Zostaw je.

Nie!

Tak.

Nie mogę, zobaczy mnie...

Tego właśnie chcesz, prawda? Prawda?

Przecież ona nawet mnie nie lubi, ona po prostu...

Zostaw je. Powiedziałam, że ci pomogę.

Fischer z zamkniętymi oczami opiera się o zamknięty właz. W uszach dudni mu własny, przyspieszony i głośny oddech.

No dalej. No *dalej*.

Korytarz na zewnątrz pogrążony jest w głębokim półmroku. Mężczyzna rusza w stronę zamkniętego włazu Lenie. Dotyka go, bojąc się zapukać.

Ktoś klepie go od tyłu w ramię.

– Nie ma jej – mówi Brander. Jego „skóra” zapięta jest po samą szyję, a ręce i nogi ma zaplombowane. Zakryte oczy spoglądają obojętnym, surowym wzrokiem. W jego głosie pobrzmiewa zwyczajowy, znajomy ton mówiący: *Tylko daj mi pretekst, dupku, tylko coś zrób...*

Może on też pragnie Lenie.

Nie wkurzaj go, mówi Cień.

Fischer przełyka ślinę.

– Chciałem tylko z nią porozmawiać.

– *Nie* ma jej.

– W porządku. Ja... spróbuję później.

Brander wyciąga rękę i dotyka twarzy Fischera. Na palcu zostaje mu coś lepkiego.

– Skaleczyłeś się – mówi.

– To nic takiego. Nic mi nie jest.

– Szkoda.

Fischer próbuje precyzyjnie przycisnąć się obok Brandera do swojej kajuty. Korytarz spycha ich na siebie.

Brander zaciska pięści.

– Nie dotykaj mnie, kurwa.

– Nie dotykam. Ja tylko próbuję... to znaczy... – Fischer milknie i rozgląda się wokoło. Wokół nie widać nikogo więcej.

Brander rozluźnia się powoli.

– I, na litość boską, włóż oczy z powrotem – mówi. – Nikt nie chce w nie patrzeć.

Odwraca się i odchodzi. Mówią, że Lubin tu sypia. Lenie też, czasami, ale Lubin nie spał w swej koi od czasu, kiedy na miejsce przybyła reszta załogi. Fischer nie włącza latarki czołowej, trzyma się z

dała od oświetlonej części Gardła i nic go nie niepokoi. Słyszał, jak w czasie ostatniej zmiany rozmawiały o tym Nakata i Caraco.

Zaczyna się to wydawać dobrym pomysłem. Im mniej czasu spędza w Beebe ostatnimi czasy, tym lepiej.

Stacja jest niewyraźną, odległą plamą, jarzącą się po jego lewej stronie. Jest tam Brander. Fischer zaczyna dyżur za trzy godziny. Dochodzi do wniosku, że do tego czasu może po prostu zostać tutaj. W gruncie rzeczy nie musi zbyt często wchodzić do środka. Żadne z nich nie musi. Do jego elektrolizera podłączony jest mały odsalacz, na wypadek, gdyby zachciało mu się pić, a zestaw kłapek i zaworów wykonuje czynności, o których Fischer woli nie myśleć, kiedy musi się wysikać albo wysrać.

Mężczyzna robi się nieco głodny, ale może poczekać. Dobrze mu tutaj dopóki nic go nie atakuje.

Brander w życiu nie zostawi go w spokoju. Fischer nie ma pojęcia, co Brander ma do niego.

Wiesz doskonale, mówi Cię.

...ale zna to spojrzenie. Brander chce, żeby totalnie coś spieprzył.

Pozostali na ogół się w to nie mieszają. Nakata, ta nerwowa, nie wchodzi nikomu w drogę. Caraco zachowuje się, jakby było jej zupełnie obojętne, czy Fischer ugotuje się żywcem w smokerze. Lubin po prostu siedzi, wycofany, gapiąc się w podłogę; nawet Brander zostawia go w spokoju.

No i Lenie. Lenie jest zimna i odległa niczym szczyt górski. Nie, Fischer nie może liczyć na żadną pomoc w kwestii Brandera. Więc jeśli ma wybierać między potworami tutaj a jednym tam, decyzja jest prosta.

Caraco i Nakata dokonują przeglądu kadłuba stacji. Ich odległe głosy bzyczą drażniąco w okolicach szczęki Fischera. Mężczyzna wyłącza odbiornik i układa się za wychodnią z poduszek bazaltowych.

Później nie potrafi przypomnieć sobie, kiedy zasnął.

– Słuchaj, skurwielu. Właśnie przepracowałem dwie zmiany, jedną po drugiej, bo nie stawiałeś się do roboty na czas. A potem jeszcze pół kolejnej zmiany, *szukając* cię. Myśleliśmy, że masz kłopoty. *Założyliśmy*, że masz kłopoty. Nie próbuj mi mówić...

Brander popycha Fischera na ścianę.

– *Nie próbuj mi mówić* – powtarza – że nie miałeś. Nie chcesz tego powiedzieć.

Fischer rozgląda się po pomieszczeniu przygotowawczym. Nakata przygląda się wszystkiemu spod przeciwległej grodzi, nerwowa jak kot. Lubin, odwrócony plecami, grzebie w szafkach ze sprzętem. Caraco odwiesza swoje płetwy i przeciska się w stronę drabiny.

– Caraco...

Brander ciska nim mocno o ścianę.

Postawiwszy nogę na najniższym szczeblu, Caraco odwraca się i obserwuje ich przez chwilę. Na jej wargach wykwita słaby uśmiech.

– Nie licz na mnie, mój drogi Gerry. To twój problem. – Wspina się po drabince i znika nad ich głowami.

Twarz Brandera wisi nad nim, oddalona zaledwie o kilka centymetrów. Ma wciąż zaplombowany kaptur, za wyjątkiem płata zakrywającego usta. Jego oczy przypominają półprzezroczyste, szklane kule osadzone w czarnym plastiku. Mężczyzna zaciska chwyt.

– No więc, skurwielu?

– Ja... przykro mi – jąka się Fischer.

– Przykro ci. – Brander ogląda się przez ramię i włącza w kpiny Nakatę. – Jest mu przykro.

Nakata śmieje się, nieco zbyt głośno.

Lubin pobrząkuje czymś w szafce, wciąż ignorując wszystkich zgromadzonych. Śluza rozpoczyna swój cykl.

– Myślę – mówi Brander podnosząc głos, by przekrzyczeć nagły bulgot – że nie jest ci *dostatecznie* przykro.

Otwiera się właz prowadzący do śluzy. Trzymając w dłoni płetwy, wychodzi z niej Lenie Clarke. Wodzi obojętnymi oczami po pomieszczeniu; jej spojrzenie nie zatrzymuje się na Fischerze. Bez słowa zanosi płetwy na stojak.

Brander uderza Fischera w brzuch. Mężczyzna zgina się wpół, dysząc ciężko; uderza głową o właz prowadzący do śluzy. Nie może złapać oddechu. Pokład trze go w policzek. But Brandera prawie dotyka jego nosa.

– Hej. – Głos Lenie, odległy i niespecjalnie wyrażający jakiegokolwiek zainteresowanie.

– Wsadź sobie gdzieś swoje „hej”, Lenie. Ma za swoje.

– Wiem. – Krótka chwila ciszy. – Mimo wszystko.

– Kiedy Judy go szukała, zaatakował ją zmijowiec. Mógł ją zabić.

– Może. – Lenie wydaje się być bardzo zmęczona. – Więc dlaczego nie ma tu Judy?

– *Ja* jestem – mówi Brander.

Płuco Fischera znów zaczyna pracować. Łapczywie wciągając powietrze, mężczyzna podnosi się z ziemi, opierając się o gródź. Brander spogląda na niego z wściekłością. Lubin znów jest w pomieszczeniu, trzymając się jednej ze ścian. Obserwuje.

Lenie stoi pośrodku pokoju. Wzrusza ramionami.

– Co? – chce wiedzieć Brander.

– Nie wiem. – Kobieta obrzuca Fischera obojętnym wzrokiem. – On po prostu... po prostu nawalił. Nie chciał zrobić nic złe...

Urywa. Fischer odnosi wrażenie, że spogląda przez niego, przez gródź, prosto w samą otchłań, na coś, co tylko ona może zobaczyć. Cokolwiek to jest, niespecjalnie jej się podoba.

– A, walić to. – Rusza w stronę drabiny. – To i tak nie moja sprawa.

Lenie, proszę...

Podczas gdy kobieta znika im z oczu, Brander znów odwraca się w stronę Fischera. Ten odpowiada mu spojrzeniem. Mijają nieskończenie długie sekundy. Pięść Brandera zawisa w powietrzu.

I wystrzeliwuje do przodu tak szybko, że niemal nie sposób ją dostrzec. Fischer zatacza się pod wpływem ciosu i chwytając dłońmi rurę. W jego lewym oku wybuchają rozbłyśki światła. Przytrzymując się grodzi, próbuje pozbyć się ich mruganiem. Wszystko go boli.

Brander rozwiera pięść.

– Lenie jest zdecydowanie zbyt miła – zauważa, zginając i rozprostowując palce. – Osobiście jest mi to obojętne, czy chciałeś zrobić coś złego, czy nie.

Doppelgänger

Beebe jest prawie tak dźwiękoszczelna, jak wnętrze kabiny pogłosowej.

Lenie Clarke siedzi na swej koi i słucha ścian. Nie docierają do niej żadne konkretne słowa, ale nagłe uderzenie ciała o metal kilka minut wcześniej było dostatecznie wyraźne. Teraz z mesy dobiegają dźwięki prowadzonej ściszonymi głosami rozmowy. Gdzieś w rurze bulgocze woda.

Chyba słyszy, jak coś porusza się na dole.

Przykłada ucho do przypadkowej rury. Nic. Do kolejnej; syk sprężonego gazu. Do trzeciej; ciche, metaliczne echo powolnych kroków, szurających po dolnym pokładzie. Po chwili instalacja wodno-kanalizacyjna zaczyna wibrować pod wpływem stłumionego buczenia.

Skaner medyczny.

To nie moja sprawa. Niech załatwią to między sobą. Brander ma swoje powody, a Fischer...

Nie chciał zrobić nic złego.

Fischer jest nikim. To żaloszny, skrzywiony dupek, niestanowiący problemu dla nikogo poza sobą. Ma pecha, że tak załazi Branderowi za skórę, ale nikt nie obiecywał, że życie będzie sprawiedliwe. Nikt nie wie tego lepiej niż Lenie Clarke. Ona wie, jak to jest. Pamięta te pięści znikąd, miliony drobiazgów, które zrobiło się nie tak, a o czym nie wiedziało się do momentu, gdy było już za późno. *Jej* nikt nie pomógł. A mimo to dała sobie radę. Seks bywał skuteczny, czasami, jako taktyka dywersyjna. A czasami po prostu trzeba było uciekać.

Nie chciał zrobić nic złego.

Kobieta potrząsa głową.

Ja kurwa też nie!

Dźwięk dociera do niej szybciej niż ból. Głuche, potężne łomotnięcie, jak wtedy, kiedy ryba uderza w reflektor. Ze zdartej skóry na knykciach sączy się jej krew; przepuszczone przez filtry wzroku krople wydają się niemal czarne. Pojawiające się w następstwie pieczenie stanowi miłą odmianę.

Oczywiście na grodzi nie pozostał nawet ślad.

Prowadzona w mesie rozmowa ucichła. Clarke, ssąc dłoń, siedzi sztywno na pryczy. Wreszcie głosy na nowo podejmują konwersację.

Już prawie pora rozpocząć zmianę razem z Nakatą i Branderem. Clarke rozgląda się po kajucie z wahaniem. Musi jeszcze coś zrobić, zanim otworzy właz, coś ważnego, a nie może przypomnieć sobie, co. Jej oczy wędrują wciąż w stronę tej samej ściany, szukając czegoś, czego tam nie...

Lustro. Z jakiegoś powodu chce zobaczyć, jak wygląda. To dziwne. Nie pamięta, by czuła coś takiego od – cóż, od bardzo dawna. Ale to nic takiego. Po prostu posiedzi tu, aż to uczucie minie. Nie musi wychodzić na zewnątrz, nie musi nawet wstawać, dopóki nie poczuje się znów normalnie.

Jeśli masz wątpliwości, trzymaj się z dala od innych.

– Alice?

Właz jest zamknięty. Żadnej odpowiedzi.

– Jest w środku – Brander stoi na końcu korytarza, plecami do mesy. – Weszła tam nie więcej niż dziesięć minut temu.

Clarke ponownie puka do drzwi, tym razem mocniej.

– Alice? Już prawie czas.

Brander odwraca się na pięcie.

– Pójdę pozbierać sprzęt – i znikam.

Ze względów bezpieczeństwa nie można zablokować włazów w Beebe. Mimo to Clarke się waha.

Wie, jak ona by się czuła, gdyby ktoś tak po prostu, bez zaproszenia, wszedł na jej prywatny teren.

Ale powiedziała, że weźmie następną zmianę. A przecież pukałam...

Clarke kręci kołem pośrodku włazu. Plomba mimetyczna wokół krawędzi mięknie i cofa się.

Kobieta otwiera drzwi pociągnięciem i zagląda do środka.

Alice Nakata leży na koi z zamkniętymi oczami, drgając od czasu do czasu. Jej „skóra” jest częściowo zdjeta. Od przyczepów na jej twarzy i nadgarstkach odchodzą kable prowadzące do stojącej na półce przy łóżku maszyny świadomych snów.

Idzie spać dziesięć minut przed rozpoczęciem zmiany? To nie ma sensu. Poza tym, Nakata dopiero co była na dole z nimi wszystkimi. Z Fischerem. Jak ktokolwiek może zasnąć po czymś takim?

Clarke podchodzi bliżej i przygląda się wskaźnikom urządzenia; sztucznie wywoływaną fazę REM podkreślono do maksimum i zablokowano budzik. Nakata zasnęłaby w ciągu kilku sekund. Ba, przy tych ustawieniach odpłynęłaby w trakcie gwałtu zbiorowego.

Lenie Clarke kiwa głową z aprobatą. *Niezła sztuczka.*

Z ociąganiem dotyka przycisku pobudki. Sen znikam z twarzy Nakaty, a jej wyraz ulega nagłej zmianie. Powieki Azjatki trzepoczą, jej ciemne oczy otwierają się szeroko.

Clarke cofa się, zaskoczona. Alice Nakata zdjęła swoje nakładki.

– Pora wychodzić, Alice – mówi łagodnie. – Przykro mi, że cię obudziłam...

Naprawdę jest jej przykro. Nigdy wcześniej nie widziała, by Nakata się uśmiechała. Byłoby miło, gdyby ta chwila mogła trwać.

Gdy Clarke wchodzi do mesy, Brander zamyka właśnie czujnik szerokopasmowy w obudowie.

– Dołączy do nas później – mówi i odwraca się w stronę stojaka, by ściągnąć swoje płetwy.

Dokładnie przed sobą ma zamknięte drzwi do kabiny medycznej. Z jej wnętrza nie dochodzi żaden odgłos, czy to ludzki, czy mechaniczny.

– A tak, wciąż jest w środku – Brander podnosi nieco głos. I kurwa dobrze, póki jestem w okolicy.

– Nie chciał z... Zamknij się! Zamknij się, do cholery!

– Lenie?

Kobieta odwraca się i widzi, jak jego ręka opada. Tak naprawdę Brander jest dużo bardziej otwarty, niż można się było spodziewać, czasem niemal zapomina się w jej obecności.

Ale wszystko w porządku. On też nie chciał zrobić nic złego.

– Już nic – mówi Clarke, biorąc swoje płetwy.

Brander zanosi czujnik do śluzy, wrzuca go do środka razem z innymi błyskotkami i uruchamia cykl. Ich opadaniu w otchłań towarzyszy bulgot i stukot.

– Tylko...

Mężczyzna spogląda na nią; na jego twarzy, poza pustymi oczami, maluje się pytanie.

– Co masz do Fischera? – Jej głos opada niemal do poziomu szeptu.

Wiesz doskonale, co ma do Fischera, to nie twoja sprawa. Trzymaj się od tego z daleka.

Rysy Brandera tężeją jak zastygający cement.

– To jebany świr. Pieprzy małe dzieci.

Wiem.

– Kto tak powiedział?

– Nikt nie musi tego *mówić*. Poznają takich jak on na kilometr.

– Skoro tak mówisz. – Clarke przysłuchuje się swemu własnemu głosowi. Chłodny. Odległy, niemal znudzony. Dobrze.

– Dziwnie na mnie patrzy. Cholera, widziałaś, jak patrzy na *ciebie*? – Szczęk metalu o metal. – Jeśli tylko mnie dotknie, to go kurwa zabiję.

– Racja. Cóż, to nie będzie zbyt trudne. On po prostu siedzi, godząc się na wszystko, co mu zrobisz, rozumiesz, jest taki... bierny.

Brander prycha.

– Dlaczego w ogóle cię to obchodzi? Przecież on przeraża cię tak samo, jak nas wszystkich. Widziałem, co wydarzyło się w kabinie medycznej w zeszłym tygodniu.

Ze śluzy dobiega syk. Obok wejścia mruga zielone światło.

– Nie wiem – odpowiada Lenie. – Chyba masz rację. Wiem, kim jest.

Brander otwiera właz prowadzący do śluzy i wchodzi do środka. Clarke przytrzymuje krawędź drzwi.

– Ale jest coś jeszcze – odzywa się niemal do siebie. – Czegoś – brakuje. On nie pasuje.

– Żadne z nas nie pasuje – warczy Brander. – W tym cała, cholera, rzecz.

Kobieta zamyka właz. W środku jest dość miejsca dla dwojga – pozostali ryfterzy zazwyczaj nurkują parami – lecz ona woli robić to sama. To drobiazg. Nikt tego nie komentuje.

Nie jego wina. Nie Brandera, nie Fischera. Nie taty. Nie moja.

Niczyja pieprzona wina.

Za jej placami śluza napełnia się wodą.

Anioł

Dno morskie płonie. Szczeliny w skale migoczą w uspokajających odcieniach pomarańczowego, podobne do rozżarzonych węgli, a on wie, że to komin termiczny; ciepło wrzących strumieni czuć nawet przez „skórę”, odczyt z termistora skacze wraz z każdym ruchem wody. Jednak są tu takie miejsca, gdzie skały świecą na zielono, zaś w innych na niebiesko. Mężczyzna nie wie, czy podziękowania za to należą się biologii, czy też geochemii. Wie za to, że jest tam pięknie. To jak miasto wysoko z góry nocą. Jak filmik przedstawiający zorzę polarną, który kiedyś widział, tyle że ostrzejszy i jaśniejszy. Jak szmaragdowy pożar.

W pewnym sensie jest niemal wdzięczny Branderowi. Gdyby nie on, nigdy nie natrafiłby na to miejsce. Siedziałby w Beebe wraz z całą resztą, podłączony do biblioteki albo zaszyty w swej kajucie, bezpieczny i suchy.

Ale z Branderem w środku, Beebe nie może być schronieniem. Beebe jest areną. Tak więc dziś, gdy zakończyła się jego zmiana, Fischer pozostał na zewnątrz i pełzał po dnie, eksplorując. A teraz, gdzieś z dala od Gardła, odkrywa *prawdziwy* azyl.

Nie zasypiaj, mówi Cień. Dasz mu pretekst, jeśli znów przegapisz swą zmianę.

No i co z tego? Tu mnie nie znajdzie.

Nie możesz wiecznie ukrywać się na zewnątrz. Od czasu do czasu musisz coś zjeść.

Wiem, wiem. Bądź cicho.

Jest jedyną osobą, której kiedykolwiek dane było oglądać to miejsce. Od jak dawna ono istnieje? Ile to już milionów lat ta mała oaza świeci spokojnie pośród nocy, będąc sama dla siebie kieszonkowym wszechświatem?

Lenie by się tu spodobało, mówi Cień.

Tak.

W polu widzenia, jakieś pół metra nad nim, pojawia się buławik; jego podbrzusze zdobią puzzle odbitych barw. Nagle rzuca się jeden raz; całym jego ciałem wstrząsają silne dreszcze. Woda wokół niego drga pod wpływem zmian temperatury. Pod wpływem małej erupcji, przekrzywiona ryba wiruje ogonem w dół. W ciągu kilku sekund jej ciało bieleje i zaczyna strzępić się na brzegach.

Czterysta osiem stopni Celsjusza: taka jest najwyższa zarejestrowana temperatura gorących wycieków na Grzbiecie Juan de Fuca. Fischer wraca myślami do wskaźnika temperatury na kopolimerze skóry głębinowej.

Sto pięćdziesiąt.

Na wszelki wypadek wpływa nieco wyżej w kolumnę wody. Kiedy tylko odrywa się od nieregularnego dna, czuje we wnętrzościach słabe, jednostajne pulsowanie sonaru Beebe.

To dziwne. Będąc tak daleko, nie powinien wyczuwać sygnału, chyba że naprawdę mocno go podkreślił. A nie *zrobiliby* tego, chyba że...

Spogląda na zegarek.

O nie. Znów to samo.

Nim dociera do Gardła, reszta jest już w połowie rozmontowywania czwórki. Rozstępują się, robiąc mu miejsce. Lenie nie chce słyszeć jego przeprosin. W ogóle nie chce z nim rozmawiać. To boli, ale Fischer nie może w sumie mieć do niej pretensji. Może wkrótce będzie mógł jej to wynagrodzić. Może będzie mógł zabrać ją na zwiedzanie.

Dzięki Bogu to nie zmiana Brandera. Jest w Beebe. Lecz Fischer znów robi się głodny.

Może jest w swojej kajucie. Może mogą po prostu zjeść i pójść do łóżka. Może...

Siedzi tu, w mesie, zupełnie sam, rzucając Fischerowi gniewne spojrzenie znad swego posiłku, gdy tylko ten wspina się po drabinie do pomieszczenia.

Nie wkurzaj go.

Za późno. On zawsze jest wkurzony.

– Pomyślałem sobie – że może moglibyśmy coś sobie wyjaśnić – zaczyna.

– Spierdalaj.

Fischer podchodzi do stołu i odsuwa krzesło.

– Daj sobie spokój – mówi Brander.

– Słuchaj, to miejsce już i tak jest dostatecznie ciasne. Musimy chociaż *postarać się* utrzymywać poprawne stosunki, rozumiesz? Znaczy wiesz, to *napaść*. To *niezgodne z prawem*.

– No to mnie aresztuj.

– Może tak naprawdę wcale nie jesteś wściekły na mnie. – Fischer milknie na chwilę, zaskoczony.

Może właśnie w tym rzecz. – Może z kimś mnie pomyliłeś.

Brander wstaje.

Fischer ciągnie dalej.

– Może to ktoś *inny* coś ci kiedyś zrobił i...

Bardzo powoli Brander obchodzi stół dookoła.

– Z nikim cię nie pomyliłem. Wiem doskonale, kim jesteś.

– Nie, nie wiesz. Kilka tygodni temu zobaczyliśmy się po raz pierwszy! – To jasne, że w tym rzecz.

W ogóle nie chodzi o mnie, tylko o kogoś innego! – Cokolwiek cię spotkało.

– To nie twój cholerny interes, a jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, to cię, kurwa, *zabiję*.

Chodźmy stąd, błaga Cię. Wyjdźmy, bo to tylko pogarsza sprawę.

Lecz Fischer ani myśli dać za wygraną. Nagle wszystko wydaje się oczywiste.

– To nie byłem ja – mówi cicho. – To, co się wydarzyło – przykro mi. Ale to nie byłem ja, *wiesz*, że nie byłem.

Przez chwilę, mężczyzna ma wrażenie, że udało mu się do niego dotrzeć. Twarz Brandera rozluźnia się nieco; ściągnięte rysy i brwi wygładzają się lekko wokół pozbawionych wyrazu, białych oczu tak, że Fischer niemal widzi, jak coś innego niż gniew maluje się na tym obliczu.

Lecz nagle czuje, jak coś się porusza; to jego własna, wyciągająca się ręka. *Cieniu, nie, wszystko zepsujesz...* Ale Cię nie słucha; nuci coś pod nosem. Nie wkurzaj go, nie wkurzaj go, nie wkurzaj go.

To właśnie *robisz*.

Gdzieś w głębi gardła Brandera rodzi się warkot, który narasta, niczym odległa fala, spiętrzająca się coraz bardziej i bardziej, w miarę jak zbliża się do brzegu.

– ...nawet mnie, kurwa, **NIE DOTYKAJ!**

Ciało nie drętwieje dostatecznie szybko.

Na początku piecze. Potem mężczyzna czuje, jak pęka zaschnięta krew wokół powieki i widzi rozmazaną linię czerwonego światła. Próbuje dotknąć twarzy ręką. Boli.

Coś zimnego i mokrego, kojącego. Puszczają kolejne skrzepy.

– Nnnnnn...

Ktoś dłubie przy jego oczach. Fischer próbuje stawiać opór, ale jest w stanie jedynie słabo poruszyć głową z boku na bok. To boli jeszcze bardziej.

– Nie ruszaj się.

Głos Lenie.

– Twoja prawa nakładka została uszkodzona. Możliwe, że wbiła się w rogówkę.

Mężczyzna ustępuje. Palce Lenie wciskają się pomiędzy opuchnięte, przypominające poduszki powieki. Nagły nacisk na gałkę oczną, zasysające szarpnięcie. Młaśnięcie i uczucie, jakby coś o poszarpanych krawędziach przejechało mu po źrenicy.

Świat pogrąża się w mroku.

– Poczekaj – odzywa się Lenie. – Rozjaśnię światła.

Wszystko jest wciąż lekko czerwone, ale przynajmniej Fischer coś widzi.

Znajduje się w swojej kajucie. Lenie Clarke pochyla się nad nim, w jednej ręce trzyma kawałek lśniącej, mokrej błony.

– Miałeś szczęście. Powyrywałyby ci chrząstki żebrowe, gdyby nie było za nimi implantów. –

Kobieta upuszcza gdzieś zniszczoną nakładkę i bierze kartridż z płynną skórą. – A tak, złamał ci tylko kilka żeber. Całe mnóstwo siniaków. Może łagodne wstrząśnienie mózgu, ale dla pewności będziesz musiał zajrzeć do kabiny medycznej. Aha, jestem też przekonana, że złamał ci kość policzkową.

Brzmi to tak, jakby czytała listę zakupów.

– Dlaczego nie... – Ciepła sól zalewa mu usta. Delikatnie bada ich wewnątrz językiem; przynajmniej zęby są nienaruszone. – ...teraz w medycznej?

– Próba zniesienia cię na dół po drabinie byłaby straszną harową. Brander by mi nie pomógł. Cała reszta jest na zewnątrz. – Spryskuje jego biceps pianką, która, wysychając, ściąga skórę. – Ale i oni raczej nie kwapiliby się do pomocy – dodaje.

– Dzięki...

– Nic takiego nie zrobiłam. W zasadzie tylko cię tu zaciągnęłam.

Mężczyzna rozpaczliwie pragnie jej dotknąć.

– Co z tobą, Fischer? – pyta po chwili Clarke. – Dlaczego nigdy się nie bronisz?

– Nic by to nie dało.

– Żartujesz sobie? Wiesz, jaki jesteś wielki? Załatwiłbyś Brandera, gdybyś tylko mu się postawił. *Cień mówi, że to tylko pogarsza sytuację. Kiedy się bronisz, to tylko bardziej ich wkurza.*

– Cień? – pyta Lenie.

– Co?

– Powiedziałeś...

– Nic nie mówiłem...

Kobieta przygląda mu się przez chwilę.

– No dobrze – mówi wreszcie i wstaje. – Zadzwoń na górę i poproszę o zastępstwo.

– Nie, wszystko jest w porządku.

– Jesteś ranny, Fischer.

Mężczyzna słyszy w głowie szepty samouczków medycznych.

– Na dole mamy sprzęt.

– Mimo to, przez tydzień nie byłbyś zdolny do pracy. A nim w pełni wróciłbyś do zdrowia, minęłoby ponad drugie tyle.

– Przewidzieli, że będą wypadki. Kiedy układali harmonogramy.

– A jakim cudem zamierzasz do tego czasu trzymać się z dala od Brandera?

– Będę spędzał więcej czasu na zewnątrz. Proszę cię, Lenie.

Kobieta potrząsa głową.

– Jesteś stuknięty. – Kieruje się w stronę wjazdu i odblokowuje go. – Oczywiście to nie moja sprawa. Po prostu uważam...

Odwraca się.

– Kręci cię bycie tutaj?

To powinno być głupie pytanie. Zwłaszcza w tym momencie. A jednak nie jest.

– W pewnym sensie – odpowiada wreszcie, po raz pierwszy zdając sobie z tego sprawę.

Clarke kiwa głową, mrużąc oczy ponad białymi przestrzeniami.

– Przyływ dopaminy.

– Dopa...?

– Mówią, że się od tego uzależniamy. Żyjąc tu, na dole. Żyjąc – w strachu, jak sądzę – mówi cicho.

– W każdym razie tak głośno plotka.

Fischer rozważa jej słowa.

– Nie tyle mnie to kręci, co raczej przyzwyczaiałem się do tego. Rozumiesz?

– Taa. – Kobieta odwraca się i otwiera włącznik. – Jasne.

Z sufitu kabiny medycznej, do góry nogami zwisa długa na metr modliszka, cała czarna, za wyjątkiem chromowanego wykończenia. Spała tam przez cały czas od przyjazdu Fischera. Teraz wisi nad jego twarzą, a jej segmentowane odnóża szcękają, poruszając się energicznie w górę i w dół niczym oszalałe, chińskie pałeczki, zbudowane z łączących się ze sobą stawów. Co jakiś czas jeden z jej czułków mruga na czerwono, a wtedy Fischer czuje zapach własnego, przyżeganego ciała. Trochę mu to przeszkadza. Co gorsza, nie może poruszać głową. Neuroindukcyjne pole stołu medycznego sparaliżowało go od szyi w górę. Mężczyzna nie może przestać zastanawiać się, co by było, gdyby ogniskowa nieco się obsunęła, gdyby ta zabójcza wiązka energii została skierowana na jego płuco. Albo *serce*.

Modliszka zatrzymuje się w połowie ruchu, jej antenki drgają. Na kilka sekund całkowicie nieruchomieje.

– Witaj, ee... Gerry, tak? – odzywa się wreszcie. – Jestem doktor Troyka.

Głos wydaje się należeć do kobiety.

– Jak się miewamy? – Fischer próbuje odpowiedzieć, ale jego głowa i szyja wciąż są w gruncie rzeczy kawałami martwego miecha. – Nie, nie próbuj odpowiadać – oponuje modliszka. – To pytanie retoryczne. Sprawdzam teraz twoje odczyty.

Fischer przypomina sobie: sprzęt medyczny nie wszystko jest w stanie zrobić sam. Czasami, gdy coś jest dla niego zbyt skomplikowane, wzywa do pomocy człowieka.

– Wow – odzywa się znów modliszka. – Co ci się stało? Nie, na to pytanie też nie odpowiadaj. Nie chcę wiedzieć. – W polu widzenia Fischera pojawia się ramię pomocnicze, które zaczyna poruszać się w tę i z powrotem przed jego oczami. – Wyłączę na chwilę pole wytłumiające. Może trochę boleć. Postaraj się nie poruszać, kiedy to zrobię, poza odpowiadaniem na moje pytania.

Twarz Fischera zalewa fala bólu. Nie jest aż tak źle. W sumie cierpienie wydaje się nawet znajome. Powieki wydają się szorstkie, a język wysechł. Mężczyzna próbuje mrugnąć; udało się. Zamyka usta i przesuwa językiem po opuchniętych policzkach. Lepiej.

– Przypuszczam, że nie chcesz wracać na górę? – pyta oddalona o setki kilometrów doktor Troyka. – Zdajesz sobie sprawę, że twoje obrażenia są dość poważne, by dać podstawy do odwołania cię ze stanowiska?

Fischer potrząsa głową.

– Nie trzeba. Mogę tu zostać.

– Uhm. – Modliszka nie wydaje się być zaskoczona. – Ostatnio dość często było mi dane to słyszeć. No dobrze, poskładam ci teraz kość policzkową i usztywnię ją drutem, a także wszczępię ci

pod skórę małą baterijkę. Tuż pod prawym okiem. Zmusi ona komórki twoich kości do działania na najwyższych obrotach, przyspieszając w ten sposób proces gojenia. Ma zaledwie kilka milimetrów szerokości, więc będzie ci się wydawało, że masz jakąś twardą krostkę. Może trochę swędzieć, ale postaraj się jej nie drapać. Gdy już wyzdrowiejesz, możesz po prostu wycisnąć ją jak pryszcz. W porządku?

– W porządku.

– No dobrze, Gerry. Włączę pole z powrotem i zabieram się do pracy. – Modliszka furkocze z niecierpliwością.

Fischer unosi dłoń.

– Poczekaj.

– O co chodzi, Gerry?

– Która... która jest godzina tam, na górze? – pyta.

– Piąta dziesięć. Czasu pacyficznego, letniego. Dlaczego pytasz?

– Wcześniej.

– To prawda.

– Chyba panią obudziłem – mówi Fischer. – Przepraszam.

– A gdzie tam. – Palce na końcach mechanicznych ramion poruszają się w roztargnieniu. – Nie śpię od wielu godzin. Nocna zmiana.

– Nocna?

– Pełnimy dyżur dwadzieścia cztery godziny na dobę, Gerry. Wiesz, jest tu mnóstwo stacji geotermalnych. Z reguły... z reguły mamy z wami pełne ręce roboty.

– Och. Przykro mi.

– Nie ma o czym mówić. To moja praca.

Coś byczy, gdzieś na tyle jego głowy; przez chwilę Fischer czuje, jak wiotczeją mu mięśnie twarzy. Potem nic już nie czuje, a wtedy modliszka rzuca się na niego niczym drapieżnik.

Fischer doskonale wie, że nie należy rozpinać „skóry” będąc na zewnątrz.

Nie zabije cię to, a w każdym razie nie od razu. Jednak woda morska jest o wiele bardziej słona niż krew; jeśli dostanie się do środka, proces osmozy wyciągnie wodę z komórek nabłonka, wysuszając je i czyniąc z nich małe, lepkie gluty. Nerki ryfterów zostały zmodyfikowane, by przyspieszyć odzyskiwanie wody w takiej właśnie sytuacji, ale nie jest to rozwiązanie długoterminowe i ma swoją cenę. Narządy szybciej się zużywają, mocz zamienia się w olej. Najlepiej po prostu zostać w szczelnym opakowaniu. Kiedy twoje wnętrzości zbyt długo moczą się w wodzie morskiej, zaczynają jakby *korodować*, nieważne, czy mowa o implantach, czy nie.

Ale to tylko kolejny z problemów Fischera. Nigdy nie myśli perspektywicznie.

Plomba twarzowa jest pojedynczą makromolekułą o długości pięćdziesięciu centymetrów. Biegnie w tę i z powrotem wzdłuż linii szczęki, niczym dwie strony zamka błyskawicznego, mając za zęby hydrofobiczne łańcuchy boczne. Rozdzielić je może malutkie ostrze umocowane przy palcu wskazującym lewej rękawicy. Mężczyzna przesuwając nim teraz wzdłuż plomby, a „skóra” rozchodzi się gładko wokół jego ust.

Z początku nie czuje praktycznie niczego. Poniekąd spodziewał się, że ocean wedrze mu się przez nozdrza i wyżre zatoki, ale oczywiście wszystkie jamy ciała zostały już zalane solą fizjologiczną. Jediną natychmiastowo odczuwalną zmianą jest fakt, że jego twarz robi się coraz bardziej zimna, co nieco uśmierza nieustające rwanie poobijanego ciała.

Silniejszy ból pulsuje pod jednym z oczu, gdzie umieszczone przez doktor Troykę druty łączą w

jedną całość kości twarzy; wzdłuż nich czuć delikatne mrowienie mikroprądów, zmuszających kościotwórcze osteoblasty do pracy na najwyższych obrotach.

Po kilku chwilach Fischer próbuje przepłukać sobie gardło. Nie udaje mu się, więc zadowolona się rozdziawieniem ust niczym ryba i poruszaniem językiem. To załatwia sprawę. Po raz pierwszy czuje smak dziewiczego oceanu, ostrzejszy i bardziej słony niż ciecz wypełniająca go od środka.

Na dnie, tuż przed nim, chmara ślepych krewetek żeruje pośród prądu z pobliskiego komina. Fischer widzi przez nie na wylot. Przypominają małe odłamki szkła z podrygującymi wewnątrz glutowatymi narządami.

Od momentu, kiedy ostatnio coś jadł, musiało minąć już czternaście godzin, ale nie ma nawet takiej opcji, że wróci do Beebe, póki Brander będzie w środku. Poprzednim razem, kiedy spróbował, Brander czekał na niego w mesie.

A niech tam. To tak jak kryl. Ludzie na okrągło jedzą tego typu rzeczy.

Smakują dość dziwnie. Usta Fischera drętwieją z zimna, ale mimo to mężczyzna jest w stanie wyodrębnić delikatny, ledwie wyczuwalny posmak zgniłych jaj. Jednak poza tym nie jest aż tak źle. A na pewno lepiej, byłoby podczas spotkania z Branderem

Gdy piętnaście minut później łapią go konwulsje, nie jest już tego taki pewien.

– Gównianie wyglądasz – mówi Lenie.

Fischer rozgląda się po mesie, kurczowo trzymając się poręczy.

– Gdzie...

– W Gardle. Jest na zmianie razem z Lubinem i Caraco.

Mężczyzna z trudem dociera do kanapy.

– Nie widywałam cię już od jakiegoś czasu – zauważa Lenie. Jak tam twoja twarz?

Fischer zezuje na nią, czując napływające fale mdłości. Lenie Clarke próbuje po prostu z nim pogadać, ot tak. *Nigdy wcześniej tego nie robiła.* Mężczyzna wciąż próbuje rozgryźć, dlaczego zmieniła podejście, gdy znów łapią go skurcze żołądka i wali się na ziemię. Wymiotuje już tylko kilkoma strużkami kwaśnego płynu.

Jego oczy śledzą bieg rur przecinających się pod sufitem. Po chwili widok przesłania twarz Lenie, spoglądającej na niego z wysoka.

– Co jest? – Wygląda na to, że kobieta pyta z czystej ciekawości, nic więcej.

– Zjadłem kilka krewetek – odpowiada, po czym znów zbiera mu się na wymioty.

– Zjadłeś – z zewnątrz? – Lenie pochyła się i podnosi go. Jego ręce szurają po pokładzie. Coś twardego uderza go w głowę; poręcz od prowadzącej na dół drabinki.

– Kurwa – mówi Clarke.

Znów jest na podłodze, sam. Odgłos oddalających się kroków. Zawroty głowy. Czuje nacisk czegoś na szyi i ukłucie połączone z delikatnym syknięciem.

Niemal natychmiast przejaśnia mu się w głowie.

Lenie pochyła się nad nim, tak blisko nie była jeszcze nigdy. Nawet go dotyka, trzyma jedną rękę na jego ramieniu. Mężczyzna przygląda się tej ręce, czując głupie zdumienie, ale wtedy kobieta cofa dłoń.

W drugiej trzyma hypo. Żołądek Fischera zaczyna się uspokajać.

– Dlaczego zrobiłeś coś tak głupiego? – pyta łagodnie Clarke.

– Byłem głodny.

– A co jest nie tak z procesorem?

Mężczyzna nie odpowiada.

– Och – odzywa się Lenie. – Racja.

Wstaje i z trząśnięciem wyciąga zużyty kartridż z hypo. – To nie może tak się dłużej ciągnąć, Fischer. Wiesz o tym.

– Od dwóch tygodni mnie nie dorwał.

– Od dwóch tygodni cię nie *widział*. Przychodzisz tylko wtedy, gdy on jest na zmianie. I coraz częściej opuszczasz własne. Co nie przysparza ci popularności wśród reszty. – Kobieta przekrzywia głowę, gdy Beebe zaczyna trzeszczeć wokół nich. – Dlaczego po prostu nie zadzwonisz na górę i nie powiesz im, by zabrali cię do domu?

Ze względu na to, co robię dzieciom, bo jeśli odejdę stąd, pokroją mnie i zrobią ze mnie kogoś innego... Ze względu na takie rzeczy tam, na zewnątrz, które niemalże wynagradzają pobyt tutaj... Ze względu na ciebie...

Fischer nie ma pojęcia czy Clarke zrozumiałaby którykolwiek z jego powodów. Woli nie ryzykować.

– Może mogłabyś z nim porozmawiać? – wydusza wreszcie.

Lenie wzdycha.

– Nie posłuchałby mnie.

– Może gdybyś spróbowała, chociaż...

Jej rysy tężeją.

– Próbowałam. Ja...

Łapie się na tym, co powiedziała.

– Nie mogę się angażować – szepcze. – To nie moja sprawa.

Fischer zamyka oczy. Czuje się tak, jakby miał się rozpłakać.

– On po prostu nie odpuszcza. Naprawdę mnie nienawidzi.

– Nie chodzi o ciebie. Po prostu – pasujesz.

– Dlaczego umieścili nas tu razem? To nie ma sensu!

– Właśnie, że ma. Statystycznie.

Fischer otwiera oczy.

– Co?

Lenie przeciąga dłonią po twarzy. Wygląda na bardzo zmęczoną.

– Tutaj nie jesteśmy ludźmi, Fischer. Jesteśmy zbiorem danych statystycznych. To, co stanie się z tobą, ze mną, czy Branderem, nie ma najmniejszego znaczenia, dopóki średnia pozostanie na tym samym poziomie, a odchylenie standardowe za bardzo nie wzrośnie.

Powiedz jej, mówi Cię.

– Lenie...

– W każdym razie. – Atmosfera rozluźnia się. – Chyba oszalałeś, że jesz cokolwiek tak blisko strefy ryftu. Nie uczyłeś się o siarkowodorze?

Mężczyzna kiwa głową.

– Szkolenie podstawowe. Kominy wyrzucają go na zewnątrz.

– A on gromadzi się w bentosie. To wszystko jest toksyczne. O czym, jak sądzę, już się przekonałeś.

Kobieta zaczyna schodzić w dół po drabinie, ale zatrzymuje się na drugim szczeblu.

– Jeśli naprawdę chcesz zostać tubylcem, spróbuj żywić się z dala od ryftu. Albo poluj na ryby.

– Ryby?

– Więcej się przemieszczają. Nie siedzą cały czas w gorących źródłach. Może się nadają.

– Ryby – powtarza Fischer. Nie przyszło mu to do głowy.

– Powiedziała*m może*.

Cieniu, tak strasznie mi przykro...

Ciii. Tylko popatrz na te wszystkie śliczne światła.

Więc patrzy. Zna to miejsce. Znajduje się na dnie Oceanu Spokojnego. Wrócił do baśniowej krainy. Wydaje mu się, że ostatnio często ją odwiedza, obserwuje światła i bąbelki, wsłuchuje się w odgłosy ścierających się ze sobą skał głębinowych.

Może tym razem tu zostanie i poprzygląda się, jak to wszystko działa, ale nagle przypomina sobie, że powinien być gdzieś indziej. Czeka, lecz nie przychodzi mu do głowy nic konkretnego. Tylko uczucie, że powinien robić coś gdzieś indziej. I to zaraz.

Tak czy siak, pozostawanie tutaj staje się coraz trudniejsze. Gdzieś w górnej części jego ciała pojawia się nieokreślony, pulsujący ból. Po chwili mężczyzna zdaje sobie sprawę, co to takiego. To jego twarz.

Może to piękne światło sprawia ból jego oczom.

Coś jest nie tak. Nakładki powinny sobie z tym poradzić. Może nie działają. Fischer wydaje się pamiętać, że coś przydarzyło się jego oczom jakiś czas temu, ale nie ma to w zasadzie żadnego znaczenia. Zawsze może po prostu stąd odejść. Nagle, w cudowny sposób, znajduje proste rozwiązanie na wszystkie swoje problemy.

Skoro światło sprawia mu ból, musi przebywać tylko w mroku.

Zdziczały

– Hej – byczy Caraco, gdy skręcają za róg. – Piątka.

Clarke spogląda w tamtą stronę. Piątka znajduje się w odległości piętnastu metrów, a woda jest nieco mętna. Mimo to, Lenie widzi coś dużego i ciemnego, przyczepionego do kanału wlotowego. Pełzający po obudowie cień tego czegoś przypomina nedorzecznie rozciągniętego, czarnego pająka.

Clarke pod pływa kilka metrów bliżej, Caraco trzyma się jej boku. Kobiety wymieniają spojrzenia.

Fischer wisi głową w dół, trzymając się sieci. Nikt nie widział go od ośmiu dni.

Clarke delikatnie kładzie torbę na dnie; Caraco idzie w jej ślady. Dwa czy trzy ruchy nóg przybliżają je na pięć metrów od wlotu. Zewsząd dochodzi buczenie maszyn, dźwięk jest na tyle głęboki, że można go odczuć.

Mężczyzna zwrócony jest do nich plecami; kanał wlotowy zasysa go łagodnie, znosząc z jednej strony na drugą. Kratownica kanału jest ledwo widoczna spod porastających ją żyłtek; niewielkich małż, rurkoczułkowców, krabów. Fischer wyciąga z kanału wijące się kępki i wypuszcza je z dłoni, pozwalając im dryfować albo opaść w dół, na ulicę. Jak do tej pory udało mu się oczyścić jakieś dwa metry kwadratowe.

Przyjemnie zobaczyć, że wciąż bierze na poważnie część swych obowiązków.

– Hej. Fischer – odzywa się Caraco.

Ten odwraca się gwałtownie, jak rażony prądem. Macha ręką w stronę twarzy Clarke, lecz kobieta w porę się zasłania. W sekundę później Fischer przetacza się obok. Lenie porusza nogami, by odzyskać równowagę. Mężczyzna zmierza w stronę ciemności, nie oglądając się za siebie.

– Fischer – woła Clarke. – Zatrzymaj się. Wszystko w porządku.

Fischer przestaje na chwilę młócić nogami i spogląda przez ramię.

– To ja – byczy Lenie. – I Judy. Nie zrobimy ci krzywdy.

Ledwie widoczny w oddali mężczyzna odwraca się w ich stronę i zastyga w bezruchu. Clarke postanawia zaryzykować i macha do niego.

– Chodź, Fischer. Pomóż nam.

Caraco pojawia się za jej plecami.

– Lenie, co ty wyprawiasz? – przyciszyła vocoder do poziomu syknięcia. – On już za bardzo odpłynął, on...

Clarke również przycisza vocoder.

– Zamknij się, Judy. – Po czym znów go podgłośnia. – Co ty na to, Fischer? Zarób na swoje wynagrodzenie.

Mężczyzna z wahaniem wraca w krąg światła, niczym dzikie zwierzę zwabione obietnicą pożywienia. Gdy się zbliża, Clarke zauważa, że jego żuchwa porusza się w górę i w dół pod kapturem. Ruchy są urywane i nieskoordynowane, jakby Fischer uczył się ich po raz pierwszy.

Wreszcie wydaje z siebie odgłos.

– Oo-keeej.

Caraco zawraca i zbiera sprzęt. Clarke podaje Fischerowi skrobaczkę. Po chwili mężczyzna niezdarnie bierze ją do ręki i podąża śladem swych towarzyszek w stronę piątki.

– Jjaaak za – byczy – dawnych cz-czasów.

Caraco spogląda na Clarke. Ta milczy.

Gdy zmiana ma się ku końcowi, Clarke rozgląda się naokoło.

– Fischer?

Caraco wystawia głowę z kanału dostępowego.

– Nie ma go?

– Kiedy go ostatnio widziałaś?

Vocoder Caraco tyka kilka razy; mechanizm zawsze błędnie interpretuje „hmmm”.

– Chyba jakieś pół godziny temu.

Clarke ustawia swój vocoder na dużą głośność.

– Hej Fischer! Jesteś tu jeszcze?

Żadnej odpowiedzi.

– Fischer, niedługo wracamy. Jeśli chcesz się z nami zabrać...

Caraco tylko kręci głową.

Cień

To koszmar.

Z każdej strony światła, oślepiające, sprawiające ból. Mężczyzna ledwie może się poruszać. Wszystko ma takie wyraźne krawędzie, a gdzie nie spojrzy, granice są zbyt ostre. Dźwięki też są takie; brzęki i krzyki, każdy hałas staje się okrzykiem bólu. Ledwie zdaje sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Nie wie jednak, dlaczego tu jest.

Tonie.

– ZZZZRRRRRRR WIIIIIIIIIIIIIIJJJJPPPPPIIIIIIEEEEEEE ECZĘĘĘĘ
ĘĘĘĘĆZZZJJJJJJJJGGGOOUUUUSSSSSSSTT...

Rurki w jego klatce piersiowej zasysają pustkę. Reszta wnętrzości próbuje napęlić się powietrzem, ale nie ma niczego, co mogłoby im to umożliwić. Mężczyzna rzuca się w panice. Coś ustępuje z trzaskiem. Nagła fala bólu zalewa jakąś odległą kończynę, a w chwilę później ogarnia całe ciało. Fischer chce krzyknąć, ale w środku nie ma niczego, co dałoby się wypchnąć.

– JJJJJJJJJGGGOOUUUUSSSSSSSTTDOOCHLLLLLEEEEEERRRYY
YYYYAAAAAADDUUUSSSSSSSSSIISSSSIĘĘĘ!

Ktoś zrywa część jego twarzy. Wnętrzości natychmiast się napęliają; co prawda nie zimną solą fizjologiczną, do której przywykł, ale i tak to pomaga. Pałący ból w klatce piersiowej ustępuje.

– WEEEEEEELKIIIBŁŁĄĄĄĄĄDD!

Ciśnienie, bolesne i nierównomierne. Coś przytrzymuje go i podnosi, wpada na niego. Metaliczny, ogłuszający hałas. Przypomina sobie dźwięk...

– *ciężenie...*

– ...który wydaje się pasować, ale nie ma pojęcia co on znaczy. A potem wszystko zaczyna wirować, wszystko staje się znajome i straszne, za wyjątkiem jednej rzeczy, przelotnego widoku twarzy, która jakimś sposobem go uspokaja.

Cień?

I nagle ciężar znika, znika ciśnienie, a lodowato zimna woda koi jego wnętrzości, gdy znów wiruje razem z nią, ponownie będąc na zewnątrz, tam, gdzie była wiele lat temu.

Pokazuje mu, jak się to robi. Zakrada się do jego pokoju, gdy ustają krzyki, wślizguje się mu pod kołdrę i zaczyna głaskać jego penis.

– Tata mówi, że to właśnie robisz, gdy naprawdę kogoś kochasz – szepcze. To go przeraża, bo nawet się nie *lubią*, po prostu chce, żeby sobie poszła i zostawiła ich wszystkich w spokoju.

– Idź sobie. *Nienawidzę* cię – mówi, ale za bardzo się boi, by się poruszyć.

– Wszystko w porządku, dzięki temu nie będziesz musiał robić tego mnie – próbuje się roześmiać, próbuje udawać, że on tylko żartował.

A potem pyta, nie przerywając głaskania:

– Dlaczego zawsze jesteś dla mnie taki niedobry?

– Nie jestem niedobry.

– Właśnie, że jesteś.

– Nie powinno cię tu być.

– Nie możemy po prostu zostać przyjaciółmi? – Ociera się o niego. – Mogę to robić kiedy tylko zechcesz.

– Idź sobie. Nie możesz tu zostać.

– Właśnie, że *mogę*, może. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, tak powiedzieli. Ale musimy się lubić,

bo mogą odesłać mnie z powrotem.

– I dobrze.

Zaczyna płakać i ocierać się o niego tak mocno, że aż łóżko się trzęsie.

– Proszę cię, czy nie możesz mnie polubić, proszę, zrobię wszystko, nawet...

Jednak nigdy nie dowiaduje się, co by zrobiła, bo właśnie wtedy drzwi otwierają się z trzaskiem, a tego, co wydarzyło się później, Gerry Fischer tego nie pamięta.

Cieniu, tak strasznie mi przykro...

Ale teraz znów jest z nim, pośród zimna i mroku, gdzie jest bezpiecznie. Jakimś cudem. Beebe świeci niewyraźnym, szarym blaskiem w oddali. Ona zaś unosi się w wodzie na tle stacji, przypominając wyciętą z tektury, czarną sylwetkę.

– Cień... – To nie jest jego głos.

– Nie – Ani nie jej. – Lenie.

– Lenie...

W jej oczach odbijają się bliźniacze półksiężyce, cienkie jak paznokcie. Nawet w dwóch wymiarach jest wciąż piękna.

Z jej gardła wydobywają się bzyczące, poszarpane słowa:

– Wiesz, kim jestem? Rozumiesz, co mówię?

Mężczyzna kiwa głową, po czym zastanawia się, czy Clarke widzi ten gest.

– Tak.

– Ty nie... Ostatnio tak jakby odpłynąłeś, Fischer. Zupełnie jakbyś zapomniał, jak być człowiekiem.

Fischer próbuje się zaśmiać, ale vocoder nie daje sobie z tym rady.

– Wydaje mi się, że to przychodzi i mija. W każdym razie, teraz jestem... przytomny. Tak się mówi, prawda?

– Nie powinieneś był wracać do środka. – Maszyneria odziera jej słowa z jakichkolwiek uczuć. – Mówi, że cię zabije. Może powinieneś po prostu trzymać się od niego z daleka.

– W porządku – mówi i wydaje mu się, że naprawdę może tak być.

– Chyba mogę wynosić ci jedzenie na zewnątrz. Ich to nie obchodzi.

– Nie trzeba. Mogę iść na ryby.

– Wezwę skaf. Może cię stamtąd zgarnąć.

– Nie. Mogę sam wypłynąć na powierzchnię, jeśli zechcę. To niedaleko.

– No to powiem im, żeby kogoś przysłali.

– Nie.

Chwila ciszy.

– Nie dasz rady przepłynąć całej odległości do stałego lądu.

– Zostanę tu, na dole... przez jakiś czas... Dno morskie zaczyna łagodnie drzeć.

– Jesteś pewny? – pyta Lenie.

– Tak – Boli go ręka. Nie ma pojęcia, dlaczego.

Kobieta odwraca się nieco. Przyćmione odbicia na dłuższą chwilę znikają z jej oczu.

– Przykro mi, Gerry.

– W porządku.

Sylwetka Lenie przekręca się i zwraca w stronę Beebe.

– Muszę się zbierać.

Nie odchodzi. Nie odzywa się prawie przez minutę.

A potem:

– Kim jest Cień?

Kolejna chwila ciszy.

– To moja... przyjaciółka. Z czasów dzieciństwa.

– Wiele dla ciebie znaczy. – To nie jest pytanie. – Chcesz, żebym wysłała jej wiadomość?

– Ona nie żyje – wyjaśnia Fischer, dziwiąc się, że przez cały czas doskonale o tym wiedział.

– Och.

– Nie chciałem – mówi. – Ale miała swoją mamę i swojego tatę, dlaczego potrzebowała moich?

Wróciła tam, gdzie jej miejsce. To wszystko.

– Gdzie jej miejsce – byczy Lenie tak cicho, że prawie jej nie słysząc.

– Nie moja wina – Mówienie sprawia mu trudność. Kiedyś nie było aż tak ciężko.

Ktoś go dotyka. Lenie. Trzyma rękę na jego ramieniu, a on czuje przez „skórę” ciepło jej ciała, choć wie, że to niemożliwe.

– Gerry.

– Tak?

– Dlaczego nie była ze swoją rodziną?

– Powiedziała, że ją krzywdzą. Zawsze tak mówiła. Dzięki temu udało jej się wkręcić.

Wykorzystywała to, zawsze działało...

Nie zawsze, przypomina Cień.

– A potem wróciła – mruczy Lenie.

– Nie chciałem.

Z vocodera Lenie wydobywa się jakiś odgłos, ale Fischer nie ma pojęcia, co to takiego.

– Brander się nie myli, prawda? Co do ciebie i dzieci.

Jakimś sposobem mężczyzna wie, że Clarke go nie oskarża. Po prostu się upewnia.

– To właśnie robisz – tłumaczy jej – gdy naprawdę kogoś kochasz.

– Och, Gerry. Jesteś totalnie popieprzony.

Seria stuknięć odbija się delikatnie od mechanizmu w jego klatce piersiowej.

– Szukają mnie – stwierdza kobieta.

– W porządku.

– Uważaj na siebie, okej?

– Mogłabyś zostać. Tutaj.

Jej milczenie jest dla niego jasną odpowiedzią.

– Może zajrzę czasem, żeby cię odwiedzić – byczy wreszcie. Podpływa do góry i odwraca się.

– Pa – mówi Cień. Przemówiła na głos po raz pierwszy, od kiedy zamieszkała we wnętrzu, ale

Fischerowi wydaje się, że Lenie nie zauważyła różnicy.

A potem znika, na jakiś czas.

Ale przypląwa tu na okrągło. Czasem sama. Mężczyzna wie, że to nie koniec. A gdy Clarke będzie tak pływać z innymi w tę i z powrotem, robiąc te wszystkie rzeczy, które *on* kiedyś robił, Fischer pozostanie tutaj, ukryty, gdzie nikt nie może go zobaczyć. Sprawdzając. Upewniając się, że wszystko u niej w porządku.

Niczym jej własny anioł stróż. Prawda, Cieniu?

W oddali migocze niewyraźnie kilka ryb.

Cieniu...?

Tancerz

Tydzień później przybywa skafem zastępca Fischera. Nikt już nie pełni warty w pomieszczeniu łączności; maszynom nie robi różnicy, czy mają widownię, czy nie. Nagle szczęknięcie odbija się szerokim echem w całej Stacji Beebe. Lenie Clarke czeka samotnie w mesie, aż otworzy się przejście w suficie. Nad jej głową syczy sprężony nitroks, spychając wodę morską z powrotem w otchłań.

Właz otwiera się. Do pomieszczenia wlewa się zielonkawy blask. Mężczyzna schodzi w dół po drabince w zaplombowanej skórze, jedynie z odsłoniętą twarzą. Ukryte pod nakładkami oczy to pozbawione wyrazu, szklane kule. Lecz jakimś cudem nie są tak martwe, jak być powinny. Coś spogląda przez te puste soczewki i wydaje się niemal *świecić*.

Ślepe oczy lustrują pomieszczenie niczym dwa radary. Ich spojrzenie zatrzymuje się na kobiecie.
– Ty jesteś Lenie Clarke? – Jego głos jest zbyt donośny, zbyt normalny. *Tutaj rozmawiamy szeptem*, uświadamia sobie Clarke.

Nie są już sami. Kątem oka Lenie dostrzega Lubina, Brandera i Caraco, którzy pojawili się w mesie niczym obojętne zjawy. Zajmują miejsca pod ścianami i czekają. Zastępca Fischera wydaje się ich nie zauważać.

Jestem Acton – mówi w stronę Clarke. I przynoszę dary z nadświatów. Oto i one! – Wyciąga przed siebie zaciśniętą dłoń i otwiera ją, odwracając grzbietem w dół. Clarke widzi pięć metalowych cylindrów, nieprzekraczających wielkością dwóch centymetrów. Acton odwraca się powoli, teatralnie i pokazuje świecidełka pozostałych ryfterom. – Po jednym dla każdego. Umieszcza się je w klatce piersiowej, tuż obok wlotu wody morskiej.

Nad ich głowami zamyka się właz dokujący. Zza niego dobiega szczeń rozłączającego się metalu, zwiastujący ucieczkę promu na powierzchnię. Przez kilka chwil wszyscy trwają w oczekiwaniu: ryfterzy, nowo przybyły, pięć gadżetów, mających oddalić ich jeszcze bardziej od człowieczeństwa. Wreszcie Clarke wyciąga dłoń, by dotknąć jednego z nich.

– Do czego one służą? – pyta obojętnym głosem.

Acton zaciska palce i toczy po mesie skupionym, poważnym, bezbarwnym wzrokiem.

– Otóż, pani Clarke – odpowiada – mówią nam one, kiedy jesteśmy martwi.

Acton wysypuje świecidełka na pulpit sterowniczy w pomieszczeniu łączności. Clarke staje za jego plecami, wypełniając tym samym całą wolną przestrzeń w kajucie. Caraco i Barnder zaglądną do środka przez właz.

Lubin zniknął.

– Program działa zaledwie od czterech miesięcy – mówi Acton – a już straciliśmy dwoje ludzi na stacji Piccard, po jednym na Cousteau i Link, co razem z Fischerem daje w sumie pięć osób. Takim rekordem raczej nikt nie chce chwalić się przed resztą świata, co?

Nikt się nie odzywa. Clarke i Brander stoją niewzruszenie; Caraco przestępuje z nogi na nogę. Acton wodzi po obecnych spojrzeniem obojętnych, błyszczących oczu.

– Chryste, ale z was zwawa gromadka. Na pewno Fischer jako jedyny wyciągnął tutaj kopyta?

– To coś ma ratować nam życie? – pyta Clarke.

– Gdzie tam. Aż tak im na nas nie zależy. Te urządzenia mają tylko pomóc w odnajdywaniu ciał.

Mężczyzna odwraca się w stronę pulpitu i przebiega po klawiszach wprawnymi palcami. Na głównym ekranie pojawia się obraz topograficzny.

– Mmmm – Acton przesuwa placem wzdłuż jaskrawych konturów. – A więc to jest Beebe, tu w centrum, a to musi być sam ryft – Jezu, ależ tu tego dużo. – Wskazuje na skupisko intensywnie zielonych prostokątów w pobliżu krawędzi ekranu. – To generatory?

Clarke kiwa głową.

Acton bierze do ręki jeden z niewielkich cylindrów.

– Mówią, że przysłali już do nich oprogramowanie. – Cisza. No cóż, chyba możemy to sprawdzić, prawda? – Obraca przedmiot w palcach i naciska z jednej strony.

Stacja Beebe zaczyna głośno wyć.

Clarke odskakuje gwałtownie i boleśnie uderza głową o umieszczoną pod sufitem rurę. Stacja wciąż wrzeszczy, rozpaczliwie i bez słów.

Acton dotyka przycisku; krzyk urywa się jak ucięty nożem.

Wstrząśnięta Clarke rzuca okiem na pozostałych. Sprawiają wrażenie nieporuszonych. Oczywiście. Kobieta po raz pierwszy zastanawia się, co można byłoby zobaczyć w ich obnażonych oczach.

– No tak – odzywa się Acton. – Wiemy już, że działa alarm dźwiękowy. Ale jest też sygnał wizualny. – Wskazuje na ekran: na samym środku, na fosforyzującej ikonie reprezentującej Beebe, niczym ukryte pod szkłem serce, pulsuje szkarłatna kropka.

– To urządzenie monitoruje mioelektryczność w klatce piersiowej – wyjaśnia. – Jeśli serce przestanie bić, automatycznie się włączy.

Clarke czuje, jak za jej plecami Brander odwraca się w stronę wjazdu.

– Może moje informacje dotyczące etykiety są przestarzałe... zaczyna Acton.

Jego głos staje się nagle bardzo cichy. Jednak wygląda na to, że nikt inny tego nie zauważył.

– ...ale zawsze wydawało mi się, że to niegrzeczne – wychodzić, kiedy ktoś coś do ciebie mówi.

W jego słowach nie ma wyraźnej groźby. Ton głosu Actona wydaje się całkiem sympatyczny. Nie ma to jednak znaczenia. W jednej chwili Clarke znów zauważa wszystkie sygnały: przemyślane słowa, ściszony głos, nagłe, nieznaczące napięcie ciała, rosnące powoli do poziomu masy krytycznej. Za nakładkami na oczy Actona pojawia się coś znajomego.

– Brander – odzywa się cicho Clarke. – Może jednak zostaniesz i wysłuchasz gościa do końca?

Odgłosy poruszenia za jej plecami ustają. Przed nią Acton nieznacznie się rozluźnia. W jej wnętrzu, coś głębszego niż ryft porusza się przez sen.

– Zamontowanie tych urządzeń to pestka – stwierdza Acton. – Trwa to jakieś pięć minut. GA zapowiada, że sygnalizatory zgonów będą od teraz standardowym elementem wyposażenia.

Znam cię, myśli Clarke. Nie pamiętam dokładnie, ale jestem pewna, że już cię gdzieś widziałam..

Coś w jej żołądku zaciska się w mały węzeł. Acton uśmiecha się do niej, jakby przekazywał jej sekretne pozdrowienie.

Acton ma za chwilę zostać ochrzczony. Clarke nie może się już doczekać.

Stoją razem w śluzie, a skóry głębinowe opinają ich ciała ciasno niczym cienie. Świeżo zamontowany w piersi Clarke sygnalizator zgonu śwędzi. Kobieta pamięta, kiedy pierwszy raz sama wpadła w ten sposób do oceanu, pamięta osobę, która trzymała ją za rękę, gdy musiała przejść przez koszmar tonięcia.

Tej osoby już nie ma. Głębia złamała ją i wypluła. Clarke zastanawia się, czy postąpi tak samo z Actonem.

Napełnia śluzę wodą.

Teraz doznania stały się niemalże zmysłowe; jej wnętrzności zostają spłaszczone, a ocean wdziera

się do jej wnętrza jak kochanek, zimny i niepowstrzymany. Przy temperaturze 4°C, Pacyfik przepływa przez hydraulikę w jej piersi, znieczulając te części, które wciąż coś odczuwają. Woda zakrywa jej głowę; nakładki na oczy z nadzwyczajną precyzją ukazują kobiecie zatopione ściany.

Z Actonem jest inaczej. Mężczyzna próbuje zapaść się w siebie, ale udaje mu się jedynie wpaść na Clarke. Ta wyczuwa jego panikę, przygląda się, jak go skręca, widzi, że uginają się pod nim kolana, lecz pomieszczenie jest zbyt ciasne, by pozwolić na upadek.

Potrzeba mu więcej miejsca, myśli kobieta, uśmiechając się do siebie, i otwiera właz prowadzący na zewnątrz. Oboje opadają w dół.

Clarke nurkuje w stronę dna i na zewnątrz, wydostając się łukiem spod przytłaczającego cielska Beebe. Zostawia za sobą krąg światła i nie włączając latarki czołowej, sunie w kuszącą otchłań mroku. Wyczuwa obecność dna morskiego kilka metrów niżej. Znowu jest wolna.

Po kilku chwilach przypomina sobie o Actonie. Wraca, skąd przybyła. Reflektory Beebe zalewają mrok brudnym blaskiem; sama stacja, rozdęta i kanciasta, szarpie za mocujące ją liny. Z jej spodu wylewa się struga światła, przypominając spaliny z dyszy rakiety. W plamie tej jasności, twarzą w stronę dna, leży bez ruchu Acton.

Niechętnie, Clarke podpływa bliżej.

– Acton?

Mężczyzna nie wykazuje żadnych oznak życia.

– Acton? – Kobieta znowu znajduje się w kręgu światła. Jej cień przecina go na pół.

Ten wreszcie podnosi głowę.

– Toooo...

Wydaje się zaskoczony brzemieniem własnego, zmienionego głosu.

Dotyka ręką gardła.

– Nie oddycham – bżyczy.

Clarke nie odpowiada.

Acton znowu opuszcza głowę. Coś spoczywa na dnie, zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Kobieta podpływa bliżej; małe, podobne do krewetki, dygoczące stworzenie.

– Co to takiego? – pyta Acton.

– Coś z powierzchni. Musiało przybyć tu ze skafem.

– Ale to – tańczy.

Clarke zauważa, o co mu chodzi. Segmentowane odnóża napinają się i wystrzeliwiają, pancerzyk wygina się w jakimś obłąkanym, wewnętrznym rytmie. Żyjątko wydaje się takie wątłe; być może kolejny spazm, albo jeszcze następny, będzie ostatnim.

– Ma atak – odzywa się po chwili kobieta. – To nie jest jego środowisko. Ciśnienie sprawia, że nerwy wysyłają impulsy zbyt szybko, czy coś w tym stylu.

– Dlaczego z nami tak się nie dzieje?

Może się dzieje.

– To te nasze implanty. Za każdym razem, gdy wychodzimy na zewnątrz, szprycują nas neuroinhibitorami.

– A, racja – bżyczy cicho Acton. Delikatnie wyciąga rękę w stronę stworzonka. Podnosi je na dłoni.

I rozgniata.

Clarke uderza go od tyłu. Acton odbija się od dna, otwierając zaciśniętą pięść; kawałki skorupki i wodnistej tkanki wirują w wodzie. Mężczyzna młóci nogami, odzyskuje równowagę i bez słowa wpatruje się w Clarke. W świetle jego nakładki wydają się jarzyć niemal na żółto.

– Ty dupku – cedzi bardzo cicho kobieta.

– To nie jego miejsce – byczy Acton.

– Ani nie nasze.

– Cierpiało. Sama tak powiedziałaś.

– Powiedziałam, że jego nerwy wysyłają impulsy zbyt szybko. Nerwy przekazują zarówno uczucia przyjemności, jak i bólu. Skąd wiesz, że nie tańczył z pieprzonej *radości*?

Clarke odpycha się od dna i młóćąc nogami ze złością, kieruje się w stronę otchłani. Chciałaby sięgnąć w głąb ciała Actona i wydrzeć wszystko ze środka, złożyć w ofierze potworom z ryftu krwawą płataninę wnętrzości i maszynierii. Nie pamięta, by kiedykolwiek była aż tak wściekła. Wmawia sobie jednak, że nie ma pojęcia, dlaczego tym razem jest inaczej.

Bulgot i szczękanie dochodzące z dołu. Clarke zagląda przez właz w mesie dokładnie w tym samym momencie, kiedy otwiera się śluza. Brander wychodzi z niej tyłem, podtrzymując Actona.

„Skóra” tego drugiego jest rozdarta na udzie.

Acton pochyła się i zdejmuje płetwy. Brander już uporał się ze swoimi i odwraca się w stronę schodzącej po drabince Clarke.

– Spotkał swojego pierwszego potwora. Połykacza.

– O tak, spotkałem pieprzonego potwora – mówi cicho Acton. Clarke orientuje się, co się święci na ułamek sekundy przed tym, jak...

– Acton rzuca się na Brandera, jego lewa pięść zatacza łuk, raz, drugi, trzeci, a Brander, krwawiąc, ląduje na podłodze. Acton unosi właśnie nogę do kopnięcia, gdy Clarke staje przed nim, osłaniając się rękami, i krzyczy:

– Przestań, przestań to nie jego wina! – Ale z jakiegoś powodu wcale nie błaga Actona, lecz coś, co wychodzi z jego wnętrza. Zrobiłaby wszystko, byleby tylko to, *proszę cię Boże*, wróciło tam, skąd przyszło.

To coś spogląda przez mlecze oczy Actona i warczy:

– Ten skurwiel widział, jak płynął na mnie! Pozwolił, żeby rozszarpał mi nogę!

Clarke potrząsa głową.

– Może nie jest tak, jak myślisz. Wiesz przecież, jak tam jest ciemno. Jestem tu dłużej niż ktokolwiek inny, a tym stworom i tak ciągle udaje się do mnie podkraść, Acton. Dlaczego Brander miałby chcieć wyrządzić ci krzywdę?

Słyszy, jak za jej plecami Brander podnosi się z podłogi. Przez ramię dociera do niej jego głos:

– To pewne jak chuj, że Brander *teraz* chce wyrządzić mu krzywdę...

Kobieta przerywa mu w pół zdania.

– Słuchaj, ja się tym zajmę. – Jej słowa skierowane są do Brandera, ale jednocześnie nie spuszcza wzroku z Actona. – Może powinieneś zajrzeć do kabiny medycznej i upewnić się, że nic ci nie jest.

Acton, wciąż spięty, pochyła ciało do przodu. Istota w jego wnętrzu przygląda się i czeka.

– Ten dupek... – zaczyna Brander.

– *Proszę cię*, Mike. – Po raz pierwszy używa jego imienia.

Na chwilę zapada cisza.

– A od kiedy to w cokolwiek się angażujesz? – pyta mężczyzna zza jej pleców.

Dobre pytanie. Nim jednak przychodzi jej do głowy jakakolwiek odpowiedź, docierają do niej oddalające się kroki Brandera.

Coś we wnętrzu Actona z powrotem pograża się we śnie.

– Lepiej też tam zajrzyj – zwraca się do niego Clarke. – Później.

– Ee tam. Nie był aż tak twardy. Zdziwiła mnie jego wątrość, gdy już doszedłem do siebie po szoku związanym z jego *wielkością*.

– Rozdarł ci skórę głębinową. Jeśli potrafił tyle, to znaczy, że nie był wcale taki słaby, jak ci się wydaje. Przynajmniej to sprawdź; możesz mieć ranę na nodze.

– Skoro tak mówisz. Ale założę się, że Brander potrzebuje pomocy medycznej o wiele bardziej niż ja. – Błyska zębami w drapieźnym uśmiechu i mija ją, by wyjść z pomieszczenia.

– Mógłbyś też rozważyć, czy nie przydałoby się zacząć nad sobą panować – dodaje Clarke, gdy mężczyzna przechodzi obok.

Acton zatrzymuje się.

– No tak. Byłem chyba dla niego trochę zbyt surowy, prawda?

– Nie będzie mu się spieszyło, by przyjść ci z pomocą, gdy następnym razem zaskoczy cię smoker.

– No tak – powtarza. – Nie wiem, zawsze byłem dość... no wiesz.

Kobiecie przypomina się słowo, którego kiedyś po fackie użył już ktoś inny.

– Impulsywny?

– Właśnie. Ale tak naprawdę nie jestem wcale taki zły. Po prostu trzeba się do mnie przyzwyczaić.

Clarke nie odpowiada.

– Tak czy siak – ciągnie mężczyzna. – Chyba powinienem przeprosić twojego przyjaciela.

Mojego przyjaciela. Gdy wreszcie udaje jej się oddalić od siebie ten absurdalny pomysł, znów jest sama.

Pięć godzin później Acton siedzi w kabinie medycznej. Mijając otwarty właz, Clarke zagląda do środka; mężczyzna siedzi na stole do badań w rozpiętej do pasa skórze. Coś się nie zgadza w tym obrazku. Kobieta zatrzymuje się i pochylona przechodzi przez właz.

Acton otworzył się. Clarke widzi odchylone płaty skóry wokół wlotu wody, miejsca, gdzie mięśnie przechodzą w plastik, rurki doprowadzające krew i płyn zapobiegający zamarzaniu. Po chwili trzymane przez mężczyznę narzędzie znika w jego klatce piersiowej; wirująca część na końcówce cicho warkocze.

Acton trafia na jakiś nerw i podskakuje jak rażony prądem.

– Masz jakieś uszkodzenia? – pyta Clarke.

Mężczyzna podnosi wzrok.

– O, cześć.

Kobieta wskazuje na jego otworzoną klatkę piersiową.

– Czy połykacz...

Mężczyzna potrząsa głową.

– Nie. Nie, zostawił mi tylko kilka siniaków na nodze. Po prostu dokonuję pewnych modyfikacji.

– Modyfikacji?

– To takie dostrajanie. – Uśmiecha się. – Dopasowuję różne rzeczy.

To na nią nie działa. W jakimś sensie jego uśmiech jest pusty. Mięśnie rozciągają wargi w zwykły sposób, ale grymas obejmuje jedynie dolną połowę twarzy. Wyżej, zasłonięte nakładkami oczy spoglądają zimno, podobne do zasp śnieżnych pozbawionych jakichkolwiek cech charakterystycznych. Clarke zastanawia się, dlaczego nie przeszkadzało jej to nigdy wcześniej, po czym zdaje sobie sprawę, że przed chwilą po raz pierwszy widziała uśmiechniętego ryftera.

– To nie powinno być konieczne – mówi.

– Czyli co? – Uśmiech Actona zaczyna działać jej na nerwy.

– Dostrajanie. Powinniśmy sami się regulować.

– Dokładnie tak. Reguluję się własnoręcznie.

– Mam na myśli...

– Wiem, co masz na myśli – przerywa jej mężczyzna. – Ja po prostu dostosowuję wszystko do swoich potrzeb. – Jego ręka majstruje we wnętrzu klatki piersiowej, jakby była zupełnie od niego niezależna. – Myślę, że mógłbym osiągać lepsze wyniki, gdybym podkręcił ustawienia nieco powyżej zatwierdzonych norm.

Do uszu kobiety dochodzi przelotny, cichy zgrzyt metalu o metal.

– Jak?

Acton cofa dłoń i ponownie zakrywa otwór płatami skóry.

– Nie jestem jeszcze do końca pewien. – Przesuwa innym narzędziem wzdłuż szwu biegnącego przez klatkę piersiową, zapieczętowując swoje wnętrze. Naciąga na siebie „skórę” i ją też zaplombowuje. Teraz znów jest cały i nienaruszony, jak każdy inny ryfter.

– Dam ci znać, gdy będę wychodził na zewnątrz następnym razem – mówi, poufale kładąc dłoń na ramieniu Clarke, gdy przeciska się obok.

Kobieta się nie wzdraga. Prawie.

Acton zatrzymuje się. Wydaje się patrzeć gdzieś poza nią.

– Denerwujesz się – zauważa powoli.

– Czyżby?

– Nie lubisz, jak się ciebie dotyka. – Ręka mężczyzny spoczywa na jej obojczyku niczym zniewaga.

Clarke przypomina sobie, że ma na sobie taki sam pancerz, co on. Rozluźnia się nieco.

– To nie jest kwestia ogólna – kłamie. – Chodzi tylko o niektórych ludzi.

Acton wydaje się ważyć jej przytyk, zastanawiając się, czy warto na niego odpowiedzieć. Cofa dłoń.

– Dość pechowa przypadłość w tak ciasnym miejscu – kwituje, odwracając się.

Ciasnym? Przecież mam cały pieprzony ocean! Lecz Acton już wspina się na górę po drabince.

Nowy smoker eksploduje po raz kolejny. Z komina na północnym skraju Gardła wystrzeliwuje wrząca woda, jednocześnie mieszając się ze swym lodowatym, słonym odpowiednikiem z głębin, który natychmiast ją ochładza. Znajdujące się w zasięgu tej kotłowaniny mikroby świecą szaleńczo. W wodzie rozbrzmiewa syk nieuformowanej pary. Siła trzystu atmosfer skutecznie uniemożliwia zaistnienie tej reakcji.

Acton unosi się dziesięć metrów nad dnem, skąpany w migoczącym, niebieskim świetle.

Clarke pod pływa do niego od dołu.

– Nakata powiedziała mi, że wciąż tu jesteś – bzczy. – Powiedziała, że czekasz, aż to wybuchnie.

Mężczyzna nawet na nią nie patrzy.

– To prawda.

– Miałaś szczęście, że to zrobił. Mogłaś czekać całymi dniami. – Clarke odwraca się i kieruje w stronę generatorów.

– Myślę też – odzywa się Acton – że uspokoi się za jakąś minutę czy dwie.

Kobieta zwraca się w jego kierunku.

– Słuchaj, te wszystkie erupcje są... – szuka odpowiedniego słowa. – Chaotyczne.

– Uhm.

– Nie da się ich przewidzieć.

– Hej, ale robaki z Pompejów potrafią. Małże i kraby potrafią. Dlaczego nie ja?

– O czym ty w ogóle mówisz?

– One potrafią określić, kiedy coś ma wybuchnąć. Rozejrzyj się czasem dookoła, a sama się przekonasz. One reagują jeszcze zanim cokolwiek się wydarzy.

Clarke rozgląda się. Małże zachowują się jak małże. Robaki zachowują się jak robaki. Kraby przemykają po dnie tak samo, jak zawsze.

– Reagują? Jak?

– Koniec końców ma to sens. Kominy dostarczają im pożywienia, ale mogą je też ugotować. Po kilku milionach lat nauczyły się odczytywać sygnały, prawda?

Smoker czka. Pióropusz zaczyna drzeć, światło przygasa na krawędziach.

Acton spogląda na swój nadgarstek.

– Nieźle.

– Szczęśliwy traf – kwituje Clarke. Vocoder maskuje jej niepewność.

Smoker z trudem zdobywa się na kilka słabych wybuchów, po czym całkowicie się uspokaja.

Acton pod pływa bliżej.

– Wiesz, na samym początku, gdy mnie tu przysłali, wydawało mi się, że to miejsce okaże się straszną norą. Spodziewałem się, że zabiorę się do roboty, odsiedzę swoje i wyniosę się stąd. Ale jest zupełnie inaczej. Rozumiesz, co mam na myśli, Lenie?

Rozumiem. Ale nie mówi tego na głos.

– Tak myślałem – oznajmia mężczyzna, zupełnie, jakby jednak to zrobiła. – To miejsce naprawdę jest... piękne, w pewnym sensie. Potwory też, jeśli tylko dobrze je poznasz. Wszyscy jesteśmy piękni.

Acton sprawia wrażenie niemalże łagodnego. Clarke gorączkowo grzebie w pamięci, szukając czegoś na swoją obronę.

– Nie mogłeś tego wiedzieć – mówi. – Zbyt wiele zmiennych. To niemożliwe do wyliczenia. Tu wszystko jest nieobliczalne.

Obca istota spogląda na nią z góry i wzrusza ramionami.

– Obliczalne? Pewnie nie. Ale *poznawalne*.

Nie mam na to czasu, powtarza sobie Clarke. Muszę się zabrać do pracy.

– A to już zupełnie inna kwestia – kończy Acton.

Nigdy nie miała go za mola książkowego. A mimo to znów tu jest, podłączony do biblioteki. Światło sączące się z zestawu wizualizacyjnego tworzy smugi na jego policzkach.

Wygląda na to, że ostatnio Acton spędza tu sporo czasu. Niemal tyle samo, co na zewnątrz.

Przechodząc obok, Clarke zerka na ekran. Jest ciemny.

– Chemia – rzuca Brander z drugiego końca mesy.

Kobieta kieruje na niego swe spojrzenie.

Brander wskazuje kciukiem nieświadomego niczego Actona.

– To właśnie go interesuje. Dziwaczne pierdoły. Nudne jak cholera.

To samo interesowało wcześniej Ballard... Clarke sięga po wolny zestaw od sąsiedniego terminalu.

– Oo, stąpasz po cienkim lodzie – ostrzega Brander. – Pan Acton *nie lubi*, kiedy ktoś czyta mu przez ramię.

W takim razie pan Acton zapewne włączył sobie tryb prywatny, a wtedy i tak nie będę mogła.

Kobieta siada i wsuwa zestaw na głowę. Acton nie uruchomił ustawień prywatnych; Clarke bez problemu podłącza się do sygnału, z którego korzysta mężczyzna. Lasery wytrawiają na jej siatkówce kolumny tekstu i wzory chemiczne. Serotonina. Acetylocholina. Moderacja neuropeptydów. Brander ma rację: to strasznie nudne.

Ktoś jej dotyka.

Kobieta nie zrywa gwałtownie zestawu wizualizacyjnego. Spokojnie zdejmuje go z głowy. Tym razem nawet nie drgnęła. Nie da mu tej satysfakcji.

Acton odwrócił się w jej stronę razem z krzesłem, zestaw wizualizacyjny dynda mu na szyi. Jego ręka spoczywa na jej kolanie.

– Cieszę się, że mamy te same zainteresowania – mówi cicho. – Nie jest to wcale takie zaskakujące. Jest między nami pewien rodzaj... chemii...

– To prawda – Clarke odwzajemnia jego spojrzenie, ukryta bezpiecznie za nakładkami. – Szkoda tylko, że reaguję alergicznie na pojebów.

Mężczyzna uśmiecha się.

– Oczywiście to nigdy nie miałoby racji bytu. Nie ten wiek. Wstaje i odwiesza zestaw na miejsce.

– Jestem za młody, żeby być twoim ojcem. Przechodzi przez mesę i schodzi w dół po drabince.

– Co za dupek – zauważa Brander.

– To dopiero kawał chuja, w przeciwieństwie do Fischera. Dziwię się, że z *nim* nie wdajesz się w bójki na okrągło.

Brander wzrusza ramionami.

– Nie ta dynamika. Acton po prostu jest dupkiem. Fischer był pieprzonym *zbokiem*.

Nie wspominając już o tym, że nigdy się nie bronił. Zatrzymuje jednak tę uwagę dla siebie.

Świecące na szmaragdowo, koncentryczne kręgi. Stacja Beebe znajduje się w samym centrum. Oprócz tego na wyświetlaczu porozrzucane są chaotyczne plamki słabszych światełek: szczeliny i wychodnie poszarpanych skał, bezkresne, błotniste równiny, euklidesowe kontury ludzkiej maszynerii; wszystko to sprowadzono do jednego, wspólnego mianownika akustycznego.

Jest tam też coś jeszcze, częściowo euklidesowego, częściowo darwinowskiego. Clarke przybliży obraz. Ludzkie ciało za bardzo przypomina wodę morską, by mogło odbijać się od niego echo radiolokacyjne, ale kości widać bez problemu. Maszyneria w środku jest jeszcze wyraźniejsza. Krzyczy pod wpływem najśłabszego sygnału sonaru. Kobieta ustawia ostrość wyświetlacza i pokazuje palcem półprzezroczysty, zielony szkielet z mechanizmem w klatce piersiowej.

– To on? – pyta Caraco.

Clarke potrząsa głową.

– Może jednak. Cała reszta jest...

– To nie on. – Clarke dotyka przełącznika. Wyświetlacz ponownie pokazuje maksymalny możliwy zasięg. – Jesteś pewna, że nie ma go w jego kajucie?

– Wyszedł na zewnątrz siedem godzin temu. Od tamtej pory nie wrócił.

– Może po prostu trzyma się blisko dna. Może jest za skałą.

– Może. – W głosie Caraco pobrzmiwa powątpiewanie.

Clarke odchyła się na krzesło. Jej potylicą dotyka tylnej ściany kabiny.

– No cóż, dobrze wypełnia swoje obowiązki. Wydaje mi się, że w czasie wolnym może przebywać, gdzie chce.

– Tak, ale to już trzeci raz. *Zawsze się spóźnia*. Wraca, kiedy mu się podoba.

– No i co z tego? – Clarke pociera grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym, czując, że ogarnia ją nagłe zmęczenie. – Nie przestrzegamy tutaj harmonogramów lądowców, dobrze o tym wiesz.

Acton odważa swoją część roboty, więc z nim nie zadzieraj.

– Noo, Fischer zawsze obrywał za sp...

– Nikogo nie obchodziło, czy Fischer się spóźnił, czy nie – przerywa jej Clarke. – Po prostu –

szukali wymówki.

Caraco nachyla się w jej stronę.

– Nie lubię go – wyznaje.

– Actona? Nie masz powodów, by go lubić. To psychol. Jak my wszyscy, pamiętasz?

– Ale on jest jakiś inny. Wiesz o tym.

– Lubin niemal zabił własną żonę na Galapagos, nim przydzielono go tutaj. Brander ma na swoim koncie kilka prób samobójczych.

W postawie Caraco coś ulega zmianie. Clarke nie może być tego pewna, ale wydaje jej się, że druga kobieta wbiła wzrok w podłogę. *Chyba uderzyłam w czułą strunę.*

Po chwili kontynuuje, tym razem już nieco łagodniej:

– Nie martwią cię pozostali, prawda? Co więc jest takiego szczególnego, jeśli chodzi o Actona?

– O – mówi Caraco. – Patrz.

Coś właśnie pojawiło się na wyświetlaczu.

Clarke przybliży obraz; obiekt znajduje się zbyt daleko, by można było uzyskać dobrą rozdzielczość, ale w samym jego środku nie sposób nie rozpoznać punktu, którego pulsowaniu towarzyszy wyraźny, metaliczny odgłos.

– Acton – stwierdza.

– Mmm... jak daleko? – pyta z wahaniem w głosie Caraco.

Clarke sprawdza.

– Jakieś dziewięćset metrów. Nieźle, jeśli korzysta z kalmara.

– Nie korzysta. Nigdy tego nie robi.

– Hmm. Przynajmniej wygląda na to, że zmierza na miejsce najkrótszą drogą. – Clarke spogląda na Caraco. – Za ile zaczyna się wasza zmiana?

– Za dziesięć minut.

– W takim razie nic wielkiego się nie stanie. Spóźni się jakieś piętnaście minut. Maks pół godziny.

Caraco wpatruje się w wyświetlacz.

– Co on tam robi?

– Nie wiem – odpowiada Clarke. Nie po raz pierwszy zastanawia się, czy Caraco naprawdę tu pasuje. Czasem wydaje jej się, że niczego nie rozumie.

– Pomyślałam sobie, że może mogłabyś z nim porozmawiać – mówi Caraco.

– Z Actonem? Po co?

– Nieważne. Zapomnij, że o tym wspomniałam.

– Okej – Clarke podnosi się z krzesła. Caraco wycofuje się, by ją przepuścić.

– Mmm, Lenie...

Clarke odwraca się.

– A ty? – pyta Caraco.

– Ja?

– Powiedziałaś, że Lubin niemal zabił własną żonę. Brander próbował się zabić. Co ty zrobiłaś, no, że... się nadajesz?

Clarke bacznie się jej przygląda.

– To znaczy, wiesz, jeśli to nie...

– Nie rozumiesz – przerywa jej Clarke. Jej głos jest całkowicie spokojny. – To, że pasujesz na ryft, nie zależy od tego, ile syfu narobiłaś. To zależy od tego, ile syfu udało ci się przetrwać.

– Przepraszam. – Caraco udaje się wyglądać na zmieszaną, mimo że jej oczy pozbawione są jakichkolwiek uczuć.

Clarke łagodnie nieco.

– Jeśli o mnie chodzi, głównie nauczyłam się przyjmować ciosy na klatę. Nie zrobiłam zbyt wiele, czym warto byłoby się chwalić.

Ale bez wątpienia nad tym pracuję.

Clarke nie ma pojęcia, jakim cudem to wszystko potoczyło się tak szybko. Acton jest tu zaledwie od dwóch tygodni, a mimo to jego ogromny zapał do wyjścia na zewnątrz ledwo mieści się w śluzie. Komora napełnia się wodą, kobieta czuje, jak ciało jej towarzysza przebiega dreszcz; nim jej samej udaje się poruszyć, Acton zwalnia zapadnię i oboje opadają w dół.

Mężczyzna swobodnie i zdawałoby się bez żadnego wysiłku, wypływa spod stacji równolegle do Clarke, która kieruje się w stronę Gardła. Kobieta wyczuwa jego obecność u swego boku, choć go nie widzi. Żadne z nich nie włącza latarki czołowej; z punktu widzenia kobiety jest to gest szacunku dla zamieszkujących to miejsce mniejszych latarenek.

Nie ma jednak pojęcia, z czego wynika decyzja Actona.

Mężczyzna nie odzywa się do momentu, aż Beebe zamienia się w brudną, żółtą smugę za ich plecami.

– Czasami zastanawiam się, po co w ogóle wracamy do środka.

To niemożliwe, by w jego głosie pobrzmiwało szczęście. Jakim cudem jakakolwiek emocja mogłaby przedostać się przez serię mechanicznych zastawek, pozwalających im mówić?

– Wczoraj zasnąłem niedaleko Gardła – mówi Acton.

– Masz szczęście, że nic cię nie zjadło.

– One nie są takie złe. Po prostu trzeba wiedzieć, jak się z nimi obchodzić.

Clarke zastanawia się, czy mężczyzna obchodzi się z innymi gatunkami tak samo delikatnie, jak z własnym. Jednak powstrzymuje się od zadania tego pytania na głos.

Przez chwilę płyną pośród rozsianych, żywych światła gwiazd. Przed nimi, słabo i posepnie, migocze kolejna plama; to znajdujące się dokładnie na wprost Gardła. Minęły już całe miesiące, od kiedy Clarke w ogóle pomyślała o linie, mającej za zadanie prowadzić ich w tę i z powrotem, niczym ślepych troglodytów. Wie doskonale, gdzie się ona znajduje, ale nigdy z niej nie korzysta. Tu, na dole, budzą się z uspienia inne zmysły. Ryfterzy się nie gubią.

No, może poza Fischerem. Ale Fischer zagubił się na długo przed tym, zanim tu przybył.

– A co się w ogóle stało z Fischerem? – pyta Acton.

Uczucie chłodu, mające swe źródło w jej klatce piersiowej, dociera do czubków palców, nim milknie jego głos. To przypadek. To całkowicie normalne pytanie.

– Pytałem...

– Zniknął – odpowiada Clarke.

– Tyle już mi powiedziano – byczy Acton. – Spodziewałem się, że wiesz coś więcej na ten temat.

– Może zasnął gdzieś na zewnątrz. Może coś go zjadło.

– Wątpię.

– Naprawdę? A jakim cudem taki z ciebie ekspert? Jesteś tu, ile, dwa tygodnie?

– Tylko dwa tygodnie? Wydawało mi się, że więcej. Kiedy jest się na zewnątrz, czas wydaje się płynąć szybciej, prawda?

– Na początku – kwituje Clarke.

– Wiesz, dlaczego Fischer zniknął?

– Nie.

– Przestał być potrzebny.

– Aha. – Jej maszyna przetwarza to na coś pomiędzy skrzypnięciem a warkotem.

– Mówię poważnie, Lenie. – Mechaniczny głos Actona nie ulega zmianie. – Myślisz, że pozwolą ci tu zostać na zawsze? Myślisz, że w ogóle wpuściliby tu kogoś takiego, jak my, gdyby mieli jakikolwiek wybór?

Kobieta przestaje młócić nogami. Wciąż jednak sunie do przodu siłą rozpędu.

– O czym ty mówisz?

– Rusz głową, Lenie. Jesteś mądrzejsza niż ja, chociaż tego nie pokazujesz. Masz w ręce klucze do miasta – masz klucze do całego pieprzonego wybrzeża, a wciąż zachowujesz się, jakbyś była ofiarą.

– Vocoder Actona bulgocze niezrozumiale – czy to niewłaściwie oddany śmiech? Warknięcie?

Potem znów słowa:

– Oni na to właśnie liczą.

Clarke znów zaczyna poruszać nogami i kieruje spojrzenie w coraz jaśniejszy blask Gardła.

Tyle że go tam nie ma.

Paraliżuje ją chwilowa dezorientacja. *Nie mogliśmy się zgubić, kierowaliśmy się dokładnie w jego stronę, wysiadł prąd?* Wreszcie kobieta zauważa żółtą smugę znajomego, ostrego światła na godzinie czwartej.

Jakim cudem dałam się aż tak sprowadzić z kursu?

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia Acton.

– Nie, Gardło jest tam, dale...

Tuż obok wybucha nova, zalewając otchłań oślepiającym światłem. Chwilę trwa, nim nakładki Clarke dostosowują się do nagłej jasności. Kiedy przed oczu kobiety znikają wreszcie rozbłyski, ocean staje się jedynie błotnistym, czarnym tłem dla blasku latarki czołowej Actona.

– Nie rób tego – odzywa się Clarke. – Robi się wtedy tak ciemno, że nic nie widać.

– Wiem. Zaraz ją wyłączę. Tylko spójr.

Promień latarki pada na wyrastającą z mułu niewielką, skalistą wychodnię, niemającą więcej niż dwa metry szerokości. Jej powierzchnię pokrywają poszarpane kwiatki, przypominające foremki do ciastek, gwiazdziste kępki połyskujące jaskrawo na czerwono i niebiesko w sztucznym świetle. Niektóre leżą płasko na skale. Inne powyginały się, tworząc zastygnięte, wapienne węzły, zaciśnięte wokół rzeczy, których Clarke nie jest w stanie zidentyfikować.

Kilka z nich porusza się powoli.

– Przyprorowadziłeś mnie tutaj, by pokazać mi rozgwiezdy? – Kobieta próbuje wycisnąć z vocodera choć nutkę znudzenia i pogardy, ale jej się to nie udaje. Jednak gdzieś w środku odczuwa pewien niepokój i swoiste zdumienie, że Acton ją *tu przywiódł*, że nie podejrzewając niczego, dała się kompletnie wytrącić się z kursu. *Jakim cudem w ogóle udało mu się natrafić na to miejsce? Nie miał pistoletu hydrolokacyjnego, a kompas jest gównem warty tak blisko Gardła...*

– Doszedłem do wniosku, że do tej pory pewnie nie przyglądałaś się im dokładniej – wyjaśnia mężczyzna. – Pomyślałem sobie, że mogłyby cię zainteresować.

– Nie ma na to czasu, Acton.

Ten jednak wyciąga ręce i zaciska palce wokół jednego z żyłatek. Odrywa je powoli od skały; spodnią stronę rozgwiezdy pokrywają włókienka, umożliwiające jej przytwierdzenie się do podłoża. Acton oddziera je, krok po kroku.

Podsuwa zwierzę pod nos Clarke. Jego wierzch przypomina kolorowy kamień, inkrustowany wapiennymi wypustkami. Mężczyzna odwraca rozgwiezdę. Po drugiej stronie wiją się setki grubych niteczek, zbitych w zwarte rzędy ciągnące się wzdłuż ramion. Każde włókienko zakończone jest maleńką przyssawką.

– Rozgwiazda – oznajmia Acton – jest przykładem najwyższej formy demokracji.

Clarke przygląda się w milczeniu, ogarnięta obrzydzeniem.

– A tak się poruszają – ciągnie mężczyzna. – Przemieszczają się na tych oto nóżkach ambulakralnych. Najosobliwsze w tym wszystkim jest to, że nie posiadają mózgu. W przypadku demokracji nie powinno to jednak nikogo dziwić.

Szeregi wijących się robaków. Las półprzezroczystych pijawek, na oślepek szukających punktu zaczepienia pośród wody.

– Nie ma więc niczego, co kierowałoby nóżkami; każda porusza się całkowicie samodzielnie. Na ogół nie stanowi to problemu, wszystkie zacierają zazwyczaj w stronę pożywienia. Nierzadko zdarza się jednak tak, że jedna trzecia ciągnie resztę w zupełnie innym kierunku. Życie tego zwierzęcia można porównać do nieustających zawodów w przeciąganiu liny. Czasami jakaś szczególnie uparta nóżka za nic nie chce ustąpić. Zostaje wtedy dosłownie wyrwana z korzeniami, podczas gdy pozostałe unoszą ciało tam, gdzie tamta iść nie chciała. Ale co zrobić: rządy większości, prawda?

Clarke niepewnie przysuwa palec do rozgwiazdy. Natychmiast czepia się go kilka nówek, lecz „skóra” nie pozwala jej poczuć ich dotyku. Tak umocowane, sprawiają wrażenie delikatnych niczym włókienka mlecznego szkła.

– To jeszcze nic – mówi Acton. – Spójrz na to.

Rozdziera żyjątko na pół.

Clarke cofa się, zszokowana i gniewna. Jednak coś w postawie Actona, w ledwie widocznym pośród jasności zarysie jego sylwetki, sprawia, że decyduje się pohamować.

– Nie martw się, Lenie – uspokaja ją mężczyzna. – Nie zabiłem jej. Ja ją rozmnożyłem.

Wypuszcza z rąk oddarte połówki, które opadają na dno jak liście, ciągnąc za sobą bezkrwawe włókienka wnętrzości.

– Potrafią się zregenerować. Nie wiedziałaś? Możesz rozszarpać je na strzępy, a każdy odtworzy sobie brakujące części. Zabiera to trochę czasu, ale ostatecznie dochodzą do siebie. Tyle, że masz ich więcej. Cholernie ciężko je zabić. Rozumiesz, Lenie? Rozedrziesz je na strzępy, a wrócą silniejsze.

– Skąd to wszystko wiesz? – pyta kobieta metalicznym szeptem. – Skąd pochodzisz?

Acton kładzie lodowatą, czarną dłoń na jej ramieniu.

– Stąd. To tu się narodziłem.

Clarke nie uznaje tego za niedorzeczne. Tak naprawdę to ledwie go słyszy. Myślni jest gdzieś zupełnie indziej, przerażona tym, z czego nagle zdała sobie sprawę.

Acton jej dotyka, a ona nie ma nic przeciwko temu.

Rzecz jasna, seks jest pełen napięcia. Zawsze taki jest. Znajome uczucie powróciło na nowo tutaj, w ciasnej kajucie Clarke. Nie mogą oboje leżeć na pryczy w tym samym czasie, ale jakoś sobie z tym radzą. Najpierw Acton na kolanach, potem Clarke. Oboje wiją się wokół siebie w metalowym gnieździe poprzecinanym kanałami, przewodami i wiązkami kabli optycznych. Śledzą przebieg szwów i blizn na swych ciałach, przebiegają językami wzdłuż fałdów metalu i bladej skóry, niewidzialni i wszystko widzący zza rogówkowych pancerzy.

Dla Clarke jest to pod pewnym względem nowe doświadczenie, lodowata rozkosz obcowania z kochankiem pozbawionym oczu. Po raz pierwszy nie musi odwracać twarzy, nic nie zagraża kruchej intymności; z początku Acton chciał zdjąć nakładki, ale powstrzymała go gestem i szeptem. Wydawał się rozumieć.

Gdy jest już po wszystkim, nie mogą położyć się obok siebie, siadają więc ramię w ramię, pochylając się w swoją stronę i wpatrując w oddalony o dwa metry właz. Światła przyciemnione są

tak bardzo, że wzrokiem lądowca nie sposób byłoby dojrzeć czegokolwiek; dla Clarke i Actona pomieszczenie jarzy się bladym, fluorescencyjnym blaskiem.

Mężczyzna wyciąga rękę i dotyka szklanego odłamka wystającego z ramy na jednej ze ścian.

– Kiedyś było tu lustro – zauważa.

Clarke skubie go w ramię.

– Wszędzie były lustra. Ja je pozdejmowałam.

– Dlaczego? Kilka luster powiększyłoby wnętrza. Sprawiłoby, że wydawałyby się przestronniejsze.

Kobieta wskazuje na coś palcem. Z otworu w ramie wystaje kilka cienkich jak nitki, powyrywanych kabli.

– Ukryli za nimi kamery. To mi się nie spodobało.

Acton odchrząkuje.

– Wcale ci się nie dziwię.

Przez jakiś czas siedzą w milczeniu.

– Powiedziałaś coś na zewnątrz – przypomina Clarke. – Powiedziałaś, że tu się narodziłeś.

Mężczyzna waha się przez chwilę, po czym kiwa głową.

– Dziesięć dni temu.

– Co miałaś na myśli?

– Powinnaś wiedzieć – odpowiada. – Byłaś świadkiem moich narodzin.

Kobieta sięga pamięcią wstecz.

– Zaatakował cię wtedy połykacz...

– Blisko. – Acton szczyrzy zęby w swym zimnym, nieobejmującym oczu uśmiechu i otacza ją ramieniem. – W zasadzie, to połykacz wszystko przyspieszył, o ile dobrze pamiętam. Myśl o nim jak o akuszerce.

W umyśle Clarke pojawia się obraz: Acton krojący się w kabinie medycznej.

– Dostrajanie.

– Uhm. – ściska ją lekko. – Powiniennem ci za to podziękować. To ty podsunęłaś mi ten pomysł.

– Ja?

– Byłaś moją matką, Len. Zaś ojcem ta mała, spazmująca krewetka, która marnie skończyła.

Właściwie to umarła, zanim się narodziłem: zabiłem ją. Nie byłaś tym zachwycona.

Clarke potrząsa głową.

– To, co mówisz, nie ma sensu.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie zauważyłaś zmiany? Chcesz mi powiedzieć, że jestem tą samą osobą, co wtedy, kiedy tu przybyłem?

– Nie wiem. Może po prostu lepiej cię poznałam.

– Może. Może sam się lepiej poznałem. Nie wiem, Len, po prostu wydaje mi się, że jestem teraz jakby bardziej... *świadomy*. Inaczej patrzę na wszystko. Musiałaś to zauważyć.

– No tak, ale tylko wtedy, gdy jesteś...

Na zewnątrz.

– Majstrowałeś przy swoich inhibitorach – szepcze kobieta.

– Trochę zmniejszyłem dawkę.

Clarke chwyta go za ramię.

– Karl, te substancje sprawiają, że nie dostajesz spazmów po wyjściu na zewnątrz. Jeśli zaczniesz przy tym majstrować, ryzykujesz atakiem padaczki, kiedy tylko śluza napełni się wodą.

– Ja już przy tym majstrowałem, Lenie. Widzisz we mnie jakąkolwiek zmianę, która nie okazałaby

się zmianą na lepsze?

Kobieta nie odpowiada.

– Wszystko zależy od potencjału czynnościowego – wyjaśnia Acton. – Nerwy muszą zgromadzić pewien ładunek, zanim będą mogły wysłać impuls.

– A na tej głębokości wysyłałyby je cały czas. Karl, proszę cię...

– Cii. – Mężczyzna delikatnie kładzie palec na jej ustach, lecz niespodziewanie rozzłoszczona Clarke odpycha go.

– Mówię poważnie, Karl. Bez tych substancji w twoich nerwach dojdzie do zwarcia, wypalisz się, *wiem*.

– Wiesz tylko to, co ci powiedzą – odwarkuje Acton. – Dlaczego choć raz sama czegoś nie sprawdzisz?

Kobieta milknie, dotknięta przyganą. Między nimi, na pryczy powstaje nagle pusta przestrzeń.

– Nie jestem głupi, Lenie – odzywa się ciszej mężczyzna. Zmniejszyłem ustawienia tylko odrobinę. Pięć procent. Teraz, gdy wychodzę na zewnątrz, słabszy bodziec wystarcza, żeby moje nerwy wysłały impuls, to wszystko. To... to sprawia, że się budzisz, Len; jestem teraz wszystkiego bardziej świadomy, w pewnym sensie czuję się bardziej żywy.

Clarke przygląda mu się w milczeniu.

– Oczywiście, *mówią*, że to niebezpiecznie – ciągnie Acton. – I tak już srają ze strachu przed tobą. Myślisz, że chcieliby dać ci jeszcze większą przewagę?

– Wcale się nas nie boją, Karl.

– A powinni. – Ponownie obejmuje ją ramieniem. – Chcesz spróbować?

Kobieta czuje się tak, jakby wciąż naga znalazła się nagle na zewnątrz.

– Nie.

– Nie ma się czego bać, Len. Sprawdziłem już wszystko na sobie. Otwórz się przede mną, mogę sam dokonać modyfikacji, to jakieś dziesięć minut.

– Nie piszę się na to, Karl. A w każdym razie jeszcze nie teraz. Może ktoś z pozostałych będzie skłonny.

Mężczyzna potrząsa głową.

– Oni mi nie ufają.

– Nie możesz mieć do nich o to pretensji.

– I nie mam. – Uśmiecha się szeroko, pokazując zęby tak samo białe i odcinające się od otoczenia jak nakładki na oczy. – Ale nawet gdyby mi ufali i tak nie zrobiliby niczego, dopóki nie uspokoiłabyś ich, że to w porządku.

Clarke lustruje go wzrokiem.

– Dlaczego?

– Bo to ty tu rządzisz, Len.

– Gówno prawda. Nigdy nie uwierzę, że ci tak powiedzieli.

– Nie musieli. To oczywiste.

– Jestem tu dłużej od nich. Tak samo jak Lubin. Nie ma to dla nikogo żadnego znaczenia.

Acton na chwilę marszczy brwi.

– Nie, chyba nie. Ale i tak jesteś przywódczynią stada, Len. Samicą alfa. Pieprzoną waderą.

Clarke potrząsa głową. Szuka w pamięci czegokolwiek, co pokazałoby, że absurdalne stwierdzenie Actona jest niezgodne z prawdą. Nic.

Delikatnie zbiera się jej na mdłości.

Mężczyzna ściska ją lekko.

– Takie jest życie, kochanie. Przypuszczam, że średnio ci to pasuje, skoro przez całe życie było się zawodową ofiarą, co?

Clarke wpatruje się w pokład.

– Tak czy siak, przemyśl to – szepcze jej do ucha Acton. – Gwarantuję, że poczujesz się dwa razy bardziej żywa niż teraz.

– To już się dzieje – przypomina mu kobieta. – Za każdym razem, gdy wychodzę na zewnątrz. Nie potrzebuję w tym celu wywlekać sobie wnętrzności.

A w każdym razie nie tych wnętrzności.

– To coś zupełnie innego.

Clarke spogląda na niego i uśmiecha się, mając nadzieję, że Acton nie będzie dalej naciskać. *Jak może oczekiwać, że pozwolę mu się tak pokroić?* – pyta samą siebie, a potem zastanawia się, czy kiedykolwiek mu na to pozwoli, gdy strach przed utraceniem go jakimś cudem urośnie do tego stopnia, że podporządkuje sobie wszystkie inne jej lęki. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy coś takiego się zdarzy.

Dwa razy bardziej żywa, powiedział Acton. Kryjąc się za fasadą uśmiechu, Clarke rozważa jego słowa: dwa razy tyle jej życia. Póki co, to niezbyt pociągająca perspektywa.

Światło pada zza jej pleców, ścigając cienie po dnie. Kobieta nie ma pojęcia, jak długo podąża za nią. Na chwilę ogarnia ją chłód...

– Fischer?

– ...ale potem do głosu dochodzi zdrowy rozsądek. Gerry Fischer nie włączyłby latarki czołowej.

– Lenie?

Kobieta obraca się przez ramię i kilka metrów dalej dostrzega sylwetkę unoszącą się w wodzie. Z jej czoła wychodzi pojedynczy snop światła. Do uszu Clarke dobiega ledwie słyszalne bzyczenie, zniekształcony odpowiednik chrząknięcia Branderera.

– Judy powiedziała mi, że tu jesteś – wyjaśnia mężczyzna.

– Judy. – To miało być pytanie, ale vocoder gubi po drodze intonację.

– Tak. Czasami w pewnym sensie stara się mieć cię na oku.

Clarke przez chwilę zastanawia się nad jego słowami.

– Powiedz jej, że jestem nieszkodliwa.

– Nie w tym rzecz – bzyczy Brander. – Wydaje mi się, że ona... Po prostu się martwi...

Kobieta czuje, jak drgają jej mięśnie w kącikach ust. Dochodzi do wniosku, że chyba się uśmiecha.

– Chyba pora na naszą zmianę – odzywa się po chwili.

Promień światła z latarki wędruje w górę i w dół.

– Racja. Trzeba oskrobać dupska paru małżom. Kolejne zadanie dla fizyków kwantowych.

Clarke przeciąga się, sprawiając wrażenie, jakby znajdowała się w stanie nieważkości.

– Okej. Chodźmy.

– Lenie...

Kobieta spogląda na niego.

– Dlaczego przychodzisz – to znaczy, dlaczego *tutaj*? – Promień z latarki Branderera omiata dno i zatrzymuje się na wychodni z kości i zgniłego mięsa. Trupi uśmiech ciągnie się przez całą szerokość kręgu światła.

– Skończyłaś z nim, czy jak?

– Tak, ja... – Clarke milknie, zdając sobie sprawę, co ma na myśli Brander: *Pyta o wieloryba.*

– Nie – mówi w końcu. – Sam umarł.

Oczywiście gdy się budzi, jest sama. Wciąż czasami próbują sypiać razem, kiedy seks rozleniwia ich do tego stopnia, że nie chce im się wychodzić na zewnątrz. Jednak koja jest za mała. Najlepszym, co udaje im się osiągnąć, jest coś w stylu ukośnego ułożenia: ze stopami na ziemi i zgiętymi sztykami opartymi o gródź. Acton otacza ją swym ciałem niczym żywy hamak. Jeśli mają pecha, zasypiają w tej pozycji. Rozprostowanie się zabiera potem kilka godzin. Nie jest to warte tyle zachodu.

Więc gdy Clarke się budzi, jest sama. Ale i tak za nim tęskni.

Jest wcześnie. Harmonogramy przekazywane z GA stopniowo tracą na znaczeniu – rytm dobowy gubi się pośród nieustannej ciemności, coraz bardziej odbiegając od trybu życia prowadzonego na stacji – jednak elastyczny rozkład zajęć, który wciąż jest w użytku, zostawia jej jeszcze kilka godzin przed rozpoczęciem zmiany. Lenie Clarke nie śpi w środku nocy. Może to głupie i nazbyt oczywiste stwierdzenie, jako że od najbliższego wschodu słońca dzielą ją długie miesiące, ale w chwili obecnej wydaje się ono szczególnie odpowiednie.

Już na korytarzu, kobieta odwraca się na chwilę w stronę kajuty Actona, ale potem sobie przypomina. On już tam nie bywa. W ogóle nie bywa wewnątrz, chyba że je, pracuje albo spędza czas razem z nią. Niedługo po tym, jak związali się ze sobą, prawie przestał sypiać w swej kabinie. Jest z nim już niemal tak źle, jak z Lubinem.

Caraco siedzi w mesie, w milczeniu i bez ruchu, kierując się własnym, wewnętrznym zegarem. Podnosi wzrok, kiedy Clarke przechodzi przez pokój, zmierzając do pomieszczenia łączności.

– Wszedł jakąś godzinę temu – oznajmia łagodnie.

Sonar pokazuje go pięćdziesiąt metrów na południowy wschód. Urządzeniu ledwo udaje się go namierzyć pośród panującego na dnie bałaganu. Clarke rusza w kierunku drabinki.

– Kilka dni temu coś nam pokazał – mówi do jej pleców Caraco. – Kenowi i mnie.

Clarke odwraca się.

– To był smoker, w odległym rogu Gardła. Miał taki dziwny, żłobkowany komin i wydawał śpiewne dźwięki, prawie...

– Mmm.

– Z jakiegoś powodu bardzo zależało mu na tym, żebyśmy o nim wiedzieli. Był bardzo podekscytowany. On... on robi się dość dziwny na zewnątrz, Lenie...

– Judy – odzywa się obojętnie Clarke. – Dlaczego mi to mówisz?

Caraco odwraca wzrok.

– Przepraszam. Nie miałam nic złego na myśli.

Clarke schodzi w dół po drabince.

– Po prostu uważaj na siebie, dobrze? – woła w ślad za nią Caraco.

Kiedy Clarke dociera na miejsce, skulony Acton, z kolanami pod brodą, unosi się w wodzie kilka centymetrów ponad skalnym ogrodem. Rzecz jasna, oczy ma otwarte. Kobieta wyciąga rękę i dotyka go przez dwie warstwy połyskliwego kopolimeru.

Ten jedynie lekko się porusza. Jego vocoder co jakiś czas wydaje z siebie odgłosy tykania.

Lenie Clarke owija się wokół mężczyzny. Śpią aż do rana w objęciach lodowatej, morskiej wody.

Zwarcie

Nie ulegnę.

To byłoby zbyt proste. Mogłaby żyć na zewnątrz, trzymać się z dala od tej trzeszczącej skorupy i wracać tylko po to, aby zjeść, wykapać się i wywiązać się z tych zadań, których wykonanie wymaga atmosfery. Mogłaby spędzić całe życie, śmigając po dnie. Tak, jak robi to Lubin. Tak, jak zaczynają Brander, Caraco, a nawet Nakata.

Lenie Clarke wie, że to nie jest jej miejsce. Ani żadnego z pozostałych.

Ale jednocześnie boi się tego, co może jej się stać na zewnątrz. Mogę skończyć jak Fischer. Tak łatwo można zwyczajnie – odpłynąć. O ile wcześniej nie załatwi mnie gorący wyciek albo lawina błotna.

Ostatnio bardzo ceni sobie swoje życie. Może to znak, że zaczyna tracić kontrolę nad sobą. Który ryft obawia się o swoje życie? Ale tak właśnie jest: Ryft zaczął ją przerażać.

To bzdura. Kompletna, totalna bzdura.

Kto by się nie bał?

Boisz się. Tak. Karla. Tego, co ci robi za twoim własnym przyzwoleniem.

Minął już jakiś tydzień?

Dwa dni.

Dwa dni, od kiedy przestała sypiać na zewnątrz. Dwa dni, od kiedy nałożyła na siebie areszt domowy. Wychodzi na zewnątrz do pracy i wraca natychmiast po zakończeniu zmiany. Nikt z nią o tym nie rozmawiał. Może nikt nie zauważył, skoro sami nie wracają po pracy z powrotem do Beebe, tylko rozpraszają się po dnie, przebywając w cudownym, lodowatym odosobnieniu.

Wiedziała jednak, że Acton zauważy. Zauważy, zatęskni za nią i wróci do niej, do środka. A może spróbuje z nią porozmawiać i przekonać ją do wyjścia na zewnątrz, pokłóci się z nią, gdy ona odmówi. Ale nie dał nic po sobie poznać. Spędza na zewnątrz tyle samo czasu, co zwykle.

Oczywiście, wciąż się widują. W porze posiłków. Przy bibliotece. Raz dla seksu, w czasie którego żadne z nich nie powiedziało niczego ważnego. A potem on znów zniknął w oceanie.

Nie zawierał z nią żadnego układu. A ona nawet nie wspomniała mu o układzie, jaki zawarła sama ze sobą. Mimo to jednak czuje się zdradzona.

Potrzebuje go. Wie doskonale, co to oznacza, na drodze przed sobą dostrzega liczne ślady swoich stóp, ale widzieć znaki ostrzegawcze a zmienić kurs to dwie różne rzeczy. Aż ją skręca od pragnienia wyjścia na zewnątrz, ale nie potrafi ocenić, czy na zewnątrz do niego, czy po prostu *na zewnątrz*.

Dopóki jednak on jest tam, a ona tutaj, w Beebe, Lenie Clarke może wmawiać sobie, że ma wszystko pod kontrolą.

Jest to jakiś postęp.

Leży teraz zwinięta w kłębek w swojej kajucie za zamkniętym włazem, gdy nagle do jej uszu dociera dochodzące z dołu bulgotanie śluzu. Kobieta schodzi z łóżka jakby była zdalnie sterowana.

Odgłosy, ciało uderzające o metal, hydraulika i pneumatyka. Głos. Lenie Clarke zmierza do komory odpływowej.

Przyniósł ze sobą potwora. To żabnica, długi na prawie dwa metry, galaretowaty worek mięsa z zębami jak połowa przedramienia Clarke. Leży, podrygując na pokładzie. Wnętrza eksplodowały jej przez pysk ze względu na ciśnienie w Beebe utrzymywane na poziomie powierzchniowym, które dla ryby było niemal jak kontakt z próżnią. Z jej ciała wystają dziesiątki drgających niemrawo, miniaturowych ogonów.

Caraco i Lubin, będący w połowie jakiejś czynności, podnoszą wzrok znad śluzu technicznej. Acton staje obok swej zdobyczy; z jego klatki piersiowej, wciąż jeszcze napełniającej się powietrzem, dobiega ciche syczenie.

– Jak udało ci się zmieścić to w śluzie? – zastanawia się Clarke.

– A co ważniejsze. – Lubin podchodzi bliżej. – Po co?

– Czym są te wszystkie ogony? – pyta Caraco.

Acton szczyrzy zęby w uśmiechu.

– To nie ogony. To partnerzy.

Wyraz twarzy Lubina nie zmienia się ani trochę.

– Doprawdy.

Clarke pochyła się nad rybą. Teraz widzi, że to nie tylko ogony; niektóre mają dodatkowe płetwy na grzbiecie i po bokach. Niektóre mają skrzela. A kilka nawet ma oczy. Wygląda to tak, jakby cała ławica maleńkich żabnic wgryzła się w jedną dużą. Niektóre tylko do linii swych szczęk, ale inne aż po sam ogon.

Nagle uderza ją kolejna myśl, jeszcze bardziej odrażająca; wielka ryba nie potrzebuje już pyska. Po prostu *wchłania* mniejsze przez skórę, jak jakiś ogromny, degenerujący się mikrob.

– Seks grupowy na ryfcie – oznajmia Acton. – Wszystkie te wielkie, na które natrafialiśmy, to samice. Samce to te małe sukinsyny wielkości palca. Tu, w głębinach, nie ma zbyt wielu okazji do randkowania, więc po prostu uczepiają się pierwszej samicy, jaka się nawinie i w pewnym sensie stapiają się z nią – ich głowy zostają wchłonięte, a układy krwionośne ulegają połączeniu. To pasożyty, rozumiecie? Wgryzają się w jej bok i spędzają całe życie, żerując na niej. Jest ich w chuj, ale ona jest od nich większa, silniejsza i mogłaby pożreć ich żywcem, gdyby tylko...

– Znów siedział przy bibliotece – kwituje Caraco.

Acton przygląda jej się przez chwilę, a potem z premedytacją wskazuje na spoczywającego na pokładzie, rozdętego trupa.

– To my. – Chwyta w dłoń jednego z pasożytniczych samców i wrywa go z boku ryby. – A to wszyscy inni. Rozumiecie?

– Ach – odpowiada mu Lubin. – Metafora. Sprytne.

Acton robi krok w jego stronę.

– Lubin, zaczynam mieć ciebie zajebiście dość.

– Naprawdę? – Lubin nie wydaje się ani trochę poruszony.

Clarke przemieszcza się; nie staje jednak pomiędzy mężczyznami, ale trochę z boku, tworząc tym samym trzeci wierzchołek ludzkiego trójkąta. Nie ma bladego pojęcia, co robi, jeśli dojdzie do wymiany ciosów. Nie ma pojęcia, co powiedzieć, by temu zapobiec.

Nagle nie jest pewna, czy w ogóle chce to robić.

– Dajcie spokój, chłopaki. – Caraco opiera się o stojak suszarki. – Nie możecie załatwić tego jakoś inaczej? Może wyjmiecie linijkę i porównacie sobie fiuty czy coś takiego.

Mężczyźni gapią się na nią.

– Uważaj, Judy. Robisz się zbyt pewna siebie.

Teraz gapią się na Clarke.

Czy ja właśnie to powiedziałam?

Przez długą, naprawdę długą chwilę nic się nie dzieje. Potem Lubin odchrząkuje i rusza w stronę warsztatu. Acton odprowadza go wzrokiem; potem, pozbawiony bezpośredniego zagrożenia, wraca do śluzu.

Najeżona niezliczonymi ciałami samców martwa żabnica podryguje na pokładzie.

– Lenie, on robi się naprawdę dziwny – mówi Caraco, gdy śluza napełnia się wodą. – Może powinnaś pozwolić mu odejść.

Clarke tylko potrząsa głową.

– Odejść dokąd?

Nawet udaje jej się uśmiechnąć.

Szukała Karla Actona, ale jakimś sposobem zamiast niego udało jej się odnaleźć Gerry’ego Fischera. Mężczyzna przygląda jej się ze smutkiem z drugiego końca długiego tunelu. Wydaje się, jakby dzielił ich cały ocean. Nie odzywa się, lecz kobieta wyczuwa jego smutek, rozczarowanie. *Okłamałaś mnie, mówią te uczucia. Powiedziałaś, że będziesz przychodzić mnie odwiedzać, a skłamałaś. Całkiem o mnie zapomniałaś.*

Nie ma racji. Wcale o nim nie zapomniała. Tylko próbowała.

Rzecz jasna nie mówi tego na głos, ale jakimś cudem Fischer reaguje na jej słowa. Jego uczucia zmieniają się; znika smutek, a jego miejsce zajmuje coś zimniejszego, coś tak głębokiego i pierwotnego, że Clarke nie potrafi znaleźć odpowiednich określeń, by to opisać.

Coś czystego.

Coś dotyka jej ramienia. Kobieta odwraca się gwałtownie i, przygotowując się do odparcia ataku, zaciska dłoń na palce gazowej.

– Hej, spokojnie. To ja. – Na tle bladego światła dochodzącego od strony Gardła majaczy się sylwetka Actona. Clarke rozluźnia się i nie mówiąc nic, popycha go lekko w pierś.

– Witaj z powrotem. Nie widziałem cię tutaj już od jakiegoś czasu.

– Ja – szukałam cię – odzywa się wreszcie kobieta.

– W błocie?

– Co?

– Unosiłaś się w wodzie, twarzą w dół.

– Ja... – Clarke odczuwa nutkę niepokoju, ale nie potrafi uzmysłwić sobie, z czego on wynika. – Musiałam zasnąć. Coś mi się przyśniło. Tak dawno już tu nie spałam, że...

– Od czterech dni chyba. Tęskniłem za tobą.

– No cóż, mogłeś przyjść do środka.

Acton kiwa głową.

– Próbowałem. Ale ani razu nie zmieściłem się cały w śluzie, a to, co udało mi się tam wcisnąć, było tylko jakąś marną namiastką. O ile pamiętasz.

– Nie jestem pewna, Karl. Wiesz, co o tym sędzę.

– To prawda. Wiem też, że lubisz tu przebywać, tak samo jak ja. Czasami myślę sobie, że mógłbym zostać tu na zawsze. – Milknie na chwilę, jakby rozważając możliwe opcje. – Fischer dobrze na tym wyszedł.

Nagle robi się zimno.

– Fischer?

– On wciąż tu jest, Len. Dobrze o tym wiesz. – Widziałeś go?

– Tylko kilka razy. Jest dość płochliwy.

– Kiedy... to znaczy...

– Tylko wtedy, gdy jestem sam. I daleko od Beebe.

Clarke rozgląda się, czując niewytłumaczalny strach. *Jasne, że nie możesz go zobaczyć. Nie ma go tu. A nawet gdyby był, jest za ciemno, żeby...*

Kobieta opanowuje pragnienie zapalenia latarki.

– On... Wydaje mi się, że bardzo się do ciebie przywiązał, Len. Ale o tym pewnie też dobrze wiesz.

Nie. Nie, nie wiedziałam. Nie wiem.

– Rozmawia z tobą? – Clarke nie ma pojęcia, dlaczego, ale czułaby się urażona tym faktem.

– Nie.

– Więc jak?

Przez chwilę Acton nie odpowiada.

– Nie wiem. Po prostu odniosłem takie wrażenie. Ale on nie mówi. To... No nie wiem, Len. Kręci się w pobliżu i obserwuje nas. Nie jestem pewien, czy jest do końca zdrowy na umyśle, podług naszych standardów.

– Obserwuje nas – byczy kobieta cichym, bezbarwnym głosem.

– Wie, że jesteśmy razem. Myślę... myślę, że doszedł do wniosku, że w jakimś sensie to mnie z nim łączy. – Acton milczy przez chwilę. – Troszczyłaś się o niego, prawda?

O tak. To zawsze zaczyna się tak niewinnie. Troszczyłaś się o niego, to miło, a potem a podobał ci się potem musiałaś przecież coś zrobić, skoro się do ciebie cały czas podwała potem ty pieprzona dziwko, zobaczysz...

– Lenie – odzywa się Acton. – Nie próbuję niczego zaczynać.

Clarke przygląda mu się i czeka.

– Wiem, że niczego nie było. A nawet gdyby było, to wiem, że nie stanowi to dla nas żadnego zagrożenia.

To też już kiedyś słyszała.

– Jak tak teraz o tym myślę, to chyba zawsze był mój problem. – Acton pogrąża się w zadumie. – Zawsze musiałem polegać na tym, co mówili mi ludzie, a ludzie – ludzie cały czas kłamią, Len, dobrze o tym wiesz. Więc nieważne, ile razy ona będzie przysięgać, że cię nie przewala albo, że nawet *nie chce* cię przewalać, to skąd możesz to *wiedzieć* na pewno? Nie możesz. Więc domyślne założenie jest takie, że ona kłamie. A jeśli ktoś ciągle cię okłamuje, to jest to cholernie dobry powód, by – no cóż – by zrobić to, co czasem robię.

– Karl... wiesz...

– Wiem, że *ty* mnie nie okłamujesz. Nawet mnie nie nienawidzisz. A to już jakaś odmiana.

Kobieta wyciąga rękę, by dotknąć jego policzka.

– Jak dla mnie to dobry znak. Cieszę się, że mi ufasz.

– Tak naprawdę, Len, to *nie muszę* ci ufać. Po prostu *wiem*.

– Co masz na myśli? Skąd?

– Nie jestem pewien – odpowiada mężczyzna. – Ma to coś wspólnego ze zmianami.

Czeka na jej reakcję.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Karl? – odzywa się wreszcie Clarke. – Chcesz powiedzieć, że potrafisz czytać mi w myślach?

– Nie. Nic z tych rzeczy. Ja po prostu, bardziej się z tobą identyfikuję. Potrafię – trudno to wytłumaczyć.

Kobieta przypomina sobie, jak wisiał nad świecącym smokerem: Robaki z Pompejów potrafia je przewidzieć. Małże i kraby potrafia. Dlaczego nie ja?

Dostroił się, uświadamia sobie Clarke. Do wszystkiego. Dostroił się nawet do cholernych robaków, to właśnie...

Dostroił się do Fischera.

Dotyka językiem włącznika latarki. Jaskrawy snop światła przeszywa otchłań. Kobieta przeczesuje

wodę wokół siebie. Nic.

– Pozostali też go widzieli?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że Caraco raz czy dwa razy złapała go na sonarze.

– Wracajmy.

– Nie wracajmy. Zostań jeszcze chwilę. Zostań na noc.

Clarke spogląda prosto w jego puste soczewki.

– Proszę cię, Karl. Chodź ze mną. Pośpij przez jakiś czas w środku.

– On nie jest niebezpieczny, Len.

– Nie o to chodzi. – A w każdym razie nie tylko.

– Więc o co?

– Karl, zastanawiałeś się może, czy czasem nie zaczynasz uzależniać się od tego swojego kopa nerwowego?

– Daj spokój, Len. Ryft daje kopa nam wszystkim. Dlatego tu jesteśmy.

– Dostajemy kopa, bo jesteśmy pieprznięci w głowę. To nie znaczy, że powinniśmy dodatkowo pogłębiać ten efekt.

– Lenie.

– Karl – kobieta kładzie mu dłonie na ramionach. – Nie wiem, co tu się z tobą dzieje. Ale cokolwiek to jest, przeraża mnie.

Acton kiwa głową.

– Wiem.

– W takim razie proszę cię, proszę, spróbuj żyć po mojemu. Postaraj się nocować w środku przez jakiś czas. Postaraj się nie spędzać każdej jednej chwili pełzając po dnie oceanu, okej?

– Lenie, nie lubię siebie, gdy jestem w środku. Nawet *ty* mnie nie lubisz, gdy jestem w środku.

– Może. Nie wiem. Po prostu... po prostu nie wiem, jak sobie z tobą radzić, gdy jesteś taki, jak teraz.

– Gdy nie mam zamiaru spuścić wszystkim wpierdolu? Gdy zachowuję się, jak rozsądna istota ludzka? Gdybyśmy prowadzili tę rozmowę w Beebe, rzucalibyśmy już w siebie różnymi rzeczami. – Milknie na chwilę. Coś w jego postawie ulega zmianie. – A może za tym *tęsknisz*?

– Nie. Oczywiście, że nie – zaprzecza Clarke, zaskoczona tym pomysłem.

– No cóż, w takim razie...

– Proszę. Po prostu zrób mi tę przyjemność. Co złego może się stać?

Mężczyzna nie odpowiada. Jednak Clarke odnosi wrażenie, że mógłby.

Clarke musi mu to przyznać. W każdym jego ruchu widać niechęć, a mimo to pierwszy wchodzi do śluzy. Jednak coś się z nim dzieje, gdy woda opada; powietrze wypełnia jego wnętrze, w pewien sposób wypełniając miejsce czegoś innego. Kobieta nie do końca potrafi to uchwycić. Zastanawia się, dlaczego wcześniej niczego nie zauważyła.

W nagrodę zabiera go prosto do swej kajuty. Acton pieprzy ją ostro, przypierając do grodzi i ani trochę nie dbając o dyskrecję. Kadłub stacji rozbrzmiewa echem zwierzęcych odgłosów. W czasie, gdy mężczyzna dochodzi, Clarke zastanawia się, czy hałasy przeszkadzają pozostałym.

– Czy ktokolwiek z was – zaczyna Acton – zastanawiał się dlaczego jest tu tak kurewsko paskudnie?

Akurat nadarzyła się dziwna i niezwykła okazja, tak rzadka jak koniunkcja planet. Wszystkie zegary dobowe od jakiejś godziny czy dwóch tykały w tym samym rytmie, przyciągając ryfterów na obiad w tym samym czasie. Prawie wszystkich; nigdzie nie widać Lubina. Nie żeby kiedykolwiek

włączał się zbyt aktywnie w rozmowę.

– Co masz na myśli? – pyta Caraco.

– A jak ci się *wydaje*? Rozejrzyj się, do cholery! – Acton omiata mesę gestem dłoni. – Ledwo jest tu dość miejsca, by się wyprostować. Gdzie nie spojrzysz, tam jebane rury i kable. To jak mieszkać w pomieszczeniu technicznym.

Brander marszczy brwi, wykrzywiając usta pełne nawodnionych ziemniaków.

– Musieli trzymać się bardzo surowego harmonogramu – podsuwa Nakata. – Musieli jak najszybciej podłączyć wszystko do sieci. Może po prostu nie mieli czasu, żeby zadbać o wygodę.

Acton prycha przez nos.

– Daj spokój, Alice. Ile czasu zabrałoby im umieszczenie w planach przyzwoitej ilości przestrzeni nad głową?

– Coś czuję, że czeka nas jakaś teoria spiskowa – szydzi Brander. – No dalej, Karl. Dlaczego GA dołożyło starań, żebyśmy cały czas uderzali się w głowy? Może chcą w ten sposób wyhodować z nas niższych ludzi? Żebyśmy mniej jedli?

Lenie Clarke czuje, jak Acton się spina; zupełnie jakby jego naprężające się mięśnie wytwarzały małą falę uderzeniową, impuls napięcia, który wprawia w ruch powietrze i rozbija się o jej „skórę”. Pod stołem, uspokajającym gestem kładzie mu dłoń na udzie. Oczywiście zdaje sobie sprawę z ryzyka. Gdyby Acton uznał, że potraktowała go protekcyjnie, wkurwiłby się jeszcze bardziej.

Tym razem jednak nieco się rozluźnia.

– Myślę, że chcą wytrącić nas z równowagi. Myślę, że specjalnie zaprojektowali Beebe tak, by trzymać nas w ciągłym stresie.

– Po co? – odzywa się znów Caraco, spięta, ale uprzejma.

– Żeby mieć nad nami przewagę. Im więcej czasu będziemy chodzili podenerwowani, tym mniej będziemy go mieć, by zastanowić się, co moglibyśmy im zrobić, gdybyśmy tylko zechcieli.

– Niby co takiego?

– Rusz głową, Judy. Moglibyśmy odłączyć sieć elektryczną na powierzchni od Wysp Królowej Charlotte po Portland.

– Po prostu zmieniliby kanał – mówi Brander. – Są jeszcze inne stacje głębinowe.

– Tak. A na wszystkich zatrudniony jest personel taki, jak my. – Acton wali ręką w blat stołu. – *Obudźcie się*, ludzie! Oni nas tu *nie chcą*! *Nienawidzą* nas, jesteśmy świrami, którzy tłuką swoje żony i jedzą dzieci na śniadanie! Gdyby nie to, że wszyscy inni dostaliby tu szalu...

Clarke potrząsa głową.

– Gdyby chcieli, mogliby zupełnie wyłączyć nas z obiegu. Wystarczyłoby wszystko zautomatyzować.

– Alleluja! – Acton kpiąco klaszcze w dłonie. – Baba wreszcie zajarzyła.

Brander rozwała się na krześle.

– Daj spokój, Acton. Nigdy wcześniej nie pracowałeś dla GA? Pracowałeś w ogóle dla *jakiegokolwiek* zbiurokratyzowanego tworu?

Wzrok Actona spoczywa na drugim mężczyźnie.

– Do czego zmierzasz?

Brander odpowiada mu spojrzeniem; na jego wargach błąka się szydery uśmiezek.

– Zmierzam do tego, *Karl*, że to, co robisz, to zwykła nadinterpretacja. No to zrobili za niski sufit. No to mają chujowego dekoratora wnętrz. Coś jeszcze z nowości? GA wcale tak się ciebie nie boi. – Brander zatacza koło ręką, omiatając wnętrze stacji. – To nie jest teren jakiejś subtelnie prowadzonej wojny psychologicznej. Po prostu Beebe została zaprojektowana przez niekompetentnych palantów. –

Brander wstaje i zanosi talerz do kambuza. – Jeśli nie podoba ci się wysokość sufitu, to siedź sobie na zewnątrz.

Acton spogląda na pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz Lenie Clarke.

– Wierz mi, chciałbym.

Acton pochyla się nad biblioteką z zestawem wizualizacyjnym na oczach i uszach; ekran jak zwykle zostawił ciemny, by ukryć przed innymi, czym się zajmuje. Tak jakby cokolwiek w bazie danych było naprawdę prywatne. Tak jakby GA wypuściło jakąkolwiek informację, którą lepiej ukryć.

Clarke nauczyła się, żeby mu przy tym nie przeszkadzać. Acton poluje w bibliotece i nie spodobałoby mu się, gdyby ktoś go od tego oderwał, zupełnie jakby pliki, których szuka miały uciec, gdy spojrzy w inną stronę. Kobieta nawet nie próbuje go dotykać. Nie przebiega delikatnie palcem wzdłuż jego ręki ani nie rozmasowuje jego spiętych ramion. Już nie. Lenie Clarke potrafi uczyć się na niektórych błędach.

W pewnym dziwnym sensie, mężczyzna wydaje się bezradny; odcięty od reszty Beebe, głuchy i ślepy na obecność ludzi, którzy zdecydowanie nie są jego przyjaciółmi. Brander mógłby teraz podejść do niego od tyłu i wbić mu nóż w plecy. A jednak wszyscy zostawiają go w spokoju. Zupełnie jakby ta blokada zmysłów, ta dobrowolna bezbronność, była rzuconym bezczelnie wyzwaniem, którego nikt nie ma odwagi podjąć. Tak więc Acton siedzi przy klawiaturze – z początku stukając w nią palcami, a teraz wręcz dźgając – zatopiony we własnej sferze danych, a jego nieobecna obecność wydaje się wypełniać mesę, wykraczając poza granice jego fizycznego ciała.

– KURWA!

Mężczyzna zrywa zestaw w twarzy i wali pięścią w pulpit. Ani jednej rysy. Toczy wściekłym spojrzeniem po mesie; jego białe, płonące oczy zatrzymują się na stojącej w kambuzie Nakacie. Lenie Clarke rozsądnie woli unikać jego wzroku.

– Ta baza danych jest w chuj stara! Zamknęli nas w tej czarnej dupie na całe miesiące, a nawet nie zapewnili połączenia z Siecią!

Nakata rozkłada ręce.

– Sieć jest zainfekowana – wyjaśnia nerwowo. – Przysyłają nam pobrane, oczyszczone dane mniej więcej co miesiąc...

– Wiem, kurwa. – Głos Actona staje się nagle niebezpiecznie spokojny. Nakata pojmuje aluzję i milknie.

Mężczyzna wstaje. Pomieszczenie wydaje się kurczyć wokół niego.

– Muszę stąd wyjść – mówi wreszcie. Robi krok w kierunku drabinki, po czym zerka na Clarke. – Idziesz?

Ta kręci głową.

– Jak sobie chcesz.

Może Caraco. W końcu próbowała wyciągnąć do niej rękę.

Nie, żeby Clarke ją przyjęła. Ale wszystko się zmienia. Już nie ma tylko dwóch Karlów Actonów. A kiedyś byli; w zasadzie wszyscy jej partnerzy składali się z dwóch osób. Był żywiciel o zniewalającej sylwetce, którego twarz i imię nie miały znaczenia, bo potrafiły zmienić się bez ostrzeżenia. A żeby zapewnić ciągłość, za każdą parą błyszczących oczu kryła się istota wewnętrzna. To *nigdy* nie ulegało zmianie. Szczerze mówiąc, Lenie Clarke nie wiedziałaby co robić, gdyby było inaczej.

Teraz pojawiło się coś nowego: istota *zewnątrzna*. Póki co nie przejawia ona żadnych oznak

agresji. Wydaje się jednak obdarzona rentgenowskim wzrokiem, co może okazać się czymś znacznie gorszym.

Lenie Clarke zawsze sypiała z istotą wewnętrzną. Do tej pory zawsze zakładała, że robiła to z braku innej alternatywy.

Stuka lekko we właz do kajuty Caraco.

– Judy? Jesteś tam? – Powinna być; nie ma jej nigdzie indziej w Beebe, a sonar nie wyłapuje jej na zewnątrz.

Żadnej odpowiedzi.

To może poczekać.

Nie. Czekają już dość długo.

Jak ja bym się czuła, gdyby ktoś...

Ona nie jest mną.

Właz jest zamknięty, ale nie zablokowany. Clarke otwiera go na szerokość kilku centymetrów i zagląda do środka.

Jakimś cudem im się udało. Alice Nakata i Judy Caraco leżą wtulone w siebie na maleńkiej koi. Ich oczy poruszają się niespokojnie pod zamkniętymi powiekami. Nad ich snem czuwa stojąca obok maszyna, której macki oblepiają ciała obu kobiet.

Clarke pozwala, by właz zamknął się z sykiem.

To i tak był głupi pomysł. Co ona miałyby wiedzieć?

Jednak zastanawia się, od jak dawna kobiety są razem. Kompletnie się tego nie spodziewała.

– Twój facet się nie pojawił – zgłasza się Lubin. – Mieliśmy uzupełnić poziom chłodziwa w siódemce.

Clarke włącza wyświetlacz topograficzny.

– Kiedy?

– Czwarta zero-zero.

– Okej. – Acton ma pół godziny spóźnienia. To dziwne; ostatnio dokładał wszelkich starań, by być punktualnym, niechętnie zgodziwszy się pójść na ustępstwo wobec Clarke w imię relacji w grupie. – Nie widzę go na sonarze – oznajmia kobieta. – Chyba że trzyma się blisko dna. Poczekaj.

Wychyla się z pomieszczenia łączności.

– Hej, czy ktoś widział Karla?

– Wyszedł jakiś czas temu – woła z komory odpływowej Brander. – Chyba konserwacja siódemki.

Clarke podłącza się znów do kanału Lubina.

– Nie ma go tu. Brander mówi, że już wyszedł. Poszukam go.

– Dobra. Przynajmniej jego sygnalizator zgonu nie wyje.

Kobieta nie potrafi ocenić, czy według Lubina to dobrze, czy źle.

Kątem oka dostrzega jakiś ruch. Podnosi głowę; w przejściu stoi Nakata.

– Znalazłaś go? – pyta.

Clarke potrząsa głową.

– Tuż przed wyjściem był w kabinie medycznej. Otworzył się. Powiedział, że dokonuje pewnych modyfikacji.

O, Boże.

– Powiedział, że poprawiają jego wydajność na zewnątrz, ale nie wyjaśnił dokładnie o co mu chodzi. Powiedział, że później mi pokaże. Może coś poszło nie tak.

Clarke przywołuje widok z zewnętrznej kamery, umieszczonej na brzuchu Beebe. Obraz faluje

przez chwilę, po czym zyskuje ostrość; na ekranie pojawia się spoczywający na błotnistej równinie krąg światła, wykończony półokrągłymi ząbkami i poprzecinany ostrymi cieniami lin kotwicznych. Na jego krawędzi widać ciemną, ludzką sylwetkę, skierowaną twarzą w dół i przyciskającą dłonie do skroni.

Kobieta włącza mikrofon bliskiego zasięgu.

– Karl! Karl, słyszysz mnie?

Acton reaguje na jej głos. Odwraca głowę, kierując twarz w stronę reflektorów; w jego nakładkach na oczy odbija się pozbawione wyrazu, białe światło. Wstrząsają nim dreszcze.

– Jego vocoder – odzywa się Nakata. Z głośnika dobiega cichy, monotony, mechaniczny odgłos. – Chyba się – zaciął.

Clarke jest już w komorze odpływowej. Wie, co mówi vocoder Actona. Wie, bo to samo słowo błąka jej się wciąż po głowie. *Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.*

Na pierwszy rzut oka nie ma żadnych widocznych uszkodzeń motorycznych. Udaje mu się wrócić do środka o własnych siłach; w zasadzie to wręcz sztywnieje, gdy Clarke próbuje mu pomóc. Bez słowa ściąga z siebie sprzęt i rusza jej śladem do kabiny medycznej.

Nakata dyplomatycznie zamyka za nimi włącz.

Acton siedzi z kamienną twarzą na stole do badań. Clarke zna procedury; zdjąć z niego „skórę”, wyjąć nakładki. Sprawdzić odruch źreniczny i łuki odruchowe. Ukłuć go, pobrać zwyczajowe próbki, zbadać poziom gazów we krwi, acetylocholino, GABA, kwasu mlekowego.

Siada obok niego. Nie chce zdejmować mu nakładek. Nie chce widzieć tego, co jest za nimi.

– Twoje inhibitory – odzywa się wreszcie. – O ile je obniżyłeś?

– Dwadzieścia procent.

– No cóż. – Próbuje delikatnego podejścia. – Przynajmniej wiemy już, jaka jest twoja granica.

Teraz tylko wróć do normalnego poziomu.

Niemal niedostrzegalnie, Acton kręci głową.

– Dlaczego nie?

– Za późno. Przekroczyłem jakiś próg. Myślę, że... Czuję, że to nieodwracalne.

– Rozumiem. – Niepewnie kładzie mu rękę na ramieniu. Mężczyzna nie reaguje. – A jak ty się czujesz?

– Ślepy. Głuchy.

– Ale nie jesteś.

– Pytałaś, jak się *czuję* – kwituje Acton, zachowując kamienną twarz.

– Masz. – Clarke ściąga z haka hełm do tomografii. Acton pozwala umocować go sobie na głowie.

– Jeśli coś jest nie tak, to powinno...

– Jest coś nie tak, Len.

– No cóż. – Odczyty z hełmu pojawiają się na wyświetlaczu diagnostycznym. Clarke zna się na medycynie w takim samym stopniu, co pozostali; maszyny przejmujące kontrolę nad snami wtłoczyły wiedzę do jej umysłu. Mimo to surowe dane nic jej nie mówią. Wreszcie, prawie po minucie, wyświetlacz drukuje podsumowanie.

– Masz bardzo niski poziom wapnia w synapsach. – Kobieta bardzo stara się nie okazywać ogarniającej ją ulgi. – Chyba ma to sens. Jeśli twoje neurony odpalają zbyt często, w końcu czegoś musi im zabraknąć.

Acton spogląda na ekran, ale nie odzywa się ani słowem.

– Karl, wszystko w porządku. – Clarke nachyla się do jego ucha, wciąż trzymając mu rękę na

ramieniu. – To się samo naprawi. Po prostu przywróć normalny poziom inhibitorów; zapotrzebowanie spadnie, a zasoby będą rosnać. Nic się nie stało.

Mężczyzna ponownie kręci głową.

– To nie zadziała.

– Karl, spójrz na odczyty. Wszystko będzie dobrze.

– Nie dotykaj mnie, proszę – mówi, nie wykonując przy tym najmniejszego ruchu.

Masa krytyczna

Clarke zauważyła ruch ręki na ułamek sekundy przed tym, jak pięść ląduje pod jej okiem. Zatacza się do tyłu, wpadając na gródź i uderzając tyłem głowy o jakiś wystający nit czy zawór. Świat tonie pośród rozbłysków pod powiekami.

Stracił panowanie nad sobą, myśli tępo. Wygrałam. Nogi uginają się pod nią i kobieta osuwa się po ścianie, lądując z głuchym łomotem na podłodze. W pewnym sensie uważa za powód do dumy, że przez cały ten czas nawet nie pisnęła.

Ciekawe, czym go sprowokowałam. Nie może sobie przypomnieć. Cios Actona chyba wybił jej z głowy wspomnienie kilku ostatnich minut. *To i tak nie ważne. Znów ta sama śpiewka*.

Tym razem jednak wygląda na to, że ktoś jest po jej stronie. Do uszu kobiety dobiegają krzyki i odgłosy przepychanki. Słyszy ohydne uderzenie ciała o kość i o metal; choć raz żadne z powyższych najwyraźniej nie należy do niej.

– Ty *pojebie!* Urwę ci jaja!

To głos Branderera. Brander staje w jej obronie. Zawsze był szarmancki. Clarke uśmiecha się i czuje smak soli. *Rzecz jasna nigdy też do końca nie wybaczył Actonowi tej sprzeczki o polykacza...*

Powoli zaczyna widzieć wyraźnie, przynajmniej na jedno oko. Przed sobą ma czyjąś nogę, z boku drugą. Kobieta podnosi wzrok; nogi spotykają się w kroku Caraco. Acton i Brander też są w jej kajucie; Clarke dziwi się, że wszyscy mieszczą się w środku.

Acton, z zakrwawionymi ustami, przeżywa prawdziwe obłączenie. Brander trzyma go za gardło. Acton ściska jego nadgarstek; na oczach Clarke atakuje drugą ręką i zadaje Branderowi cios w szczękę.

– Przestańcie – mamrocze kobieta.

Caraco dwukrotnie, w krótkich odstępach, uderza Actona w skroń. Jego głowa odskakuje na bok. Mężczyzna wydaje z siebie warkot, ale nie puszcza dłoni Branderera.

– Powiedziałam: *przestańcie!*

Tym razem słyszą. Tempo walki spada, wreszcie zamiera zupełnie; nikt nie opuszcza zaciśniętych pięści, ani nikt nie rozluźnia uchwytu, ale wszyscy skierowali wzrok na nią.

Nawet Acton. Clarke patrzy mu w oczy i poza nie. Nie odpowiada jej spojrzeniem nic innego, poza samym Actonem. *Byłaś tam wcześniej*, przypomina sobie. *Jestem prawie pewna. Można było się spodziewać, że wpakujesz Karla w z góry przegraną walkę, a potem zabierzesz dupę w troki...*

Zapiera się o gródź i powoli podciąga się do góry. Caraco odsuwa się na bok i pomaga jej wstać.

– Pochlebia mi całe to zainteresowanie – mówi Clarke. – I bardzo wam dziękuję, że wpadliście, ale myślę, że teraz poradzimy już sobie sami.

Caraco opiekuńczym gestem kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Nie musisz tolerować zachowania tego dupka – mówi, nie spuszczać wzroku z Actona.

Pomimo nakładek, wydaje się, że jej oczy spoglądają jadownicę. – Żadne z nas nie musi.

Kącik ust Actona unosi się do góry w szyderczym, krwawym uśmiechu.

Clarke udaje się nie wzdrygnąć pod dotykiem Caraco.

– Wiem. I dzięki za wkroczenie do akcji. Ale teraz zostawcie nas, proszę, na chwilę samych.

Brander nie puszcza gardła Actona.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry...

– Zabierzcie wreszcie z niego swoje brudne łapska i zostawcie nas samych!

Wycofują się. Clarke rzuca im gniewne spojrzenie i zamyka za nimi włącznik.

– Cholerni wścibscy sąsiedzi – mruczy, odwracając się znów w stronę Actona.

Wydaje się, że w nagłym odosobnieniu mężczyzna maleje i opada z sił, dosłownie na oczach Clarke wyparowują z niego gniew i zuchwalstwo.

– Zechcesz wyjaśnić mi, dlaczego bywasz takim dupkiem? – pyta kobieta.

Acton wali się na pryczę. Wpatruje się w pokład, unikając wzroku Clarke.

– Nie widzisz, kiedy ktoś cię przepierdala?

Lenie siada obok.

– Jasne, że widzę. Obrywanie po gębie wydaje się wystarczającą wskazówką.

– Próbuję ci *pomóc*. Próbuję pomóc wam *wszystkim*.

Mężczyzna odwraca się w jej stronę i przytula ją. Trzęsąc się, przyciska policzek do jej policzka.

Twarz ma zwróconą w kierunku grodzi za ramieniem Clarke.

– O Boże, Lenie tak cię przepraszam, jesteś ostatnią osobą na tym pieprzonym świecie, którą chciałbym skrzywdzić.

Clarke głaszcząc go bez słowa. Wie, że Acton mówi szczerze. Z nimi zawsze tak jest. Clarke wciąż nie potrafi ich za nic potępić.

Myśli, że jest tam sam. Myśli, że wszystko jest jego własną winą.

Na krótką chwilę przychodzi jej do głowy nieprawdopodobna myśl: *Może jest...*

– Nie mogę tak dalej – oznajmia mężczyzna. – Ciągłe siedzieć w środku.

– Będzie lepiej, Karl. Na początku zawsze jest ciężko.

– O Boże, Len. Nawet nie masz pojęcia. Ciągłe myślisz, że jestem jakimś ćpunem.

– Karl.

– Myślisz, że nie wiem czym jest uzależnienie? Myślisz, że nie widzę różnicy?

Clarke nie odpowiada.

Mężczyzna wybucha na chwilę wymuszonym, smutnym śmiechem.

– Tracę kontrolę, Len. Zmuszasz mnie do tego. Na Boga, dlaczego chcesz, żebym był właśnie taki?

– Bo właśnie taki jesteś, Karl. Na zewnątrz nie jesteś sobą. Na zewnątrz jesteś wypaczony.

– Na zewnątrz nie jestem dupkiem. Na zewnątrz nie sprawiają, że wszyscy mnie nienawidzą.

– Nie. – Kobieta przytula go. – Jeśli miałbyś panować nad sobą, a przy tym cały czas chodzić naćpany, to wolę zaryzykować z oryginałem.

Acton spogląda na nią.

– Nienawidzę tego. Jezu Chryste, Len. Nigdy nie będziesz miała dość ludzi, którzy spuszczają ci wpierdol?

– To wredne, co mówisz – zauważa cicho Clarke.

– Nie sędzę. Pamiętam pewne rzeczy, które tam widziałem, Len. To zupełnie jakbyś potrzebowała... Boże, Lenie, jest w was wszystkich tyle *nienawiści*...

Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby mówił coś takiego. Nawet na zewnątrz.

– Wiesz, sam też trochę jej w sobie masz.

– Racja. Myślałem, że to mnie odróżnia. Że daje mi – przewagę, rozumiesz?

– Bo daje.

Mężczyzna potrząsa głową.

– O nie. Nie dorównuję tobie.

– Nie doceniasz się. Ja nie wszczynam bójek ze wszystkimi.

– W tym rzecz, Len. Ja wybucham przez cały czas, marnotrawię nienawiść na takie głupie pierdoły, jak ta. Ale ty – ty ją gromadzisz. – Wyraz jego twarzy ulega zmianie; Clarke nie jest pewna, co teraz się na niej maluje. Może troska. Niepokój. – Czasami przerażasz mnie bardziej niż Lubin. Nigdy nie

rzucasz się na nikogo ani nikogo nie bijesz. Chryste, mamy wielkie święto, gdy w ogóle podnosisz głos – więc ona tylko narasta. Ma to chyba swoje dobre strony – Acton śmieje się cicho. – Nienawiść jest źródłem ogromnej energii. Jeśli kiedykolwiek coś cię aktywuje, nic nie będzie w stanie cię powstrzymać. Póki co jednak, jesteś po prostu – toksyczna. Myślę, że nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile tak naprawdę masz w sobie nienawiści.

Współczucie?

Nagle ogarnia ją wewnętrzny chłód.

– Nie baw się ze mną w terapeutę, Karl. To, że twoje nerwy odpalają teraz za szybko, nie oznacza, że zyskałeś nagle dar jasnowidzenia. Wcale nie znasz mnie tak dobrze.

Oczywiście, że nie. Inaczej nie byłbyś ze mną.

– Tutaj nie – Acton uśmiecha się, ale spod spodu prześwituje ta dziwna, chora mina. – Na zewnątrz przynajmniej widzę różne rzeczy. Tutaj jestem ślepy.

– Jesteś w krainie ślepców – odpowiada szorstko Clarke. – Nie jest to tutaj żadną przeszkodą.

– Doprawdy? A ty zdecydowałabyś się tu zostać, gdyby oznaczało to, że wytną ci oczy?

Zdecydowałabyś się zostać w miejscu, które sprawiło, że zgnił ci mózg, kawałek po kawałku, i zamieniło cię w jebaną małpę?

Kobieta rozważa jego słowa.

– Gdybym od samego początku była małpą, to może.

O-o. Chyba zabrzmiałam trochę zbyt kpiąco.

Acton przygląda się jej przez chwilę. I Coś jeszcze oprócz niego, sennie, otworzywszy jedno oko.

– Przynajmniej *moje* endorfiny nie biorą się za zgrywania ofiary – mówi wolno. – Powinnaś nieco lepiej dobrać osoby, na które chcesz patrzeć z góry.

– A ty – odparowuje Clarke – powinieneś wygłaszać swoje pobożne kazania w tych jakże rzadkich momentach, kiedy wiesz, o czym mówisz.

Mężczyzna wstaje z łóżka i piorunuje ją wzrokiem, uważając, by nie zacisnąć pięści.

Clarke się nie porusza. Czuje, jak całe jej ciało twardnieje od wewnątrz. Z rozmysłem podnosi głowę i spogląda wprost w zakryte oczy Actona.

Teraz tam jest, całkiem obudzona. Kobieta nie widzi już wcale Actona. Wszystko wróciło do normy.

– Nawet nie próbuj – mówi Clarke. – Pozwoliłam ci na parę strzałów przez wzgląd na stare, dobre czasy, ale jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, przysięgam, że cię kurwa zabiję.

Zdumiewa ją siła w jej głosie; brzmi jak stal.

Wpatrują się w siebie przez chwilę, która wydaje się trwać wiecznie.

Ciało Actona odwraca się na pięcie i otwiera włącz. Clarke przygląda się, jak wychodzi na zewnątrz; czekająca w korytarzu Caraco bez słowa przepuszcza je obok. Lenie nie wykonuje najmniejszego ruchu dopóki nie docierają do niej dźwięki pracującej śluzy.

Nie sprawdził mojego blefu.

Tyle że tym razem nie jest pewna, czy to w pełni był blef.

Acton zupełnie się z nią nie widuje.

Minęło kilka dni, od kiedy zamienili ze sobą choć słowo. Nawet ich harmonogramy zaczęły od siebie odbiegać. Dziś w nocy, gdy Clarke próbowała zasnąć, usłyszała, jak wychodzi z otchłani i wspina się po drabinie do mesy niczym atakująca stację morską istota. Robi tak od czasu do czasu, gdy Beebe pustoszeje, gdy wszyscy są albo na zewnątrz, albo zamknięci w swoich kabinach. Siedzi wtedy przy bibliotece i przy pomocy zestawu wizualizacyjnego przeczesuje niezliczone wirtualne

alejki; w każdym jego ruchu widać desperację. Wydaje się, że musi wstrzymać oddech za każdym razem, gdy wchodzi do środka; Clarke raz widziała, jak Acton zrywa zestaw z głowy i ucieka na zewnątrz, jakby jego klatka piersiowa miała zaraz eksplodować. Kiedy podniosła porzucony sprzęt, wciąż widniały na nim wyniki jego poszukiwań. Chemia.

Innym razem odwrócił się, wychodząc na zewnątrz i zobaczył stojącą w korytarzu Clarke. Uśmiechnął się. Nawet powiedział coś: kobieta usłyszała tylko „przepraszam”, ale możliwe, że słów było więcej. Nie został w środku.

Teraz jego dłonie spoczywają bez ruchu na klawiaturze. Ramiona mu drżą. Nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Lenie Clarke zamyka na chwilę oczy, zastanawiając się, czy do niego podejść. Gdy je otwiera, w mesie nie ma już nikogo.

Clarke wie doskonale, dokąd on się wybiera. Reprezentująca go ikona odłącza się od Beebe i przemierza ekran w szerz. Zmierzając w tamtą stronę, może kierować się tylko ku jednej rzeczy.

Gdy kobieta dociera na miejsce, Acton pełza po grzbiecie stworzenia, wycinając w nim otwór swym nożem. Nakładki Clarke ledwo dają sobie radę przy znikomej ilości światła, tak daleko od Gardła; Acton tnąc i kroi w świetle latarki czołowej, jego cień wije się na tle martwego cielska.

Mężczyzna wykopał krater szerokości około pół metra i na pół metra głęboki. Przebił się już przez warstwę tłuszczu pod skórą i przediera się teraz przez leżącą pod nią brązową tkankę mięśniową. Minęły już całe miesiące od czasu, kiedy stworzenie wylądowało na dnie. Clarke zdumiewa, do jakiego stopnia się zachowało.

Otchłań lubi ekstrema, rozmyśla kobieta. Kiedy nie jest szybkowarem, staje się lodówką.

Acton przerywa kopanie. Unosi się w wodzie, przyglądając się swemu dziełu.

– Co za głupi pomysł – byczy wreszcie. – Nie mam pojęcia, co czasem we mnie wstępuje. – Odwraca się w stronę Clarke; jego nakładki odbijają żółte światło. – Przepraszam cię, Lenie. Wiem, że to miejsce w pewnym sensie było dla ciebie szczególne, nie chciałem go... cóż, chyba sprofanować.

Kobieta kręci głową.

– W porządku. To nic ważnego.

Vocoder Actona bulgocze; na powierzchni byłby to smutny śmiech.

– Czasami się przeceniam, Len. Za każdym razem, gdy jestem w środku i coś spierdolę i nie wiem co zrobić, wydaje mi się, że wystarczy, żebym wyszedł na zewnątrz, a łuski spadną mi z oczu. To prawie jak wiara. Wszystkie odpowiedzi są tu, na zewnątrz.

– W porządku – powtarza Clarke, bo wydaje jej się to lepsze, niż milczenie.

– Tyle że czasem odpowiedź niewiele ci daje, wiesz? Czasami odpowiedź brzmi: „Daj sobie spokój. Jesteś w dupie”. – Acton znów spogląda na martwego wieloryba. – Mogłabyś wyłączyć światło?

Ciemność otacza ich niczym koc. Clarke sięga poprzez nią i przyciąga mężczyznę do siebie.

– Co próbowałaś zrobić?

Znów jego mechaniczny śmiech.

– Wyczytałem coś. Myślałem...

Acton dotyka policzkiem jej policzka.

– Nie wiem, co sobie myślałem. Kiedy przebywam w środku, jestem pieprzonym debilem, przychodzą mi do głowy jakieś głupie pomysły i nawet jak wyjdę z powrotem na zewnątrz, mija trochę czasu zanim się obudzę i dotrze do mnie, jakim byłem kretyńcem. Chciałem zbadać jego nadnercze. Myślałem, że dzięki temu dowiem się, jak przeciwdziałać ubytkom jonów w miejscach

połączeń synaptycznych.

– Przecież wiesz, jak to zrobić.

– To i tak było gównieście. Tam nie potrafię myśleć klarownie.

Kobieta nawet nie zwraca sobie głowy protestowaniem.

– Przepraszam – bzdury po chwili Acton.

Clarke głaszcze go po plecach. Uczucie jest takie, jakby ocierały się o siebie dwa płyty plastiku.

– Myślę, że mogę ci to wytłumaczyć – dodaje mężczyzna. – O ile jesteś zainteresowana.

– Jasne – odpowiada Clarke, ale wie, że niczego to nie zmieni.

– Kojarzysz taki ośrodek mózgu odpowiedzialny za ruch?

– Uhm.

– Gdybyś została, powiedzmy, pianistką, część odpowiedzialna za palce rozrosłaby się, zajmując większą część tego ośrodka, by zaspokoić rosnące zapotrzebowanie na kontrolę nad palcami.

Jednocześnie coś przez to stracisz. Części sąsiadujące z tym ośrodkiem zostaną wyparte. Tak więc może nie będziesz umiała poruszać palcami u nóg albo zwijać języka tak dobrze, jak przed rozpoczęciem ćwiczeń.

Acton milknie. Clarke czuje jego ręce na plecach, obejmujące ją luźno.

– Wydaje mi się, że przydarzyło mi się właśnie coś takiego – odzywa się po chwili mężczyzna.

– W jaki sposób?

– Wydaje mi się, że wyćwiczyłem sobie coś w mózgu i to coś rozrosło się, wypierając inne rzeczy. Ale, widzisz, to coś działa tylko w środowisku o wysokim ciśnieniu, to dzięki niemu moje nerwy odpalają szybciej. Więc gdy wracam do środka, ta nowa część wyłącza się, a stare – no cóż, zostały utracone.

Clarke potrząsa głową.

– Już o tym rozmawialiśmy, Karl. Zabrakło ci wapnia w synapsach.

– To nie wszystko, co się wydarzyło. Zresztą, nie stanowi to już problemu, podwyższyłem poziom inhibitorów. Co prawda nie do punktu wyjścia, ale wystarczająco. Z tym, że wciąż mam tę nową część i wciąż nie mogę odnaleźć starych. – Acton opiera podbródek na głowie kobiety. – Wydaje mi się, że nie jestem już w pełni człowiekiem, Len. Co, biorąc pod uwagę jakim człowiekiem byłem, wychodzi chyba na jedno i to samo.

– A co ona właściwie robi? Ta nowa część?

Mija chwila, nim mężczyzna decyduje się odpowiedzieć.

– To prawie jak nowy narząd zmysłu, tyle że... rozproszony. Coś jak intuicja, ale dużo bardziej wyrazista.

– Rozproszony, ale dużo bardziej wyrazisty.

– Zgadza się. W tym rzecz. To jakbym próbował wyjaśnić, czym jest węch osobie pozbawionej nosa.

– Może nie jest wcale tak, jak ci się wydaje. To znaczy, coś się zmieniło, ale to nie oznacza, że naprawdę potrafisz zaglądać do wnętrza innych. Może to tylko jakieś zaburzenie afektywne. A może halucynacja. Nie możesz *wiedzieć*.

– Wiem, Len.

– W takim razie masz rację. – W jej wewnętrznym zbiorniku wzbiera gniew. – Nie jesteś już człowiekiem: Jesteś czymś od niego znacznie mniejszym.

– Lenie...

– Ludzie muszą *ufać*, Karl. Nie ma nic trudnego w pokładaniu wiary w coś, co wiesz na pewno. Chcę, żebyś mi zaufał.

– Zamiast cię poznać.

Clarke próbuje wychwycić smutek w tym sztucznym głosie. W Beebe może byłoby go słyszeć.

Tyle że w Beebe Acton nigdy nie powiedziałaby czegoś takiego.

– Karl.

– Nie mogę wrócić.

– Nie jesteś tu sobą. – Kobieta odpycha się od niego i obraca wokół własnej osi; ledwie dostrzega w mroku jego sylwetkę.

– Chcesz, żebym był... – W jego głosie, nawet pomimo vocodera, pobrzmiwa dezorientacja, Clarke wie jednak, że nie jest to pytanie. – ...pełen nienawiści.

– Nie bądź idiotą. Spotkałam w życiu więcej niż dość dupków, możesz mi wierzyć. Ale to jest tylko jakąś tanią sztuczką. Karl. Wychodzisz z magicznej kabiny i jesteś panem Przyjemniaczkiem. Wchodzisz z powrotem do środka i zamieniasz się w mordercę z SeaTac. To nie dzieje się *naprawdę*.

– Skąd wiesz?

Kobieta trzyma się na dystans, uświadamiając sobie nagle, że zna odpowiedź. Działoby się *naprawdę*, gdyby bolało. Działoby się *naprawdę*, gdyby przebiegało powoli, w cierpieniu, a każdemu krokowi towarzyszyłyby krzyki, groźby i ciosy.

Działoby się *naprawdę*, gdyby to Lenie Clarke próbowała go zmienić.

Rzecz jasna, nie mówi mu żadnej z tych rzeczy. Ale obawia się, odchodząc i zostawiając go samego, że wcale nie musi.

W jednej chwili budzi się ze snu, spięta i czujna. Jest ciemno – pogasiła światła, a nawet wyłączyła odczyty na ścianach – ale to bliski, znajomy mrok jej własnej kajuty. Coś stuka w kadłub, uporczywie i w jednakowych odstępach.

Z zewnątrz.

Na korytarzu jest wystarczająco jasno dla oczu ryftera. Nakata i Caraco stoją bez ruchu w mesie. Brander siedzi przy bibliotece; ekrany są wygaszone, a zestawy wiszą na przeznaczonych do tego kołkach.

Tu też słyszeć tykający odgłos, choć jest on cichszy.

– Gdzie Lubin? – pyta łagodnie Clarke.

Nakata wskazuje głową w stronę kadłuba: *Gdzieś na zewnątrz*.

Clarke schodzi na dół po drabince i wspina się do śluzy.

– Myśleliśmy, że odszedłeś – mówi Clarke. – Jak Fischer.

Unoszą się w wodzie między dnem a Beebe. Kobieta wyciąga do niego rękę. Acton odpowiada jej tym samym.

– Ile czasu minęło? – Jego słowa przypominają ciche, metaliczne westchnięcia.

– Sześć dni. Może siedem. Odwlekałam decyzję o wzywaniu zastępstwa.

Mężczyzna nie reaguje.

– Widzieliśmy cię czasami na sonarze – dodaje Clarke. – Przez chwilę. Potem znikasz.

Cisza.

– Zgubiłeś się? – pyta po chwili.

– Tak.

– Ale teraz wróciłeś.

– Nie.

– Karl...

– Musisz mi coś obiecać, Lenie.

– Co takiego?

– Obiecuj, że zrobisz to, co ja. Pozostali też. Posłuchają cię.

– Wiesz, że nie mogę...

– Pięć procent, Lenie. Może dziesięć. Jeśli poprzestaniecie na takiej niewielkiej wartości wszystko będzie dobrze. Obiecuj.

– Dlaczego, Karl?

– Bo nie myliłem się w każdej kwestii. Bo prędzej czy później będą musieli się was pozbyć, a wtedy będziecie potrzebować każdej możliwej przewagi.

– Chodź do środka. Możemy porozmawiać o tym wewnątrz, wszyscy tam są.

– Dzieją się tam dziwne rzeczy, Len. Tam, poza zasięgiem sonaru, oni... nie mam pojęcia, co oni robią. Nie mówią nam..

– Chodź do środka, Karl.

Acton potrząsa głową. Wydaje się, że ten gest jest dla niego niemal obcy.

– Nie mogę.

– Więc nie oczekuj ode mnie...

– Zostawiłem plik w bibliotece. Wiele wyjaśnia. Na tyle, na ile dałem radę będąc w środku.

Obiecuj, Len.

– Nie. To *ty* mi coś obiecuj. Chodź do środka. Obiecuj, że sobie z tym poradzimy.

– To mnie zabija – wzdycha mężczyzna. – Posunąłem się za daleko. Coś się wypaliło. Nie jestem jedną całością nawet tu, na zewnątrz. Ale wam nic się nie stanie. Pięć albo dziesięć procent, nie więcej.

– Potrzebuję cię – byczy ledwie słyszalnie Clarke.

– Nie. Potrzebujesz Karla Actona.

– Co to niby ma znaczyć?

– Potrzebujesz tego, co ci robił.

W tym momencie odpływa z niej całe ciepło. Pozostało tylko powolne, lodowate wrzenie.

– Co to miało znaczyć, Karl? Oświeciło cię przy okazji wycieczek astralnych po błotnistym dnie? Myślisz, że znasz mnie lepiej niż ja sama?

– Wiesz, że...

– Ale wcale tak nie jest. Gównie o mnie wiesz i nigdy nic nie wiedziałeś. I nie masz jaj, żeby się dowiedzieć, więc chowasz się w mroku, a potem wracasz, wygłaszając te wszystkie pretensjonalne bzdury. – Clarke prowokuje go; wie doskonale, że to robi, ale nie uzyskuje żadnej reakcji. Nawet jeden z jego wybuchów byłby lepszy niż to.

– Zapisałem go pod nazwą „Cień” – mówi Acton.

Kobieta patrzy na niego bez słowa.

– Ten plik – dodaje.

– Co się z tobą dzieje? – Clarke okłada go pięściami, uderza z całej siły lecz on jej nie oddaje, nawet się nie broni, na litość boską, dlaczego nie reagujesz, dupku, miejmy to już za sobą, po prostu spuść mi wpierdol, aż oboje poczujemy się winni i obiecamy sobie, że już nigdy więcej tego nie zrobimy i...

Ale nawet gniew ją opuszcza. W stanie bezwładu, jej ciosy odpychają ich od siebie. Kobieta chwyta się łańcucha kotwicznego. Owinięta wokół liny rozgwiżdza wyciąga na oślep jedno z ramion, by dotknąć Clarke jego czubkiem.

Acton wciąż dryfuje.

– Zostań – prosi Clarke.

Mężczyzna zatrzymuje się bez słowa i wisi pośród wody, niewyraźny, szary i odległy.

Tylu rzeczy jej tu nie wolno. Nie może płakać. Nie może nawet zamknąć oczu. Kobieta wbija więc wzrok w dno i wpatruje się w swój własny cień, rozciągający się w mrok.

– Dlaczego to robisz? – pyta wyczerpana, zastanawiając się do kogo właściwie się zwraca.

Ich cienie przecinają się. W odpowiedzi rozbrzmiewa mechaniczny głos:

– To właśnie robisz, gdy naprawdę kogoś kochasz.

Clarke podrywa głowę do góry w samą porę, by zobaczyć, jak Acton znika.

Gdy Clarke wraca do środka, Beebe pogrążona jest w ciszy. Jedyнным słyszalnym odgłosem jest plaskanie jej mokrych stóp o pokład. Kobieta wspina się po drabince do mesy, ale w pomieszczeniu nie ma nikogo. Robi krok w kierunku korytarza prowadzącego do jej kajuty.

Zatrzymuje się.

W pomieszczeniu łączności jaskrawa ikona posuwa się z wolna w stronę Gardła. Wyświetlacz łącznie dla lepszego efektu; w rzeczywistości sylwetka Actona jest ciemna i nie odbija światła; nie świeci, tak samo jak Clarke.

Kobieta ponownie zastanawia się, czy nie powinna spróbować go powstrzymać. Nie byłaby w stanie go obezwładnić, ale może nie przyszły jej do głowy właściwe słowa, które mogłaby mu powiedzieć. Może gdyby dobrze to rozegrała, mogłaby przywołać go z powrotem, skłonić go do powrotu bez użycia siły. *Nie jesteś już ofiarą*, powiedział jej kiedyś. Może zamiast tego została syreną.

Nie przychodzi jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć.

Acton jest już prawie na miejscu. Clarke widzi, jak unosi się w wodzie między wielkimi słupami z brązu; za nim wirują mgławice bakterii. Kobieta wyobraża sobie jego twarz, skierowaną ku dołowi, lustrującą wszystko wzrokiem, nieustępliwą i głodną. Widzi, jak Acton kieruje się w stronę północnego końca ulicy Głównej.

Wyłącza wyświetlacz.

Nie musi tego oglądać. Wie, co się kroi, a maszyny powiedzą jej, gdy wszystko dobiegnie końca. Nie może ich powstrzymać, choćby próbowała, chyba że roztrzaskałaby je na miazgę. W gruncie rzeczy chętnie by to zrobiła. Ale opanowuje się. Milcząca niczym głaz, Lenie Clarke siedzi w pomieszczeniu łączności, wpatrując się w pusty ekran i oczekując na odgłos alarmu.

Rozruch

Śniła mu się woda. Zawsze śni mu się woda. Śnił mu się zapach martwych ryb w gnijących sieciach, tęczowe kałuże połyskujące nieopodal moła w Stevenson i dom tak blisko linii brzegowej, że niemal nikt nie chciał objąć go ubezpieczeniem. Śnił o czasach, kiedy nadbrzeże znaczyło coś więcej, nawet ten brązowy, błotnisty jego fragment, gdzie rzeka Fraser wlewa się do cieśniny Georgia. Stała nad nim jego matka i uśmiechała się *to istotny zasób ekologiczny, Yves. Punkt etapowy dla wędrownych ptaków. Filtr dla całego świata*. A mały Yves Scanlon uśmiechał się do niej, dumny, że spośród wszystkich jego przyjaciół – no, nie do końca *przyjaciół*, ale może *teraz* zechcą nimi zostać – tylko on będzie dorastał w bezpośrednim kontakcie z naturą, tu, na swoim nowym podwórku. Półtora metra powyżej linii przyływu.

I wtedy, jak zwykle, rzeczywistość wyważyła drzwi i poraziła jego matkę w pół uśmiechu.

Czasami udawało mu się odroczyć nieuniknione. Czasami udawało mu się zwalczyć wstrząs wysyłany przez stojącą obok łóżka maszynę snów, powstrzymać ją na kilka sekund przed przyciągnięciem go z powrotem. W takich chwilach ostatnie trzydzieści lat przelatywało mu przed oczami w postaci przypadkowych obrazów: znikające lasy, rozrastające się pustynie, sięgające coraz dalej w głąb jałowych mórz palce ultrafioletu. Oceany zakradające się coraz dalej na ląd. Istotne zasoby ekologiczne zamieniające się w dzikie obozowiska dla uchodźców. Dzikie obozowiska zamieniające się w równie pływowe.

Yves Scanlon gwałtownie się obudził, zlany potem i z zaciśniętymi zębami.

Boże, tylko nie to. Wróciłem.

Rzeczywistość.

Trzy i pół godziny. Tylko trzy i pół godziny...

Tylko na tyle pozwalała mu maszyna snów. Czterem kolejnym fazom snu przysługiwało po dziesięć minut. REM dostawała trzydzieści ze względu na niekompresowalność etapu marzeń sennych. Siedemdziesięciominutowy cykl powtarzany trzykrotnie każdej nocy.

Mógłbyś być wolnym strzelcem. Wszyscy inni tak robią.

Wolni strzelcy sami wybierają sobie godziny pracy. Pracownikom etatowym – tym niewielu, którzy się jeszcze ostali – są one narzucane. Yves Scanlon pracował na etacie. Często przypominał sobie o zaletach takiego zatrudnienia: nie trzeba walczyć o nowy kontrakt co sześć miesięcy. W pewnym sensie ma się poczucie stabilizacji. O ile dobrze się spisujesz. O ile nie przestajesz dobrze się spisywać. Co, rzecz jasna, oznaczało, że Yves Scanlon nie mógł pozwolić sobie na dziewięć i pół godziny nocnego odpoczynku, co jest optymalną ilością dla jego gatunku.

Niewola w zamian za poczucie stabilizacji. Każdego dnia nienawidził dokonanego przez siebie wyboru. Być może pewnego dnia ta nienawiść przerośnie strach przed alternatywą.

– Siedemnaście elementów o wysokim priorytecie – oznajmiła stacja robocza, gdy tylko postawił stopy na podłodze. – Cztery transmisje, dwanaście wiadomości z sieci, jedno połączenie telefoniczne. Transmisje i połączenie telefoniczne są czyste. Przychodzące elementy z sieci zostały poddane dezynfekcji, ale istnieje czterdziestoprocentowe prawdopodobieństwo, że zaszyfrowane wirusy mogły się przedostać.

– Zwiększ poziom odkażania – nakazał Scanlon.

– W ten sposób wszystkie zaszyfrowane wirusy zostaną zniszczone, ale uszkodzeniu może też ulec do pięciu procent właściwych danych. Mogę po prostu usunąć niebezpieczne pliki.

– Zdezynfekuj je. Co jest na liście z normalnym priorytetem?

– Osiemset sześćdziesiąt trzy elementy. Trzysta dwadzieścia siedem trans...

– Usuń wszystko. – Scanlon skierował się w stronę łazienki, ale zatrzymał się w pół kroku. –

Poczekaj. Odtwórz połączenie telefoniczne.

– Mówi Patricia Rowan – stacja przemówiła zimnym głosem z akcentem typowym dla wyższych sfer. – Pojawiły się pewne problemy z personelem zatrudnionym przy głębinnym programie geotermalnym. Chciałabym naradzić się z panem w tej sprawie. Oddzwaniając, zostanie pan połączony od razu bezpośrednio ze mną.

Kurwa. Rowan była jednym z najważniejszych korpów na Zachodnim Wybrzeżu. Ledwie zauważała jego obecność, od kiedy zatrudniono go w GA.

– Określono priorytet tego połączenia?

– Ważne, ale nie pilne – odparła stacja.

Mógłby najpierw zjeść śniadanie, może przejrzeć pocztę. Mógłby zignorować wszystkie odruchy, nakazujące mu rzucić wszystko i stanąć na baczność niczym tresowane zwierzę. Jest im do czegoś potrzebny. Najwyższy czas. Najwyższy, kurwa, czas.

– Biorę prysznic – poinformował stację z udawaną beczelnością. – Nie przeszkadzaj mi, dopóki nie wyjdę.

Jednak jego odruchom wcale się to nie spodobało.

– ...że „leczenie” osób dotkniętych zaburzeniem dysocjacyjnym tożsamości jest w zasadzie równoznaczne z seryjnym morderstwem. Kwestia ta nie przestaje wzbudzać kontrowersji, zwłaszcza w świetle ostatnich odkryć, które pokazały, że ludzki mózg może mieścić w sobie nawet sto czterdzieści w pełni odczuwających osobowości bez znaczącego spadku wydajności czuciowo-ruchowej. Trybunał rozważy także, czy zachęcanie poszczególnych osobowości do dobrowolnej reintegracji – co również stanowi tradycyjną formę terapii – powinno zacząć być uznawane za wspomagane samobójstwo. Powiązany z kolejnym elementem tagami: procesy poznawcze i prawo.

Stacja umilkła.

Rowan chce się ze mną zobaczyć. Wiceprezes zarządzająca całą północno-zachodnią franszyzą GA. Ze mną.

Scanlon snuł rozważania pośród nagłej ciszy. Wreszcie zdał sobie sprawę, że stacja umilkła.

– Następny – powiedział.

– Fundamentalista uniewinniony od zarzutu morderstwa po zniszczeniu inteligentnego żelu – wyrecytowała maszyna. – Użyte tagi...

Czy jednak nie powiedziała, że będę z nią pracować? Czy nie tak miało być, kiedy zacząłem dla nich pracować?

– ...AI, procesy poznawcze i prawo.

Taaak. Tak właśnie powiedzieli. Dziesięć lat temu.

– Aaa – skrót, bez technicznego języka – rozkazał stacji.

– Ofiarą sprawcy padł inteligentny żel wypożyczony na określony czas Centrum Naukowemu w Ontario i będący częścią otwartej wystawy dotyczącej sztucznej inteligencji. Oskarżony przyznał się do winy, oświadczając, że hodowla komórek nerwowych – stacja robocza zmieniła głos, wplatając gładko plik dźwiękowy w czytany artykuł – „to profanacja ludzkiej duszy”.

– Powołani przez obronę biegli sądowi, włączając w to inteligentny żel z Uniwersytetu Rutgersa, z którym połączono się online, zeznali, że hodowle neuronów nie mają wykształconych struktur śródmózgowia niezbędnych do odczuwania bólu, strachu, czy też instynktu samozachowawczego. Obrona utrzymywała, że pojęcie „prawa” zakłada ochronę jednostki przed niepotrzebnym

cierpieniem, a jako że inteligentne żele są niezdolne do przeżywania cierpień, zarówno fizycznych, jak i psychicznych, nie przysługuje im prawo do obrony, niezależnie od ich poziomu samoświadomości. Wnioski te zostały zgrabnie ujęte w mowie końcowej obrony: „Samych żeli nie obchodzi, czy będą żyć, czy też umrą. Dlaczego miałyby obchodzić to nas?”. Od wyroku złożono apelację. Powiązany z kolejnym elementem tagami: AI i wieści ze świata.

Scanlon przełknął porcję sproszkowanej albuminy.

– Wymień biegłych sądowych powołanych przez obronę, same imiona i nazwiska.

– Phillip Quan. Lily Kozlowski. David Childs...

– Stop – Lily Kozlowski. Znał ją jeszcze z UCLA. Biegła sądowa. Kurwa. Może powinienem był pocałować trochę więcej tyłków za czasów uniwersyteckich...

Scanlon prychnął.

– Następny.

– Spadek infekcji w Sieci o piętnaście procent.

Powiedziała problemy z ryfterami. Ciekaw jestem...

– Skrót, bez technicznego języka.

– W ciągu ostatnich sześciu miesięcy ilość infekcji wirusowych w Internecie spadła o piętnaście procent dzięki instalacji inteligentnych żeli w istotnych węzłach wzdłuż szkieletu sieci. Cyfrowe wirusy praktycznie nie są w stanie zaatakować inteligentnych żeli, z których każdy posiada niepowtarzalną i zmienną architekturę systemu. W świetle uzyskanych wyników, niektórzy eksperci przewidują, że bezpieczny powrót do swobodnej korespondencji e-mailowej będzie możliwy przed końcem...

– Walić to. Anuluj.

Daj spokój, Yves. Czekaleś całymi latami, aż ci idioci poznają się na twoich umiejętnościach.

Może właśnie nadszedł ten czas. Nie zawał tego, wychodząc na nadgorliwca.

– Czekam – oznajmiła stacja.

Tylko co, jeśli ona nie będzie czekać? Co, jeśli się zniecierpliwi i poszuka sobie kogoś innego? Co, jeśli...

– Zaznacz ostatni numer i oddzwon – Scanlon wbił wzrok w resztki swojego śniadania, oczekując na połączenie.

– Administracja – odezwał się głos, sprawiający wrażenie prawdziwego.

– Yves Scanlon do Patricii Rowan.

– Doktor Rowan jest zajęta. Jej symulator oczekuje na połączenie z panem. Ta rozmowa jest nagrywana dla zapewnienia jak najlepszej jakości usług. – Kliknięcie, po którym rozbrzmiał inny głos, również sprawiający wrażenie prawdziwego. – Witam, doktorze Scanlon.

Głos jego Pani.

Mułogrzebacz

Wjeżdża na zbocze z równiny abisalnej z łoskotem odbijającym się echem, które pozwala umiejscowić go pięćset metrów poza oficjalnym zasięgiem sonaru Beebe. Porusza się z prędkością prawie dziesięciu metrów na sekundę, żadne osiągnięcie jak na łódź podwodną, ale to coś znajduje się tak blisko dna, że *musi* jeździć na kołach. Oddalwszy się na odległość sześciuset metrów, przekracza niewielką strefę spreadingu i zatrzymuje się.

– Co to takiego? – zastanawia się Lenie Clarke.

Alice Nakata próbuje ustawić ostrość. Tajemniczy twór zaczyna pełznąć powoli, posuwając się wzdłuż krawędzi spreadingu, z prędkością mniejszą niż metr na sekundę.

– Je – oznajmia Nakata. – Chyba siarczki polimetaliczne.

Clarke zastanawia się.

– Chcę to sprawdzić.

– Dobrze. Powiadomić GA?

– Po co?

– To coś pochodzi zapewne z innego kraju. Może przebywać tu nielegalnie.

Clarke spogląda na drugą kobietę.

– Bezprawne wtargnięcie na wody terytorialne karane jest grzywną – wyjaśnia Nakata.

– Naprawdę, Alice. – Lenie kręci głową. – Kogo to obchodzi?

Lubina nie widać na sonarze, pewnie śpi gdzieś na dnie. Zostawiają mu wiadomość. Brander i Caraco wymieniają łożyska w szóstce; wstrząs, który wystąpił w czasie poprzedniej zmiany, spowodował pęknięcie obudowy i wcisnął w maszynię dwa tysiące kilogramów szlamu i żwiru. Mimo to pozostałe generatory są w stanie bez problemu wypełnić powstałą lukę. Brander i Caraco chwytają się swych kalmarów i dołączają do całego pochodu.

– Powinniśmy przygasić latarki – byczy Nakata, gdy opuszczają Gardło. – I trzymać się blisko dna. Być może łatwo to wystraszyć.

Przyciemniwszy światła do poziomu żarzących się węgli, podążają za odczytami przez ciemność niemal nieprzeniknioną nawet dla oczu ryftera. Caraco równa się z Clarke.

– Odplywam potem w błękitną, siną dal. Chcesz się ze mną zabrać?

Clarke czuje we wnętrzu czyjś dreszcz odrazy; rzecz jasna, to Nakata. Kobieta zwykła towarzyszyć Caraco w jej codziennych wyprawach wzdłuż przewodu transpondera Beebe, ale jakieś dwa tygodnie temu przestała. Coś wydarzyło się w warstwie DSL – najwyraźniej nic groźnego, ale od tej pory Alice zaczęła reagować dość chłodno na perspektywę znalezienia się w pobliżu powierzchni. Od tamtej pory Caraco nagabywała pozostałych, czy zechcieliby dotrzymać jej towarzystwa.

Clarke potrząsa głową.

– Mało ci wysiłku fizycznego po wysysaniu syfu z szóstki?

Caraco wzrusza ramionami.

– Inne grupy mięśni.

– Jak daleko teraz docierasz?

– Prawie do tysiąca. Jeszcze miesiąc i będę robić kursy na powierzchnię.

Wokół nich narastał dźwięk, ale działało się to tak stopniowo, że Clarke nie potrafi stwierdzić, kiedy dokładnie zaczęła go rejestrować; to mrukliwy, mechaniczny hałas, odległy odgłos skał ścieranych na proch przez ogromne trzonowce.

Przez grupę, w tę i z powrotem, przebiegają ukłucia niepokoju. Clarke próbuje się opanować. Wie,

co ich czeka, wszyscy wiedzą, nie jest to bynajmniej tak niebezpieczne, jak zadania, które wykonują na każdej zmianie. To w ogóle nie jest niebezpieczne.

Chyba, że ma zamontowane jakieś systemy obronne, o których nie mamy pojęcia.

Ale ten dźwięk, same rozmiary tego czegoś na wyświetlaczu.

Wszyscy jesteśmy wystraszeni. Wiemy, że nie ma się czego bać, ale słyszymy tylko zgrzyt zębów w mroku...

Dostatecznie trudno jest poradzić sobie z własnym niepokojem. Bycie dostrojoną do emocji wszystkich innych wcale nie pomaga.

Nagle uczucie zaskoczenia ze strony Brandera na przedzie. Potem Nakaty, następnej w kolejności, na ułamek sekundy nim Clarke sama odczuwa łagodne uderzenie turbulencji. Zawczasu ostrzeżona, Caraco ledwie emanuje jakimkolwiek uczuciem, gdy pióropusz dosięga wreszcie i jej.

Mrok stał się nieco bardziej ciemny, a woda kleista. Zatrzymują się w miejscu pośród strumienia składającego się po połowie ze szlamu i wody morskiej.

– Smuga wydechowa. – Wibrujący głos Brandera. Musi mówić głośniej, by w ogóle być słyszany pośród odgłosów wydawanych przez żarłoczną maszynę.

Odwracają się i ruszają pod prąd smugi; trzymają się jej krawędzi, polegając raczej na dotyku niż wzroku. Wszechobecny pomruk narasta do poziomu ogłuszającej kakofonii, rozpada się na tuzin innych dźwięków: łoskot kafarów, stłumionych eksplozji i betoniarek. Clarke ledwie daje radę zebrać myśli pośród rozchodzącego się w wodzie hałasu i lęku narastającego w czterech różnych umysłach, aż nagle to coś znajduje się *dokładnie przed nimi*, zaledwie przez chwilę, ogromny, segmentowany bieżnik pnący się po kole zębatym wysokim na dwa piętra i znikający w mule.

– *Jezu. To jest w chuj wielkie.* – Brander najwyraźniej pogłośnił swój vocoder.

Trzymają się razem, kierując kalmary wysoko w górę i płynąc pod kątem. Clarke czuje dreszczyk emocji pochodzący z trzech innych par nadnerczy, dorzuca do zestawu swój własny i posyła całość dalej, tworząc zamknięty obieg grupowych odczuć. Przy maksymalnie przygaszonych latarkach, widoczność ograniczona jest do trzech metrów; nawet rzeczy znajdujące się tuż przed twarzą Clarke sprowadzają się do cieni pośród cieni, słabo oświetlonych kierowanym to na jedną, to na drugą stronę promieniem.

Przez chwilę bieżnik przesuwają się pod nimi – segmentowana, ruchoma droga o szerokości kilku metrów. Zza niego wylania się i niemal natychmiast znów niknie z oczu niewyraźna równina pełna pogmatwanych, metalowych kształtów: kanały wylotowe, kopuły sonarów, przewody przepływomierza. Łoskot nieco cichnie, w miarę jak zbliżają się do centrum kadłuba.

Większość wypukłości została wygładzona do hydrodynamicznego kształtu kropli. Z bliska jednak okazuje się, że nie brakuje uchwytów dla dłoni. Przygaszone światło latarki Caraco spoczywa na maszynie jako pierwsze; kalmar podąża za nią, unosząc się nad jej głową. Clarke nakazuje swojemu kalmarowi zmierzać swym śladem i dołącza do reszty na kadłubie. Póki co nie było żadnej wyraźnej reakcji na ich obecność.

Zbijają się w ciasną gromadkę, by móc rozmawiać pośród otaczającego ich hałasu.

– Skąd to pochodzi? – zastanawia się Brander.

– Pewnie z Korei – byczy w odpowiedzi Nakata. – Nie widziałam żadnych oznaczeń rejestracyjnych, ale sprawdzenie całego kadłuba zabrałoby mnóstwo czasu.

– Założę się, że i tak nic byś nie znalazła. Skoro zamierzali podjąć ryzyko związane z przemyceniem tego w głąb terytorium obcego kraju, nie byłiby na tyle głupi, żeby zostawić adres zwrotny – mówi Caraco.

Dudniący, metalowy krajobraz unosi ich ze sobą. Kilka metrów ponad ich głowami ich śladem

cierpliwie podążają ledwie widoczne, pozbawione jeźdźców kalmary.

– To wie, że tu jesteśmy? – pyta Clarke.

Alice potrząsa głową.

– Wzbija mnóstwo śmieci z dna, więc nie zwraca uwagi na bezpośredni kontakt. Ale jaskrawe światło mogłoby go wystraszyć. Jakby nie patrzeć, jest tu bezprawnie. Światło może dla niego oznaczać, że go nakryto.

– Doprawdy. – Brander puszcza uchwyt, zostaje kilka metrów w tyle, po czym chwyta się kolejnego. – Hej, Judy, chcesz się wybrać na zwiedzanie?

Vocoder Caraco emituje jedynie szum; Lenie czuje, jak kobieta śmieje się w środku. Caraco i Brander skaczą w mrok niczym czarne chochliki.

– Poruszał się bardzo szybko – odzywa się Nakata. W jej wnętrzu pojawia się nagle promieniująca plamka niepewności, ale Alice stara się zatuszować ten fakt gadaniem. – Kiedy po raz pierwszy pojawił się na sonarze, poruszał się zdecydowanie za szybko. To nie było bezpieczne.

– Bezpieczne? – Lenie marszczy brwi sama przed sobą. – To maszyna, prawda? Nikogo nie ma w środku.

Nakata kręci głową.

– Za szybko jak na maszynę w tak zróżnicowanym terenie. Ale człowiek dałby radę.

– Daj spokój, Alice. Te rzeczy to roboty. Poza tym, gdyby ktoś był w środku, moglibyśmy go wyczuć, prawda? Wyczuwasz kogoś jeszcze poza naszą czwórką? – Nakata w większości przypadków jest nieco bardziej wrażliwa od innych, jeśli chodzi o dostrajanie.

– Chyba nie – przyznaje Nakata, ale Clarke wyczuwa jej niepewność. – Może ja... – To ogromna maszyna, Lenie. Może pilot po prostu znajduje się zbyt daleko.

Brander i Caraco coś knują. Nie ma ich w zasięgu wzroku – nawet ich kalmary oddaliły się od reszty, by nie stracić z nimi kontaktu – ale niewątpliwie są dostatecznie blisko, by Clarke mogła wyczuć rosnące, niecierpliwe wyczekiwanie. Lenie wymienia spojrzenia z Nakatą.

– Lepiej zobaczmy, co kombinują – proponuje. Obie ruszają na drugą stronę mułogrzebacza.

Kilka chwil później Brander i Caraco pojawiają się tuż przed nimi. Przykucnęli po przeciwnych stronach metalowej kopuły o średnicy około trzydziestu centymetrów. Spogląda z niej kilka ciemnych, rybich oczu.

– Kamery? – pyta Clarke.

– Nie – odpowiada jej Caraco.

– Fotokomórki – wyjaśnia Brander.

Lenie zdaje sobie sprawę, co jest grane, jeszcze przed nastąpieniem puenty.

– Jesteście pewni, że to dobry...

– *Niechaj się stanie światłość!* – wykrzykuje Judy Caraco. Promienie wystrzeliwiają z latarek jej i Brandera, zalewając blaskiem rybie oczy.

Mułogrzebacz zatrzymuje się w miejscu. Siła bezwładu popycha Clarke do przodu; kobieta chwyta się czegoś i odzyskuje równowagę, w jej uszach dzwoni niespodziewana cisza. Po wcześniejszym, bezustannym hałasie, teraz niemal wydaje się jej, że ogłuchła.

– Nieźle – byczy pośród ciszy Brander. Po całym kadłubie niesie się tykanie, raz, dwa, trzy razy.

Szarpnięcie i świat znów jest w ruchu. Krajobraz wiruje wokół nich, rzuca ich na siebie w płataninie kończyn. Przyspieszają, nim udaje im się pozbierać. Mułogrzebacz znów wydaje z siebie pomruk, ale tym razem innym głosem; już nie przeżuwa leniwie polimetalu, tylko rusza prosto na wody międzynarodowe. Wystarczy kilka sekund i Clarke musi trzymać się ze wszystkich sił.

– *Juhuu!* – wrzeszczy Caraco.

– Jaskrawe światło może go wystraszyć? – krzyczy gdzieś z tyłu Brander. – *No pewnie!*

Silne emocje ze wszystkich stron. Lenie Clarke zaciska mocniej dłonie i próbuje ustalić, które z nich są jej. Euforia przyprawiona pierwotnym, obezwładniającym strachem; to Brander i Caraco. Alice Nakata jest podekscytowana niemal wbrew sobie, ale jej mieszanka zawiera też sporo niepokoju; a tutaj, zagrzebane gdzieś głęboko, niemal poczucie... Naprawdę, nie potrafi tego określić.

Niezadowolonia? Nieszczęśliwości?

Niezupełnie.

To ja? Ale i to jej nie pasuje.

Jaskrawe światło przygważdża cień Clarke do kadłuba, a w chwilę później znika. Kobieta ogląda się za siebie; jakimś cudem Brander znalazł się ponad nią i kołysze się w tę i z powrotem na przecinającej wodę linie – *mogłabym przysiąc, że wcześniej jej tam nie było* – promień jego latarki strzela na wszystkie strony niczym snop światła z obłąkanej latarni morskiej. Wstęgi zamulonej wody przelatują obok tuż nad pokładem, ich wirujące brzegi tworzą książkowe wręcz przykłady turbulencji.

Caraco odpycha się od kadłuba i odlatuje w dal. Jej sylwetka niknie w mroku, ale widać, jak promień jej latarki zatrzymuje się w miejscu, po czym zaczyna kołysać się naokoło tuż za światłem Brandera. Clarke spogląda na wciąż przyklejoną do kadłuba Nakatę. Tej zaczyna powoli zbierać się na mdłości i jest czymś jeszcze bardziej zaniepokojona...

– Nie jest *zadowolony!* – krzyczy Nakata.

– Hej! No dalej, pisklaki nieopierzone! – byczy ledwie słyszalny głos Caraco. – *Lećcie!*

Niezadowolenie. Coś nieoczekiwanego. Kto *to?* Zastanawia się Clarke.

– *No dalej!* – woła znów Caraco.

A niech tam. I tak się dłużej nie utrzymam. Clarke rozluźnia uchwyt i odpycha się; grzbiet mułogrzebacza przemyka pod nią. Ciężka woda odbiera jej pęd. Kobieta młóci nogami, by nabrać wysokości, odbierając nagłe uczucie oczekiwania gdzieś za sobą – i w chwilę później coś uderza ją w plecy, popychając znów naprzód. Implanty odbijają się od jej klatki piersiowej.

– *Jezu Chryste!* – byczy jej do ucha Brander. – *Chwyć się czegoś, Lenie!*

Złapał ją, przelatując obok. Clarke wyciąga rękę i zaciska ją na linie, którą obwiązali się Brander i Caraco. Jest grubości jej palca, za to tak śliska, że nie sposób jej utrzymać. Kobieta ogląda się i zauważa, że pozostała dwójka owinęła ją sobie wokół piersi i poprowadziła pod pachami, dzięki czemu mają mniej więcej wolne ręce. Próbuje tej samej sztuczki na sobie, siła pędu wygina ją w łuk. Caraco woła Nakatę.

Ta jednak wcale nie ma ochoty rozluźnić uścisku. Pozostali czują to, choć jej nie widzą. Brander kołysze się w tę i z powrotem, halsując i ustawiając ciało jak ster; cała trójka porusza się wielkimi, prawie niekontrolowanymi łukami, umocowana w połowie długości liny.

– *No dalej, Alice! Przyłącz się do ludzkiego latawca! Złapiemy cię!*

Nakata zmierza w ich stronę swoim sposobem. Posuwała się ostrożnie bokiem, pod prąd, ręka za ręką, aż znalazła miejsce, w którym lina łączy się z pokładem. Pozwala, by pęd pociągnął ją wzdłuż przewodu ku pozostałym.

Clarke wreszcie udało się owinać pętlę wokół siebie. Pod wpływem prędkości lina wpija się jej w ciało; zaczyna boleć. Kobieta wcale nie czuje się jak ludzki latawiec. Raczej jak przynęta na haczyku. Odwraca się w stronę Brandera i wskazując na linę, pyta:

– *Co to w ogóle jest?*

– *Antena VLF. Rozwinał ją, gdy go wystraszyliśmy. Pewnie woła o pomoc.*

– *Ale jej nie otrzyma, prawda?*

– Nie po tej stronie oceanu. Pewnie wykonuje ostatnie połączenie, żeby jego właściciele wiedzieli, co się stało. Coś jak list pożegnalny.

Uwiązana nieco dalej Caraco odwraca się, słysząc te słowa.

– Pożegnalny? Nie myślisz chyba, że te maszyny ulegają samozniszczeniu?

Przez ludzki latawiec przetacza się nagła fala niepokoju. W tym momencie zderza się z nimi Alice Nakata.

– Może powinniśmy go puścić – sugeruje Clarke.

Nakata kiwa głową z przekonaniem.

– Nie jest zadowolony. – Jej niepokój promieniuje na pozostałych niczym światło ostrzegawcze.

Wyplątanie się z anteny zabiera im dłuższą chwilę. Lina przefruwa obok, ciągnąc za sobą niewielki pływak podobny do pachotka drogowego. Clarke koziółkuje, pozwalając, by woda wyhamowała jej pęd. Ryk maszyny zamienia się w pomruk, a potem zaledwie w delikatne drgania.

Ryfterzy pozostają w miejscu, zawieszeni w wodzie; zewsząd otacza ich cisza.

Caraco kieruje pistolet hydrolokacyjny pionowo w dół i naciska spust.

– Jezu. Jesteśmy prawie trzydzieści metrów od dna.

– Zgubiliśmy kalmary? – pyta Brander. – To coś nieźle zasuwa.

Caraco podnosi pistolet i zbiera kilka kolejnych odczytów.

– Mam je. W gruncie rzeczy nie są wcale tak daleko. – Hej.

– Co?

– Jest ich pięć. I szybko się zbliżają.

– Ken?

– Uhm.

– No cóż, oszczędzą nam wysiłku – oznajmia Brander.

– Czy ktoś...

Odwracają się. Alice Nakata zaczyna jeszcze raz:

– Czy ktoś jeszcze to poczuł?

– Ale co? – pyta Brander, ale Clarke kiwa głową.

– Judy? – Nakata zwraca się do niej.

Caraco niemal promieniuje ociąganiem.

– Ja... Może i coś tam było. Nie zwracałam za bardzo uwagi. Myślałam, że to ktoś z was.

– Znacząco – włącza się Brander. – Mułogrzebacz? Myślałem...

Między nimi pojawia się nagle czarny kształt. Jego kalmar wspina się pionowo do góry niczym spowolniony pocisk. Gdy mężczyzna go puszcza, ten zawisa nad jego głową. Kilka metrów niżej podrygują niespokojnie cztery inne kalmary, skierowane nosami do góry.

– Coś zgubiliście – byczy Lubin.

– Dzięki – odpowiada mu Brander.

Clarke koncentruje się, próbując dostroić się do Lubina. Rzecz jasna, robi to bez przekonania. Lubin jest dla nich nieprzenikniony. Zawsze taki był, dostrajanie ani trochę go nie zmieniło. Nikt nie wie dlaczego.

– Co jest grane? – pyta mężczyzna. – W waszej wiadomości było coś o mułogrzebaczku.

– Uciekł nam – informuje go Caraco.

– Nie był zadowolony – powtarza Nakata.

– Tak?

– Alice odebrała jakieś jego odczucia – wyjaśnia Caraco. – Lenie i ja też, w pewnym sensie.

– W mułogrzebaczach nie ma ludzkiej załogi – zauważa Lubin.

- To nie człowiek – mówi Nakata. – Nie osoba. Ale...
- Czuję to – włącza się Clarke. – To było żywe.

Znowu sama, Lenie Clarke leży na swej koi. Jest naprawdę sama. Pamięta, że nie tak dawno temu, upajała się podobnym odizolowaniem. Kto by pomyślał, że będzie jej brakowało *uczuć*?

Nawet czyichś.

A jednak to prawda. Za każdym razem, gdy wchodzi do Beebe, opada z niej jakaś istotna część, niczym na wpół zapomniany sen. Woda odpływa ze śluzu, jej ciało na nowo napełnia się powietrzem, a świadomość staje się płytka i zamglona. Wszyscy inni *znikają*. To dziwne; widzi ich, słyszy ich, tak samo, jak zawsze. Ale kiedy się nie poruszają, a ona zamknie oczy, to w żaden sposób nie jest w stanie *stwierdzić*, że tam są.

Teraz jej jedynym towarzystwem pozostaje ona sama. Tylko jeden zestaw sygnałów do przetworzenia. Nic jej nie zakłóca.

Kurwa.

Ślepa albo naga. Taki miała wybór. Niemalże ją to zabiło. *Oczywiście to moja własna, cholerna wina. Po prostu się o to prosiłam.*

Rzeczywiście się prosiła. Mogła po prostu zostawić wszystko tak, jak było, po cichu usunąć plik Actona, nim ktokolwiek zdążyłby się o nim dowiedzieć. Ale miała pewien dług. Była coś winna duchowi Istoty Zewnętrznej, istoty, która nie warczała, nie obwinała, ani nie atakowała, istoty, która ostatecznie zabrała Istotę Wewnętrzną w miejsce, gdzie ta nie mogła już skrzywdzić Clarke. Jakaś część Lenie na jakimś chorym poziomie, gdzie wszystkim kierują uwarunkowane odruchy, wciąż nienawidzi Actona za to, że to zrobił; ale nawet mimo tego myśli, że może zrobił to dla niej. Czy jej się to podoba, czy nie, była mu coś winna.

Więc spłaciła ten dług. Ściągnęła pozostałych do środka i otworzyła plik. Przekazała im to, co powiedział Acton, tym ostatnim razem. Nie prosiła, żeby odrzucili jego propozycję, choć rozpaczliwie łudziła się, że tak właśnie postąpią. Gdyby to zrobiła, może by posłuchali. A tak, pootwierali się, jedno po drugim, i dokonali zmian. Mike Brander z ciekawości. Judy Caraco ze sceptycyzmu. Alice Nakata ze strachu, że zostanie w tyle. Ken Lubin, bez powodzenia, z przyczyn, które zachował dla siebie.

Clarke zaciska powieki i przypomina sobie, jak z dnia na dzień zmieniły się wszystkie zasady. Starannie zachowywane pozory nagle przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie; puste oczy i maski ninja stały się jedynie pozą, tak samo bezużyteczną, jak pancerz. *Jak się czujesz, Lenie Clarke? Jesteś znudzona, podniecona, zdenerwowana? Tak łatwo to rozpoznać, chociaż twoje oczy schowane są za nieprzezroczystymi nakładkami rogówkowymi. Mogłabyś być przerażona. Mogłabyś zsikać się w swoją „skórę”, a wszyscy by o tym wiedzieli.*

Dlaczego im powiedziałaś? Dlaczego im powiedziałaś? Dlaczego im powiedziałaś?

Obserwowała, jak inni zmieniali się na zewnątrz. Poruszali się wokół niej bez słowa, płynnie łącząc się ze sobą, żeby pomagać sobie w pracy lub podać potrzebne narzędzie. Kiedy ona chciała czegoś od nich, prośba była spełniana, zanim Clarke w ogóle zdążyła się odezwać. Kiedy oni chcieli czegoś od niej, musieli prosić ją o to na głos, a choreografia kulała. Lenie czuła się jak przysłowiowy kaleka w grupie tanecznej. Zastanawiała się, ile jej są w stanie zobaczyć, ale bała się o to zapytać.

Czasami próbowała wewnątrz. Tam było bezpieczniej; nić łącząca pozostałych rozpadała się w atmosferze, stawiając wszystkich z powrotem na równej stopie. Brander mówił o wyostrzonej świadomości obecności innych; Caraco porównywała to do mowy ciała. „Taka forma rekompensaty

za nakładki" powiedziała, najwyraźniej spodziewając się, że w ten sposób uspokoi Clarke.

Lecz to Alice Nakata, niemal mimochodem, ostatecznie stwierdziła, że emocje innych ludzi mogą... rozpraszać.

Lenie Clarke dostroiła się już jakiś czas temu. Nie jest tak źle. Nie ma żadnego dokładnego, telepatycznego wglądu w uczucia i myśli pozostałych, nic nie zostaje nagle ujawnione. To raczej jak doznanie pochodzące z kończyny fantomowej, pamięć dziedziczna posiadania ogona, którego obecność niemalże czujesz za sobą. Teraz Clarke wie, że Nakata miała rację. Na zewnątrz emocje innych przesączają się do jej wnętrza, przesłaniając i rozrzedzając jej własne. Czasami zapomina, że jakieś w ogóle odczuwa.

W każdym z nich tkwi też coś jeszcze, pewien znajomy rdzeń, mroczny, wijący się i gniewny. Nie jest to dla niej zaskoczeniem. Nawet o tym nie rozmawiają. Równie dobrze mogliby roztrząsać fakt, że wszyscy mają po pięć palców u dłoni.

Brander zajmuje się czymś przy bibliotece; Clarke słyszy Nakatę rozmawiającą przez telefon w pomieszczeniu łączności.

– Według tego, co tu przeczytałem – odzywa się Brander – zaczęli instalować inteligentne żele w mułogrzebaczach.

– Mmm?

– To dość stary plik – przyznaje mężczyzna. – Byłoby miło, gdyby GA trochę częściej pobierało pliki, niezależnie od tego, czy szaleją infekcje, czy nie. W końcu *samodzielnie* chronimy świat Zachodu przed spadkami napięcia, nic by im się nie stało gdyby...

– Żele – podsuwa Clarke.

– Racja. No cóż, w tych maszynach zawsze potrzebne były sieci neuronowe, rozumiesz, kręcą się po naprawdę trudnym terenie – słyszałaś o tych dwóch mułogrzebaczach, które utknęły w Rowie Aleuckim? – w każdym razie, do poruszania się w skomplikowanym środowisku na ogół potrzebna jest jakaś sieć. Zazwyczaj wytwarza się je na bazie arsenku galu, ale nawet takim daleko do ludzkiego mózgu, jeśli chodzi o kwestie przestrzenne. Wciąż ledwie *raczkowały*, gdy trzeba było rozpoznawać góry podwodne i tym podobne rzeczy. Więc zaczęto zastępować je inteligentnymi żelami.

Clarke odchrząkuje.

– Alice powiedziała, że poruszał się za szybko jak na maszynę.

– Pewnie tak było. A inteligentne żele zbudowane są z prawdziwych neuronów, więc wydaje mi się, że dostrajamy się do nich tak samo, jak do siebie nawzajem. Przynajmniej sądząc po tym, co poczułyście – Alice powiedziała, że nie był zadowolony.

– Nie był. – Clarke marszczy brwi. – W zasadzie, to nie był też niezadowolony. Tak naprawdę, to wcale nie była emocja, on po prostu był – cóż, chyba *zaskoczony*. Coś jak, jak odczucie rozbieżności. Od tego, czego się spodziewał.

– Cholera, jednak to *poczułem* – mówi Brander. – Myślałem, że to ja.

Z pomieszczenia łączności wyłania się Nakata.

– Wciąż żadnych wieści o zastępstwie za Karla. Mówią, że nowi rekruci nie ukończyli jeszcze szkolenia. Podobno mają cięcia.

Stało się to już obiegowym żartem. Nowi rekruci GA to chyba najwolniej uczące się osoby od czasu wyeliminowania zespołu Downa. Minęły już prawie cztery miesiące, a zastępca Actona jeszcze się nie pojawił.

Brander macha ręką z lekceważeniem.

– Dajemy sobie radę w piątkę. – Zamyka bibliotekę i przeciąga się. – A swoją drogą, widział ktoś Kena?

– Jest na zewnątrz – odpowiada Nakata. – Czemu pytasz?

– Jesteśmy razem na następnej zmianie; muszę ustalić z nim godzinę. Od kilku dni jego rytm trochę nawala.

– Jak jest daleko? – pyta nagle Clarke.

Nakata wzrusza ramionami.

– Jakies dziesięć metrów, kiedy ostatni raz sprawdzałam.

Jest w zasięgu. Dostrajanie ma pewne ograniczenia. Na przykład, nie wyczujesz kogoś w Beebe, będąc aż w okolicy Gardła. Ale dziesięć metrów to żaden problem.

– Zazwyczaj siedzi gdzieś dalej, prawda? – pyta cicho Clarke, jakby bojąc się, że ktoś mógłby podsłuchać rozmowę. – Na ogół prawie poza zasięgiem. Albo pracuje nad tym swoim dziwnym urządzeniem.

Nie mają pojęcia, dlaczego nie mogą dostroić Lubina. On sam mówi, że i oni są dla niego nieprzeniknieni. Pewnego razu, około miesiąc temu, Brander zasugerował, że można by wykonać tomografię rozpoznawczą; Lubin odparł, że wolałby nie. Powiedział to w dość miły sposób, ale w tonie jego głosu było coś takiego, że od tamtej pory Brander nie poruszał już tego tematu.

Teraz mężczyzna kieruje swoje nakładki rogówkowe w stronę Clarke i spogląda na nią z półuśmiechem.

– Nie wiem, Len. *Chcesz nazwać go kłamcą prosto w twarz?*

Clarke nie odpowiada.

– Ach. – Nakata przerywa milczenie, nim przeciągająca się cisza stanie się zbyt krępująca. – Jest coś jeszcze. Zanim pojawi się zastępca, przyślą tu kogoś, żeby dokonał... Rutynowej kontroli, jak to określili. Ten doktor, ten który – no wiecie.

– Scanlon – Lenie musi pilnować się, by nie splunąć przy wypowiedaniu jego nazwiska.

Nakata kiwa głową.

– A po cholere? – warczy Brander. – Nie wystarczy, że brakuje nam rąk do pracy? Musimy jeszcze siedzieć spokojnie, podczas gdy *Scanlon* zafunduje nam kolejną sesję?

– Mówią, że nie będzie, jak wcześniej. Będzie tylko obserwował. Nas przy pracy. – Nakata wzrusza ramionami. – Mówią, że to rutynowa procedura. Żadnych wywiadów ani sesji, ani nic z tych rzeczy.

Caraco prychna.

– Lepiej, żeby faktycznie tak było. Prędzej dałabym sobie wyciąć drugie płuco niż zgodziłabym się zaliczyć kolejną sesję z tym kutasem.

– „A więc byłeś systematycznie ruchany przez tresowane dobermany, podczas gdy twoja matka pobierała opłaty za wstęp” – recytuje Brander, całkiem niezłe naśladowując głos Scanlona. – „Jak dokładnie się wtedy *czuleś?*”

– „Właściwie, to jestem raczej kimś w rodzaju mechanika” – wtóruje mu Caraco. – Wam też sprzedał ten tekst?

– Jak dla mnie, to sprawiał wrażenie dość miłego – odzywa się z wahaniem Nakata.

– No cóż, na tym polega jego praca: sprawiać wrażenie miłego. – Krzywi się Caraco. – Tyle że nie jest w tym za *dobry*. – Spogląda na Clarke – Co o tym myślisz, Len?

– Myślę, że przesadził ze zgrywaniem empatii – odpowiada ta po chwili.

– Nie, chodzi mi o to, jak to rozegramy?

Clarke wzrusza ramionami, lekko poirytowana.

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Niech lepiej nie wchodzi mi w drogę. Nędzny mały gnojek. – Brander wbija swe puste spojrzenie w sufit. – Dlaczego nie zaprojektują inteligentnego żelu, który zastąpiłby *jego!*

Krzyk

TRANS/OFFI/210850:2132

To moja druga noc w Beebe. Poprosiłem uczestników, by nie zmieniali swojego zachowania w mojej obecności, jako że jestem tutaj, by obserwować rutynowe procedury na stacji. Z zadowoleniem nadmieniam, iż moja prośba została przez wszystkich spełniona. Jest to o tyle satysfakcjonujące, że minimalizuje się w ten sposób „efekt obserwatora”, może to jednak nastęrczyć pewnych problemów, zważywszy, że ryfterzy nie przestrzegają rzetelnych harmonogramów. W związku z powyższym, ciężko rozplanować sobie z nimi czas, a jednego z pracowników – Kena Lubina – nie widziałem ani razu od chwili przyjazdu. Jeszcze. Mam mnóstwo czasu.

Ryfterzy są raczej zamknięci w sobie i niekomunikatywni – laik mógłby określić ich mianem ponurych – lecz występowanie tych cech całkowicie zgadza się z ich profilem. Sama stacja wydaje się dobrze utrzymana i działa płynnie, pomimo pewnego braku poszanowania dla standardowych procedur.

Gdy na Stacji Beebe gasną światła, nie słysząc absolutnie niczego.

Yves Scanlon leży na swej koi, nie słuchając. Nie docierają do niego żadne dziwne dźwięki, przesączaające się przez kadłub. Żadnego piskliwego, upiornego zawrodenia dna morskiego ani stłumionego wycia wiatru. Mężczyzna ma świadomość, że tu, na dole, wiatr nie może istnieć. Może to wyobraźnia. Figiel płatany przez pień mózgu, omam słuchowy. Scanlon nie jest ani trochę przesądny; jest naukowcem. Wcale nie słyszy, jak duch Karla Actona wyje gdzieś na dnie.

W rzeczywistości, jeśli się skoncentruje, jest pewien, że nie słyszy absolutnie niczego.

Naprawdę nie przeszkadza mu, że utknął w kabinie po zmarłym. W końcu niby gdzie *indziej* miałyby trafić? Przecież nie zamieszka z jednym z wampirów. A poza tym, minęło już kilka miesięcy od śmierci Actona.

Scanlon przypomina sobie, jak po raz pierwszy usłyszał nagranie. Cztery marne słowa: „Straciliśmy Actona. Przykro mi”. A potem się rozłączyła. Zimna suka z tej Clarke. Kiedyś Scanlonowi wydawało się, że między nią i Actonem może do czegoś dojść, z ich profili wynikało, że pasowali do siebie jak dwa kawałki układanki, ale nie dało się tego stwierdzić po tej rozmowie telefonicznej.

Może to ona, zastanawia się. Może to jednak nie Lubin, może to Clarke.

„Straciliśmy Actona”. To by było na tyle, jeśli chodzi o mowę pogrzebową. A przed Actonem Fischera i Everitta z Linke. A przed Everittem Singha. A...

A teraz Yves Scanlon jest tutaj, w ich świetle. Śpi na ich koi, oddycha ich powietrzem. Liczy sekundy pośród mroku i ciszy. Pośród mro...

Jezu Chryste, co to...

I ciszy. Wszędzie cisza. Nic nie zawodzi gdzieś z głębin.

Absolutnie nic.

TRANS/OFFI/220850:0945

Rzecz jasna, wszyscy jesteśmy ssakami. Cechuje nas więc rytm okołodobowy, który dostosowuje się do panującego w środowisku fotoperiodu. Już od jakiegoś czasu wiadomo, że rytm okołodobowy ludzi pozbawionych jakichkolwiek sygnałów fotoperiodycznych wydłuża się tak, że cały cykl na ogół trwa pomiędzy dwudziestoma siedmioma a trzydziestoma siedmioma godzinami. By tego uniknąć, w większości przypadków wystarcza przestrzeganie regularnego, dwudziestoczworgodzinnego harmonogramu pracy, pod tym względem nie spodziewaliśmy się więc problemów na stacjach głębinowych. Zaleciłem ponadto, by jako dodatkowy środek zaradczy, systemy oświetleniowe Beebe funkcjonowały zgodnie z normalnym fotoperiodem; światła zaprogramowano więc tak, by przyciemniały się nieco codziennie między godziną 2200 a 0700.

Najwyraźniej jednak uczestnicy postanowili zignorować owe sygnały. Utrzymują oświetlenie w pomieszczeniach na poziomie ciemniejszym niż zaproponowane przeze mnie ustawienia „nocne”, i to nawet w ciągu „dnia”. (Z oczywistych powodów, przez cały

czas noszą też nakładki na oczach; choć wystąpienie takiego zachowania nie zostało przeze mnie przewidziane, pozostaje ono w zgodzie z profilem). Godziny pracy są dość elastyczne, co nie jest jednak niczym zaskakującym, biorąc pod uwagę, że cykle snu ryfiterów ulegają względem siebie ciągłym zmianom. Nie budzą się oni na czas, by wykonywać swe obowiązki; wypełniają powierzone im zadania, kiedy tylko co najmniej dwoje spośród nich akurat nie śpi. Podejrzewam również, że czasami pracują w pojedynkę, co jest naruszeniem przepisów bezpieczeństwa, lecz muszę jeszcze potwierdzić swoje przypuszczenia.

Na chwilę obecną, wspomniane nieszablonowe zachowania nie wydają się niczym poważnym. Wygląda na to, że najważniejsze zadania są wykonywane na czas, nawet pomimo niedoboru personelu. Obawiam się jednak, że sytuacja może stać się problematyczna. Przypuszczam, że można byłoby zwiększyć wydajność, ściślej przestrzegając dwudziestoczworgodzinnego cyklu dobowego. Jeśli GA zechce mieć pewność, że taki cykl będzie przestrzegany, zalecałbym poddanie uczestników terapii proteoglikanowej. Innym możliwym rozwiązaniem jest zmiana połączeń nerwowych w podwzgórzu; to metoda bardziej inwazyjna, ale jej efektem praktycznie nie sposób się przeciwstawić.

Wampiry. To dobra metafora. Unikają światła i usunęli wszystkie lustra. Może w tym tkwi część problemu. Przede wszystkim Scanlon miał bardzo logiczne powody, by zalecać zastosowanie luster.

W przeważającej części Beebe – wszędzie, za wyjątkiem jego kajuty – jest zbyt ciemno dla oczu niewspomaganych nakładkami. Może wampiry próbują oszczędzać energię. To niezwykle ważna kwestia, kiedy przebywa się tuż obok generatorów wytwarzających jedenaście tysięcy megawatów prądu. Tak czy siak, wszyscy mają poniżej czterdziestki; pewnie nie potrafią wyobrazić sobie świata bez racjonowanej energii.

Bzdura. Istnieje logika, ale jest też wampirza logika. Nie należy mylić ich ze sobą.

W ciągu ostatnich dwóch dni wychodzenie na zewnątrz z kajuty przypominało przekradanie się ciemną alejką. Wreszcie poddał się i zaczął nosić nakładki tak, jak pozostali. Teraz Beebe jest dla niego dostatecznie jasna, lecz stała się też wyblakła, pozbawiona niemalże jakichkolwiek barw. Zupełnie jakby coś wyssało mu fotoreceptory z oczu.

Clarke i Caraco opierają się o gródź w pomieszczeniu przygotowawczym; spojrzeniem swych białych oczu śledzą, jak Scanlon sprawdza zbroję do nurkowania. On nie poddał się wampirzej wiwisekcji, co to, to nie. Nie na tak krótką wycieczkę. Przez ten czas wystarczy sama drobna siateczka i akryl.

Dotyka rękawicy; koleczuga o ogniwach wielkości łebków szpilek. Uśmiecha się.

– Wydaje się w porządku.

Wampirzyce tylko przyglądają się i czekają.

Daj spokój, Scanlon, jesteś mechanikiem. To tylko maszyny, jak wszyscy inni. Po prostu trzeba je lepiej wyregulować. Dasz sobie z nimi radę.

– Bardzo ładny sprzęt – chwali, odkładając zbroję. – Oczywiście to nic w porównaniu z tym, co wy nosicie w sobie. Jak to jest móc na zawołanie zamienić się w rybę?

– Mokro – odpowiada Caraco i zerka na Clarke. Może szuka aprobaty.

Clarke nie przestaje się w niego wpatrywać. A przynajmniej wydaje mu się, że to robi. Cholernie ciężko to stwierdzić.

Wyluzuj. Ona tylko próbuje cię nastraszyć. Typowa, głupia zabawa w dominację.

Wie jednak doskonale, że to coś więcej. Głęboko w środku, ryfiterzy po prostu go nie znoszą.

Wiem, kim oni są. To dlatego.

Węz tuzin dzieciaków, jakichkolwiek. Utlucz je i wymieszaj dokładnie, aż powstaną grudki. Duś na wolnym ogniu przez dwie czy trzy dekady; powoli doprowadź do gwałtownego wrzenia. Wybierz i usuń psychotyków, schizofreników oraz osoby z zaburzeniami dysocjacyjnymi. (Tak po prawdzie, pojawiły się pewne wątpliwości co do Fischera; ale z drugiej strony, kto *nie miał* kiedyś zmyślnego przyjaciela?).

Zostaw do ostygnięcia. Podawaj z sosem dopaminowym.

Co otrzymasz? Coś napiętego, ale nie złamanego. Coś, co potrafi wpasować się w szczeliny zbyt powykęcane dla wszystkich innych.

Wampiry.

– No cóż – przerywa ciszę Scanlon. – Wszystko się zgadza. Nie mogę się doczekać, kiedy ją przymierzę – Nie czekając na odpowiedź – a raczej nie chcąc narażać się na jej brak – wchodzi na górę po drabince. Kątem oka dostrzega, jak Clarke i Caraco wymieniają spojrzenia. Ogląda się przez ramię, niby od niechcienia, ale ewentualne uśmiechy zdążyły już zniknąć z ich twarzy.

Proszę bardzo, moje panie. Cieszcie się, póki możecie. W mesie nie ma nikogo. Scanlon przechodzi przez pomieszczenie i wychodzi na korytarz. Jeszcze jakieś pięć lat i staniecie się przeżytkiem. Jego kajuta – kajuta Actona – jest trzecia po lewej. Jeszcze pięć lat i wszystkie te stacje będą doskonale radzić sobie same, bez waszej pomocy. Otwiera właz; z wnętrza wylewa się cudowne światło, oślepiając go na krótką chwilę, potrzebną nakładkom do dostosowania się do innego poziomu jasności. Scanlon wchodzi do środka, zamyka za sobą luk i osuwa się na niego.

Cholera. Nie ma rygli.

Po chwili kładzie się na koi i wbija wzrok w zatłoczony sufit.

Może jednak trzeba było poczekać. Nie pozwolić, by nas poganiano. Gdybyśmy tylko bez pośpiechu zrobili wszystko jak należy od samego początku...

Ale nie mieli czasu. Całkowita automatyzacja projektu już na samym starcie przesunęłaby termin jego realizacji, a opinia publiczna miała już tak zastrzone apetyty, że nie byłaby skłonna dłużej czekać. A przy okazji, wampiry były pod ręką. Przydadzą się na krótszą metę, potem odeśle się je do domu, a one będą zadowolone, że opuszczają to miejsce. Kto by nie był?

Nikt nawet nie wziął pod uwagę, że istnieje ryzyko uzależnienia.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to szaleństwem. Jak ktokolwiek mógłby uzależnić się od takiego miejsca? Jakaż to paranoja dopadła GA, skoro niepokoją się tam, że personel może odmówić *opuszczenia* stacji? Ale Yves Scanlon nie jest jakimś laikiem, nie da się zwieść pozorom. Nie kieruje się antropomorfizmem. Spoglądał w te wszystkie nieumarłe oczy, tam, na górze, w swoim świecie, tu, na dole, w ich, i wie: wampiry żyją według innych zasad.

Może właśnie tu są szczęśliwi. To jedno z dwóch pytań, na które Yves Scanlon postanowił znaleźć odpowiedź. Przy odrobinie szczęścia, nie zdadzą sobie z tego sprawy, póki wciąż tu będzie. I bez tego wystarczająco mocno go nie znoszą.

Rzecz jasna, to nie ich wina. Po prostu tak zostali zaprogramowani. Nie mogą nic poradzić na to, że go nienawidzą, tak jak i on nie może nic poradzić na to, że nienawidzi ich.

Siateczka jest lepsza niż zabieg chirurgiczny. I to w zasadzie jedyna dobra rzecz, jaką Scanlon może o niej powiedzieć.

Ciśnienie napiera na wszystkie te ząbcające się płytki, które wydają się zwierać swe szyki do momentu, aż ledwie mikron dzieli je od starcia ciała mężczyzny na miążgę. Połączenia są dość sztywne. Rzecz jasna, taka zbroja zapewnia całkowite bezpieczeństwo. Całkowite. A wychodząc na zewnątrz, Scanlon może oddychać powietrzem o niskim ciśnieniu i nikt nie musiał w międzyczasie wycinać mu w tym celu połowy zawartości klatki piersiowej.

Jest już na zewnątrz od jakichś piętnastu minut. Beebe znajduje się w odległości zaledwie kilku metrów. W tej dziewiczej podróży towarzyszą mu Clarke i Brander, trzymają się jednak na dystans. Scanlon młóci nogami i unosi się niezdarnie z dna; siatka sprawia, że pływa tak, jakby wszystkie kończyny miał unieruchomione w szynach. Kątem oka widzi, jak wampiry prześlizgują się przez wodę lekko niczym cienie.

Jego hełm wydaje się być centrum wszechświata. Gdzie Scanlon nie spojrzy, na akryl napiera nieskończony ciężar czarnego oceanu. Jego uwagę zwraca małeńka skaza przy plombie szyjnej; na oczach przerażonego mężczyzny cieniutka rysa powiększa się.

– *Pomocy! Zabierzcie mnie do środka!* – Młóci dziko nogami, kierując się w stronę Beebe.

Nikt mu nie odpowiada.

– *Mój hełm! Mój hełm...* – Rysa już nie tylko się powiększa: wiję się, szarpie na boki na tle bańki hełmu jak... jak...

Żółte, pozbawione wyrazu oczy wpatrują się w niego z głębi oceanu. Czarna ręka, obramowana bijącą od Beebe poświatą, sięga ku jego twarzy.

– Aaaa!

Jakiś kciuk naciska na skazę na hełmie Scanlona. Ta rozpląszcza się i *ekspłoduje*; na powierzchni akrylu rozmazują się cienkie, krwawe włókienka. Tylna połowa rysy odpada i wiję się w wodzie, na przemian skręcając się i rozkręcając.

I konając. Scanlon wydaje z siebie westchnienie ulgi. *Robak. Jakiś głupi, pieprzony nicień na mojej szybce, a ja myślałem, że umrę, myślałem...*

O Chryste. Zrobiłem z siebie totalnego głupka.

Rozgląda się naokoło. Wiszący nad jego prawym ramieniem Brander wskazuje na krwawe szczątki przyklejone do jego hełmu.

– Gdyby kiedykolwiek naprawdę pękł, nie miałbyś czasu na składanie zażaleń. Wyglądałbyś tak, jak to coś.

Scanlon odchrząkuje.

– Dzięki. Przepraszam, ja – no cóż, wiecie przecież, że jestem tu nowy. Dzięki.

– A przy okazji.

Głos Clarke. A raczej to, co z niego zostało, po przepuszczeniu przez maszynę. Scanlon młóci nogami, aż wreszcie udaje mu się ujrzeć ją przed sobą.

– Jak długo masz zamiar nas kontrolować? – kończy kobieta.

Neutralne pytanie. Całkowicie uzasadnione.

W zasadzie to dziwne, że nikt go wcześniej nie zadał...

– Co najmniej tydzień. – Jego serce zaczyna wreszcie zwalniać. – Może dwa. Tyle, ile będzie trzeba, by upewnić się, że wszystko przebiega gładko.

Kobieta milczy przez chwilę.

– Kłamiesz – oznajmia w końcu. Jednak nie brzmi to jak oskarżenie; raczej jak zwyczajna uwaga. Może to przez vocoder.

– Dlaczego tak uważasz?

Clarke nie odpowiada. Za to odzywa się coś innego; nie do końca jęk, nie do końca głos. Nie dość cichy, by można go było zignorować.

Scanlon czuje, jak głębia ścieka mu strużką po plecach.

– Słyszeliście to?

Lenie prześlizguje się obok w stronę dna, odwracając się, by nie stracić go z oczu.

– Co mielibyśmy słyszeć?

– To... – Mężczyzna nastawia uszu. Ledwie słyszalny tektoniczny pomruk. To wszystko. – Nic takiego.

Kobieta odpycha się pod kątem od dna i podpływa do Brandera, przecinając wodę.

– Pora na naszą zmianę – byczy do Scanlona. – Wiesz, jak działa śluza.

Wampiry rozplývają się w mrokach nocy.

Beebe świeci zachęcająco. Osamotniony i ogarnięty nagłym niepokojem, Scanlon wycofuje się do słuzy.

Ale ja nie kłamałem. Nie kłamałem. Póki co nie musiał. Nikt jeszcze nie zadał właściwych pytań. Mimo wszystko wydaje się to dziwne, że musi sobie o tym przypominać.

TRANS/OFFI/230850:0830

Za chwilę zaliczę swój pierwszy, dłuższy pobyt pod wodą. Najwyraźniej zlecono uczestnikom złapanie ryby dla jednego z konsorcjów farmaceutycznych. Chyba Rand/Washington. Wydaje mi się to dość zastanawiające – firmy farmaceutyczne zazwyczaj zainteresowane są jedynie bakteriami, których pozyskiwanie zlecają własnym ludziom – lecz zapewni to uczestnikom pewną odmianę od zwyczajowych zajęć, mi zaś da możliwość obserwowania ich w akcji. Spodziewam się, że dzięki temu wiele się o nich dowiem.

Gdy Scanlon przechodzi przez mesę, Brander siedzi zgarbiony przy bibliotece. Jego palce spoczywają bez ruchu na klawiaturze. Zestaw wizualizacyjny wisi nieużywany na swym haku. Brander wbija spojrzenie swych pustych oczu w ekran. Ekran jest ciemny.

Scanlon waha się.

– Wychodzę na zewnątrz. Z Clarke i Caraco.

Niemal niedostrzegalnie, ramiona Brandera unoszą się i opadają. Może to westchnięcie, a może gest lekceważenia.

– Pozostali są przy Gardle. Będiesz jedynym – to znaczy, będziesz prowadził nadzór w pomieszczeniu łączności?

– Powiedziałeś, że mamy nie zmieniać ustalonych zajęć – odpowiada Brander, nie podnosząc wzroku.

– To prawda, Michaelu, ale...

Brander wstaje.

– Więc się zdecyduj. – Znika w korytarzu. Scanlon przygląda się, jak ten odchodzi. *To oczywiście musi znaleźć się w moim raporcie. Nie, żeby cię to obchodziło.*

Ale może zacząć. Wkrótce.

Scanlon zeskakuje na podłogę komory odpływowej i orientuje się, że pomieszczenie jest puste. Musi samodzielnie poradzić sobie z zakładaniem zbroi. Poświęca kilka dodatkowych chwil, by upewnić się, że na bańce hełmu nie ma żadnych plamek. Tuż po wyjściu spotyka Clarke i Caraco; Clarke dokonuje przeglądu unoszących się ponad dnem czterech kalmarów. Do jednego z nich przywiązano spoczywający na piasku pojemnik na okazy, odporną na ciśnienie trumnę o długości ponad dwóch metrów. Gdy Caraco ustawia go na neutralną pływalność, kontener unosi się na kilka centymetrów.

Wyruszają, nie zamieniwszy ani słowa. Kalmary unoszą ich ze sobą w głąb otchłani; kobiety na przedzie, Scanlon i pojemnik za nimi. Mężczyzna ogląda się przez ramię. Krzepiące światła Beebe szarzeją, wreszcie całkowicie znikają. Szukając otuchy, przeskakuje pomiędzy kanałami modemu akustycznego. Jest: sygnał naprowadzający. Dopóki go słyszysz, nie jesteś w stanie tak naprawdę się tu zgubić.

Clarke i Caraco płyną w zupełnych ciemnościach. Nie świecą nawet ich kalmary.

Nic nie mów. Chcesz, żeby nie zmieniali przyzwyczajeń, pamiętasz?

Nie, żeby tak w ogóle to robili

Od czasu do czasu, kątem oka dostrzega niewyraźne rozbłyski, które jednak znikają, za każdym razem, gdy usiłuje na nie spojrzeć. Po kilku nieskończenie długich minutach bezpośrednio przed nimi pojawia się jaskrawa smuga, z której wyłaniają się miedziane nadajniki i ciemne, kanciaste drapacze

chmur. Wampirzyce unikają światła, opływają jego krąg pod kątem. Scanlon oraz ładunek podążają bezsilnie ich śladem.

Zatrzymują się tuż przy Gardle, na granicy pomiędzy jasnością i mrokiem. Caraco otwiera pojemnik, podczas gdy Clarke wzbija się w kolumnie wody ponad ich głowy; trzyma coś w prawej ręce. Scanlon nie może dostrzec, co to takiego. Kobieta unosi to do góry, jakby prezentowała coś niewidzialnemu tłumowi.

Tajemniczy przedmiot wydaje z siebie jakieś odgłosy.

Z początku brzmią one jak bardzo głośne bzyczenie komara. Chwilę później efekt Dopplera przekształca je w niski pomruk. Na koniec powracają do nieregularnej, wysokiej częstotliwości.

Dopiero teraz Clarke włącza latarkę czołową.

Kobieta zawisła w wodzie jak jakiś ukrzyżowany święty podczas wniebowstąpienia. Jej dłoń krzyczy w otchłań, światło z jej głowy omiata okolicę jak, jak...

– *dzwonek na obiad*, uświadamia sobie Scanlon, gdy coś prawie tak dużego, jak sama Clarke wypada na nią z ciemności i, Jezu, jakie to ma zęby.

To coś pochłania jej nogę aż do samego krocza. Lenie Clarke niespecjalnie przejmuje się tym faktem. Zadaje cios pałką, która magicznie pojawia się w jej lewej ręce. Stwór nadyma się i pęka w kilku miejscach; z jego ciała wystrzelują fontanny banieczek, podobnych do srebrzystych grzybów i wędrują w stronę powierzchni. Ryba rzuca się na wszystkie strony; jej pysk, zaciśnięty wokół nogi Clarke, przypomina potworną pochwę na broń. Wampirzyca sięga ku niej i gołymi rękami rozrywa ją na strzępy.

Wciąż majstrująca coś przy pojemniku Caraco podnosi wzrok.

– Hej, Len. Chcieli ją w stanie *nienaruszonym*.

– To nie ten gatunek – odpowiada jej Clarke. W wodzie wokół niej roi się od poszarpanych kawałków mięsa i przemykających padlinożerców. Kobieta nie zwraca na nich najmniejszej uwagi, odwraca się powoli i omiata otchłań wzrokiem.

– Za tobą; na godzinie czwartej – ostrzega Caraco.

– Zrozumiałam – Clarke zwraca się w podanym kierunku.

Nic się nie dzieje. Poszarpane zwłoki, wciąż podrygując, opadają powoli na dno, atakowane ze wszystkich stron przez padlinożerców. Trzymana przez Clarke mechaniczna krtań bulgocze i jęczy.

Skąd – Scanlon porusza językiem w ustach, zamierzając zadać pytanie na głos.

– Nie teraz – uprzedzając go, byczy Caraco.

Tam nic nie ma. Na czym one się tak skupiają?

Nadpływa szybko i nieubłagane, dokładnie z tej strony, w którą zwrócona jest Lenie Clarke.

– Ta się nada – oznajmia kobieta.

Na lewo od Scanlona rozlega się odgłos stłumionego wybuchu. Od Caraco mknie w kierunku potwora strużka banieczek, która w chwilę później łączy oboje niewidzialną nicią. Stwór drga gwałtownie pod wpływem siły uderzenia. Clarke płynnie usuwa się na jedną stronę, gdy ten, wijąc się, przepływa obok. W jego boku tkwi wystrzelona przez Caraco strzałka.

Latarka Clarke gaśnie, a mechaniczna krtań milknie. Caraco podpływa do niej, schowawszy wcześniej broń. Razem kierują swoją zdobycz w stronę pojemnika. Ta kłapie na nie zębami, osłabiona i częściowo sparaliżowana. Kobiety wpychają ją do kontenera i zaplombowują wieko.

– No to połknęła haczyk – byczy Caraco.

– Skąd wiedziałyście, że przypląwa? – pyta Scanlon.

– Zawsze przypląwają – odpowiada mu Caraco. – Dają się nabrać na dźwięk. I światło.

– Chodziło mi o to, skąd wiedziałaś, z której strony? Z wyprzedzeniem?

Chwila ciszy.

– Po pewnym czasie po prostu zaczyna się to wyczuwać – wyjaśnia wreszcie Clarke.

– To – dodaje Caraco – i coś jeszcze. – Wyciąga pistolet hydrolokacyjny, po czym wtyka go z powrotem za pas.

Na nowo formują konwój. Wyznaczono specjalny punkt, do którego dostarcza się potwory; znajduje się on w odległości stu metrów od Gardła. (GA nigdy nie było zbyt skore do wpuszczania osób postronnych zbyt daleko na swój teren). Kolejny raz wampirzyce porzucają światło na rzecz ciemności, a Scanlon za nimi. Przemierzają świat całkowicie pozbawiony kształtu, za wyjątkiem błota przesuwającego się w kręgu światła latarki mężczyzny. Nagle Clarke odwraca się w stronę Caraco.

– Ja pójdę – byczy. Odłącza się od grupy i znika w próżni. Scanlon ponagla swego kalmara i równa się z Caraco.

– Dokąd ona popłynęła?

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia kobieta. Zatrzymują się. Caraco zbliża się do sterowanego automatycznie kalmara i dotyka przełącznika; sprzączki puszczają, pasy zostają wciągnięte do środka. Oswobodzony pojemnik unosi się w wodzie. Kobieta zmniejsza jego pływalność i ten opada na dno, lądując na grupce rurkoczulkowców.

– Len – Um, Clarke – ponagla ją Scanlon.

– Potrzebowali kogoś jeszcze przy Gardle. Poszła im pomóc.

Scanlon sprawdza kanał ustawiony na swym modemie. Rzecz jasna, to ten właściwy; inaczej nie słyszałby Caraco. Co oznacza, że Clarke oraz wampiry przy Gardle muszą korzystać z innej częstotliwości. Kolejne naruszenie przepisów bezpieczeństwa.

Ale Scanlon nie jest głupi, wie, co jest grane. Zmienili kanały tylko dlatego, że *on* jest tutaj. Po prostu starają się wyłączyć go z obiegu.

To było do przewidzenia. Najpierw pieprzone GA, teraz wynajęty personel.

Jakiś odgłos dobiegający zza jego pleców. Ciche, elektryczne wycie. Dźwięk uruchamianego kalmara.

Scanlon odwraca się.

– Caraco?

Promień światła z jego latarki omiata pojemnik, kalmara, dno i wodę.

– Caraco? Jesteś tam?

Pojemnik. Kalmara. Muł.

– Halo?

Pustą przestrzeń wody.

– Haj! Caraco! Co do *cholery*!

Ciche łomotanie, gdzieś bardzo blisko.

Próbuje patrzeć we wszystkie strony naraz. Jedną nogą dotyka trumny.

Pojemnik się trzęsie.

Mężczyzna przytyka hełm do jego powierzchni. Tak. Coś w jego wnętrzu, stłumionego, mokrego. Łomoczącego. Próbującego wydostać się na zewnątrz.

Nie da rady. To niemożliwe. Po prostu umiera tam w środku, to wszystko.

Odpycha się od pojemnika i szybuje do góry, prosto w kolumnę wody. Czuje się zbytnio odsłonięty. Sztywno młóci nogami i znów ląduje na dnie. Nieco lepiej.

– Caraco? Daj *spokój*, Judy...

O Jezuu. Zostawiła mnie tutaj. Tak po prostu mnie tutaj zostawiła.

Coś zawodzi gdzieś bardzo blisko.

W gruncie rzeczy to dźwięki dochodzące z wnętrza jego hełmu.

TRANS/OFFI/230850:2026

Towarzyszyłem dziś Judy Caraco i Lenie Clarke, dzięki czemu mogłem być świadkiem kilku wydarzeń, które napawają mnie niepokojem. Obie uczestniczki przepływały przez obszary nieoświetlone bez włączonych latarek czołowych i spędziły znaczną ilość czasu w odizolowaniu od siebie nawzajem i pozostałych; w pewnym momencie Caraco najzwyczajniej w świecie zostawiła mnie bez ostrzeżenia samego na dnie. Podobne zachowanie może stwarzać zagrożenie życia, chociaż oczywiście udało mi się odnaleźć drogę powrotną do Beebe, korzystając z jej sygnału naprowadzającego.

Nie otrzymałem jeszcze żadnego wyjaśnienia zaistniałej sytuacji. Reszty personelu nie ma w tej chwili na stacji. Jestem w stanie namierzyć dwoje czy troje z nich na sonarze; podejrzewam, że pozostałych przesłaniają nierówności dna. Jest to kolejny przykład niezwykle niebezpiecznego zachowania.

Taka brawura wydaje się tu czymś typowym. Sugeruje pewną obojętność na kwestie własnego dobra, które to nastawienie pozostaje w całkowitej zgodzie z profilem przygotowanym przeze mnie wraz z rozpoczęciem programu ryftowego. (Jedynie alternatywne wyjaśnienie jest takie, że uczestnicy nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństw grożących w takim środowisku, co jednak wydaje się mało prawdopodobne).

Proponowane uzasadnienie pasuje również do pourazowego uogólnionego uzależnienia od wrogich środowisk. Nie jest to oczywiście dowodem per se, lecz zauważyłem jedną czy dwie inne rzeczy, które w ogólnym rozrachunku mogą dawać powody do niepokoju. Michael Brander na przykład, posiada bogatą historię, począwszy od nadużywania kofeiny i sympatykomimetyków, na zwarciach w układzie limbicznym kończąc. Wiadomo, że przywiózł ze sobą do Beebe pokaźne zapasy plastrów z fencyklidyną; właśnie natrafiłem na nie w jego kajucie, ale z zaskoczeniem stwierdziłem, że są niemal nienaruszone. Z fizjologicznego punktu widzenia, fencyklidyna nie ma działania uzależniającego – osoby nadużywające substancji egzogennych są wykluczane z uczestnictwa w programie – jednak faktem jest, że przybywając na miejsce, Brander tkwił w szponach nałogu, lecz od tamtej pory z nim zerwał. Nasuwa to pytanie, czym go zastąpił.

Komora odpływowa.

– *Tutaj jesteś. Dokąd popłynęłaś?*

– Musiałam wyciągnąć ten kartridż. Zepsuta głowica siarczkowa.

– Mogłaś mi powiedzieć. Zresztą miałem towarzyszyć wam przy obchodach, pamiętasz? A ty tak po prostu mnie tam zostawiłaś.

– Przecież wróciłeś.

– *Nie w...* Nie w tym rzecz, Judy. Nie powinno się zostawiać kogokolwiek bez słowa na dnie oceanu. A co, jeśli coś by mi się stało?

– Cały czas wychodzimy samotnie na zewnątrz. To część naszej pracy. Uważaj, jest śliski.

– Procedury bezpieczeństwa też są częścią tej pracy. Nawet dla was. A już szczególnie dla mnie, Judy, jestem tu jak ryba wyjęta z wody, he he. Nie możesz po prostu zakładać, że jakoś sobie poradzę.

– ...

– Słucham?

– Brakuje nam rąk do pracy, rozumiesz? Nie zawsze możemy pozwolić sobie na dotrzymanie komuś towarzystwa. Jesteś przecież dużym, silnym facetem – no, w każdym razie jesteś facetem. Nie sądziłam, że trzeba cię niań...

– *Cholera! Moja ręka!*

– Mówiłam, żebyś uważał.

– *Au.* Ile to cholerstwo waży?

– Jakieś dziesięć kilo, bez błota. Chyba trzeba było trochę go opłukać.

– Chyba. Skaleczyła mnie jedna z głowic. Cholera, krwawię.

– Przykro mi.

– Słuchaj, Caraco, przykro mi, że niańczenie innych działa ci na nerwy, ale gdybyście trochę

bardziej niańczyli się nawzajem, może Acton i Fischer wciąż by żyli, wiesz? Trochę więcej niańczenia i... słyszałaś to?

– Co?

– Na zewnątrz. Takie – jakby jęki.

– ...

– Daj spokój, C... Judy. Musiałaś to słyszeć!

– Może kadłub nieco się przekręcił.

– Nie. *Słyszałem* coś. I to nie pierwszy raz.

– Ja nic nie słyszałam.

– Ty nic... Dokąd idziesz? Dopiero co weszłaś *do środka!* Judy... *Szczęk. Syk.*

– ...nie odchodź...

TRANS/OFFI/250850:2120

Poprosiłem uczestników, by zechcieli poddać się rutynowemu badaniu skanerem medycznym – a raczej większość z nich poprosiłem o to osobiście i zleciłem im przekazanie wiadomości Kenowi Lubinowi, którego kilka razy zdarzyło mi się już zobaczyć, ale ani razu nie udało mi się zamienić z nim słowa. (Dwukrotnie próbowałem nawiązać z nim rozmowę, ale bez powodzenia). Uczestnicy wiedzą oczywiście, że do wykonania skanu nie jest wymagany mój fizyczny kontakt z nimi, mogą również sami przeprowadzić badanie w dogodnej dla siebie chwili oraz bez mojej obecności. Mimo to, choć nikt nie wyraził kategorycznego sprzeciwu, odniesiono się do mojej prośby z wyraźnym brakiem entuzjazmu. Nie ulega wątpliwości (i jest całkowicie zgodne ze stworzonym przeze mnie profilem), że uważają to za naruszanie ich prywatności, czego, o ile to możliwe, postarają się uniknąć. Na chwilę obecną udało mi się zdobyć jedynie wyniki Alice Nakaty i Judy Caraco. Załączam ich kopie binarne wraz z tym raportem; obie wykazują zwiększoną produkcję dopaminy i norepinefryny, jednak nie jestem w stanie ustalić, czy zmiany te pojawiły się przed czy po objęciu przez nie zmiany. Stwierdziłem także podwyższony poziom GABA oraz innych inhibitorów – to pozostałość po ostatnim wyjściu na zewnątrz (mniej niż godzinę przed wykonaniem skanu).

Pozostałym póki co nie udało się „znaleźć czasu” na badanie. W międzyczasie musiałem więc uciec się do przejrzenia przechowywanych danych dotyczących wcześniejszych urazów. Uszkodzenia fizyczne nie są tutaj rzadkością, co nie stanowi żadnego zaskoczenia, chociaż ostatnimi czasy nie przydarzają się już tak często. Nie odnotowano jednak żadnych przypadków urazów głowy – a przynajmniej żadnego, który wymagałby użycia tomografu. Tym samym moja wiedza w zakresie procesów neurochemicznych u uczestników ogranicza się do tego, co sami zechcą mi udostępnić na moją prośbę – póki co, nie ma tego zbyt wiele. Jeśli taki stan rzeczy nie ulegnie zmianie, będę zmuszony oprzeć większą część swej analizy o dane pozyskane dzięki obserwacji zachowań personelu. Choćby nie wiem jak bardzo średniowieczna wydawała się ta metoda.

Kto to może być? No kto?

Kiedy Yves Scanlon pograżył się w otchłani po raz pierwszy, chodziły mu po głowie dwa pytania. Leżąc na swej koi, zastanawia się teraz nad odpowiedzią na drugie z nich, odgradzając się od Beebe zestawem wizualizacyjnym i osobistą bazą danych, tkwiącą w kieszeni jego koszuli. Póki co, pozostaje na szczęście ślepy na hydraulikę i skraplającą się parę.

Nie jest jednak głuchy. Niestety. Co jakiś czas słyszy kroki, ściszone głosy i, chyba, odległe okrzyki bólu jakiejś niewyobrażalnej istoty; wtedy jednak mówi głośniejszym głosem do odbiornika, starając się zagłuszyć niepożądane dźwięki wywarkowanymi komendami, nakazując urządzeniu przewinąć stronę w górę, połączyć pliki, poszukać słów kluczowych. Akta personelu tańczą na jego siatkówkach; niemalże udaje mu się zapomnieć, gdzie się znajduje.

Poszukiwania odpowiedzi na to pytanie nie zlecieli mu pracodawcy. *Wiedzą jednak doskonale, że to robię, oj, wiedzą. Nie podejrzewają jednak, że ja wiem, że oni wiedzą.*

Rowan i jej zausznicy to takie dupki. Okłamywali go od samego początku. Scanlon nie ma pojęcia, dlaczego. Nie przeszkadzałoby mu to, gdyby tylko byli wobec niego szczerzy. Ale woleli utrzymywać wszystko w sekrecie. Tak jakby nie był w stanie sam się tego domyślić.

Przecież to cholernie oczywiste. Istnieje więcej niż jeden sposób na stworzenie wampira.

Zazwyczaj po prostu bierzesz kogoś popieprzonego i wysyłasz go na szkolenie. Ale dlaczego by nie wziąć kogoś już wyszkolonego i sprawić, żeby go popieprzyło? Mogłoby to nawet wyjść taniej.

Wiele można się nauczyć dzięki polowaniom na czarownice. Na przykład cała ta histeria związana z mechanizmem wyparcia w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku: tylu ludzi nagle przypomniało sobie, że byli molestowani, albo porwani przez obcych, albo, że kochana babunia mieszała w kociołku wywar z dzieci. Nie trzeba było wiele. Nie było potrzeby fizycznej zmian połączeń między synapsami; mózg jest na tyle łatwowski, że może *sam* zmienić połączenia, jeśli tylko się go do tego nakłoni. Większość tych biednych ćwoków nie miała bladego pojęcia, że to robią. Obecnie wystarczy kilka tygodni hipnoterapii.

Odpowiednie sugestie serwowane we właściwy sposób mogą sprawić, że wspomnienia zbudują się same, kawałek po kawałku. Taki neurologiczny efekt kaskady. A skoro już myślisz, że byłeś molestowany, dlaczego twoja psychika nie miałaby się do tego dopasować?

To dobry pomysł. Ktoś inny też tak uważał, a przynajmniej to właśnie przed kilkoma tygodniami usłyszał od Mezzicha. Rzecz jasna nie jest to oficjalna informacja, ale możliwe, że kilka prototypów znalazło się już w obiegu. Może nawet tutaj, w Beebe; ktoś, będący chodzącym dowodem na istnienie Zaszczepionego Syndromu Fałszywych Wspomnień. Może to Lubin. Może Clarke. Tak naprawdę może to być ktokolwiek.

Powinni byli mi powiedzieć.

Oczywiście, że mu powiedzieli. Powiedzieli mu, gdy zaczął dla nich pracować, że dołącza do nich na samym starcie programu. *Będiesz mieć wgląd niemalże we wszystko*, obiecała mu Rowan. *Projektowanie, prace kontrolne*. Zaproponowali mu nawet automatyczne współautorstwo wszystkich jawnych publikacji. Yves Scanlon miał być im *równy*, do cholery. A potem zamknęli go w malutkim pokoiku i kazali mamrotać coś do rekrutów, podczas gdy *sami* podejmowali wszystkie decyzje na pięprzonym trzydziestym piątym piętrze.

Typowa korporacyjna mentalność. Wiedza to potęga. Korpy nigdy *nic* nikomu nie mówiły.

Byłem głupi, że tak długo im wierzyłem. Że wysyłałem swoje rekomendacje, czekałem na dotrzymanie obietnic. A oni rzucają mi taki ochłap. Wysyłają mnie na dno pięprzonego oceanu z bandą pourazowych świrów, bo nikt inny nie chce umazać sobie rąk w gównie.

No po prostu, kurwa. Jestem do tego stopnia poza obiegiem, że muszę wyciągać plotki od takiego skończonego pismaka jak Mezzich?

Mimo wszystko. Zastanawia się, kto to może być. Może Brander albo Nakata. W jej aktach znajdują się informacje o przygotowaniu z zakresu inżynierii geotermalnej i wysokociśnieniowej, on zaś ma magistra z ekologii systemów, a jako dodatkowy kierunek ukończył również genomikę. Za dobre wykształcenie, jak na przeciętnego wampira. Zakładając, że w ogóle *istnieje* coś takiego.

Chwileczkę. Dlaczego miałbym ufać tym plikom? W końcu skoro Rowan utrzymuje to w tajemnicy, pewnie nie byłaby tak głupia, żeby zostawiać wskazówki ot tak, w aktach personelu GA.

Scanlon rozmyśla nad postawionym pytaniem. Załóżmy, że pliki zostały zmodyfikowane. Może powinien przyjrzeć się *najmniej* prawdopodobnym kandydatom. Każde posortować wszystkich rosnąco według wykształcenia. Lenie Clarke. Przerwana nauka w szkole przygotowującej do studiów medycznych, podstawowe wykształcenie w zakresie technologii wirtualnej. Gdy GA postanowiło ją zatrudnić, pracowała w akwarium w Hongcouver. W dziale PR.

Hmm. Ktoś o umiejętnościach społecznych Lenie Clarke w dziale odpowiedzialnym za public relations? W żadnym wypadku. Jestem ciekaw, czy...

Jezu. Znowu to samo.

Yves Scanlon zrywa z oczu zestaw wizualizacyjny i wbija wzrok w sufit. Ledwie słyszalny odgłos

przesącza się przez kadłub.

Właściwie to zaczynam się do niego przyzwyczajać.

Westchnienia niosą się przez gródź, cichną, po czym zupełnie milkną. Scanlon czeka. Uświadamia sobie, że wstrzymuje oddech.

Jest. Dochodzi z bardzo daleka. To coś bardzo...

Samotnego. Brzmi, jakby czuło się strasznie samotne.

Rozumie to uczucie.

W mesie jest pusto, ale coś rzuca ledwie widoczny cień przez właz pomieszczenia łączności. Z jego wnętrza dochodzi cichy głos: brzmi jak Clarke. Scanlon nasłuchuje przez kilka sekund. Kobieta informuje o tempie spożywania zapasów i ostatnich usterkach sprzętu. Wygląda to na rutynowe połączenie z GA. Ta jednak rozłącza się na chwilę przed tym, jak Scanlon pokazuje się w jej polu widzenia.

Clarke siedzi rozwalona na krześle, w zasięgu jej ręki stoi kubek z kawą. Oboje przez chwilę przyglądają się sobie bez słowa.

– Jest ktoś jeszcze w okolicy? – pyta Scanlon.

Kobieta kręci głową.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem kilka minut temu.

Clarke odwraca się z powrotem twarzą do pulpitu. Na głównym wyświetlaczu miga kilka ikon.

– Co robisz?

Kobieta wskazuje na pulpit, wykonując niejasny gest dłonią.

– Prowadzę nadzór. Pomyślałam, że to, dla odmiany, ci się spodoba.

– Ale przecież mówiłem...

– Żeby nie zmieniać ustalonych zajęć – przerywa mu Clarke. Wygląda na zmęczoną. – Zawsze oczekujesz ślepego posłuszeństwa od badanych obiektów?

– Uważasz, że o to właśnie mi chodziło?

Kobieta prychna cicho, wciąż odwrócona do niego plecami.

– Słuchaj – zaczyna Scanlon. – Jesteś pewna, że nie słyszałaś czegoś, co brzmiało jak... jak... – *jak duch, Clarke? Odgłosu, który mógłby wydawać z siebie biedny, nieżywy Acton, zmuszony przyglądać się, jak jego szczątki gniją gdzieś na ryfcie?*

– Nie zwracaj na to uwagi – odpowiada Lenie.

Aha.

– A więc jednak coś słyszałaś. – *I wie, co to takiego. Oni wszyscy wiedzą.*

– To, co ja słyszę, jest moją prywatną sprawą.

Lepiej zrozum aluzję, Scanlon. Ale on nie ma dokąd pójść, poza swą własną kajutą. A perspektywa przebywania tam samotnie właśnie teraz – nawet towarzystwo wampira wydaje się od niej lepsze.

Kobieta ponownie odwraca się w jego stronę.

– Coś jeszcze?

– Niezupełnie. Jakoś nie mogę zasnąć. – Scanlon przywołuje na usta rozbrajający uśmiech. – Po prostu chyba nie jestem przyzwyczajony do takiego ciśnienia – *Bardzo dobrze. Spraw, by poczuła się swobodnie. Uznaj jej wyższość.*

Clarke jedynie wpatruje się w niego.

– Nie mam pojęcia, jak to znosicie, miesiąc za miesiącem – dodaje.

– Wiesz doskonale. Jesteś psychiatrą. *Wybrałeś nas.*

– Właściwie, to jestem raczej kimś w rodzaju mechanika.

– Naturalnie – przytakuje kobieta; jej twarz nie wyraża absolutnie niczego. – Twoim zadaniem jest,

by wszystko pozostawało zepsute.

Scanlon odwraca wzrok.

Clarke wstaje i robi krok w kierunku wjazdu, najwyraźniej zapominając o dalszym nadzorowaniu. Scanlon odsuwa się. Kobieta przeciska się obok niego, jakimś cudem unikając kontaktu fizycznego pomimo ciasnoty.

– Słuchaj – wypala nagle Scanlon. – Co powiesz na szybkie przypomnienie, jak wygląda procedura nadzoru? Nie znam się aż tak dobrze na całym tym sprzęcie.

To zbyt oczywiste. Scanlon wie doskonale, że przejrzała go na wylot, jeszcze nim słowa padły z jego ust. Lecz jednocześnie jest to w pełni uzasadniona prośba, biorąc pod uwagę jego rolę. W końcu to rutynowa kontrola.

Clarke przygląda mu się przez chwilę, przechyliwszy nieco głowę na bok. Na jej twarzy, jak zwykle całkowicie pozbawionej wyrazu, jakimś cudem pojawia się wrażenie nieznacznego uśmiechu. Ostatecznie siada znów na krześle.

Przywołuje menu.

– To Gardło. – Grupka jaskrawych prostokątów wciśnięta wewnątrz linii zaznaczających kontury.

– Odczyt termalny. – Obraz pogrąża się w fałszywej, psychodelicznej kolorystyce, zaznaczone na czerwono i żółto gorące punkty pulsują w nieregularnych odstępach wzdłuż głównej szczeliny. – Na ogół się w to nie bawisz przy prowadzeniu nadzoru – wyjaśnia Clarke. – Będąc na zewnątrz i tak dowiesz się szybciej z pierwszej ręki. – Psychodeliczne barwy zamieniają się znów w zieleń i szarość.

A co, jeśli kogoś tam to zaskoczy, a ty nie śledzisz odczytów, więc nawet nie dowiesz się, że ma kłopoty? Scanlon nie zadaje jednak tego pytania na głos. Kolejny przykład pójścia na łatwiznę.

Clarke przełącza widok na ujęcie panoramiczne i odnajduje parę ikon alfanumerycznych.

– Alice i Ken. – W lewym górnym rogu wyświetlacza pojawia się kolejny, czerwony gorący punkt.

Nie, chwileczkę; przecież wyłączyła odczyt termalny...

– Hej – odzywa się Scanlon. – To sygnalizator zgonu.

Nie ma alarmu dźwiękowego. Dlaczego nie zadziałał? – Przebiega wzrokiem po na wpół znajomym pulpicie. *Gdzie to jest, gdzie... Kurwa.*

Alarm został wyciszony.

– *Patrz!* – Scanlon wskazuje na wyświetlacz. – Czy nie...

Clarke niemalże leniwie podnosi wzrok. Wygląda na to, że nie rozumie, o co mu chodzi.

Mężczyzna wykonuje ruch kciukiem.

– Ktoś właśnie tam *zginął!*

Lenie spogląda na ekran i powoli kręci głową.

– Nie.

– *Ty głupia dziwko, odłączyłaś alarm!*

Scanlon wciska kontrolkę. Stacja zaczyna wyc. Mężczyzna odskakuje wystraszony i wpada plecami na gródź. Clarke przygląda mu się, marszcząc lekko brwi.

– *Co z tobą?* – Scanlon wyciąga ręce i chwyta ją za ramiona. *Zrób coś!* Połącz się z Lubinem, połącz się z... – Alarm jest wręcz ogłuszający. Scanlon potrząsa mocno Clarke, wyciąga ją z krzesła.

I nagle przypomina sobie, ale jest już za późno: *Nie należy dotykać Lenie Clarke.*

W jej twarzy zachodzi jakaś zmiana. Wydaje się niemal *pękać* na jego oczach. Nagle znika gdzieś królowa śniegu Lenie Clarke. Zamiast niej pozostało tylko poturbowane, ślepe dziecko, które trzęsie

się i porusza ustami powtarzając w kółko to samo; Scanlon nie słyszy niczego pośród wycia alarmu, ale jej wargi układają się w słowo *Przepraszam, przepraszam, przepraszam...*

Trwa to zaledwie kilka sekund, po czym kobieta krystalizuje się na nowo.

Wygląda na to, że uodparnia się na hałas i napaść Scanlona. Z jej twarzy znika wszelki wyraz. Podnosi się z krzesła i staje wyprostowana, sprawiając wrażenie o kilka centymetrów wyższej. Wyciąga rękę i chwytając Yvesa Scanlona za gardło. Popycha go.

Mężczyzna, zataczając się i wymachując rękami, wpada do mesy. Po jednej stronie dostrzega stół; chwytając się go, odzyskując równowagę.

Nagle Beebe na nowo pogrąża się w ciszy.

Scanlon bierze głęboki oddech. Kątem oka dostrzega kolejnego wampira, stojącego niewzruszenie u wejścia do korytarza; postanawia go zignorować. Bezpośrednio przed nim, Lenie Clarke siedzi znów przy pulpicie w pomieszczeniu łączności, odwrócona do niego plecami. Scanlon wchodzi do środka.

– To Karl – oznajmia kobieta, nim ten w ogóle zdążył się odezwać.

Dopiero po chwili dociera do Scanlona, o kim ona mówi: *Acton*.

– Ale – to było kilka miesięcy temu – protestuje. – Przecież go *straciliście*.

– Straciliśmy. – Clarke powoli wypuszcza powietrze z płuc. – Wszedł do smokera. A on wybuchł.

– Przykro mi. Ja – ja nie wiedziałem.

– No tak. – Jej głos jest ściśnięty od udawanej obojętności. – Jest za głęboko, żeby... Nie możemy go wyciągnąć. To zbyt niebezpieczne. – Odwraca się, by spojrzeć mu w twarz, zachowując nieprawdopodobny wręcz spokój. – Ale jego sygnalizator zgonu wciąż działa. Będzie wył, dopóki nie wyczerpią mu się baterie. – Wzrusza ramionami. – Więc wyłączyliśmy alarm.

– Wcale się nie dziwię – oznajmia łagodnie Scanlon.

– Zgadnij, ile dla mnie znaczy twoja aprobata.

Mężczyzna odwraca się w kierunku wyjścia.

– Poczekaj – woła za nim Clarke. – Mogę zrobić przybliżenie. Mogę pokazać ci, gdzie dokładnie umarł, w maksymalnej rozdzielczości.

– To nie będzie konieczne.

Kobieta wciska kilka guzików.

– Żaden problem. To oczywiste, że jesteś tym zainteresowany. Który mechanik nie chciałby znać osiągnięć swego własnego dzieła? – Zmienia wygląd wyświetlacza, niczym rzeźbiarz pracujący nad posągami, wyostrza obraz, aż wreszcie widać tylko plątaninę niewyraźnych, zielonych kresek i czerwoną, pulsującą kropkę.

– Zaklinował się w bocznej szczelinie. Wydaje się, że nawet teraz mu tam ciasno, choć całe ciało zostało wygotowane. Nie mam pojęcia jak udało mu się tam wcisnąć, gdy był jeszcze w jednym kawałku. – W jej głosie nie słychać nawet śladu napięcia. Równie dobrze mogłaby opowiadać o wyjeździe wakacyjnym znajomego.

Scanlon czuje na sobie jej spojrzenie, nie odrywa jednak wzroku od ekranu.

– A Fischer? – pyta. – Co się stało z Fischerem?

Kątem oka dostrzega, że kobieta zaczyna się spinać, lecz maskuje to wzruszeniem ramion.

– Kto wie? Może Archie go dorwał.

– Archie?

– Archie Toothis. – Scanlon nie rozpoznaje tego nazwiska; z tego, co mu wiadomo, nie pojawia się ono w żadnym z jego plików. Zastanawia się nad tym, ale postanawia nie drażnić tematu.

– A chociaż włączył się jego sygnalizator?

– On go nie miał. – Clarke wzrusza ramionami. – Otchłań może zabić cię na wiele różnych sposobów, Scanlon. Nie zawsze zostawiając ślady.

– Ja... przykro mi, jeśli wytrąciłem cię z równowagi, Lenie.

Kącik jej ust drga niemal niezauważalnie.

I naprawdę jest mu przykro. Choć to nie jego wina. To nie ja sprawiłem, że jesteś, jaka jesteś, pragnie jej powiedzieć. To nie ja rozbiłem cię w drobny mak, tylko ktoś inny. Ja po prostu natrafiłem na ciebie po tym wszystkim i znalazłem dla ciebie zastosowanie. Dałem ci cel, to więcej, niż kiedykolwiek miałaś w przeszłości.

Czy to naprawdę aż tak źle?

Nie ma odwagi zapytać na głos, więc po prostu odwraca się w kierunku wyjścia. A gdy Lenie Clarke na krótką chwilę dotyka palcem ekranu w miejscu, gdzie błyska ikona Actona, udaje, że tego nie zauważa.

TRANS/OFFI/260850:13:52

Odbyłem ostatnio interesującą rozmowę z Lenie Clarke. Choć nie przyznała tego otwarcie – potrafi świetnie się bronić i jest ekspertem w ukrywaniu swych uczuć przed laikami – sądzę, że utrzymywała kontakty seksualne z Karlem Actonem. Jest to wielce krępujące odkrycie, jako że moje pierwotne profile zdecydowanie wskazywały, że ta dwójka nawiąże tego typu relacje. (Clarke zwykła wiązać się z osobami cierpiącymi na zaburzenia eksplozywne). Pozwala to zyskać pewną dozę przekonania, że i inne, podobne przewidywania co do zachowania ryfterów, mogą się sprawdzić.

Dowiedziałem się także, że Karl Acton nie zniknął, a został zabity przez wybuch smokera. Nie mam pojęcia, co tam robił – zamierzam kontynuować badanie tej sprawy – ale takie zachowanie wydaje się co najmniej głupie. Możliwe też, że było celowym samobójstwem. Samobójstwo nie pasuje ani do profilu DSM, ani ECM Karla Actona, które z całą pewnością były trafne w momencie ich stworzenia. Tym samym samobójstwo oznaczałoby pewien stopień zasadniczej zmiany osobowości. Teza ta pozostaje w zgodzie ze scenariuszem zakładającym uzależnienie od traumatycznych doświadczeń. Nie można jednak wykluczyć fizycznego urazu mózgu. Podczas przeszukiwania rejestrów medycznych nie natrafiłem na żadne dowody wystąpienia urazów głowy, ale ograniczyłem się do żyjących uczestników. Może Acton stał się... inny...

A, i dowiedziałem się, kim jest Archie Toothis. Nie z plików personelu. Z biblioteki. Architeuthis: kałamarnica olbrzymia. Wydaje mi się, że Clarke sobie żartowała.

Sitowie

W takich chwilach, jak ta, wydaje się, jakby świat zawsze był czarny.

Rzecz jasna, nie był. Zaledwie przed dziesięcioma minutami w iluminatorze grzbietowym mignął Joelowi Kicie wszechobecny błękit. W chwilę później opadali już przez warstwę DSL; powiedziano mu, że jest teraz o wiele rzadsza, niż dawniej, lecz mimo to wciąż robi wrażenie. Świejące rurkopławy, migoczące ryby i tak dalej. Wciąż jest piękna.

To wszystko znajduje się teraz tysiąc metrów nad nimi. Tutaj widać już tylko cienką, pionową linię, przewód transpondera Beebe. Joel nadał skafowi leniwy ruch wirowy; przednie reflektory przeczesują wodę, podczas gdy maszyna opada korkociągiem. Przewód transpondera miga za głównym bulajem co jakieś trzydzieści sekund, odmierzając czas niczym jasna, pionowa linia na tle ciemności.

Poza nią widać tylko czern.

W iluminator uderza maleńki potwór. Jego przypominające igiełki zęby są tak długie, że nie może zamknąć pyska; węgorzowate ciało usiane świecącymi fotofonami, mierzy jakieś piętnaście, może dwadzieścia centymetrów. Stwór nie jest nawet dość duży, by słychać było jakikolwiek odgłos uderzenia. W chwilę później znika, wirując gdzieś ponad nimi.

– Żmijowiec – oznajmia Jarvis.

Joel rzuca okiem na swojego pasażera, wciśniętego u jego boku, by móc cieszyć się tym, co szumnie można by nazwać „widokiem”. Jarvis jest jakimś cytofizjologiem z Uniwersytetu Rand/Washington i ma odebrać stąd jakąś tajemniczą paczkę w gładkim, brązowym opakowaniu.

– Dużo ich widzisz? – pyta.

Joel potrząsa głową.

– Nie na tej głębokości. To by było dość niezwykle.

– No cóż, cały ten obszar jest dość niezwykle. Dlatego właśnie tu jestem.

Joel sprawdza tablicę taktyczną i stuka placem w zakładkę zbiorników trymowych.

– Żmijowce nie powinny osiągać większych rozmiarów niż ten, którego właśnie widziałeś – zauważa Jarvis. – Ale był taki jeden gość, jeszcze w latach trzydziestych dwudziestego wieku – nazywał się Beebe, to właśnie jego nazwiskiem ochrzczono – w każdym razie przysięgał on, że widział żmijowca długiego na ponad dwa metry.

Joel chrząka.

– Nie wiedziałem, że już wtedy ludzie schodzili tu na dół.

– No tak, cóż, dopiero zaczynali. A wszyscy zawsze myśleli, że ryby głębinowe to te żalosne karzełki, bo tylko takie udawało im się wyciągnąć sieciami. Ale potem Beebe zobaczył tego wielkiego, niesamowitego żmijowca i ludzie pomyśleli sobie: hej, może łapaliśmy tylko te małe, bo duże potrafią uciec przed sieciami. Może *rzeczywiście* w głębinach aż roi się od olbrzymich potworów.

– Wcale nie – protestuje Joel. – A w każdym razie ja tego nie widziałem.

– No cóż, tak uważa większość ludzi. Ale jednak od czasu do czasu ocean wyrzuca na brzeg szczątki czegoś dziwnego. Rzecz jasna jest też rekin megamouth. No i pospolita kałamarnica olbrzymia.

– Nigdy nie schodzą tak głęboko. Założę się, że twoje inne olbrzymy też nie. Za mało tam pożywienia.

– Z wyjątkiem kominów – sprostowuje Jarvis.

– Z wyjątkiem kominów.

– Tak naprawdę, to z wyjątkiem *tego* komina.

Przewód transpondera przelatuje obok, niczym bezdźwięczny metronom.

– Taak – odpowiada po chwili Joel. – Dlaczego?

– No cóż, nie jesteśmy pewni. Ale pracujemy nad tym. To właśnie będę tutaj robić. Muszę złapać jednego z tych łuskowatych potworów.

– Żartujesz sobie. Jak? Zatluczemy go kadłubem na śmierć?

– Właściwie, to został już schwytany. Ryfterzy zrobili to dla nas kilka dni temu. Musimy go tylko odebrać.

– Mogłem zrobić to sam. Dlaczego zabrałeś się ze mną?

– Muszę upewnić się, że zrobili to dobrze. Nie chcielibyśmy, żeby pojemnik wybuchł na powierzchni.

– A ten dodatkowy zbiornik, który przyczepiłeś mi do skafu? Ten obklejony naklejkami „zagrożenie biologiczne”?

– To tylko po to, żeby wysterylizować próbkę – wyjaśnia Jarvis.

– Aha. – Joel przebiega wzrokiem po wyświetlaczach. – Na łodzi musisz być kimś bardzo ważnym.

– Tak? Dlaczego?

– Kiedyś robiłem mnóstwo kursów do Channer. Zlecenia od koncernów farmaceutycznych, dostawy zaopatrzenia do Beebe, ekoturystyka. Jakiś czas temu zawiozłem na stację jakiegoś korpaa; powiedział, że zostanie tam gdzieś na miesiąc. Trzy dni później dzwonią do mnie z GA i każą mi go odebrać. Chcę już wyruszać, a oni mi mówią, że kurs odwołany. Bez żadnego wyjaśnienia.

– Dość dziwne – zauważa Jarvis.

– Twój kurs jest pierwszym, jaki miałem do Channer od trzech tygodni. Z tego, co widzę, twój kurs jest pierwszym, jaki *ktokolwiek* odbył. Musisz więc być kimś ważnym.

– Nie bardzo. – Jarvis wzrusza ramionami w półmroku. – Jestem tylko pomocnikiem naukowym.

Idę tam, gdzie mi każą, tak jak ty. Dziś kazali mi odebrać ryby zamówione na wynos.

Joel obrzuca go wzrokiem.

– Pytałeś, dlaczego rosną takie wielkie. – Jarvis spogląda w prawo. – Wydaje nam się, że to jakaś infekcja endosymbiotyczna.

– No bez jaj.

– Wiesz, dla jakiegoś mikroba łatwiej jest żyć we wnętrzu ryby niż w oceanie – mniejsze napięcie osmotyczne – więc jak już jest w środku, produkuje więcej ATP, niż mu trzeba.

– ATP – powtarza Joel.

– Wysokoenergetyczny związek fosforanu. Taka komórkowa bateria. W każdym razie ten mikrob wydala nadmiar ATP, a ryba-gospodarz może go wykorzystać jako dodatkową energię do wzrostu. Tak więc może w Kominie Channer jest jakiś wyjątkowy wirus, który atakuje ryby doskonałokostne i funduje im gwałtowny wzrost.

– To dość dziwne.

– W zasadzie tego typu rzeczy dzieją się przez cały czas. Jeśli o to chodzi, każda z twoich komórek jest kolonią. No wiesz, jądro, mitochondria, chloroplasty, jeśli jesteś rośliną.

– Nie jestem. – W umyśle Joela na krótką chwilę pojawiają się twarze turystów-wapniaków.

Czego nie mogę powiedzieć o pewnych gościach...

– To wszystko były kiedyś żyjące wolno, samodzielne mikroby. Kilka miliardów lat temu coś je zjadło, lecz nie potrafiło porządnie ich strawić, więc te mikroby po prostu żyły sobie dalej, zatopione

w cytoplazmie. Ostatecznie zawarły umowę z komórką gospodarza i w zamian za wynajem, zobowiązały się sprzątać i robić tym podobne rzeczy. Voilà: oto twoja współczesna komórka eukariotyczna.

– A co się stanie, jak ten mikroorganizm z Channer dostanie się do organizmu człowieka? Wszyscy urośniemy na trzy metry?

Jarvis śmieje się uprzejmie.

– Nie. Ludzie przestają rosnąć, gdy osiągną dorosłość. Podobnie zresztą, jak większość kręgowców. Za to ryby rosną przez całe życie. A już ryby *głębinowe* nie robią w zasadzie nic *innego*, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Joel unosi brwi.

Jarvis wyciąga ręce do góry w geście obronnym.

– Wiem, wiem. Przeciętą rybą głębinową nie jest większa od twojego małego palca. Ale to oznacza jedynie, że brakuje im paliwa; bo kiedy już *zatankują*, zużyją zapasy na wzrost, możesz mi wierzyć. Po co zużywać kalorie na pływanie naokoło, skoro i tak nic nie widać? W ciemnych środowiskach drapieżnikom bardziej opłaca się przycziąć i poczekać. Natomiast jeśli urośniesz dość duży, może staniesz się za duży dla *innych* drapieżników, rozumiesz?

– Mmm.

– Rzecz jasna, całą tę teorię stworzyliśmy na podstawie kilku próbek wyciągniętych na powierzchnię bez żadnej ochrony przed zmianami temperatury i ciśnienia – prycha Jarvis. – Równie dobrze można by je wysłać w papierowych torebkach. Ale tym razem zrobimy wszystko jak należy. Hej, czy to, co tam widzę, to *światło*?

Tuż pod nimi, pośród ciemności widać niewyraźną, żółtą smugę. Joel włącza wyświetlacz topograficzny: Beebe. Instalacja geotermalna na ryfcie przedstawiona jest w postaci serii wyraźnych, zielonych ech położonych na 340°. Na lewo od niej, jakieś sto metrów od wysuniętego najbardziej na wschód generatora, coś nadaje unikatowy sygnał akustyczny w czterosekundowych odstępach.

Joel wysyła polecenia do sterów zanurzeniowych. Skaf wychodzi z korkociągu i kieruje się na północny wschód. Stacja Beebe, będąca w najlepszym wypadku jedynie jaskrawą plamą, powoli znika za rufą.

W blasku reflektorów skafu z ciemności wyłania się nagle dno morskie: przepływający szarawy muł, od czasu do czasu jakieś wychodnie, podobne do zgniecionych pianek poduszki zastygniętej lawy i pumeksu. W kokpicie, migający punkt zmierza powoli w kierunku centrum wyświetlacza topograficznego.

Coś atakuje od góry; przez krótką chwilę cały kadłub rozbrzmiewa echem głuchego, mokrego uderzenia. Joel wygląda przez iluminator grzbietowy, ale niczego nie dostrzega. Kilka kolejnych ciosów, w odstępach czasowych. Skaf nieustępliwie prze naprzód.

– To tu.

Mierzy prawie trzy metry i przypomina pojemnik na łódź ratunkową. Na jednym, zaokrąglonym końcu tkwi panel, na którym migoczą odczyty. Kontener spoczywa na kobiercu z olbrzymich rurkoczułkowców, które powysuwały swe pióropusze w trybie filtrująco-odżywiający. Widok ten przywołuje Joelowi na myśl historię małego Mojżesza, tyle że ukrytego w kępie zmutowanego sitowia.

– Chwileczkę – odzywa się Jarvis. – Najpierw wyłącz światła.

– Dlaczego?

– Chyba nie są ci potrzebne, prawda?

– No cóż, nie. Jeśli trzeba, mogę polegać na urządzeniach. Ale dlaczego?

– Po prostu zrób to, dobrze? – Gadatliwy do tej pory Jarvis stał się nagle strasznie poważny.

Kokpit pogrąża się w mroku, rozświetlanym jedynie przez blask odczytów. Joel ściąga zestaw wizualizacyjny z haka po lewej stronie. Dzięki zamontowanym na brzusznej stronie skafu wzmacniaczom światła, znów widzi przed sobą dno morskie, skąpane w wyblakłych odcieniach niebieskiego i czerni.

Ustawia skaf bezpośrednio nad pojemnikiem i przysłuchuje się szczękom i skrzypnięciom rozkładających się poniżej pokładu chwytaków; metalowe, ciemnopopielate szpony pojawiają się w polu widzenia mężczyzny.

– Spryskaj go przed podniesieniem – poleca mu Jarvis.

Joel wyciąga rękę i bez patrzenia wklepuje kody dostępu. Zestaw wizualizacyjny pokazuje mu, jak ze zbiornika Jarvisa wysuwa się dysza i szykuje się do ataku niczym cienka kobra.

– Zrób to.

Szaroniebieska chmura wystrzeliwuje z dyszy, która przesuwa się dwukrotnie wzdłuż pojemnika, spryskując bentos po obu jego stronach. Rurkoczułkowce chowają się do swych chitynowych osłonek i zamykają za sobą drzwi; w jednej chwili znika cała pierzasta łąka, zostawiając po sobie jedynie las zapieczętowanych, szorstkich rurek.

Dysza nie przestaje pluć jadem.

Jedna z rurek otwiera się powoli, jakby z wahaniem. Drgając, wypływa z niej coś ciemnego i włóknistego. Po chwili, pochłania je szara chmura; włókienko obwisa bez życia na progu swej kryjówki. Teraz otwierają się też pozostałe rurki. W polu widzenia pojawia się coraz więcej martwych bezkręgowców.

– Co to za mieszanka? – pyta szeptem Joel.

– Cyjanek. Rotenon. Parę innych rzeczy. Taki koktajl.

Dysza charczy przez kilka sekund, po czym przestaje pryskać. Joel automatycznie nakazuje jej się schować.

– Dobra – odzywa się Jarvis. – Bierzmy pojemnik i wracajmy do domu.

Joel nie wykonuje najmniejszego ruchu.

– Hej – ponagla go Jarvis.

Joel potrząsa głową i zaczyna wklepywać polecenia. Skaf wysuwa ramiona do metalowego uścisku i podnosi kontener z dna. Pilot zrywa z oczu zestaw wizualizacyjny i wciska kilka guzików. Skaf powoli zaczyna się wznosić.

– To było dość dokładne płukanie – zauważa po chwili.

– Tak. No cóż, próbka sporo nas kosztowała. Nie chcielibyśmy jej zanieczyścić.

– Rozumiem.

– Możesz już włączyć światła – oznajmia Jarvis. – Za ile wynurzymy się na powierzchnię?

Joel włącza reflektory.

– Dwadzieścia minut. Pół godziny.

– Mam nadzieję, że pilotowi podnośnika za bardzo się nie nudzi. – Jarvis znów robi się bardzo przyjacielski.

– Nie ma pilota. Tylko inteligentny żel.

– Naprawdę? No nie mów. – Jarvis marszczy brwi. – Te żele są przerażające. Wiesz, że kilka lat temu jeden z nich zadusił masę ludzi w Londynie?

Tak, zamierza odpowiedzieć Joel, ale Jarvis już z powrotem przełączył się w tryb gaduły.

– Nie ściemniam. Kierował tam funkcjonowaniem metra, spisywał się perfekcyjnie, aż wreszcie pewnego dnia zapomniał uruchomić wentylatory. Pociąg zajeżdża na stację piętnaście metrów pod

ziemią, wszyscy wysiadają, nie ma powietrza i *bum*.

Joel słyszał już tę historię. O ile dobrze pamięta, puenta miała coś wspólnego z zepsutym zegarem.

– Te rzeczy uczą się korzystając z doświadczeń, nie? – ciągnie Jarvis. – Więc wszyscy po prostu założyli, że za sygnał do włączenia wentylatorów ten żel przyjął za coś oczywistego. Temperaturę ciała, ruch, poziom dwutlenku węgla, no wiesz. Okazało się, że zamiast tego obserwował zegar na ścianie. Przyjazd pociągu odpowiadał przewidywalnym podzbiorom wzorów na wyświetlaczu cyfrowym, tak więc żel włączał wentylatory za każdym razem, gdy dostrzegał któryś z tych wzorów.

– Racja. – Joel kiwa głową. – Tyle że wandalę zniszczyli zegar, czy coś w tym stylu.

– Hej. Jednak o tym *słyszales*.

– Jarvis, to historia sprzed dziesięciu lat, albo i lepiej. To było dawno temu, kiedy dopiero wprowadzali te rzeczy. Od tamtego czasu usunięto z nich wszystkie błędy na poziomie molekularnym.

– Tak? Skąd ta pewność?

– Bo już prawie od roku żel pilotuje podnośnik, tak że miał mnóstwo okazji, żeby nawalić. Ale tego nie zrobił.

– Więc je lubisz?

– Ni cholery – odpowiada Joel, myśląc o Ray'u Sterickerze. Myśląc o sobie. – Lubiłbym je o wiele bardziej, gdyby jednak *czasem* nawalały, wiesz?

– No cóż, ja tam ich nie lubię ani im nie ufam. Nie sposób nie zastanawiać się, co one tam kombinują.

Joel kiwa głową; dygresja Jarvisa oderwała go od rozmyślań. Teraz jednak powraca pamięcią do martwych rurkoczulkowców, nieoficjalnych stref, do których schodzenie zostało zakazane i do tajemniczego zbiornika napełnionego ilością trucizny zdolną załatwić całe, pieprzone miasto.

Nie sposób nie zastanawiać się, co wszyscy kombinują.

Duchy

Jest odrażająca.

Ma prawie metr szerokości. Pewnie była dużo mniejsza, gdy Clarke zaczynała nad nią pracować, ale teraz stała się prawdziwym potworem. Scanlon przywołuje wiedzę zyskaną w wirtualnej szkole i przypomina sobie: cała rozgwiezda powinna być położona w jednej i tej samej płaszczyźnie. Płaski dysk z ramionami. Ale nie ta. Clarke połączyła ze sobą różne kawałki pod wszelkimi kątami, tworząc pełzający węzeł gordyjski, częściowo czerwony, częściowo fioletowy, a częściowo biały. Scanlon podejrzewa, że pierwotne ciało mogło być kiedyś pomarańczowe.

– Potrafią się regenerować – byczy kobieta ponad jego ramieniem. – A jako że mają bardzo prymitywny układ odpornościowy, nie ma problemów z odrzuceniem tkanki. Łatwiej je naprawić, jeśli coś pójdzie nie tak.

Naprawić. Tak jakby to była jakaś poprawa.

– Więc była uszkodzona? – pyta Scanlon. – Co dokładnie jej się stało?

– Była podrapana. Miała rozcięcie na grzbiecie. A niedaleko pływała inna rozgwiezda, cała poszarpana. Do tego stopnia, że nawet ja nie mogłabym jej już pomóc, ale pomyślałam sobie, że mogę wykorzystać jej części, by poskładać to maleństwo.

To maleństwo. *To maleństwo*, wyciągając ramiona, krąży żałośnie między nimi, zostawiając poplątane ślady. Za poszarpanymi, niewygojonymi do końca szwami ciągną się włókienka pasożytniczych grzybów. Poprzymocowane nierównomiernie dodatkowe kończyny chwytają się skał; całe ciało zatacza się, ani na chwilę nie będąc w stanie zachować równowagi.

Lenie Clarke wydaje się tego nie zauważać.

– Ile temu – to znaczy od jak dawna to robisz?

Głos Scanlona jest nad podziw spokojny; mężczyzna jest przekonany, że w jego tonie pobrzmiewa jedynie życzliwe zainteresowanie. A jednak kobieta skądś wie. Milczy przez chwilę, po czym wbija w niego spojrzenie swych nieumarłych oczu i mówi:

– Ależ oczywiście. To cię brzydzi.

– Nie, jestem tylko – cóż, zafascynowany, ja...

– Jesteś zniesmaczony – byczy Clarke. – A nie powinieneś być. Czyż to nie czegoś takiego spodziewalibyście się po ryfterze? Czy przede wszystkim nie dlatego w ogóle nas tu przysłaliście?

– Wiem, co sobie myślisz, Lenie. – Scanlon próbuje łagodnego podejścia. – Myślisz, że wstajemy sobie co rano i zastanawiamy się, jak najlepiej przejechać dzisiaj naszych pracowników?

Kobieta spogląda na rozgwiezdę.

– „My”?

– GA.

Clarke unosi się pośród wody, podczas gdy jej potworny pupilek wije się w zwolnionym tempie, próbując odzyskać równowagę.

– Nie jesteśmy źli, Lenie – odzywa się po chwili Scanlon. Gdyby tylko na niego spojrziała i zobaczyła szczerą malującą się na jego twarzy skrytej za hełmem. Trenował ten wyraz od lat.

Lecz kiedy wreszcie kobieta podnosi wzrok, wydaje się wcale tego nie zauważać.

– Nie pochlebiaj sobie, Scanlon – mówi. – Nie masz najmniejszego wpływu na to, jaki jesteś.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zdolność do funkcjonowania w tym miejscu wynika z faktu posiadania cech, które w innych warunkach zostałyby uznane za „zaburzenia”. Cechy te z jednej strony pozwalają na długotrwały pobyt na ryfcie, ale mogą też ulegać nasileniu w następstwie tego pobytu. Przykładowo, u Lenie Clarke pojawiła się obsesja na punkcie okaleczeń, której nie mogła mieć przed przybyciem na stację. Jej fascynacja zwierzęciem, które można łatwo „naprawić”, kiedy zostanie ono uszkodzone, ma dość oczywiste podłoże, mimo licznych, nieudolnych prób „poskładania” go. Judith Caraco, która przed aresztowaniem zwykła brać udział w maratonach halowych, teraz nałogowo pływa w górę i w dół wzdłuż przewodu transpondera Beebe. U pozostałych uczestników zapewne pojawiły się inne, właściwe im nawyki.

Na chwilę obecną nie jestem jeszcze w stanie jednoznacznie stwierdzić, czy podobne zachowania świadczą o uzależnieniu fizjologicznym. Jeśli jednak tak jest, przypuszczam, że Kenneth Lubin okaże się przodować pod tym względem. W czasie rozmów z pozostałymi uczestnikami dowiedziałem się, że Lubin może faktycznie sypiać na zewnątrz od czasu do czasu, czego według niczyich standardów nie można uznać za zdrowe. Mógłbym lepiej zrozumieć przyczyny takiego zachowania, gdybym otrzymał więcej szczegółowych informacji na temat przeszłości Lubina. Rzecz jasna, w udostępnionym mi pliku brakuje pewnych istotnych detali.

W czasie wykonywania zadań, uczestnicy zaskakująco dobrze ze sobą współpracują, zważywszy na bagaż psychologiczny każdego z nich. W czasie ich zmian wyczuwa się niesamowite wręcz skoordynowanie. Wydaje się, jakby działali według jakiejś określonej choreografii. Niemal jakby...

Oczywiście jest to moje subiektywne wrażenie, myślę jednak, że ryfterzy mają wzmoczoną świadomość siebie nawzajem, przynajmniej gdy znajdują się na zewnątrz. Możliwe też, że mają wzmoczoną świadomość mnie – albo to, albo niezwykle trafnie odgadują moje samopoczucie.

Nie. Zbyt... zbyt...

Zbyt łatwo to błędnie zinterpretować. Jeśli przeczytają to te haploidy ze stałego lądu, mogą sobie pomyśleć, że wampiry mają przewagę. Scanlon kasuje kilka ostatnich linijek i zastanawia się nad alternatywą.

Jest takie jedno słowo, zdolne nazwać jego podejrzenia. To słowo opisujące doświadczenia, jakich doznaje się w kabinie deprivacyjnej albo w rzeczywistości wirtualnej, kiedy zablokuje się wszystkie dane wejściowe, albo – w ekstremalnych przypadkach – kiedy ktoś odetnie przewody czuciowe ośrodkowego układu nerwowego. Określa ono stan deprivacji sensorycznej, kiedy z powodu braku danych wyłączają się całe obszary mózgu. Tym słowem jest Ganzfeld.

W Gandzfeldzie jest bardzo cicho. Płaty skroniowy i potyliczny zazwyczaj aż kipią od informacji, sygnałów o takiej sile, że żadne inne nie mogą z nimi konkurować. Kiedy jednak bodźce te milkną, umysłowi udaje się czasem wyłowić z mroku ledwie słyszalne szepty. Może wyobrazić sobie sceny osobiście przypominające obrazy wyświetlane na ekranie telewizora w jakimś odległym pokoju. Albo poczuć mgliste echo emocji, znajomych, ale jednak nie z pierwszej ręki.

Statystyki sugerują, że te doznania nie są w pełni urojone. Ekspertom z wcześniejszej dekady – ludziom bardzo podobnym do Yvesa Scanlona, z tym, że mieli to szczęście znaleźć się we właściwym miejscu, we właściwym czasie – udało się nawet odkryć skąd pochodzą te szepty.

Okazało się, że przenikające wszystkie neurony mikrotubule białek pełnią rolę odbiorników pewnych słabych sygnałów na poziomie kwantowym. Okazało się, że sama świadomość jest zjawiskiem kwantowym. Okazało się, że w pewnych warunkach świadome systemy mogą bezpośrednio się ze sobą komunikować, omijając zwyczajowych, czuciowych pośredników.

To całkiem niezły wynik, jak na coś, co zaczęło się sto lat temu od przyklejania ludziom na oczy połówki piłeczek pingpongowych.

Ganzfeld. To jest to. Nie mów o tym, z jaką łatwością te istoty potrafią przejrzeć cię na wylot. Zapomnij o efekcie końcowym: skup się na rozłożeniu procesu na czynniki pierwsze.

Przejmij kontrolę.

Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z czymś w rodzaju efektu Ganzfeldu. Mroczne, pogrążone w stanie nieważkości środowisko głębinowe może do tego stopnia ograniczać doznania zmysłowe, że zdolne jest przesunąć stosunek sygnału do szumu poza wartość progową. Moje obserwacje wykazują, że kobiety wydają się być wrażliwsze od mężczyzn, co wydaje się logiczne,

zważywszy, że ciała modelowate w ich mózgu są większe, a co za tym idzie szybciej przetwarzają informacje pomiędzy korami mózgu.

Niezależnie jednak od przyczyn tego zjawiska, jeszcze ono u mnie nie wystąpiło. Być może potrzeba na to nieco więcej czasu.

A, i jeszcze jedno. Nie udało mi się natrafić na jakikolwiek zapis, świadczący o tym, że Karl Acton korzystał ze skanera medycznego. Zapytałem o to Clarke i Brander; żadne z nich nie potrafiło sobie przypomnieć, by Acton faktycznie używał urządzenia. Biorąc pod uwagę, ile obrażeń odnieśli według rejestrów pozostali, wydaje mi się to dość zaskakujące.

Yves Scanlon siedzi przy stole i zmusza się do jedzenia, mając kompletnie sucho w ustach. Słyszy, jak wampiry poruszają się po niższym pokładzie, przemierzają korytarz, przemieszczają się za jego plecami. Nie odwraca się. Nie może okazać najmniejszej słabości. Nie może w najmniejszym stopniu zdradzić się z brakiem pewności siebie.

Wie już, że wampiry są jak psy. Potrafią wyczuć strach.

W jego głowie rozbrzmiewają dźwięki niczym powtarzane w nieskończoność sample. *Nie jesteś tu wśród przyjaciół, Scanlon. Nie rób sobie w nas wrogów.* Brander; przed pięcioma minutami wyszeptał mu to do ucha i szedł po drabinie do komory odpływowej. Caraco *zgrzyt zgrzyt zgrzyta*, nożem do chleba po stole, aż wreszcie Scanlon przestaje słyszeć własne myśli. Nakata i ten jej głupi *chichot*. I Patricia Rowan uśmiechająca się szyderczo, gdzieś w wyobrażonej przyszłości *No cóż, nic dziwnego, że ci nie zaufaliśmy, skoro nie potrafiłeś nawet poradzić sobie z rutynowym zadaniem nie doprowadzając do buntu...*

A może jeszcze lakoniczny telefon do GA, będący odbiciem innej osi czasowej: *Straciliśmy Scanlona. Przykro mi.*

Zaś tłem dla tych wszystkich dźwięków jest ten przeciągły, głuchy, lodowaty odgłos, pełzający po posadzce jego umysłu. To coś. To coś, o czym nikt nigdy nie wspomina. Głos z otchłani. Dziś dochodzi gdzieś z niedaleka, cokolwiek to jest.

Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie dla wampirów. Zaplombowują „skóry”, podczas gdy Scanlon siedzi zmrożony nad posiłkiem. Biorą swoje płetwy i wychodzą na zewnątrz pojedynczo i dwójkami, zostawiając go samego. Wychodzą tam, do tego jęczącego czegoś.

Scanlon zastanawia się, ignorując głosy w swojej głowie, czy to coś może wejść do środka. Czy dziś jest właśnie ta noc, kiedy wampiry przyprawiają to ze sobą.

Wszystkie wampiry wyszły. Po chwili cichną nawet głosy w głowie Scanlona. A przynajmniej większość z nich.

To jakieś szaleństwo. Nie mogę tak po prostu tu siedzieć.

Jednego głosu dziś nie usłyszał. Lenie Clarke przesiedziała w milczeniu całą katastrofę, jedynie przyglądając się. Faktem jest, że wszyscy liczą się z Clarke. Nie odzywa się ona zbyt często, ale gdy już to robi, pozostali uważnie jej słuchają. Scanlon zastanawia się, co kobieta im mówi, kiedy nie ma go w pobliżu.

Nie mogę tak po prostu tu siedzieć. Nie jest zresztą aż tak źle. W końcu tak naprawdę mi nie grozili...

Nie jesteś tu wśród przyjaciół, Scanlon.

...w każdym razie nie otwarcie.

Mężczyzna próbuje dojść do tego, kiedy dokładnie ich stracił. Wydawało się to dość rozsądną propozycją. Perspektywa krótszych wycieczek nie powinna do tego stopnia nie przypaść im do gustu. Nawet jeśli są uzależnieni od tego okropnego miejsca, to była tylko *propozycja*. Scanlon dołożył wszelkich starań, by zachować całkowity spokój. Chyba, że poczuli się urażeni, gdy wspomniał o dość beztróskim traktowaniu przez nich kwestii bezpieczeństwa. Jednak nie powinno być to dla nich nic nowego: nie tylko doskonale zdają sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmują, ale wręcz się z tym

obnoszą.

Kogo ja próbuję oszukać? To nie wtedy ich straciłem. Nie powinienem był wspominać o Lubinie, nie powinienem był dawać go za przykład.

A jednak wtedy wydawało się to sensownym posunięciem. Scanlon wie, że nawet tutaj, Lubin jest outsiderem. Scanlon nie jest idiotą, potrafi odczytywać sygnały, nawet przez nakładki rogówkowe. Lubin jest inny od pozostałych wampirów. Dawanie go za przykład powinno być najbezpieczniejszym posunięciem na świecie. Znajdowanie kozłów ofiarnych to ważna część arsenału terapeutycznego od setek lat.

Słuchajcie, chcecie skończyć jak Lubin? Na litość boska, przecież on sypia na zewnątrz!

Scanlon ukrywa twarz w dłoniach. Skąd niby miałem wiedzieć, że oni wszyscy to robią?

A może powinien to wiedzieć. Mógł dokładniej sprawdzać sonar. Albo mierzyć czas, kiedy wampiry szły do swoich kajut, sprawdzać, ile czasu spędzają w środku. Wie, że są takie rzeczy, które mógł zrobić.

Może naprawdę nawaliłem. Może. Gdybym tylko...

Jezu, to dochodzi gdzieś z bliska. Co to...

Zamknij się! Zamknij się, kurwa!

Może znajdzie to na sonarze.

Scanlon bierze głęboki oddech i daje nura do pomieszczenia łączności. Rzecz jasna przeszedł podstawowe przeszkolenie w zakresie obsługi przyrządów; zresztą i tak jest to dość instynktowne. Lekcja udzielona z niechęcią przez Clarke tak naprawdę nie była mu wcale potrzebna. Po kilku sekundach mężczyzna spogląda już na wyświetlacz taktyczny: wampiry wyglądają jak koraliki nanizane na niewidzialny sznurek łączący Beebe z Gardłem. Jeden z nich znajduje się na zachodzie i zmierza w kierunku Gardła; to pewnie Lubin. Przypadkowe elementy topografii. Nic więcej.

Na jego oczach cztery ikony najbliższej Beebe przesuwają się o piksel czy dwa w stronę ulicy Głównej. Piąta znajduje się dużo dalej na przedzie, prawie tak daleko, jak Lubin. Prawie przy samym Gardle.

Chwileczkę.

Wampiry: Brander, Caraco, Clarke, Lubin, Nakata. Zgadza się.

Ikony: Jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta.

Szósta.

Scanlon wpatruje się w ekran. *O kurwa.*

Linia telefoniczna Beebe jest bardzo starego typu; to bezpośrednie łącze nie przechodzące nawet przez serwery telemetryczne ani komunikacyjne. Niemal wiktoriańskie w swej prostocie, dzięki czemu połączenie będzie możliwe nawet jeśli nastąpi nie wiadomo jaka awaria systemów, może za wyjątkiem implozji. Scanlon nigdy wcześniej z niego nie korzystał. Bo i po co? Telefon do domu byłby równoznaczny z przyznaniem się, że nie potrafi sam wykonać powierzonego mu zadania.

Teraz jednak bez chwili wahania wciska guzik połączenia.

– Tu Scanlon z działu personalnego. Mam taki mały...

Linia milczy.

Mężczyzna próbuje jeszcze raz. Nic.

Kurwa kurwa kurwa. A jednak, mimo to, jakoś wcale nie jest zaskoczony.

Mógłbym przywołać wampiry. Mógłbym kazać im wrócić do środka. Jestem do tego upoważniony. Przez krótką chwilę nawet bawi go ta myśl.

Przynajmniej wygląda na to, że Głos wreszcie ucichł. Scanlonowi wydaje się, że słyszy go, jeśli

się mocno skoncentruje, lecz jest on tak słaby, że równie dobrze może to być tylko jego wyobraźnia.

Ściany Beebe zaczynają na niego napierać. Mężczyzna z nadzieją spogląda znów na wyświetlacz taktyczny. *Raz, dwa, trzy, cz...*

O kurwa.

Nie pamięta momentu wyjścia na zewnątrz. Pamięta, że użerał się z siateczką i że wziął pistolet hydrolokacyjny, a teraz jest już na dnie, pod Beebe. Sczytuje namiary, sprawdza wynik, sprawdza raz jeszcze. Nic się nie zmieniło.

Przekrada się coraz dalej od światła, zmierzając w kierunku Gardła. Walczy ze sobą przez nieskończenie długą chwilę, ale wreszcie wygrywa; jego latarka czołowa pozostaje wyłączona. Po co ma rozgłaszać jego obecność.

Płyne po omacku, trzymając się dna. Co jakiś czas sczytuje namiary i koryguje swój kurs. Posuwa się zygzakami po dnie. Wreszcie otchłań zaczyna się nieco rozjaśniać.

Coś jęczy, bezpośrednio przed nim.

Już nie sprawia wrażenia samotnego. Wycie brzmi teraz zimno, wygłodniałe i całkowicie nieludzko. Scanlon nieruchomieje niczym nocne zwierzę w świetle reflektorów.

Po chwili dźwięk cichnie.

Na wpół widoczne Gardło migocze jakieś dwadzieścia metrów dalej. Przypomina widmowy zbiór budynków i dźwigów ustawionych na księżycu. Reflektory zamontowane w połowie wysokości generatorów zalewają okolicę przyćmionym, miedzianym blaskiem. Scanlon krąży tuż przy granicy światła.

Coś porusza się na lewo od niego.

Dziwne westchnienie.

Mężczyzna rozpląszcza się na dnie z zamkniętymi oczami. *Dorośnij wreszcie, Scanlon. Cokolwiek to jest, nie może zrobić ci krzywdy. Nic nie jest w stanie przegryźć się przez siateczkę.*

A w każdym razie nic z krwi i kości.

Scanlon wzbrania się przed skończeniem rozpoczętej myśli. Otwiera oczy.

Kiedy to coś znowu się porusza, robi to już na jego oczach.

Ze skalnego komina na dnie wystrzeliwuje czarny pióropusz dymu. Tym razem już nie wzdycha, lecz *zawodzi*.

Smoker. To wszystko. Do jednego z nich wszedł Acton.

Może do tego.

Erupcja wygasa. Dźwięk cichnie.

Smokery nie powinny wydawać żadnych odgłosów. A w każdym razie na pewno nie takie.

Scanlon ostrożnie zbliża się do krawędzi komina. Pięćdziesiąt stopni Celsjusza. W środku, na głębokości około dwóch metrów, tkwi jakaś maszyna. Zbudowano ją z elementów, które nigdy nie miały być ze sobą łączone; łopatkami wirników obracane przez słabe prądy, dziurkowane tuby, rurki umocowane pod przypadkowymi kątami. Smoker wypełniony jest po brzegi przeróżnymi śmieciami.

A jednak, jakimś sposobem, tryskająca z niego woda wydostaje się na zewnątrz, śpiewając. To żaden duch. Ani żaden dziwny drapieжник. Tylko – dzwonki wietrzne. Ciało Scanlona zalewa chemiczna fala ulgi. Mężczyzna rozluźnia się, napawając się tym odczuciem, gdy nagle przypomina sobie:

Sześć kontaktów. Sześć.

A on stoi tu w pełnym świetle, na widoku.

Scanlon wycofuje się z powrotem w mrok. Odkrycie, że za jego koszmarami stoi maszyna oraz

fakt, że okazała się ona czymś zupełnie zwyczajnym, dodały mu pewności siebie. Mężczyzna na nowo podejmuje patrolowanie okolicy. Gardło przesuwają się z wolna po prawej niczym ponura, monochromatyczna grafika.

Coś wylania się z ciemności; unosi się nad wychodnią oblepioną przez rurówki. Scanlon prześlizguje się bliżej i przyczajają za dogodnie usytuowaną skałą.

Wampiry. W liczbie dwóch.

Nie wyglądają tak samo.

Na zewnątrz wampiry zazwyczaj wyglądają jednakowo, niemal nie sposób ich od siebie odróżnić. Jednak Scanlon jest pewien, że jednego z nich nigdy wcześniej nie widział. Choć odwrócony jest do niego plecami, jest w nim coś takiego – wydaje się jakby za wysoki i za chudy. Porusza się spłoszonymi zrywami i drgnięciami, niemal jak ptak. Albo gad. I trzyma coś pod pachą.

Scanlon nie potrafi określić jego płci. Za to drugi wampir wygląda na kobietę. Ta oto dwójka unosi się w wodzie, zwrócona do siebie twarzami, choć dzieli ją kilka metrów. Co jakiś czas kobieta wykonuje gest dłońmi; czasem, kiedy poruszy się zbyt gwałtownie, drugi wampir odskakuje nieco, jakby wystraszony.

Scanlon sprawdza kanały głosowe. Nic. Po chwili kobieta wyciąga rękę, jakby z wahaniem, i dotyka gada. W sposobie, w jaki to robi jest coś niemalże delikatnego, ale w dość osobliwym sensie. Potem odwraca się i odpływa w mrok. Gad zostaje w tyle, obracając się powoli wokół własnej osi. Oczom mężczyzny ukazują się jego oblicze.

Część twarzowa kaptura wampira jest otwarta. Jego skóra jest tak blada, że Scanlon ledwie jest w stanie określić, w którym miejscu przechodzi ona w nakładki; wydaje się niemalże, że istota *nie ma* oczu.

Pod pachą trzyma poszarpane szczątki jednej z potwornych ryb z Channer. Na oczach mężczyzny, gad podnosi je do ust i odgryza kawałek. Połyka.

Głos z Gardła zawodzi w oddali, ale gad wydaje się nie zwracać na to uwagi. W „skórze” na jego ramieniu wytłoczone jest logo GA. Pod nim widnieje naszywka z nazwiskiem.

Kto...?

Spojrzenie pustej, pozbawionej wyrazu twarzy prześlizguje się po kryjówce Scanlona, a w chwilę później zwrócone jest już w przeciwną stronę.

Gad jest tu całkiem sam. Nie *wygląda* groźnie.

Scanlon przywiera do skały i odpycha się od niej. Woda stawia opór, niemal natychmiast go spowalniając. Gad jednak go nie widzi. Scanlon młóci nogami. Od wampira dzieli go już tylko kilka metrów, gdy nagle sobie przypomina.

Efekt Ganzfeldu. Co, jeśli działa tu coś w rodzaju efektu Ganz – Gad odwraca się nagle i spogląda prosto na niego.

Scanlon rzuca się do przodu. Jeszcze ułamek sekundy i by mu się nie udało, ale szczęście się do niego uśmiecha; chwytając stworę za jedną z płetw, gdy ten daje nura w mrok. Jego druga noga kopie dziko, odbija się od hełmu Scanlona. Następnym razem uderza już niżej; wytrąca mężczyźnie pistolet hydrolokacyjny zza paska.

Scanlon trzyma ze wszystkich sił. Gad rzuca się na niego z pięściami, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku. Scanlon ledwie wyczuwa ciosy przez siateczkę. Próbuje oddawać je z dobrze sobie znaną desperacją dziecięcego worka treningowego, znów przypartego do muru, którego jedynym wyjściem pozostała nieudolna obrona.

Aż wreszcie dociera do niego, że jakimś cudem to *działa*.

Tym razem nie ma do czynienia z łobuzem z sąsiedztwa. Nie płaci za nawiązany nierozważnie

kontakt wzrokowy z jakimś neandertalczykiem z miejscowej speluny. Tym razem walczy z jakimś patykowatym, małym świrem, który próbuje *uciec*. Przed *nim*. Ten gość jest totalnie *słaby*.

Pierwszy raz w życiu Yves Scanlon wygrywa bójkę.

Łączy pięści, tworząc kolczą maczugę. Jego przeciwnik szarpie się i wrywa. Scanlon chwytą go, wykręca i zakłada mu dźwignię na ramię. Ofiara wymachuje bezradnie pozostałymi kończynami.

– Nigdzie nie pójdziesz, przyjacielu. – Wreszcie ma okazję wypróbowania pogardliwego tonu, który ćwiczył, od kiedy skończył siedem lat. Brzmi niezłe. Słysząc w nim pewność siebie. – Dopóki nie dowiem się, co tu *do cholery* jest – Gasną światła.

Nagle i bez żadnego ostrzeżenia, całe Gardło pogrąża się w mroku. Potrzeba dobrych kilku sekund, by mruganiem odegnać powidoki; wreszcie Scanlonowi udaje się dojrzeć w oddali niewyraźny, szarawy blask. Beebe.

Który gaśnie na jego oczach. Stwór w jego ramionach całkowicie znieruchomiał.

– Puść go, Scanlon.

– Clarke? – To może być Clarke. Vocodery nie ukrywają absolutnie wszystkiego, są pewne subtelne różnice, które Scanlon dopiero uczy się rozpoznawać. – To ty? – Mężczyzna włącza swoją latarkę, ale gdzie nie skieruje snopa światła, nie udaje mu się na nic natrafić.

– Połamiesz mu ręce – odzywa się ponownie ten sam głos. *Clarke. To musi być ona.*

– Nie jestem aż tak... – *silny* – ...niezdarny – odpowiada otchłani Scanlon.

– Wcale nie musisz być. Jego kości uległy odwapnieniu. – Chwila ciszy. – Są kruche.

Scanlon rozluźnia nieco uścisk. Wykręca się na wszystkie strony, próbując wyłowić cokolwiek z mroku. Cokolwiek. Jedynym, co udaje mu się dostrzec, jest naszywka z nazwiskiem jego więźnia.

Fischer.

Ale przecież on zaginął – Scanlon liczy – *siedem miesięcy temu!*

– *Puść go, pojebie.* – To już inny głos. Tym razem Brandera. – Natychmiast – *bzyczy.* – Albo cię, kurwa, zabiję. – Brander? Brander stojący w obronie pedofila? Jak to się mogło stać, do jasnej cholery?

Teraz to już nie ma znaczenia. Teraz są inne powody do zmartwień.

– Gdzie jesteście? – woła Scanlon. – Czego się tak boicie? – Nie spodziewa się, by kupili tak oczywistą prowokację. Po prostu gra na zwłokę, próbując odroczyć nieuniknione. Nie może tak po prostu *wypuścić* Fischera; kiedy to zrobi, skończą mu się możliwości.

Ruch po jego lewej stronie. Scanlon odwraca się; jakieś zamieszanie, może sugestia kończyn w świetle jego latarki. Zbyt wielu jak na jedną osobę. A potem już nic.

Próbował to zrobić, uświadamia sobie nagle mężczyzna. *Brander właśnie próbował mnie zabić, ale reszta go powstrzymała. Na razie.*

– To twoja ostatnia szansa, Scanlon. – Znowu Clarke, niewidzialna, ale znajdująca się gdzieś niedaleko, jakby bzyczała mu tuż nad uchem. – Nawet nie musimy cię dotykać, wiesz? Możemy po prostu cię tu zostawić. Jeśli nie wypuścisz go w ciągu dziesięciu sekund, gwarantuję ci, że nigdy nie znajdziesz drogi powrotnej. Raz.

– A nawet jeśli – dodaje inny głos, Scanlon nie ma pojęcia czyj – to będziemy tam już na ciebie czekać.

– Dwa.

Scanlon rzuca okiem na tablicę rozdzielczą, ciągnącą się wzdłuż linii podbródka. Wampiry wyłączyły sygnał naprowadzający Beebe.

– Trzy.

Mężczyzna sprawdza kompas. Odczyt ani myśli się ustabilizować. Nie jest to żadnym

zaskoczeniem; nawigacja magnetyczna na ryfcie to jakiś żart.

– Cztery.

– Dobra – ryzykuje Scanlon. – Zostawcie mnie tutaj. Nie obchodzi mnie to. Po prostu...

– Pięć.

– ...popłynę na powierzchnię. Mogę wytrzymać *całe dni* w tym kombinezonie. – *Jasne. Tak jakby mieli pozwolić ci tak po prostu odплыnąć ze swoją – czym w ogóle jest dla nich Fischer?*

Pupilkim? Maskotką?

– Sześć.

Wzorem?

– Siedem.

O Boże. O Boże.

– Osiem.

– *Proszę* – szepcze mężczyzna.

– Dziewięć.

Rozwiera ramiona. Fischer daje nura w mrok.

Zatrzymuje się.

Odwraca się i unosi się w wodzie, pięć metrów dalej.

– Fischer? – Scanlon rozgląda się naokoło. O ile mu wiadomo, są jedynymi dwiema cząstkami elementarnymi we wszechświecie.

– Rozumiesz, co mówię?

Wyciąga rękę. Fischer drga jak wystraszona ryba, ale nie ucieka. Scanlon lustruje otchłań wzrokiem.

– Tak właśnie chcecie skończyć? – woła.

Nikt mu nie odpowiada.

– Czy w ogóle macie pojęcie, co dzieje się z umysłem po siedmiu miesiącach deprywacji sensorycznej? Myślicie, że on choćby w *najmniejszym* stopniu jest jeszcze człowiekiem?

Zamierzacie spędzić resztę życia, ryjąc w błocie i jedząc robaki? Tego chcecie?

– Chcemy – bzyczy coś pośród mroku – żeby zostawiono nas w spokoju.

– Tak się nie stanie. Niezależnie od tego, co ze mną zrobicie. Nie możecie zostać tu na zawsze.

Nikt nawet nie zadaje sobie trudu, żeby zaprzeczyć. Fischer wciąż unosi się przed nim w wodzie, przekrzywiwszy głowę na bok.

– Posłuchajcie. Lenie. Mike. Wszyscy. – Snop światła z latarki przeczesuje okolicę w tę i z powrotem; pusto. – To tylko *praca*. Nie sposób na życie. – Wie jednak, że to kłamstwo. Wszyscy ci ludzie byli ryfterami na długo przed tym, jak powstało takie stanowisko.

– Przyjdą po was – oznajmia łagodnie, nie mając pojęcia czy to groźba, czy ostrzeżenie.

– Może już nas tu nie będzie – odzywa się wreszcie otchłań.

O Boże.

– Posłuchajcie, nie mam pojęcia, co tu się dzieje, ale przecież nie możecie *chcieć* tu zostać, nikt przy – to znaczy – Jezu, *gdzie jesteście?*

Żadnej odpowiedzi. Tylko Fischer.

– Nie tak miało to wyglądać – tłumaczy się Scanlon.

A potem:

– Nigdy nie chciałem, żeby – to znaczy, ja...

A potem tylko:

– *Przykro mi. Przykro mi...*

A potem już nic, tylko ciemność.

Wreszcie światła ponownie się zapalają. Beebe piszczy krzepiąco na wyznaczonym dla siebie kanale. Gerry'ego Fischera już nie ma; Scanlon nie jest pewny, kiedy zniknął.

Nie jest też pewny, czy pozostali w ogóle tu byli. Samotnie płynie z powrotem do Beebe.

Pewnie wcale mnie nawet nie słyszeli. Raczej nie. A szkoda, bo wtedy, ostatecznie, faktycznie mówił prawdę.

Chciałby móc im współczuć. Niby nic prostszego; w końcu chowają się w ciemnościach, ukrywają za swoimi nakładkami, jakby fotokolagen był jakimś uniwersalnym środkiem znieczulającym. Współczucie normalnych ludzi wydaje się więc całkowicie uzasadnione. Ale jak współczuć komuś, komu mimo wszystko jest lepiej, niż tobie? Jak współczuć komuś, kto na swój chory sposób sprawia wrażenie szczęśliwego?

Jak współczuć komuś, kto śmiertelnie cię przeraża?

A poza tym, bezustannie mną pomiatali. Zupełnie nie byłem w stanie ich kontrolować. Czy od przyjazdu tutaj dokonałem choć jednego, prawdziwego wyboru?

No jasne. Oddałem im Fischera, a oni pozwolili mi żyć.

Przez krótką chwilę Yves Scanlon zastanawia się, jak włączyć *to* do oficjalnego raportu, by nie wyjść na kompletnego nieudacznika.

Jednak koniec końców, jest mu to całkowicie obojętne.

TRANS/OFFI/300850:1043

Ostatnio udało mi się natrafić na dowody, świadczące o... to znaczy, sądzę, że...

Zachowanie personelu Stacji Beebe jest wyraźnie/otwarcie...

Uczestniczyłem ostatnio w znamiennej wymianie zdań z personelem stacji. Udało mi się uniknąć otwartej konfrontacji, jednak...

A, walić to.

T minus dwadzieścia minut; w Beebe nie ma nikogo, poza Yvesem Scanlonem.

Taki stan utrzymuje się już od kilku dni. Wampiry nie przychodzą zbyt często do środka. Może specjalnie wykluczają go ze swojego grona. A może po prostu wracają do swego naturalnego trybu życia. Scanlon nie potrafi tego ocenić.

Może to i dobrze. I tak żadna ze stron nie ma sobie już zbyt wiele do powiedzenia.

Prom powinien wkrótce tu być. Scanlon zbiera się w sobie: Kiedy przyjdą, nie będzie chował się w swojej kajucie. Będzie siedział w mesie, na widoku.

Bierze głęboki wdech, wstrzymuje oddech i nasłuchuje. Zewsząd dobiegają go skrzypnięcia Beebe i odgłosy kapania. Żadnych innych oznak życia.

Mężczyzna schodzi z pryczy i przyciska ucho do grodzi. Nic. Otwiera właz, uchyla go na kilka centymetrów i wygląda na zewnątrz.

Nic.

Jego walizka stoi zapakowana już od kilku godzin. Scanlon podnosi ją z podłogi, popycha właz na pełną szerokość i z pewnością siebie rusza korytarzem.

Wchodząc do mesy, zauważa jakiś cień, niewyraźną sylwetkę opartą o gródź. Jakaś jego część chce zawrócić i uciec z powrotem do kajuty, lecz jest dużo mniejsza, niż kiedyś. Większa część jest po prostu zmęczona. Mężczyzna wchodzi do pomieszczenia.

Przy drabinie czeka na niego Lubin. Przewierca Scanlona na wylot spojrzeniem oczu z litej kości słoniowej.

– Chciałem się pożegnać – mówi.

Scanlon zaczyna się śmiać, nie mogąc się powstrzymać. Lubin przygląda mu się niewzruszenie.

– Przepraszam – odzywa się wreszcie Scanlon. Tak naprawdę nie czuje się ani trochę rozbawiony.

– Po prostu – nawet się nie *przywitałeś*, wiesz?

– Wiem – odpowiada Lubin. – No cóż.

Tym razem jakoś nie można wyczuć od niego poczucia groźby. Scanlon nie potrafi do końca zrozumieć, dlaczego; w pliku zawierającym informacje na temat przeszłości Lubina wciąż jest pełno dziur, wciąż też narastają plotki dotyczące Galapagos; nawet pozostałe wampiry trzymają się od niego z daleka. Teraz jednak nie widać po nim żadnej z tych rzeczy. Lubin po prostu stoi, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Wydaje się niemal bezbronny.

– A więc ściągną nas wcześniej – mówi.

– Naprawdę nie mam pojęcia. To nie do mnie należy decyzja.

– Ale przystali cię tutaj, żebyś uitorował drogę. Jak Jan Chrzciciel.

To bardzo dziwna analogia jak na Lubina. Scanlon nie odpowiada.

– Czy wiedziałeś – Czy oni nie *wiedzieli*, że nie będziemy chcieli wrócić? Czy nie na to właśnie liczyli?

– To nie tak. – A jednak Scanlon bardziej niż kiedykolwiek zastanawia się, co wiedziało GA.

Lubin odchrząkuje. Wydaje się, że bardzo chce coś powiedzieć, lecz tego nie robi.

– Znalazłem dzwonki wietrzne – oznajmia wreszcie Scanlon.

– Tak?

– Wystraszyły mnie nie na żarty.

Lubin potrząsa głową.

– Nie temu miały służyć.

– A czemu?

– W zasadzie to takie hobby. Każdy z nas ma tu jakieś hobby. Lenie tworzy swoją rozgwiadę.

Alice śni. To miejsce potrafi przedstawić brzydkie rzeczy w takim świetle, że wydają się one niemalże pięknymi. – Wzrusza ramionami. – Ja buduję pomniki.

– Pomniki.

Lubin kiwa głową.

– Dzwonki wietrzne były dla Actona.

– Rozumiem.

Coś opada na Beebe ze szczękiem. Scanlon podskakuje, wystraszony.

Żadnej reakcji ze strony Lubina.

– Rozważam zbudowanie kolejnych – oznajmia. – Może dla Fischera.

– Pomniki są dla ludzi, którzy umarli. Fischer wciąż żyje – *Formalnie rzecz biorąc*.

– W porządku. W takim razie zbuduję je dla ciebie.

Otwiera się właz w suficie. Scanlon chwyta swoją walizkę i zaczyna wspinać się po drabince, przytrzymując się wolną ręką.

– Proszę pana.

Scanlon spogląda w dół, zaskoczony.

– Ja... – Lubin przerywa. – Mogliśmy lepiej pana potraktować – oznajmia wreszcie.

Jakimś sposobem Scanlon czuje, że Lubin tak naprawdę chciał powiedzieć coś innego. Czeka.

Lecz ten nie mówi już nic więcej.

– Dzięki – rzuca Scanlon i opuszcza Beebe na zawsze.

Z pomieszczeniem, do którego wchodzi, jest coś nie tak. Mężczyzna rozgląda się, zdezorientowany;

to nie jest typowy prom. Kabina pasażerska jest za mała, a jej ściany usiane są rzędami dysz. Znajdujący się z przodu właz do kokpitu jest zamknięty. Gdy zamyka się właz brzuszny, przez iluminator zagląda do środka jakaś dziwna twarz.

– Hej...

Twarz znika. Kabina rozbrzmiewa odgłosami świadczącymi o rozwarciu metalowych ust. Lekkie szarpnięcie i skaf wznosi się znów wolny.

Dysze rozpylają delikatną mgiełkę, która szczypie Scanlona w oczy. Jakiś nieznany głos uspokaja go przez głośnik. Nie ma powodów do niepokoju, mówi. To tylko rutynowe środki ostrożności.

Wszystko jest w porządku.

Entropia

Możliwe, że sprawy zaczynają wymykać się spod kontroli, obawia się Lenie Clarke.

Wygląda na to, że pozostali zupełnie się tym nie przejmują. Kobieta słyszy rozmawiających w mesie Lubina i Caraco, Brander próbuje śpiewać pod prysznicem – jakby nie dość się nad nimi znęcano w dzieciństwie – i zazdrości im tej niefrasobliwości. Wszyscy nienawidzili Scanlona – no dobrze, może nie do końca nienawidzili, to trochę za mocne słowo – ale w najlepszym wypadku okazali mu...

Pogardę.

Tak, to właściwe określenie. Pogardę. Jeszcze na powierzchni, Scanlon wkurzał każdego. Niezależnie od tego, co się mówiło, kiwał głową, wydawał z siebie krótkie odgłosy zachęty i robił wszystko, by przekonać cię, że jest po twojej stronie. Za wyjątkiem, rzecz jasna, przyznania ci racji. Nie trzeba było dostrajania, by przejrzeć go na wylot przez cały ten syf; każdy z nich tu na dole spotkał w swym życiu zbyt wielu takich Scanlonów, urzędowych sympatyków, natychmiastowych przyjaciół, którzy łagodnie zachęcali do powrotu do domu i wycofania zarzutów, udając przy tym, że działają w twoim własnym, najlepiej pojętym interesie. Scanlon był wtedy tylko kolejnym, protekcyjnym draniem grającym talią znakowanych kart, a skoro los rzucił go na teren ryfterów, to kogo tu winić za to, że trochę się zabawili jego kosztem?

A mogliśmy go zabić. Sam zaczął. Zaatakował Gerry'ego. Zrobił z niego swojego zakładnika. Tak jakby GA miało potraktować to jako czynnik łagodzący...

Póki co Clarke zachowuje te wątpliwości dla siebie. Nie dlatego, że obawia się, że nikt jej nie posłucha. Obawia się czegoś zgoła przeciwnego. Wcale nie chce zmieniać czyjegoś zdania. Nie zamierza zbierać armii. Inicjatywa jest przywilejem przywódców, a ona nie ma ochoty brać na siebie odpowiedzialności. Absolutnie nie życzy sobie zostawać...

Przywódczynią stada, Len. Samicą alfa. Pieprzoną waderą.

Acton nie żyje już od kilku miesięcy, a wciąż śmieje jej się w twarz.

No dobrze. W najgorszym razie Scanlon był utrapieniem. W najlepszym – zabawną odskocznia. „Cholera”, powiedział pewnego razu Brander. „Dostrajacie się do niego na zewnątrz? Założę się, że GA nie bierze go na poważnie”. Grid Authority wciąż ich potrzebuje. Nie odwołają całej operacji tylko dlatego, że kilku ryfterów zabawiło się kosztem takiego dupka, jak Scanlon. Ma to sens.

Mimo to Clarke nie może przestać rozmyślać o konsekwencjach. W przeszłości jeszcze nigdy nie udało się jej ich uniknąć.

Brander wyszedł wreszcie spod prysznic; jego głos dobiega teraz z mesy. Kąpiele są tu zwykłym luksusem; nie są konieczne, gdy przez cały czas chodzisz w samospłukującej, na wpół przepuszczalnej skórze głębinowej, jednak wciąż stanowią gorącą, hedonistyczną przyjemność. Clarke ściąga ręcznik ze stojaka i wdrapuje się po drabince, nim ktokolwiek inny zdąży wepchnąć się w kolejkę.

– Hej, Len. – Caraco, siedząca przy stole wraz z Branderem, przywołuje ją gestem dłoni. – Obczaj nowy styl.

Brander ma na sobie prawdziwą koszulkę z rękawami. Zdjął nawet nakładki.

Jego oczy są brązowe.

– Wow. – Clarke nie ma pojęcia, co innego mogłaby powiedzieć. Te oczy wyglądają naprawdę dziwnie. Rozgląda się naokoło, nieco skrępowana. Lubin siedzi na sofie, obserwując całą scenę. Co o tym myślisz, Ken?

Lubin potrząsa głową.

– Dlaczego chcesz wyglądać jak lądowiec?

Brander wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Po prostu pomyślałem, że dam odpocząć oczom przez parę godzin. To pewnie przez to, że Scanlon chodził przez cały czas w koszulce z rękawami. – Nie żeby komukolwiek w ogóle przeszło przez *myśl*, żeby zdjęć nakładki przed Scanlonem.

Caraco udaje, że wstrząsają nią dreszcze.

– Proszę cię. Nie mów, że zostałeś twoim nowym wzorem do naśladowania.

– Nie był nawet tym starym – odpowiada Brander.

Clarke nie może się do tego przyzwyczać.

– Nie przeszkadza ci to? – Że jesteś przed nami tak obnażony?

– W zasadzie, to jedyną rzeczą, która mi przeszkadza, jest to, że kompletnie nic nie widzę. Chyba, że ktoś byłby skłonny rozjaśnić światła...

– W każdym razie – Caraco podejmuje wątek prowadzonej wcześniej rozmowy. – Dlaczego zdecydowałeś się tu przyjechać?

– Tu jest bezpiecznie – odpowiada Brander, mrugając oczami pośród własnych, osobistych ciemności.

– Aha.

– A przynajmniej *bezpieczniej*. Znowu nie tak dawno temu byłaś tam na górze. Nie widziałaś tego?

– Wydaje mi się, że to, co widziałam, było nieco wypaczone. Dlatego jestem tutaj.

– Nigdy nie przyszło ci do głowy, że wszystko robi się zbyt, no cóż, rozbudowane?

Caraco wzrusza ramionami. Clarke robi krok w stronę korytarza, w wyobraźni mając gorące igiełki wody.

– To znaczy, zobacz, jak szybko zmieniła się sieć – mówi Brander. – Jeszcze całkiem niedawno mogłaś podróżować po całym świecie, siedząc w swoim salonie, pamiętasz? Dowolne miejsce mogło połączyć się z dowolnym innym i mogło to tak trwać i trwać, ile tylko chciałaś.

Clarke zawraca. Pamięta tamte czasy. Mgliście.

– A co z wirusami?

– Nie było ich. A raczej były, ale bardzo proste. Nie potrafiły napisać się od nowa, nie potrafiły poradzić sobie z innymi systemami operacyjnymi. Z początku były jedynie drobną niedogodnością.

– Ale przecież uczyli nas w szkole tych praw – mówi Caraco.

Lenie przypomina sobie:

– Eksplozywna specjacja. Prawa Brookesa.

Brander unosi w górę palec.

– „Samoreplikujące łańcuchy informacji ewoluują zgodnie z różnicową funkcją sigmoidalną opartą na częstotliwości błędu replikacyjnego oraz czasu generacji. – Dwa palce. – Ewoluuje łańcuchy informacji są wrażliwe na pasożytnictwo konkurencyjnych łańcuchów o różnicowej funkcji sigmoidalnej o krótszej długości fali. – Trzy. – Łańcuchy będące pod wpływem pasożytów tworzą protokoły losowej wymiany podłańcuchów jako funkcję o długości fali będącej wypadkową funkcji sigmoidalnych nosiciela oraz pasożyta”. Czy coś w tym stylu.

Caraco spogląda na Clarke, potem znów na Brandera.

– Co?

– Życie ewoluuje. Pasożyty ewoluują. Seks ewoluuje, by przeciwdziałać pasożytom. Przetasowuje geny, żeby pasożyty musiały atakować ruchomy cel. Wszystko inne – różnorodność gatunkowa, zależność od gęstości populacji i takie tam – wynika z tych trzech praw. Jeśli przeprowadzisz

samoreplikujący łańcuch przez pewien próg, to dalej poleci już jak reakcja jądrowa.

– Życie eksploduje – mamrocze Clarke.

– Właściwie to *informacja* eksploduje. Życie organiczne to strasznie powolny przykład. W przypadku sieci to wszystko nastąpiło o wiele szybciej.

Caraco potrząsa głową.

– Czyli co? Chcesz powiedzieć, że przyjechałeś tutaj, żeby uciec przed wirusami z Internetu?

– Przyjechałem tu, żeby uciec przed *entropią*.

– Wydaje mi się, że cierpisz na któreś z zaburzeń językowych – zauważa Clarke. – Dysleksję, czy coś takiego.

Ale Brander już się rozkręcił.

– Słyszeliście może, że „entropia narasta”? Ostatecznie wszystko się rozpada. Możesz nieco odsunąć to w czasie, ale wymaga to nakładu energii. Im bardziej skomplikowany system, tym więcej energii trzeba, by utrzymać go w jednym kawałku. Przed naszym nadejściem wszystko działało na energię słoneczną; rośliny były niczym małe baterie słoneczne, na których mogło bazować wszystko inne. Tyle że teraz mamy to całe społeczeństwo, które znajduje się na wykładniczej krzywej złożoności, sieć jest na tej samej krzywej, tyle że bardziej *stromej*, tak? No więc wszyscy tkwimy w tej machinie, która wymknęła się spod kontroli i która stała się już tak skomplikowana, że przez cały czas jest bliska rozpadu, a jedyną rzeczą, która ją przed tym powstrzymuje, jest fakt, że wciąż dostarczamy jej energii.

– Złe wieści – mówi Caraco. Mimo to, Clarke ma wrażenie, że nie do końca zrozumiała w czym rzecz.

– Tak właściwie, to dobre. Zawsze będą potrzebować więcej energii, więc zawsze będą potrzebować nas. Nawet jeśli kiedykolwiek dojdą do tego, jak wykorzystać fuzję termojądrową.

– Tak, ale... – Caraco marszczy nagle brwi. – Skoro mówisz, że jest wykładnicza, to w końcu osiągnie pułap. Krzywa pójdzie prosto w górę, a potem poleci w dół.

Brander kiwa głową.

– Właśnie tak.

– Ale to przecież nieskończoność. Nie ma mowy, żeby udało wam się powstrzymać rzeczy przed rozpadem, niezależnie od tego, ile wpompujecie w to energii. Nigdy nie będzie jej dość. Prędzej czy później...

– Prędzej – przerywa jej Brander. – I właśnie dlatego zostaję tutaj. Jak powiedziałem, tu jest bezpieczniej.

Clarke spogląda na niego, potem na Caraco i znów na Brandera.

– Co za bzdury.

– Niby dlaczego? – Brander nie sprawia wrażenia urażonego.

– Bo już byśmy o tym usłyszeli. Zwłaszcza, jeśli bazuje to na jakimś prawie fizycznym, o którym wszyscy wiedzą. Nie byłoby w stanie utrzymać czegoś takiego w tajemnicy, ludzie sami by do tego doszli.

– Myślę, że doszli – odpowiada łagodnie Brander, uśmiechając się swoimi obnażonymi, brązowymi oczami. – Po prostu wolą zbyt wiele o tym nie myśleć.

– Skąd to wzięłeś, Mike? – pyta Clarke. – Z biblioteki?

Mężczyzna potrząsa głową.

– Mam magistra. Z ekologii systemów, sztuczne życie.

Clarke przytakuje jego słowom.

– Tak mi się zawsze wydawało, że jesteś za mądry, jak na ryftera.

– Hej. *Bycie* ryfterem to teraz najmądrzejsze posunięcie.

– Więc to był twój wybór, żeby tu przyjechać? Złożyłeś podanie?

Brander marszczy brwi.

– Pewnie. Ty nie?

– Ja dostałam telefon. Zaproponowali mi zupełnie nową, dobrze płatną pracę i nawet obiecali, że mogę wrócić do starego zawodu, jeśli to nie wypali.

– A jaki był twój stary zawód? – pyta Caraco.

– Public relations. Głównie franszyzy Hongkwarium.

– *Ty?*

– Może nie byłam w tym zbyt dobra. A ty?

– Ja? – Caraco przygryza wargę. – To był pewien układ. Rok z możliwością przedłużenia w zamian za wycofanie oskarżeń. Kącik jej ust drga lekko. – Cena zemsty. Ale było warto.

Brander odchyła się na krześle i spogląda ponad ramieniem Clarke.

– A ty, Ken? Skąd *ty* – Clarke odwraca się, by podążyć za wzrokiem Brander. Sofa jest pusta. Z końca korytarza dobiega odgłos zatrzasnkanych drzwi do prysznic.

Cholera.

Mimo wszystko, nie będzie musiała długo czekać. Lubin jest w środku już od czterech godzin pod rząd, wkrótce wyjdzie na zewnątrz. A w końcu nie brakuje im gorącej wody.

– Powinni po prostu na jakiś czas wyłączyć całą tę cholerną sieć – odzywa się za jej plecami Caraco. – Po prostu wyciągnąć wtyczkę. Założę się, że z *tym* wirusy by sobie nie poradziły.

Brander śmieje się, odczuwając komfort pomimo częściowej ślepoty.

– Pewnie nie. Oczywiście, podobnie jak my wszyscy.

Karuzela

Clarke wpatruje się w ekran już od dobrych dwóch minut, a mimo to wciąż nie jest w stanie dostrzec tego, o czym w kółko nadaje Nakata. Wyświetlacz, na podobieństwo długich, zielonych zmarszczek, pokrywa siateczka grzbietów oceanicznych i szczelin. Od strony Gardła dobiega typowe dla niego echo, którego linie niemal zbiegają się ze sobą na wysokości centrum, jako że Nakata podkreśliła zasięg do maksimum. Co jakiś czas, między dwoma większymi, pojawia się mały, pulsujący punkt: to Lubin, objający się na spokojnej zmianie.

Poza tym nic.

Lenie Clarke przygryza wargę.

– Niczego tu nie wi...

– Poczekaj. Wiem, że to widziałam.

Brander zagląda do środka z mesy.

– Co widziałaś?

– Alice mówi, że widziała coś na trzeciej dwadzieścia.

Może to Gerry, zastanawia się Clarke. Ale przecież Nakata nie narobiłaby zamieszania z *jego* powodu.

– To było gdzieś... *Tutaj!* – Nakata dźga palcem ekran, wreszcie znalazłszy usprawiedliwienie dla swego niepokoju.

Coś unosi się w wodzie na samej granicy wzroku Beebe. Jest dość niewyraźne ze względu na odległość i dyfrakcję, ale skoro odbija jakikolwiek sygnał przy takim zasięgu, musi mieć w sobie mnóstwo metalu. Na oczach Clarke kontakt znika.

– To żadne z nas – ocenia kobieta.

– Jest wielkie. – Brander przygląda się panelowi, mrużąc oczy; w wąskich szczelinach między jego powiekami widać białe nakładki.

– Mułogrzebacz? – podsuwa Clarke. – A może łódź podwodna?

Brander tylko coś odburkuje.

– Znów go widać – oznajmia Nakata.

– Znów je widać – poprawia ją Brander. Teraz na skraju ekranu pulsują dwa, niemal identyczne echa. Dwa duże, niezidentyfikowane obiekty, raz ledwie widoczne pośród nierówności dna, to znów zamieniające się w zwykły szum.

Aż wreszcie znikają.

– Hej. – Clarke wskazuje na wyświetlacz sejsmiczny. Na jego powierzchni pojawiają się zmarszczki wstrząsów, aktywujących czujniki falą nadchodzącą z północnego-zachodu. Nakata wklepuje kilka komend i otrzymuje położenie epicentrum. Trzecia dwadzieścia.

– Zgodnie z harmonogramem nie powinno tam niczego być – mówi.

– A przynajmniej nikt nie zawracał sobie głowy, żeby poinformować nas, że jest inaczej. – Clarke pociera grzbiet nosa. – To kto się tam ze mną wybiera?

Brander potakuje. Nakata kręci przecząco głową.

– Poczekam na Judy.

– A, racja. Robi dziś całą trasę, prawda? Na powierzchnię i z powrotem?

– Tak. Powinna wrócić za jakąś godzinę.

– W porządku.

Brander już schodzi na dół. Clarke sięga obok Nakaty i wybiera kanał zewnętrzny.

– Hej, Ken. Wstawaj.

Powtarzam sobie, że znam to miejsce, rozmyśla Clarke. Nazywam je swoim domem.

Nie wiem nic.

Brander płynie nieco niżej, oświetlany od dołu przez płonące dno oceaniczne. Świat faluje kolorami, tak czystymi odcieniami niebieskiego, żółtego i zielonego, że patrzenie na nie niemalże boli. Po dnie przemyka falą grupka fioletowych gwiazd; to stadko fosforyzujących krewetek.

– Czy któryś z was był... – zaczyna Clarke, ale wtedy wyczuwa zaskoczenie i zachwyt Brander. Wydaje się oczywiste, że nigdy wcześniej nie widział tego miejsca. Natomiast Lubin...

– To dla mnie coś nowego – odpowiada na głos Lubin, jak zwykle nieprzenikniony.

– To miejsce jest cudowne – odzywa się Brander. – Jesteśmy tu już od dawna, a nie wiedzieliśmy, że coś takiego w ogóle istnieje...

Może z wyjątkiem Gerry'ego. Co jakiś czas sonar Beebe namierza kogoś w tej okolicy, kiedy wiadomo, gdzie są wszyscy inni. Rzecz jasna nie aż tak daleko, ale kto wie, gdzie ostatnio zapuszcza się Fischer – albo to coś, czym się stał.

Brander puszcza się kalmara i nurkuje w kierunku dna, wyciągając rękę. Clarke widzi, jak podnosi coś z ziemi. Przez jej umysł przebiega delikatne mrowienie – to nieokreślone poczucie innego umysłu pracującego nieopodal – a następnie przepływa obok Brander, ciągnięta przez własnego kalmara.

– Hej, Len – bzdury za nią mężczyzna. – Popatrz na to.

Kobieta puszcza gaz i zawraca łukiem. Na dłoni Brander spoczywa przejrzyste, segmentowane żyjątko. Przypomina trochę krewetkę znaną przez Actona, gdy...

– Nie rób jej krzywdy – prosi Clarke.

Maska Brander zwraca się w jej kierunku.

– Dlaczego miałbym to robić? Chciałem tylko pokazać ci jej oczy.

W tym, co promieniuje od Brander, jest coś dziwnego. Wydaje się, jakby sam się ze sobą do końca nie zgrywał, jakby jego mózg nadawał na dwóch różnych pasmach jednocześnie. Clarke potrząsa głową. Wrażenie znika.

– Przecież ona *nie ma* oczu – mówi, przyglądając się stworzonku.

– Jasne, że ma. Tyle że nie na głowie.

Odwraca żyjątko na drugą stronę i przytrzymuje je kciukiem i palcem wskazującym. Rzędy kończyn – nóżek, a może skrzeli – poruszają się, szukając oparcia. Spomiędzy nich, w miejscach, gdzie segmenty stykają się z ciałem, na Lenie Clarke spogląda szereg maleńkich, czarnych kulek.

– Dziwne – oznajmia kobieta. – Oczy na brzuchu.

Znów to odczuwa: obce, niemal pryzmatyczne wrażenie podzielonej świadomości.

Brander wypuszcza stworzenie z dłoni.

– To ma sens. Skoro tutaj całe światło pochodzi z dołu... – Nagle spogląda na Clarke, promieniując zmieszaniem. – Hej, Len, dobrze się czujesz?

– Tak, wszystko ok.

– Wydajesz się jakby...

– *Rozdarta* – kończą jednocześnie.

Zrozumienie. Clarke nie ma pojęcia, ile z tego należy do niej, a ile pochodzi od Brander, ale nagle oboje zdają sobie z czegoś sprawę.

– Jest tu ktoś jeszcze – dopowiada niepotrzebnie Brander.

Clarke rozgląda się naokoło. *Lubin*. Nigdzie go nie widzi.

– Cholera. Myślisz, że to on? – Brander też omiata wzrokiem otoczenie. – Myślisz, że nasz stary

Ken wreszcie zaczyna się dostrajać?

– Nie wiem.

– A kto inny mógłby to być?

– Nie wiem. A kto jeszcze tu jest?

– Mike. Lenie. – Słabo słyszalny głos Lubina dobiega z jakiegoś miejsca gdzieś przed nimi.

Clarke spogląda na Brandera. Ten odpowiada jej tym samym.

– Tutaj – odkrzykuje Brander, zwiększając głośność.

– Chyba to znalazłem – oznajmia niewidzialny i odległy Lubin.

Clarke odbija się od dna i chwytając kalmara. Brander pojawia się u jej boku z klikającym pistoletem hydrolokacyjnym.

– Mam go – mówi po chwili. – Tam.

– Co jeszcze?

– Nie wiem. Coś dużego. Trzy, cztery metry. Z metalu.

Clarke podkręca gaz. Brander rusza jej śladem. Poniżej rozpętuje się burza migotliwych barw.

– Tutaj.

Przed nimi siatka zielonych świateł dzieli dno oceaniczne na kwadraty.

– Co...

– Lasery – odpowiada Brander. – Tak mi się wydaje.

Niezliczone, świecące, szmaragdowe nici tworzą równiutkie, prostopadłe wobec siebie linie, zawieszane kilka centymetrów ponad dnem. Pod nimi, po skalistym podłożu biegną szare, metalowe rury, z których na całej długości, w regularnych odstępach wystają podobne do kolców, małe przyzmaty. W każdym z nich widnieje niewielka szczelina; ze wszystkich wystrzelują cztery wiązki światła i cztery kolejne, i jeszcze, tworząc szkielet pokrywającej dno szachownicy.

Ryfterzy krążą dwa metry ponad siatką.

– Nie jestem pewien – byczy zgrzytliwie Brander – ale wydaje mi się, że to jeden i ten sam promień. Odbity tak, by przecinał się sam ze sobą.

– Mike...

– Widzę.

Z początku wygląda to jak rozmyta, zielona kolumna wyłaniająca się z drugiego planu. Z bliska wszystko widać wyraźniej; promienie przecinające dno oceaniczne zbiegają się w tym miejscu do okręgu, wyginają pionowo do góry i tworzą świetliste pręty cylindrycznej klatki. W jej wnętrzu, z podłoża wyrasta gruba, metalowa łodyga, na której szczycie rozkwita wielki dysk, rozpostarty niczym jakiś przemysłowy parasol. Z jego krawędzi spływają w dół laserowe wici, odbijające się w nieskończoność po dnie.

– Wygląda jak... karuzela – odzywa się Clarke, przypominając sobie stare zdjęcie z jeszcze starszych czasów. – Tylko bez koników...

– Nie dotykajcie tych wiązek – byczy Lubin. Mężczyzna unosi się w wodzie po jednej stronie, kierując pistolet hydrolokacyjny w stronę konstrukcji. – Są zbyt słabe, by zrobić komukolwiek krzywdę, chyba że trafią w oko, ale raczej nie chcecie ingerować w to, co tu robią.

– Czyli?

Lubin nie odpowiada.

Co u diabła. Jednak konsternacja Clarke tylko częściowo związana jest ze znajdującą się przed nią maszyną. W większości wynika z dezorientującego, odbieranego teraz bardzo silnie, wrażenia obecności obcej jaźni, nie jej własnej i nie Brandera, ale w pewnym sensie znajomej.

Ken? Czy to ty?

– Nie to widzieliśmy na sonarze – oznajmia Brander. Clarke wyczuwa jego niepewność, mimo że męczyzna próbuje ją zamaskować. – To, co widzieliśmy, cokolwiek to było, poruszało się.

– To, co widzieliśmy, prawdopodobnie montowało tę maszynę – byczy Lubin. – Już dawno stąd zniknęło.

– Ale *czym* to... – Głos Branderera przeradza się w mechaniczny skrzek.

Nie. To nie Lubin. Clarke już to wie.

– To myśli – mówi. – To *żyje*.

Lubin wyciąga kolejny przyrząd. Lenie nie może dostrzec odczytu wizualnego, ale przez wodę niesie się charakterystyczne *tyk-tyk tykanie*.

– To jest radioaktywne – oznajmia Lubin.

Głos Alice Nakaty dociera do nich pośród wiecznych ciemności, panujących pomiędzy Beebe a Krainą Karuzeli.

– *Judy* – słycać jej szept, niemal zbyt cichy, by w ogóle go wyodrębnić. – *warstw... ds...*

– Alice? – Clarke zwiększa głośność vocodera do tego stopnia, że za chwilę rozbolą ją od tego uszy. – Nie słycać cię. Możesz powtórzyć?

– ...żadnego... kontaktu...

Clarke ledwie udaje się zrozumieć poszczególne słowa. Mimo to jednak, jakimś sposobem słyszy w nich strach.

Nieopodal, przez dno oceaniczne przebiega wstrząs, wzburzając szlam i zakłócając sygnał Nakaty. Lubin dodaje gazu i ciągnięty przez kalmara wypływa z chmury osadów. Clarke i Brander idą za jego przykładem. Gdzieś pośród mroku Beebe przybliża się o kilka decybeli.

Kolejnym słowem udaje się przedrzeć przez szum:

– Nie ma Judy!

– Nie ma? – powtarza Brander. – Jak to nie ma? A gdzie jest?

– Po prostu zniknęła! – Cichy, syczący głos Nakaty dobiega z każdej strony. – Rozmawiałam z nią. Znajdowała się powyżej warstwy DSL, ona... powiedziała jej, że zobaczyliśmy sygnał i wtedy ona powiedziała, że też coś widziała, a potem *zniknęła...*

– Sprawdziłaś na sonarze? – pyta Lubin.

– Tak! Oczywiście, że sprawdziłam na sonarze! – Głos Nakaty słycać coraz wyraźniej. – Sprawdziłam, jak tylko straciłam z nią połączenie, ale ciężko mi powiedzieć na pewno. Może coś tam było, ale warstwa DSL jest dziś bardzo gęsta, więc nie mam pewności. Minęło już piętnaście minut, a ona wciąż nie wraca.

– Sonar i tak by jej nie wykrył – odzywa się łagodnie Brander. – Nie przez DSL.

Lubin nie zwraca na niego uwagi.

– Posłuchaj, Alice. Czy powiedziała, co zobaczyła?

– Nie. Tylko, że coś, a potem nie słyszałam już nic więcej.

– A ten kontakt na sonarze? Jak duży?

– Nie wiem! Był tam tylko przez chwilę, a warstwa...

– To mogła być łódź podwodna? Alice?

– Nie wiem! – krzyczy pełen bólu a zarazem pozbawiony cielesności głos Nakaty. – Dlaczego miałaby to być...? Dlaczego ktokolwiek...?

Nikt nie odpowiada. Kalmary prują naprzód.

Wylinka

Wyrzucają ją ze śluzy, wciąż zaplątaną w sieć. Caraco zdaje sobie sprawę, że w tych warunkach nie ma sensu stawiać oporu, ale z pewnością sytuacja wkrótce ulegnie zmianie. Kobiecie wydaje się, że w śluzie próbowano ją uspić. Bo niby dlaczego nie zdjęli hełmów po wypuszczeniu wody? I co miał znaczyć ten cichy syk, który trwał o kilka sekund za długo po osuszeniu luku? To dość subtelna wskazówka, ale spędziwszy prawie rok na ryfcie, nauczyła się, jakie dźwięki wydaje śluza. Z tą było coś nie tak.

Nieważne. Może wydawać się zaskakujące, ile tlenu da się pozyskać z elektrolizy wody pozostałej w starej, dobrej hydraulice wewnątrzpiersiowej. Judy Caraco może wstrzymać oddech do usranej śmierci, nieważne *ile* miałyby to trwać. Może myślą, że ich udającej-śluzę-komorze-gazowej udało się ją odurzyć, pozbawić przytomności albo przynajmniej głęboko zrelaksować. Może teraz zdejmą z niej tę cholerną sieć.

Caraco czeka, bezwładna. Rzeczywiście, wkrótce słychać ciche, elektryczne trzaski i sieć ześlizguje się z jej ciała; lepkie przed polaryzacją ogony molekularne odpadają teraz jak rzepy z kociego futra. Kobieta przygląda się pomieszczeniu zza szklistych, nieruchomych nakładek – nie wygląda na to, by potrafili przejrzeć ją przez nie na wylot – udaje jej się naliczyć trzy osoby, może za sobą ma ich więcej.

To jakieś zombie, czy coś w tym stylu.

Ich skóra sprawia wrażenie przeżartej przez żółtaczkę. Ledwie widać paznokcie u palców. Twarze są nieco zniekształcone, niewyraźne za naciągniętą, żółtawą membraną. Z tej błony, na wysokości ust, wystają woskowate, ciemne owale.

Kondom na całe ciało, uświadamia sobie wreszcie Caraco. O co tu chodzi? Myślą, że jestem czymś zarażona?

A po chwili: *A jestem?*

Jedna z osób wyciąga ku niej rękę, trzymając w dłoni coś przypominającego pistolet.

Caraco wyrzuca przed siebie ramię. Wolałaby kopnąć – w nogach ma więcej siły – ale ci uchodźcojebcy, którzy ją tu przyciągnęli, nie zadali sobie nawet trudu, by ściągnąć jej płetwy. Trafia: wygląda na to, że w nos. Nos pod warstewką lateksu. Satysfakcjonujące chrupnięcie. Ktoś nagle dostał powód, by pożałować swej bezczelności.

Na chwilę zapada pełna zaskoczenia cisza. Caraco wykorzystuje ten moment, przewraca się na bok i wierzga nogą w tył, piętą do przodu, uderzając kogoś w zgięcie kolana. Słychać krzyk kobiety, której zaszokowana twarz przelatuje obok padając na ziemię; na jej policzku widać przyklejone pasmo rudych włosów. Judy Caraco sięga do swych stóp, żeby zdjąć z nich te wielkie płetwy podobne do buciorów klauna w samą porę, by...

Końcówka pałki elektrycznej zawisa w powietrzu dziesięć centymetrów od jej nosa. Nie drgnie nawet o milimetr. Po chwili wahania – zresztą jak długo mogłabym to ciągnąć? – Caraco nieruchomieje.

– Wstawaj – rozkazuje dzierżący pałkę mężczyzna. Pod osłoną prawie nie widać jego twarzy; w miejscach, gdzie powinny być jego oczy, majaczą się tylko cienie.

Kobieta powoli zdejmuje płetwy i wstaje. Rzecz jasna, od samego początku nie miała żadnych szans. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Najwyraźniej z jakiegoś powodu była im potrzebna żywa, bo inaczej nie zadawaliby sobie trudu z wciągnięciem jej na pokład. Natomiast Caraco zamierza dać jasno do zrozumienia tym sukinsynom, że *nie da* się im zastraszyć, nieważne, *ilu* ich

jest.

Jest coś oczyszczającego nawet w walce z góry skazanej na przegraną.

– Uspokój się – odzywa się znów mężczyzna. Caraco widzi teraz, że jest on jedną z czterech obecnych osób, włączając w to tego, który wycofuje się właśnie z pomieszczenia z powodu rosnącej, czerwonej plamy pod maską. – Nie chcemy zrobić ci krzywdy. Nie powinnaś była próbować ucieczki.

– Ucieczki? – Ubranie mężczyzny – a w zasadzie ubrania wszystkich tych osób – są jednakowe, jednak to nie uniformy: luźne, białe kombinezony, wyraźnie sprawiające wrażenie jednorazowych. Żadnych emblematów. Żadnych identyfikatorów. Caraco przenosi uwagę na łódź podwodną.

– Zdejmiemy z ciebie teraz tę skórę głębinową – ciągnie mężczyzna z pałką – i poddamy krótkim badaniom lekarskim. Zapewniam jednak, że nie będzie to nic inwazyjnego.

Sądząc po krzywiźnie grodzi, nie jest to zbyt duży okręt. Ale szybki. Caraco zrozumiała to w chwili, gdy wyłonił się przed nią z mroku. Nie udało jej się wtedy zobaczyć zbyt wiele, ale i tak było to dostatecznie dużo. Ta łódź ma skrzydła. Bez trudu wyprzedziłaby orkę na sterydach.

– *Kim* wy w ogóle jesteście? – pyta.

– Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyś zechciała współpracować – oznajmia mężczyzna, jakby w ogóle się nie odzywała. – A potem może wyjaśnisz nam, przed czym próbowałaś uciec na środku Pacyfiku.

– Uciec? – parska Caraco. – Robiłam *okrążenia*, idioto.

– Aha – mężczyzna wsuwa pałkę do kabury, ale dłonią wciąż obejmuje lekko jej rękę.

Znów pojawia się pistolet, ale tym razem w innych rękach. Wygląda jak skrzyżowanie zszywacza tapicerskiego z miernikiem napięcia. Ruda przyciska go mocno do ramienia Caraco, która z trudem opanowuje się, by go nie odepchnąć. Czuje delikatne mrowienie prądu i nagle jej „skóra” zaczyna odpadać, kawałek po kawałku. Najpierw z ramion. Potem z nóg. Na wysokości klatki piersiowej pęka pod wpływem zwarcia niczym liniejący pancerz i również ześlizguje się na ziemię. Obdartą ze „skóry” Caraco otaczają obcy ludzie. Z lustra na grodzi spogląda na nią naga mulatka. Jakimś cudem nawet całkiem goła sprawia wrażenie silnej. Jej oczy, odcinające się olśniewającą bielą na tle ciemnej twarzy, są zimne i niewrażliwe. Caraco uśmiecha się.

– Nie było tak źle, prawda? – W głosie drugiej kobiety pobrzmiwa wyćwiczona uprzejmość. *Zupełnie jakbym dopiero co nie powaliła jej na pokład.*

Prowadzą ją korytarzem w kierunku stołu znajdującego się w niewielkiej kabinie medycznej. Ruda kładzie obciągniętą błoną, nieco lepka rękę na ramieniu Caraco, lecz ta niemal natychmiast ją strząsa. Poza Caraco w pomieszczeniu jest miejsce zaledwie na dwie dodatkowe osoby. Mimo to do środka wciskają się trzy: ruda, mężczyzna z pałką i jeszcze jeden niższy, grubszy facet. Caraco przygląda się jego twarzy, ale kondom przesłania wszelkie szczegóły.

– Mam nadzieję, że widzicie przez nie więcej niż ja – kwituje.

Rozbrzmiewające w tle buczenie, zbyt monotonne by zauważyła je aż do tej pory, przechodzi w nieco wyższą tonację. Pojawia się wrażenie nagłego przyspieszenia; Caraco zatacza się lekko i chwyta stół.

– Proszę się położyć, pani Caraco.

Rozciągają ją na stole. Grubszy mężczyzna przyczepia kilka kabelków w strategicznych punktach na jej ciele, po czym przechodzi do pobierania próbek.

– Nie jest dobrze. Ani trochę – mówi z kantońskim akcentem. – Kiepski turgor nabłonkowy; wiesz, *skóra* głębinowa to tylko nazwa, nie powinnaś chodzić w niej na okrągło. – Caraco czuje dotyk jego palców na swym ciele: cienka, lepka guma, podobnie jak w przypadku rudowłosej. – Tylko popatrz

na siebie – ciągnie mężczyzn. – Połowa twoich gruczołów łojowych przestała działać, niski poziom witaminy K, zakładam, że promieniami UV też się nie naświetlałaś, prawda?

Caraco nie odpowiada. Pan Kanton kontynuuje pobieranie próbek z lewej połowy jej ciała. Po drugiej stronie stołu ruda prezentuje coś, co w jej mniemaniu jest zapewne dodającym otuchy uśmiechem i tak przesłoniętym w większości przez ustnik.

U stóp Caraco, naprzeciwko wjazdu, stoi nieruchomy Pałkarz.

– O tak, zbyt wiele czasu w zaplombowanej „skórze” – odzywa się znów pan Kanton. – W ogóle *kiedykolwiek* ją zdejmowałaś? Również na zewnątrz?

Ruda pochyla się w zaufaniu do przodu.

– To ważne, Judy. Mogą wystąpić komplikacje zdrowotne. Naprawdę musimy wiedzieć, czy *kiedykolwiek* rozpiniałaś „skórę” na zewnątrz. Na przykład z powodu jakiegoś nagłego wypadku.

– Na przykład gdyby coś przebiło ci „skórę”. – Pan Kanton przykłada jakieś urządzenie optyczne do membrany zakrywającej jego lewe oko i zagląda do ucha Clarke. – Chociażby ta blizna na twojej nodze. Dość rozległa.

Ruda przebiega palcem wzdłuż rysy na łydce Caraco.

– O tak. Zgaduję, że to jedna z tych wielkich ryb?

Caraco podnosi wzrok.

– Zgadujesz.

– To musiała być głęboka rana – włącza się znów pan Kanton. – Więc jak?

– Więc co jak?

– To pamiątka po jednym z tych słynnych potworów?

– Nie macie mojej dokumentacji medycznej?

– Byłoby prościej, gdybyś oszczędziła nam przedzierania się przez rejestry – wyjaśnia rudowłosa.

– Spieszycie się gdzieś?

Pałkarz robi krok naprzód.

– Niespecjalnie. Możemy poczekać. A w międzyczasie może powinniśmy zdjąć ci z oczu te nakładki.

– *Nie*. – Sama myśl przeraża ją do żywego. Nie jest pewna dlaczego.

– Nie są już pani potrzebne, pani Caraco. – Uśmiech, cywilizowane obnażenie zębów. – Może się pani odprężyć. Jest już pani w drodze do domu.

– Pieprzyć to. Zostają tam, gdzie są. – Caraco siada, czując jak kabelki odrywają się od jej ciała.

Nagle ktoś unieruchamia jej ręce. Pan Kanton po jednej stronie, ruda po drugiej.

– *Walcie się*. – Zadaje cios jedną nogą. Zatacza niski łuk, trafia w broń Pałkarza i wytrąca ją z kabury na podłogę. Ten odskakuje do tyłu i ucieka z kabiny, nie oglądając się nawet na utraconą pałkę.

Nagle ręce Caraco znów są wolne. Pan Kanton i ruda wycofują się, przyklejeni do ścian pomieszczenia, jakby desperacko starali się uniknąć fizycznego kontaktu.

Bardzo słusznie, myśli Caraco, szczerząc zęby w uśmiechu. Nie próbujcie sobie ze mną pogrywać, dupki.

Azjata kręci głową z mieszaniną smutku i dezaprobaty. Kości Judy Caraco rezonują niespodziewanym buczeniem, po czym jej ciało staje się kompletnie bezwładne.

Kobieta opada znów na obicie z neoprenu, wszystkie jej nerwy śpiewają pod wpływem pola neuroindukcyjnego stołu. Próbuje się poruszyć, ale odpowiednie synapsy zostały wyłączone. Maszyny w jej piersi drgają i terkoczą, oczekując rozkazów i interpretując szумы.

Jej płuco zapada się pod wpływem własnego ciężaru. Caraco nie jest w stanie zebrać sił, by na

nowo je napełnić.

Tym razem ją przywiązują. Nadgarstki, kostki, klatkę piersiową, wszystko umocowują pasami do stołu. Kobieta nie może nawet mrugnąć.

Buczenie ustaje. Powietrze przepływa znów przez jej gardło, wypełniając płuco. Dobrze jest móc znów złapać oddech.

– Jak serce? – Pałkarz.

– Dobrze. Na początku nastąpiło krótkotrwałe zaburzenie rytmu pracy, ale już wszystko wróciło do normy.

Pan Kanton pochyla się nad nią, stojąc u szczytu stołu; wygląda, jakby na ludzką twarz naciągnięto skórę robaka.

– Wszystko w porządku, pani Caraco. Jesteśmy tu po to, by pani pomóc. Rozumie mnie pani?

Caraco próbuje coś powiedzieć. Wymaga to jednak z dużego wysiłku.

– g-g-g-g-G – A – Co?

– T-to robota Scanlona. Prawda? J-jego pieprzona zemsta.

Pan Kanton spogląda na kogoś poza zasięgiem wzroku Caraco.

– Psycholog przemysłowy. – Głos rudej. – Nikt ważny.

Mężczyzna znów spuszcza wzrok.

– Pani Caraco, nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Zdejmujemy teraz pani z oczu nakładki. Opór nic pani nie da. Proszę się rozluźnić.

Ręce przytrzymują jej głowę. Caraco zaciska powieki; siłą rozwierają jej lewe oko. Przed sobą widzi coś przypominającego hypo z dyskiem na końcu. Przytykają to do nakładki, urządzenie przysysa się, wydając z siebie cichy odgłos.

Wycofuje się. Światło, które wlewa się nagle do jej oka, jest niczym kwas.

Caraco szarpie głową w bok i zaciskając powieki, próbuje powstrzymać pieczenie. Blask pali nawet przez skórę; pomarańczowy ogień wywołuje łzy. Znów ją przytrzymują, przekręcają jej głowę prosto, majstrują przy twarzy...

– Zmniejsz jasność, idioto! Ona jest wrażliwa na światło! *Ruda?*

– Przepraszam. I tak przyciemniliśmy je do połowy, myślałem... Światło przygasa. Powieki Caraco znów stają się czarne.

– Jej źrenice nie musiały pracować prawie przez rok – warczy ruda. – Dajcie jej się przystosować, na litość boską.

To ona tu dowodzi? Kroki. Brzęk przyrządów.

– Bardzo panią przepraszam, pani Caraco. Przyciemniliśmy światła, czy tak jest lepiej?

Odejdź. Zostaw mnie w spokoju.

– Przykro mi, pani Caraco, ale musimy jeszcze wyjąć pani drugą nakładkę.

Caraco nie rozwiera powiek; mimo to jednak wyciągają jej nakładkę. Oplatające jej ciało pasy rozluźniają się i opadają. Kobieta słyszy, jak obecni wycofują się.

– Przyciemniliśmy światła, pani Caraco. Może pani otworzyć oczy.

Światła. Nie obchodzą mnie pieprzone światła. Caraco zwija się w kłębek na stole i zakrywa twarz dłońmi.

– Nie wydaje się już taka twarda, co?

– Zamknij się, Burton. Czasami straszny z ciebie dupek, wiesz?

Odgłos zamykającego się hermetycznego włazu. W uszach Caraco dzwoni głęboka cisza. Elektryczne buczenie.

– Judy. – Głos rudej: tym razem nie bezpośrednio, a dochodzący z umieszczonego gdzieś głośnika.

– Nie chcemy, żeby to wszystko okazało się gorsze, niż to konieczne.

Caraco mocno przyciska kolana do klatki piersiowej. Wyczuwa przecinające ją blizny, wypukłą siateczkę starej tkanki pochodzącej z czasów, gdy ją pokrojono. Z wciąż zamkniętymi oczami przebiega palcami wzdłuż krawędzi szram.

Chcę z powrotem moje oczy.

Ale jedynym, co jej pozostało, jest nagie ciało, które każdy może zobaczyć. Rozwiera powieki na minimalną szerokość i spogląda przez palce. Jest sama.

– Są rzeczy, które musimy wiedzieć, Judy. Dla twojego własnego dobra. Musimy wiedzieć, w jaki sposób się dowiedziałas.

– O czym? – wykrzykuje, wciąż z twarzą ukrytą w dłoniach. – Ja po prostu... ćwiczyłam...

– W porządku, Judy. Nie ma pośpiechu. Możesz sobie teraz odpocząć, jeśli chcesz. Aha, w szufladzie po prawej masz ubrania.

Caraco potrząsa głową. Nie obchodzą jej ubrania, bywała naga przed gorszymi potworami niż ci tutaj. To tylko skóra. *Chcę moje oczy.*

Alibi

Z głośnika dochodzi cisza.

– Zrozumieliście? – pyta Brander po pięciu sekundach.

– Tak. Tak, oczywiście. – Chwila szumu. – Po prostu jest to dla nas pewnym szokiem, to wszystko. To bardzo złe wieści.

Clarke marszczy brwi, ale nic nie mówi.

– Może zoczyła z kursu przez prądy w termoklinie – podsuwa głośnik. – Albo cyrkulację Langmuira. Jesteście pewni, że nie ma jej gdzieś powyżej warstwy DSL?

– *Oczywiście*, że jesteśmy pe... – wybucha Nakata, ale urywa, gdy Ken Lubin ostrzegawczo kładzie jej rękę na ramieniu.

Na chwilę zapada cisza.

– Tam jest teraz noc – odzywa się wreszcie Brander. Warstwa DSL podnosi się wraz z nastaniem zmroku i rozciąga przy powierzchni, by wraz z nadejściem dnia znów zejść w głąb. – Poza tym byłibyśmy w stanie odebrać jej głos, nawet gdyby sonar nie potrafił jej namierzyć. Ale może powinniśmy sami tam popłynąć i trochę się rozejrzeć.

– Nie. To nie będzie konieczne – odpowiada głośnik. – Właściwie to może być nawet niebezpieczne, dopóki nie dowiemy się, co dokładnie stało się z Caraco.

– Więc nawet nie będziemy jej *szukać*? – Nakata spogląda na pozostałych z mieszkanką oburzenia i zaskoczenia na twarzy. – Może jest ranna, może...

– Przepraszam panią, pani...

– Nakata! Alice Nakata. Nie mogę uwierzyć!

– Ależ my jej *szukamy*, pani Nakata. Zorganizowaliśmy już ekipę poszukiwawczą, która ma przeczesywać powierzchnię. Ale wy jesteście na środku Pacyfiku. Zwyczajnie nie dysponujecie wystarczającymi środkami, by prowadzić poszukiwania na odpowiednią skalę. – Głębokie westchnienie perfekcyjnie odwzorowane po drugiej stronie czterystukilometrowego światłowodu. – Z drugiej strony, jeśli pani Caraco w ogóle jest się w stanie poruszać, zapewne spróbuje wrócić do Beebe. Jeśli chcecie jej szukać, najlepiej będzie, jeśli rozejrzycie się po okolicy.

Nakata toczy po pomieszczeniu bezradnym wzrokiem. Lubin stoi bez ruchu z kamiennym wyrazem twarzy; po chwili przykłada palec do ust. Brander patrzy to na nią, to na niego.

Lenie Clarke odwraca spojrzenie.

– Naprawdę nie macie pojęcia, co mogło się z nią stać? – pyta GA.

Brander zgrzyta zębami.

– *Mówiłem* przecież, że coś pojawiło się na sonarze. Żadnych szczegółów. Myśleliśmy, że wy będziecie mogli nam coś na ten temat powiedzieć.

– Przykro mi. Nic nam o tym nie wiadomo. Szkoda, że odpłynęła tak daleko od Beebe. Ocean – no cóż, nie zawsze jest tam bezpiecznie. Mogło być też tak, że dopadła ją kałamarnica. W końcu *znajdowała* się na odpowiedniej głębokości.

Nakata potrząsa głową.

– Nie – szepcze.

– Skontaktujcie się z nami koniecznie, gdy tylko się czegoś dowiecie – rozkazuje głośnik. – Opracowujemy właśnie plan poszukiwań, więc jeśli to już wszystko...

– Nie – włącza się Lubin.

– Słucham?

– W odległości kilku kilometrów na północny zachód od nas znajduje się jakiś obiekt

bezzałogowy. Niedawno zamontowany.

– Naprawdę?

– Nic o tym nie wiecie?

– Chwileczkę, właśnie to sprawdzam – głośnik milknie. – Mam. Boże, to strasznie daleko od waszego podwórka. Jestem zaskoczony, że w ogóle to namierzyliście.

– Co to takiego? – dopytuje Lubin.

Obserwująca go Clarke czuje, jak jeżą jej się włoski na karku.

– Mam tu napisane, że to jakiś sprzęt sejsmiczny. Umieścił go tam uniwersytet stanowy w Oregonie, żeby badać pierwiastki promieniotwórcze występujące w naturze i tektonikę. Lepiej trzymajcie się od niego z daleka, jest trochę radioaktywny. Zamontowali tam jakieś izotopy kalibracyjne.

– Bez żadnych osłon?

– Najwyraźniej.

– Nie zakłóca to pracy urządzeń pokładowych?

Wściekła Nakata wpatruje się w Lubina z otwartymi ustami.

– Kogo to obchodzi? Judy *zaginęła!*

Ma rację. Lubin prawie nie rozmawia z pozostałymi ryftowcami; taka wymiana zdań z lądowcem to w jego wykonaniu prawie jak mówienie językami.

– Mam tu napisane, że to komputer optyczny – odzywa się głośnik po krótkiej przerwie. – Promieniowanie nie ma na niego wpływu. Wydaje mi się jednak, że AI – pani Nakata ma rację; teraz najważniejsze dla was...

Lubin sięga ponad Branderem i kończy połączenie.

– Hej – reaguje ostro Brander.

Nakata rzuca Lubinowi puste, wściekłe spojrzenie i wychodzi.

Clarke słyszy, jak zmierza do swojej kajuty i zamyka za sobą właz. Brander podnosi wzrok na Lubina.

– Być może nie przyszło ci to do głowy, Ken, ale możliwe, że Judy nie żyje. Trochę nas to martwi. Alice w szczególności.

Lubin kiwa głową z kamiennym wyrazem twarzy.

– Zdziwiał mnie więc, dlaczego właśnie w tym właśnie konkretnym momencie postanowiłeś wypytywać GA o parametry techniczne pieprzonego sprzętu sejsmicznego.

– To nie jest sprzęt sejsmiczny – odpowiada Lubin.

– Ach tak? – Brander wstaje z krzesła przy pulpicie. – A niby co?

– Mike – wchodzi mu w słowo Clarke.

– Co?

Kobieta kręci głową.

– Powiedzieli, że to komputer *optyczny*.

– No i co kurwa z... – Brander urywa nagle. Cały gniew odpływa z jego twarzy.

– Nie żel – ciągnie Clarke. – Mikroprocesor. Tak twierdzą.

– Ale po co mieliby kłamać? – pyta Brander. – Skoro możemy tam pójść i to *wyczuć*.

– Nie wiedzą, że to potrafimy, pamiętasz? – Lenie uśmiecha się nieznacznie, jakby dzieliła się sekretem z przyjaciółmi. – Nic o nas nie wiedzą. Mają tylko te swoje pliki.

– Teraz już nie tylko – przypomina jej Brander. – Teraz mają też Judy.

– I nas – dodaje Lubin. – Pod kwarantanną.

– Alice, to ja.

Zza grubej warstwy metalu dobiega cichy głos:

– Wejź.

Clarke otwiera właz i wchodzi do środka.

Alice Nakata spogląda na nią ze swojej pryczy. W przyciemnionym świetle błyszczą jej ciemne, niepokojące oczy o kształcie migdałów. Kobieta podnosi rękę do twarzy.

– Oj. Przepraszam, ja... – sięga do schowka u wezłowania, gdzie w plastikowych fiolkach pływają jej nakładki.

– Hej. Żaden problem. – Clarke wyciąga rękę, ale powstrzymuje się przed dotknięciem ramienia Nakaty. – Podobają mi się twoje oczy, zawsze mi się – no cóż...

– I tak nie powinnam siedzieć tu i się boczyć – oznajmia Nakata, wstając. – Wychodzę na zewnątrz.

– Alice...

– Nie *pozwolę*, żeby tak po prostu zniknęła. Idziesz ze mną?

Clarke wzdycha.

– Alice, GA ma rację. To za duży teren. Jeśli ona wciąż tam jest, to wie, gdzie nas znaleźć.

– „Jeśli”? A gdzie niby miałyby być?

Clarke wbija wzrok w pokład, rozważając różne możliwości.

– Myślę... myślę, że zgarnęli ją lądowcy – odpowiada w końcu. – Myślę, że i nas zgarną, jeśli zaczniemy jej szukać.

Nakata wpatruje się w Clarke niepokojącymi, ludzkimi oczami.

– Dlaczego? Dlaczego mieliby robić coś takiego?

– Nie wiem.

Nakata opada znów na pryczę. Clarke siada obok. Przez chwilę żadna się nie odzywa.

– Przykro mi – mówi wreszcie Clarke. Nie wie, co innego mogłaby powiedzieć. – Wszystkim nam jest przykro.

Alice Nakata wpatruje się w podłogę. Ma szklane oczy, ale nie płacze.

– Nie wszystkim – szepcze. – Ken sprawiał wrażenie bardziej zainteresowanego...

– Ken miał swoje powody. Okłamują nas, Alice.

– Zawsze nas okłamywali – mówi cicho Nakata, nie podnosząc wzroku. I dodaje – Powinnam być tam, z nią.

– Po co?

– Nie wiem. Gdybyśmy były we dwie, to może...

– To stracilibyśmy was obie.

– Nie wiesz tego. Może to wcale nie byli lądowcy, może po prostu natknęła się na coś... żywego.

Clarke milczy. Słyszała dokładnie te same historie, co Nakata. Potwierdzone raporty mówiące o ludziach pożartych przez Archiego pochodzą sprzed ponad stu lat. Rzecz jasna nie ma ich zbyt wielu; ludzie i olbrzymie kałamarnice nie natrafiają na siebie znów tak często. Nawet ryfterzy przebywają zbyt głęboko, by miało dojść do takiego spotkania.

Z reguły.

– Właśnie dlatego przestałam z nią pływać, wiesz? – Nakata potrząsa głową, przypominając sobie. – Natknęłyśmy się na coś żywego w środkowej warstwie oceanu. To było okropne. Wydaje mi się, że to była jakaś meduza. *Pulsowała* i miała takie cienkie, oślizgłe macki, unoszące się w wodzie i

sięgające tak daleko, że niknęły z oczu. Miała też te wszystkie... wszystkie żołądki. Wyglądały jak tłuste, wijące się ślimaki. A każdy z nich miał własny otwór gębowy, który otwierał się i zamykał...

Clarke krzywi się.

– Brzmi uroczo.

– W pierwszej chwili nawet jej nie zobaczyłam. Była półprzezroczysta, a ja się nie przyglądałam i wpadłam na nią, a ona zaczęła wyrzucać części siebie. Ciało właściwe pociemniało, zwinęło się do środka i pulsując odpłynęło, zostawiając za sobą te wszystkie odrzucone żołądki i gęby, i macki, a one świeciły i wiły się, jakby cierpiały...

– Myślę, że po czymś takim sama przestałabym tam pływać.

– A najdziwniejsze było to, że w pewnym sensie jej zazdrościłam. – Łzy wzbierają w jej oczach i ściekają po policzkach, ale jej głos nie ulega zmianie. – Musi być miło móc odrzucić części, które cię zdradzają.

Clarke uśmiecha się, wyobrażając sobie podobną perspektywę.

– Tak. – Nagle uświadamia sobie, że od Alice Nakaty dzieli ją zaledwie kilka centymetrów.

Prawie się dotykają.

Jak długo już tu siedzę? Zastanawia się i zmienia pozycję na pryczy, odsuwając się z przyzwyczajenia.

– Judy widziała to zupełnie inaczej – ciągnie Nakata. – Było jej szkoda tych *części*. Myślę, że do pewnego stopnia była zła na ciało właściwe, dasz wiarę? Powiedziała, że to tylko ślepy, głupi glut, powiedziała – co ona takiego powiedziała? – „typowa, pieprzona biurokracja, jak tylko zaczynają się kłopoty, poświęca części, które ją żywią”. Tak właśnie powiedziała.

Clarke uśmiecha się.

– Rzeczywiście, brzmi jak Judy.

– Ona nigdy nie daje sobie w kaszę dmuchać. Zawsze potrafi się bronić. To właśnie w niej lubię, sama taka nie jestem. Kiedy coś jest nie tak, ja... – Nakata spogląda na niewielkie, czarne urządzenie umocowane do ściany obok poduszki. – Ja śnię.

Clarke kiwa głową bez słowa. Nie przypomina sobie, by Alice Nakata kiedykolwiek tak się rozgadała.

– To o wiele lepsze niż rzeczywistość wirtualna, masz o wiele większą kontrolę. W rzeczywistości wirtualnej jesteś skazana na czyjś sen.

– Tak właśnie słyszałam.

– Nigdy nie próbowałaś? – pyta Nakata.

– Świadomego snu? Kilka razy. Jakoś nigdy się nie wciągnęłam.

– Nie?

Clarke wzrusza ramionami.

– W moich snach nie ma zbyt wielu... szczegółów. – *A czasami znów jest ich za dużo.* Kobieta wskazuje głową na urządzenie Nakaty. – Te rzeczy rozbudzają mnie do tego stopnia, że zaczynam zauważać, jakie wszystko jest niejasne. A wtedy, kiedy już pojawiają się jakiegokolwiek szczegóły, jest to coś strasznie głupiego. Robaki pełzające pod skórą czy coś w tym stylu.

– Ale przecież możesz to kontrolować. W tym właśnie rzecz. Możesz to *zmienić*.

Może w twoich snach.

– Ale najpierw musisz to zobaczyć. Dla mnie chyba trochę psuje to efekt. No i przez większość czasu są wielkie, niejasne luki.

– Ach. – Przelotny uśmiech. – Dla mnie to nie problem. Świat jest dla mnie dostatecznie niejasny, nawet kiedy nie śpię.

– No cóż – Clarke niepewnie odpowiada jej tym samym. – Co komu pasuje.

Znów cisza.

– Po prostu chciałabym *wiedzieć* – odzywa się wreszcie Nakata.

– Wiem.

– Ty wiedziałaś, co się stało z Karlem. To było straszne, ale *wiedziałaś*.

– Tak.

Nakata spuszcza oczy. Clarke podąża za jej wzrokiem i zauważa, że nie wiadomo kiedy wzięła dłonie towarzyszki w swoje. Przypuszcza, że gest ten ma oznaczać wsparcie. Nie czuje się z tym źle.

Delikatnie ściska ręce Nakaty.

Ta podnosi wzrok. Jej ciemne, obnażone oczy wciąż w pewnym sensie wydają się niepokojące.

– Lenie, ona nie miała nic *przeciwko* mnie. Ja się wycofywałam i śniłam, czasem po prostu *świrowałam*, a ona to wszystko znosiła. Ona rozumiała... ciągle *rozumie*.

– Jesteśmy ryfterami, Alice. – Clarke waha się przez chwilę, ale postanawia zaryzykować. – Wszyscy rozumiemy.

– Poza Kenem.

– Wiesz, myślę, że Ken może rozumieć więcej, niż nam się wydaje. Nie sądzę, by chciał zachować się tak nieczule. Jest po naszej stronie.

– Jest bardzo dziwny. Nie przyjechał tu z tego samego powodu, co my wszyscy.

– A jaki to powód? – pyta Clarke.

– Nas umieścili tutaj, bo tu jest nasze miejsce – wyjaśnia Nakata, zniżając głos niemal do szeptu. – W przypadku Kena wydaje mi się, że po prostu bali się umieścić go gdziekolwiek *indziej*.

Gdy Clarke wraca z powrotem do mesy, Brander zmierza właśnie na niższy poziom.

– Co z Alice?

– Śni. Już w porządku.

– Nic nie jest w porządku – oznajmia Brander. – Moim zdaniem nasze dni są policzone.

Clarke odchrząkuje.

– Gdzie Ken?

– Wyszedł. I już nie wróci.

– Co?

– Odszedł. Jak Fischer.

– Bzdura. Ken nie jest jak Fischer. To zupełnie inny typ.

– My to wiemy – Brander wskazuje kciukiem na sufit. – *Oni* nie. Odszedł. A w każdym razie taką wersję kazał nam sprzedać tym z góry.

– Dlaczego?

– Myślisz, że ten sukinsyn mi powiedział? Póki co zgodziłem się grać w jego grę, ale powiem ci, że powoli zaczynam mieć dość tych bzdur. – Brander opuszcza się o jeden szczebel i ogląda za siebie. – Sam zresztą też wychodzę na zewnątrz. Zamierzam przyjrzeć się karuzeli. Wydaje mi się, że pora na dokładne oględziny.

– Przyda ci się towarzystwo?

Brander wzrusza ramionami.

– Pewnie.

– Tak właściwie – zauważa Clarke – to określenie *towarzystwo* już do nas nie pasuje, prawda? Może powinniśmy raczej zostać... jak to się nazywa?

– Sojusznikami – podsuwa Brander.

Kobieta kiwa głową.
– Sojusznikami.

Bańka

Już od tygodnia świat Yvesa Scanlona ograniczał się do pomieszczenia o wymiarach pięciu na osiem metrów. Przez cały ten czas nie było mu dane zobaczyć żywej duszy.

Było za to mnóstwo duchów. Twarze przewijały się przez jego stację roboczą, a wszystkie wyrażały wielką troskę o jego wygodę i dietę oraz dopytywały, czy ostatni rozstrój żołądkowo-jelitowy nie był dla niego nieprzyjemny. Były też poltergeisty. Czasami opanowywały wiszący u sufitu teleoperator medyczny, zmuszając go do tańca, dźgania i podkradania kawałeczków ciała Scanlona. Przemawiały wieloma głosami, ale rzadko kiedy mówiły cokolwiek istotnego.

– To pewnie nic takiego, doktorze Scanlon – odezwał się pewnego razu teleoperator, podobny do gadającego egzoszkieletu. – To dopiero wstępny raport z Rand/Washington, jakiś nowy patogen na ryfcie – pewnie niegroźny...

Albo przyjemnym, kobiecym głosem:

– Niewątpliwie jest pan w dosk... dobrym stanie; jestem pewna, że nie ma się czym martwić. Mimo to z całą pewnością zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo musimy teraz uważać, nawet zwykły trądzik może przerodzić się w epidemię, jeśli mu na to pozwolimy, ha, ha, ha! No dobrze, jeszcze tylko dwa centymetry sześcienne...

Po kilku dniach Scanlon przestał zadawać pytania.

Wiedział, że cokolwiek to było, musiało być poważne. Na świecie jest pełno paskudnych mikrobów, nowe rozmnażają się przez przypadek, stare wypełzają z mrocznych zakątków ziemi, powszechnie występujące mutują w nieznane odmiany. W przeszłości Scanlon znalazł się już parę razy pod kwarantanną. Podobnie jak większość ludzi. Na ogół wiązało się to z technikami laboratoryjnymi w kondomach na ciało i pielęgniarzkami wyszkolonymi tak, by poprawiać nastrój odpowiednio wycelowanym żartem. Nigdy wcześniej nie słyszał o sytuacji, w której konieczne byłoby posługiwanie się zdalnie sterowanymi urządzeniami.

Może to kwestia bezpieczeństwa. Może GA nie chciało, by wieści wydostały się na zewnątrz, zminimalizowano więc liczbę personelu. Albo może – może potencjalne niebezpieczeństwo było aż tak duże, że nie chciano ryzykować życiem techników.

Każdego dnia Scanlon odkrywał u siebie nowe objawy. Brak tchu. Bóle głowy. Mdłości. Miał jednak na tyle przenikliwości, by zastanawiać się, czy którykolwiek z symptomów był prawdziwy.

Coraz częściej przychodziło mu do głowy, że być może wcale nie wydobędzie się stąd żywy.

Co jakiś czas ekran nawiedzało coś przypominającego Patricję Rowan i zadawało mu pytania dotyczące wampirów. Tak naprawdę nie był to nawet duch, a symulacja, udająca osobę z krwi i kości. Jej sztuczność uwydatniała się w nieznacznych powtórzeniach, naśladowczych pętlach konwersacyjnych, fiksacji na punkcie słowa klucza ponad pojęciem. *Kto rządzi tam na dole?*, dopytywała. Czy Clarke liczy się bardziej niż Lubin? Czy Brander liczy się bardziej niż Clarke? Jak gdyby można było pojąć istotę tych wypaczonych, fantastycznych istot po kilku nieudolnie sformułowanych pytaniach. Ile lat zajęło Scanlonowi osiągnięcie jego poziomu znawstwa?

Krażyły plotki, że Rowan nie lubi rozmów telefonicznych w czasie rzeczywistym. Korpy zawsze miały obsesję na punkcie bezpieczeństwa, czy coś w tym stylu. Mimo to, Scanlona strasznie to denerwowało. W końcu to z jej winy teraz się tu znajdował. Czymkolwiek zaraził się tam, na ryfcie, stało się tak, bo to ona kazała mu tam pojechać, a teraz przysyłała do niego jedynie *kukły*? Naprawdę aż tak niewiele znaczył w jej oczach?

Rzecz jasna ani razu się na to nie poskarżył. Swoją agresję wyrażał w żarliwie pasywny sposób. Zamiast tego zadowolony był z wodzeniem za nos odwiedzającego go modelu. Łatwo było wprowadzić go w błąd, bo zaprogramowano go tak, by wyszukiwał konkretnych słów i zwrotów w odpowiedziach na dane pytania. Tak naprawdę przypominał wytresowanego psa aportującego na komendę. Jednak dopiero gdy podekscytowany wróci do domu, trzymając w pysku jakieś kompletnie bezużyteczne informacje, jego pan zorientuje się, że niektóre wyrażenia kluczowe potrafią być bardzo wieloznaczne...

Scanlon stracił rachubę, ile to już razy odesłał model z powrotem z jakimś marnym ochłapem. Ten wciąż wracał, ale najwyraźniej nie potrafił uczyć się na własnych błędach.

Mężczyzna poklepał teleoperatora.

– Ty chyba jesteś mądrzejszy niż ten jej doppelganger. Nie żeby wiele to znaczyło. Ale przynajmniej dostajesz swój kawałek mięsa za pierwszym podejściem.

Rowan musiała już się zorientować, co robi Scanlon. Może to jakaś gra. Może ostatecznie Rowan przyzna się do porażki i przyjdzie rozmówić się z nim osobiście. Nadzieja, że wreszcie do tego dojdzie, sprawiała, że nie przestawał w tę grę grać. Gdyby nie ona, już dawno by się poddał i zaczął współpracować z czystej nudy.

Pierwszego dnia kwarantanny poprosił jednego z duchów o maszynę snów, lecz mu jej odmówiono. Powiedziano mu, że normalny, okołodobowy cykl metaboliczny był niezbędny do przeprowadzenia jednego z testów; nie chciano, by tkanki oszukiwały. Przez kilka następných dni Scanlon w ogóle nie mógł zasnąć. Potem znów pogрузił się w pozbawionej snów otchłani na dwadzieścia osiem godzin. Kiedy wreszcie się obudził, całe ciało miał obolałe po fali mikrochirurgicznych ataków, których nie pamiętał.

– Małe, niecierpliwe dranie, co? – mamrotał pod adresem teleoperatora. – Nie mogliście poczekać, aż się obudzę? Mam nadzieję, że przynajmniej wy dobrze się bawiliście – mówił ściszym głosem, na wypadek gdyby w pomieszczeniu umieszczono jakieś pluskwy. Nie wyglądało na to, by którykolwiek z duchów przewijających się przez stację roboczą miał jakiegokolwiek pojęcie o psychologii; sami fizjolodzy i mięśniacy. Gdyby przyłapali go na gadaniu do maszyny, mogliby pomyśleć, że zwariował.

Teraz sypiał po dziewięć godzin dziennie. Niespodziewane ataki poltergeistów zabierały jakąś kolejną godzinę. Na jego terminalu regularnie pojawiały się raporty załogi oraz profile IPD, lecz nigdy ze stacji Beebe: następne cztery, pięć godzin dziennie.

Przez resztę czasu oglądał telewizję.

Dziwne rzeczy działy się na zewnątrz. Tajemniczy, podwodny wybuch na Grzbiecie Śródatlantyckim, dostatecznie silny, by podejrzewać o niego bombę nuklearną, lecz bez względu na przyczynę, nie uzyskano w tej kwestii żadnego potwierdzenia. Izrael oraz Tanaka-Krueger podjęły ostatnio na nowo próby jądrowe, ale zarówno jedni, jak i drudzy zarzekają się, że nie wiedzą nic na temat tej konkretnej eksplozji. Standardowe protesty, zarówno ze strony korpów, jak i państw. Sytuacja zaczęła robić się jeszcze bardziej drażliwa niż zazwyczaj. Zaledwie przed kilkoma dniami wyszło na jaw, że kilka tygodni wcześniej N'AmPac zareagowało na stosunkowo niegroźną formę piractwa w wykonaniu koreańskiego mułogrzebaczka, wysadzając go w powietrze.

Więści z regionu były równie niepokojące. Oszacowano, że w wyniku wybuchu bomby zapalającej, który zniszczył większość stoczni Urchin Shipyards pod Portland, zginęło trzysta osób. To duża liczba, biorąc pod uwagę, że była zaledwie druga w nocy, lecz tereny należące do Urchin graniczą z Pasem Uchodźców i to właśnie głównie oni padli ofiarą deszczu ognia. Nieznany są

motywy sprawców tego ataku, nosi on jednak pewne podobieństwa do dużo mniejszej eksplozji sprzed kilku tygodni, która miała miejsce kilkaset kilometrów na północ, na przedmieściach Coquitlam. Za tamtym wydarzeniem, jak stwierdzono, stała wojna gangów.

A skoro już mowa o Pasie: wśród stłoczonych na wybrzeżu uchodźców znów wybuchły zamieszki. Znów te same tłumaczenia z ust władz miejskich. Nadbrzeże to obecnie jedyna dostępna nieruchomości, a poza tym, czy ktoś jest w stanie wyobrazić sobie koszt budowy sieci kanalizacyjnej dla siedmiu milionów ludzi, gdyby wpuścić ich *w głąb* lądu?

Kolejna kwarantanna, tym razem z powodu wymknięcia się jakiegoś nicienia z okolic źródeł Ivindo. Żadnych wieści z północnego Pacyfiku. Nic z Grzbietu Juan de Fuca.

Po dwóch tygodniach odsiadania wyroku Scanlon zorientował się, że objawy, które wyobrażał sobie wcześniej, zniknęły. W zasadzie, to dziwnym trafem od lat nie czuł się lepiej. Mimo to wciąż trzymali go w zamknięciu. Trzeba było wykonać kolejne testy.

Z czasem jego początkowe przeszywające lęki zamieniły się w chroniczny, tępy ból żołądka, na tyle rozproszony, że mężczyzna ledwie go odczuwał. Pewnego dnia obudził się z poczuciem niemalże dzikiej ulgi. Naprawdę wcześniej wydawało mu się, że GA już zawsze będzie go tu więzić? Naprawdę popadł aż w taką paranoję? Dobrze się nim zajmowali. To oczywiste: był dla nich ważny. Z początku zupełnie o tym zapomniał. Lecz wampiry wciąż musiały sprawiać problemy, bo inaczej kukła Rowan przestałaby pojawiać się na jego stacji roboczej. A GA wybrało właśnie Yvesa Scanlona, by zajął się tymi problemami, bo najlepiej się do tego nadawał. A teraz po prostu chronią swoją inwestycję i czuwają nad jej zdrowiem. Scanlon wybuchnął śmiechem na samo wspomnienie swej wcześniejszej paniki. Naprawdę nie było się czym martwić.

Poza tym na bieżąco śledzi wiadomości. Tu jest bezpieczniej.

Lewatywa

Rzecz jasna, Scanlon rozmawiał z nią tylko w nocy.

Kiedy wisiała złożona pod sufitem, z pogaszonymi światełkami, pobrawszy wystarczającą ilość próbek i wykonawszy dość skanów, jak na dany dzień. Mężczyzna nie chciał, żeby duchy podsłuchiwały. Nie żeby krępowało go zwierzenie się maszynie. Wiedział zbyt wiele na temat ludzkich zachowań, by martwiło go takie nieszkodliwe dziwactwo. Samotni użytkownicy zawsze zakochiwali się w symulacjach z wirtualnej rzeczywistości. Programiści wiązali się z własnymi tworam, nadając wyobrażone życie każdej całkowicie przewidywalnej reakcji. Do diabła, ludzie czasami gadają z własnymi poduszkami, jeśli nie mają innego wyboru. Mózgu nie dało się w ten sposób oszukać, ale serce znajdowało pociechę w pozorach. To coś zupełnie normalnego, zwłaszcza w okresie dłuższego odizolowania. Absolutnie nie ma się czym martwić.

– Potrzebują mnie – poinformował maszynę Scanlon. Światło w pomieszczeniu zostało przyciemnione do tego stopnia, że ledwo cokolwiek widział. – Znam wampiry, znam je lepiej niż ktokolwiek inny. Żyłem wśród nich. I przetrwałem. A ci... ci *ładowcy* tutaj tylko je *wykorzystują*. – Mężczyzna podniósł wzrok. Teleoperator wisiał nad jego głową niczym nietoperz i nie nawiązywał żadnego kontaktu, co paradoksalnie najbardziej dodawało mu otuchy.

– Wydaje mi się, że Rowan zaczyna się łamać. Jej *kukła* powiedziała, że spróbuje znaleźć dla mnie trochę czasu.

Żadnej odpowiedzi.

Scanlon potrząsnął głową, spoglądając na uspioną maszynę.

– Zaczynam tracić kontrolę, wiesz? Zaczynam zamieniać się w jakieś warzywo, ot co.

Ostatnio nieczęsto się do tego przyznawał. A już na pewno nie ze zgrozą i niepewnością, które odczuwał jeszcze poprzedniego tygodnia. Ale biorąc pod uwagę wszystko to, przez co ostatnio przeszedł, było kwestią całkowicie naturalną, że będzie musiał dokonać pewnych modyfikacji. Siedział tu teraz, pod kwarantanną, najprawdopodobniej nosząc w sobie jakieś nieznanne zarazki. Wcześniej został poddany ciężkiej próbie, która wykończyłaby większość ludzi. *A jeszcze wcześniej...*

O tak, wiele przeszedł. Ale był profesjonalistą. Wciąż potrafił odwrócić się i spojrzeć na siebie krytycznym wzrokiem. To więcej, niż potrafi większość ludzi. W końcu każdego mogą dopaść wątpliwości i niepewność. To, że Scanlon był dość silny, by się do tego przyznać, nie czyniło go świrem. Wręcz przeciwnie.

Mężczyzna wbił spojrzenie w odległy kraniec pomieszczenia. Górną połowę ściany zajmowało obciążone membraną okno, wychodzące na niewielką, mroczną klitkę, która pozostawała pusta przez cały czas od jego przybycia. Wkrótce pojawi się w niej Patricia Rowan. Będzie mogła usłyszeć z pierwszej ręki najnowsze spostrzeżenia Scanlona i jeśli do tej pory nie była świadoma jego wartości, po rozmowie z nim będzie już o niej przekonana. Długi czas oczekiwania na uznanie niemal dobiegł końca. Wszystko wkrótce zmieni się na lepsze.

Yves Scanlon wyciągnął rękę i dotknął uspionego metalowego szponu.

– Wolę cię taką, jak teraz – wyznał. – Jesteś mniej... wroga. – Ciekawe czyim głosem przemówisz jutro...

Przemówiła głosem, który zdawał się należeć do jakiegoś dzieciaka świeżo po studiach. Pod względem zachowania też. Kazała mu zdjąć spodnie i pochylić się.

– Mam cię w dupie – oznajmił Scanlon. Twarz, którą przywdziewał na użytek publiczny, tkwiła pewnie na miejscu.

– Na tym mi właśnie zależy – odpowiedziała maszyna, poruszając trzymaną w jednej ręce sondą, przypominającą kształtem ołówek. – No dalej, doktorze Scanlon. Wie pan przecież, że to dla pańskiego dobra.

Tak naprawdę wcale tego nie wiedział. Ostatnimi czasy zastanawiał się, czy doznawane tu poniżenia nie były czasem owocem niewłaściwie ukierunkowanego sadyzmu jakiegoś tłamszonego dupka. Zaledwie kilka miesięcy temu doprowadziłoby go to do szaleństwa. Jednak Yves Scanlon zaczynał właśnie dostrzegać swoje miejsce we wszechświecie i odkrył, że może pozwolić sobie na bycie tolerancyjnym. Małostkowość innych nie przeszkadzała mu już tak, jak kiedyś. Był ponad nią.

Przed rozpięciem paska zaciągnął jednak zasłonkę przed oknem. W końcu Rowan mogła pojawić się tu w każdej chwili.

– Proszę się nie ruszać – odezwał się poltergeist. – Nie będzie boleć. Niektórzy uważają, że to wręcz przyjemne.

Ale nie Scanlon. Przyjął to z pewną ulgą.

– Nie rozumiem po co ten pośpiech – narzekał. – Wszystko, co trafia do mnie albo ze mnie wychodzi, przechodzi przez wasze ręce dzięki przekręceniu odpowiednich zaworów. Nie możecie wykorzystać tego, co splukuję w kiblu?

– Robimy i to – odpowiedziała maszyna, drżąc. – W zasadzie to od momentu, kiedy tu trafiłeś. Ale nigdy nic nie wiadomo. Są rzeczy, które rozkładają się bardzo szybko po opuszczeniu ciała.

– Skoro tak szybko się rozkładają, to dlaczego jestem wciąż pod kwarantanną?

– Hej, nie powiedziałem, że są niegroźne. Tylko, że mogą zamienić się w coś innego. A może i są niegroźne. Może po prostu wkurwiłeś kogoś z góry.

Scanlon skrzywił się.

– Ludzie z góry mnie lubią, o to się nie martw. Czego tak w ogóle szukasz?

– Piranozowego RNA.

– Nie jestem pewien, czy pamiętam, co to takiego.

– Nie ma powodu, dla którego miałbyś. Wyszło z mody trzy i pół miliarda lat temu.

– Sranie w banie.

– Nie licz na to. – Sonda wycofuje się. – To był ostatni krzyk mody w czasach prehistorycznych, dopóki...

– Przepraszam – przerwał mu głos Patricii Rowan.

Scanlon spojrział odruchowo na stację roboczą, lecz kobiety tam nie było. Głos dochodził zza zasłonki.

– Ach. Towarzystwo. Tak czy siak, mam już to, po co przyszedłem. – Ramię zatoczyło łuk i płynnie umieściło zabrudzoną sondę w windzie. Nim Scanlon zdążył podciągnąć spodnie, maszyna zwinęła się z powrotem pod sufitem.

– Do zobaczenia jutro – powiedział poltergeist i zniknął. Światelka teleoperatora zgasły.

Była tutaj.

W sąsiednim pomieszczeniu.

Rehabilitację miał na wyciągnięcie ręki.

Scanlon wziął głęboki oddech i odsłonił zasłonkę.

Patricia Rowan stała skryta w cieniu po drugiej stronie. Jej oczy połyskiwały bladą rtęcią: prawie jak oczy wampirów, ale jakby wyblakłe. Półprzejrzyste, a nie całkowicie kryjące. Oczywiście, szkła

kontaktowe. Scanlon miał kiedyś okazję wypróbować podobne. Łączyły się one z zegarkiem za pomocą sygnału radiowego i wyświetlały obrazy w polu widzenia w wirtualnej odległości czterdziestu centymetrów. Dostrzegłszy Scanlona, Patricia Rowan uśmiechnęła się. Co jeszcze widziała przy pomocy swoich magicznych soczewek, mężczyzna mógł tylko zgadywać.

– Doktorze Scanlon – powiedziała. – Dobrze znów pana widzieć.

Ten odwzajemnił uśmiech.

– Cieszę się, że pani do mnie zajrzała. Mamy wiele do przedyskutowania.

Rowan kiwnęła głową, otworzyła usta.

– I choć pani sobowtóry radzą sobie doskonale w zwykłej rozmowie, zdarza im się pomijać wiele niuansów.

I znów je zamknęła.

– Zwłaszcza biorąc pod uwagę rodzaj informacji, które wydają się panią interesować.

Rowan zawahała się.

– Tak. Oczywiście. Potrzebujemy, hmm, potrzebujemy pańskiej opinii, doktorze Scanlon – *Tak.*

Dobrze. Oczywiście. – Pański raport dotyczący Beebe był dość... cóż, interesujący, ale od czasu jego złożenia sytuacja uległa pewnej zmianie.

Scanlon pokiwał głową w zadumie.

– W jakim sensie?

– Po pierwsze, nie ma już Lubina.

– Nie ma?

– Zniknął. Możliwe, że nie żyje, chociaż najwyraźniej nie było sygnału z jego sygnalizatora zgonu.

Może po prostu wycofał się, jak Fischer.

– Rozumiem. A słyszała pani czy na innych stacjach ktoś też zdecydował się odejść? – Była to jedna z prognoz, jakie umieścił w swoim raporcie.

Jej oczy, wypełnione falującym srebrem, wpatrzyły się w jakiś punkt położony obok jego lewego ramienia.

– Trudno powiedzieć. Z całą pewnością ponieśliśmy pewne straty, ale ryfterzy na ogół nie są zbyt wylewni, jeśli chodzi o szczegóły. Oczywiście, tego się właśnie spodziewaliśmy.

– Tak, oczywiście – Scanlon przybrał zamyślony wyraz twarzy. – A więc Lubina już nie ma. To żadne zaskoczenie. Był zdecydowanie najbliżej krawędzi z nich wszystkich. Właściwie to, o ile dobrze pamiętam, przewidziałem...

– No i dobrze – wymamrotała Rowan.

– Słucham?

Kobieta potrząsnęła głową, jakby odpędzając od siebie coś, co rozpraszało jej uwagę.

– Nic takiego. Przepraszam.

– Aha. – Scanlon ponownie pokiwał głową. Nie ma sensu wałkować tematu Lubina, skoro Rowan tego nie chce. Zresztą, dokonał przecież wielu innych prognoz. – Jest jeszcze kwestia efektu Ganzfeldu, o którym również wspomniałem. Pozostali członkowie załogi...

– Tak, rozmawialiśmy na ten temat z kilkoma innymi ekspertami.

– I?

– Są zdania, że środowisko ryftu nie jest „dostatecznie zubożałe”, tak to nazwali. Niedostatecznie zubożałe, by stać się Ganzfeldem.

– Rozumiem. – Scanlon poczuł, jak jeży się jakaś część jego dawnego jestestwa. Uśmiechnął się, ignorując ją. – Jakie więc mają wytłumaczenie dla tego, co zaobserwowałem?

– Właściwie to... – Rowan zakaszłała. – Nie są w pełni przekonani, że *naprawdę* zaobserwował

pan cokolwiek istotnego. Najwyraźniej istnieją pewne przesłanki, by sądzić, że pański raport powstał w warunkach... cóż, osobistego stresu.

Scanlon starannie dopilnował, by jego uśmiech pozostał na swoim miejscu.

– Cóż. Każdy ma prawo do własnej opinii.

Rowan nie odpowiedziała.

– Jednak fakt, że ryft jest środowiskiem stresogennym nie powinien być nowością dla żadnego prawdziwego *eksperta* – ciągnął Scanlon. – W końcu w tym właśnie tkwił sens całego programu.

Rowan pokiwała głową.

– To nie tak, że panu nie wierzę, doktorze. Nie posiadam kwalifikacji, by osądzić, kto ma rację.

To prawda, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

– W każdym razie – dodała – pan tam był. Oni nie.

Scanlon rozluźnił się. To oczywiste, że Rowan przedkłada jego opinię nad zdanie tych innych *ekspertów*, kimkolwiek by nie byli. W końcu to jego wybrała, by zszedł tam na dół.

– To nie jest takie ważne – powiedziała kobieta, kończąc temat. – Największym naszym zmartwieniem jest teraz kwarantanna.

Moim również. Ale rzecz jasna nie zdradził się z tą myślą. Nie wyglądałoby to zbyt profesjonalnie, gdyby w obecnej sytuacji przejmował się zbyt własnym dobrem. Poza tym, nieźle go tu traktowali. Przynajmniej wiedział, co jest grane.

– Beebe – zakończyła Rowan.

Scanlon zamrugął.

– Co? Słucham?

– Powiedziałam, że z oczywistych powodów nie podjęliśmy jeszcze decyzji o odwołaniu załogi Beebe.

– Rozumiem. No cóż, macie szczęście. Oni wcale nie chcą stamtąd odejść.

Rowan podeszła bliżej do dzielącej ich membrany. Jej oczy zbladły w świetle.

– Jest pan tego pewien?

– Tak. W pewnym sensie, którego laik prawdopodobnie nie zrozumie, ryft jest ich domem, pani Rowan. Są tam bardziej żywi niż kiedykolwiek na lądzie. – Wzruszył ramionami. – Poza tym, nawet gdyby chcieli odejść, co mogliby zrobić? Raczej nie przepląną odległości dzielącej ich od stałego lądu.

– W zasadzie mogliby.

– Co?

– To możliwe – przyznała Rowan. – Teoretycznie. No i – złapaliśmy jedną z nich podczas próby ucieczki.

– Co?

– W strefie eufotycznej. Stacjonowała tam nasza łódź podwodna, żeby mieć wszystko na oku. Jedna z ryfterów – Cracker, czy coś. Na powierzchni jej oczu pojawiła się świecąca, wijąca się nić. – A, Caraco. Judy Caraco. Kierowała się dokładnie w stronę powierzchni. Załoga doszła do wniosku, że próbuje uciec.

Scanlon potrząsnął głową.

– Caraco robi okrążenia, pani Rowan. Było o tym w moim raporcie.

– Wiem. Może trzeba było bardziej rozpropagować pański raport. Jednak nigdy wcześniej nie robiła tych *okrążeń* tak blisko powierzchni. Rozumiem dlaczego... – Rowan potrząsnęła głową.

– W każdym razie, zgarnęli ją. Być może był to błąd. – Kobieta uśmiecha się nieznacznie. – Czasem to się zdarza.

– Rozumiem – powiedział Scanlon.

– Mamy teraz pewien problem – podjęła Rowan. – Być może personel Beebe doszedł do wniosku, że Caraco jest po prostu kolejną przypadkową ofiarą. A może nabrali podejrzeń. Mamy zostawić sprawę jej biegowi i liczyć na to, że wszystko rozejdzie się po kościach? Postanowią uciec, jeśli stwierdzą, że coś ukrywamy? Czy niektórzy odejdą, a inni pozostaną? Tworzą grupę, czy są raczej zbieraniną odrębnych osób?

Kobieta zamilkła.

– Dużo pytań – stwierdził po chwili Scanlon.

– W porządku. W takim razie tylko jedno. Czy posłuchaliby wyraźnego rozkazu pozostania na ryfcie?

– Mogliby pozostać na ryfcie – przyznał Scanlon. – Ale nie dlatego, że im tak kazaliście.

– Myśleliśmy, że może Lenie Clarke. Z pańskiego raportu wynikałoby, że jest tam kimś w rodzaju przywódcy. A Lubin jest...

– Lubin *był* – dzokerem. Skoro wypadł z obiegu, może Clarke potrafiłaby utrzymać resztę w ryzach. Jeśli uda się nam do niej dotrzeć.

Scanlon potrząsnął głową.

– Clarke nie jest żadnym przywódcą, nie w tradycyjnym rozumieniu. Nie uzależnia swoich zachowań od czegokolwiek innego, a pozostali po prostu idą za jej przykładem. Nie ma tam typowego systemu opartego na autorytecie, jak pani by to rozumiała.

– Ale skoro mówi pan, że idą za jej przykładem...

– Wydaje mi się – powiedział powoli Scanlon – że ona najprędzej podporządkowałaby się rozkazowi pozostania na miejscu, nieważne jakie piekło by się tam nie rozpętało. W końcu jest uzależniona od toksycznych związków.

Zamilkł.

– Zawsze możecie spróbować powiedzieć im prawdę – podsunął.

Kobieta kiwnęła głową.

– Z całą pewnością jest to jedna z opcji. A jak pana zdaniem by na to zareagowali?

Scanlon nie odpowiedział.

– Uwierzyliby nam?

Scanlon uśmiechnął się.

– A mają ku temu powody?

– Pewnie nie – Rowan westchnęła. – Niezależnie od tego, co im powiemy, problem pozostaje ten sam. Co zrobią, kiedy dowiedzą się, że tam utknęli?

– Pewnie nic. Tam właśnie chcą być.

Rowan spojrzała na niego z ukosa.

– To zaskakujące, że mówi pan coś takiego, doktorze.

– Dlaczego?

– Najchętniej zamknęłabym się teraz w swoim mieszkaniu, ale gdyby ktoś nałożył na mnie areszt domowy, to bardzo chciałabym je opuścić, a ja nie mam przecież żadnych zaburzeń.

Scanlon puścił ostatnią część zdania mimo uszu.

– Celna uwaga – przyznał.

– Zasadnicza – dodała z naciskiem kobieta. – Jestem zaskoczona, że ktoś o pańskim wykształceniu mógł pominąć tę kwestię.

– Wcale jej nie *pomiąłem*. Po prostu wydaje mi się, że inne czynniki mają o *wiele* większe znaczenie. – Scanlon uśmiechnął się na zewnątrz. – Jak sama pani wspomniała, nie ma pani żadnych

zaburzeń.

– Nie. A przynajmniej jeszcze nie. – Jej oczy przesłoniła nagle chmura danych. Rowan wbiła wzrok gdzieś w przestrzeń, analizując otrzymane informacje. – Przepraszam. Problemy na innym froncie. – Jej spojrzenie ponownie spoczęło na Scanlonie. – Miewasz czasem poczucie winy, Yves?

Mężczyzna zaśmiał się, ale szybko się opanował.

– Poczucie winy? Dlaczego?

– Z powodu tego projektu. Z powodu tego, co im zrobiliśmy.

– Są tam szczęśliwsi. Może mi pani wierzyć. Wiem to.

– Wie pan.

– Lepiej niż ktokolwiek inny, pani Rowan. Dobrze to pani wie. Dlatego mnie dzisiaj pani odwiedziła.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Poza tym – dodał Scanlon. – Nikt ich do tego nie zmuszał. To był ich wybór.

– Tak – przyznała cicho Rowan. – Tak było.

I wyciągnęła rękę przez okno.

Membrana izolująca przylgnęła do niej niczym warstewka stopionego szkła. Oddała dokładnie kontury jej palców, bez ani jednej zmarszczki; zakryła dłoń, nadgarstek i przedramię jak przezroczysta rękawiczka, która na wysokości łokcia rozciągała się na boki, tworząc szybę.

– Dziękuję za poświęcony mi czas, Yves – powiedziała Rowan.

Po chwili Scanlon uściśnął podaną mu rękę. W dotyku przypominała lekko nawilżoną prezerwatywę.

– Nie ma za co – odpowiedział.

Rowan cofnęła dłoń i odwróciła się w stronę wyjścia. Membrana wygładziła się za jej plecami jak bańka mydlana.

– Ale – odezwał się Scanlon.

Kobieta zawróciła.

– Tak?

– To wszystko, czego pani ode mnie chciała? – zapytał.

– Na chwilę obecną, tak.

– Pani Rowan, jeśli mógłbym jeszcze coś dodać. Jeszcze wielu rzeczy pani nie wie o tych ludziach z dołu. Wielu. Jestem jedyną osobą, która może pani o nich opowiedzieć.

– Doceniam to, Yves.

– Zależy od nich cały program geotermalny. Jestem przekonany, że zdaje sobie pani z tego sprawę.

Rowan podeszła z powrotem do membrany.

– Jak najbardziej, doktorze Scanlon. Proszę mi wierzyć. Ale mam teraz na głowie wiele ważniejszych spraw. A póki co wiem, gdzie pana znaleźć. – Znów odwróciła się, by wyjść.

Scanlon zrobił wszystko, co w jego mocy, by jego głos zabrzmiał spokojnie.

– Pani Rowan.

W tym momencie coś zmieniło się w jej wyglądzie, na tyle subtelnie, że umknęłoby to uwadze większości ludzi, jakby jej sylwetka nagle zeszytniała. Scanlon dostrzegł to, gdy kobieta kolejny raz zwracała się w jego stronę. W jego żołądku otworzyła się maleńka czarna dziura.

Zaczął zastanawiać się, co mógłby powiedzieć.

– Tak, doktorze Scanlon – odezwała się kobieta, nieco zbyt spokojnym głosem.

– Wiem, że jest pani bardzo zajęta, pani Rowan, ale – ile jeszcze muszę tu zostać?

Rowan złagodniała odrobinę.

– Wciąż jeszcze tego nie wiemy, Yves. W pewnym sensie to tylko typowa kwarantanna, tyle że trwa trochę dłużej. W końcu to coś pochodzi z dna oceanu.

– Co to dokładnie jest?

– Nie jestem biologiem. – Na chwilę wbiła wzrok w podłogę, potem znów spojrzała mu w oczy. – Ale jedno mogę powiedzieć panu na pewno: nie musi pan obawiać się, że nagle padnie pan martwy. Nawet jeśli rzeczywiście nosi pan to coś w sobie. To w zasadzie nie atakuje ludzi.

– Więc dlaczego...

– Najwyraźniej istnieje zagrożenie, jeśli chodzi o kwestie natury rolniczej. Istnieje obawa, jaki wpływ mogłoby to mieć na pewne rośliny.

Scanlon zastanowił się nad jej słowami. Poczł się nieco lepiej.

– A teraz naprawdę muszę już iść. – Rowan wydawała się rozważać coś przez chwilę, po czym dodała: – I żadnych więcej doppelgangerów. Obiecuję. To było bardzo niegrzeczne z mojej strony.

Renegat

Powiedziała prawdę, jeśli chodziło o doppelgangery. Skłamała we wszystkich pozostałych kwestiach.

Po czterech dniach Scanlon zostawił wiadomość w schowku Rowan. Dwa dni później kolejną. W międzyczasie czekał na pojawienie się ducha, który wsadził mu palec w dupę, licząc na to, że ten opowie mu coś więcej o biochemii z czasów pierwotnych. Ale i on nie wracał. Teraz już nawet pozostałe duchy nie odwiedzały go zbyt często, a gdy już to robiły, prawie się nie odzywały.

Rowan nie odpowiadała na telefony Scanlona. Cierpliwość powoli stopniała, zamieniając się w niepewność. Niepewność, duszona na małym ogniu, przerodziła się w przekonanie. A przekonanie powoli zaczęło wrzeć.

Siedzę tu w zamknięciu od trzech pieprzonych tygodni, a jedynym, co od niej dostaję, jest dziesięciominutowa wizyta kurtuazyjna. Dziesięć nędznych minut wypełnionych moi-eksperci-uważają-że-pan-się-myli i to-taka-zasadnicza-kwestia-że-nie-mogę-uwierzyć-że-pan-ją-pominął, a potem po prostu wychodzi. Tak po prostu, kurwa, uśmiecha się i wychodzi.

– Wiem, co *powinienem* być zrobić – warknął Scanlon pod adresem teleoperatora. Był środek dnia, ale już się tym nie przejmował. Nikt go nie podsłuchiwał, pozostawiono go samemu sobie w tym miejscu. Pewnie zupełnie o nim zapomniano. – *Powinienem* być rozerwać tę pieprzoną membranę, kiedy Rowan była po drugiej stronie. Pozwolić, by cokolwiek, co jest tutaj, zmieszało się z powietrzem w jej płucach. Założę się, że *to* natchnęłoby ją do poszukiwania odpowiedzi!

Wiedział, że to mrzonki. Membrana była niemal nieskończenie elastyczna i tak samo wytrzymała. Nawet gdyby udało mu się zrobić w niej otwór, ta zasklepiłaby się, nim choćby molekula gazu przedostałaby się na drugą stronę. Mimo to, samo wyobrażenie dawało mu satysfakcję.

Ale nie dość dużą. Scanlon podniósł krzesło i cisnął nim w okno. Membrana pochwyliła je niczym przylegająca ciasno rękawiczka, pozwalając mu niemalże dotknąć podłogi po drugiej stronie. Potem z wolna przybrała znów swój pierwotny, dwuwymiarowy kształt. Krzesło wróciło nieuszkodzone do celi Scanlona.

I pomyśleć, że miała pieprzoną *czelność* palnąć mu to niedorzeczne kazanie o areszcie domowym! Jakby przyłapała go na *kłamstwie*, gdy zasugerował, że wampiry mogą zdecydować się pozostać na miejscu. Jakby uważała, że je *kryje*.

Jasne, wiedział o wampirach więcej niż ktokolwiek inny. Ale nie oznaczało to, że jest jednym z nich. Nie oznaczało to, że...

Mogliśmy lepiej pana potraktować, powiedział ostatecznie Lubin. *My*. Jakby wypowiadał się w imieniu ich wszystkich. Jakby wreszcie go *zaakceptowali*. Jakby...

Lecz wampiry to towar uszkodzony, zawsze nim były. Właśnie w tym rzecz. Jakim sposobem Yves Scanlon miałby spełnić warunki konieczne do uzyskania członkostwa w *takim* klubie?

Wiedział jednak jedno. Wolałby być wampirem niż jednym z tych dupków *stąd*. Teraz było to dla niego jasne. Teraz, kiedy przestawano już powoli zachowywać pozory i kiedy nikt nie zadawał już sobie trudu, by z nim rozmawiać. Dostali to, czego chcieli i zaczęli go unikać; wykorzystali go tak, jak wykorzystali wampiry. Rzecz jasna, gdzieś w głębi serca zawsze doskonale o tym wiedział. Ale próbował wyprzeć to ze swojej świadomości, stłumić w sobie przez lata adaptacji, dobrych intencji i chybionych prób dopasowania się.

Ci ludzie byli jego wrogami. Zawsze byli wrogami.

I trzymali go za jaja.

Mężczyzna zawirował wokół własnej osi i grzmotnął pięścią w stół do badań. Nawet nie zabołało. Ponawiał więc ciosy, aż się to zmieniło. Dysząc ciężko, z obtartymi i piekącymi kostkami dłoni, rozejrzał się naokoło, szukając czegoś, co mógłby zniszczyć.

Teleoperator przebudził się na tyle, by syknąć i sypnąć iskrami, gdy krzesło odbiło się od jego tułowia. Przez chwilę jedno z ramion drgało konwulsyjnie. Wokół rozniósł się ledwie wyczuwalny smród przypalonej izolacji. A potem nic. Delikatnie porysowany, teleoperator zapadł ponownie w sen ponad stosem strzaskanych paradygmatów.

– Rada na dziś – warknął pod jego adresem Scanlon. – Nigdy nie ufaj lądowcowi.

Temat i wariacja

Przez dno oceaniczne przechodzi wstrząs. Linie szmaragdowej szachownicy ulegają zaburzeniu tak, że zaczyna ona przypominać poszarpaną pajęczą sieć. Odbite chaotycznie wiązki laserowego światła przeszywają otchłań.

Gdzieś z wnętrza karuzeli dochodzi delikatne uczucie niezadowolenia. Intensywny namysł. Porozbiegane promienie drgają i zaczynają się wyrównywać.

Lenie Clarke widziała i odczuwała już to wszystko wcześniej. Tym razem przygląda się, jak umieszczone na dnie pryzmaty obracają się i ustawiają we właściwych pozycjach niczym maleńkie radioteleskopy. Jedna po drugiej, rozproszone wiązki układają się z powrotem na dnie, równoległe, prostopadłe i płasko. Po kilku sekundach znów tworzą siatkę.

Beznamiętna satysfakcja. Powracające zimne, obce myśli gdzieś nieopodal.

A gdzieś z oddali coś się zbliża. Coś chudego i głodnego, rozbrzmiewającego cichym, piskliwym wyciem w umyśle Clarke...

– A, kurwa – byczy Brander, nurkując w kierunku dna.

Coś wystrzeliwuje z ciemności ponad ich głowami, gnane bezmyślną determinacją, wielkie jak Clarke i Brander razem wzięci. W jego oczach odbija się blask bijący od dna. Stwór uderza w wierzch karuzeli z otwartym pyskiem i odbija się od niego, łamiąc sobie połowę zębów.

Nie myśli, ale Lenie Clarke potrafi wyczuć jego emocje. Te nie ulegają najmniejszej zmianie. Obrażenia wydają się nie robić żadnego wrażenia na tych potworach. Za kolejny cel stwór obiera sobie jeden z laserów. Opływa dach karuzeli i atakuje od dołu, połykając wiązkę światła. Taranuje emiter i rzuca się na boki.

Wzdłuż kręgosłupa Clarke przebiega nagły, obcy dreszcz. Podrygując, potwór opada na dno. Kobieta wyczuwa, że ten umiera jeszcze zanim dotyka podłoża.

– Jezu. Jesteś pewny, że to nie robota lasera?

– Nie. Jest na to o wiele za słaby – odpowiada Brander. – Nie poczułaś tego? Porażenia prądem? Clarke kiwa głową.

– Hej. – Brander nagle coś sobie uświadamia. – Nie widziałaś tego wcześniej, prawda?

– Nie. Ale Alice mi o tym opowiadała.

– Lasery czasem je wabia, kiedy się kołyszają.

Clarke ogląda trupa. Z jego wnętrza dochodzi ledwie słyszalny syk neuronów. Ciało jest martwe, ale może minąć nawet kilka godzin, nim obumrą wszystkie komórki.

Kobieta spogląda z powrotem na maszynę, która tego dokonała.

– Całe szczęście, że żadne z nas tego nie dotykało – byczy.

– I tak trzymałem się od tego z daleka. Lubin powiedział, że lasery nie są dość gorące, by stanowić niebezpieczeństwo, ale, no cóż...

– Byłam dostrojona do żelū, kiedy to się stało. Nie sędzę, by on...

– Żelū nawet niczego nie zauważa. Wydaje mi się, że nie jest podłączony do systemów obronnych. –

Brander spogląda na metalową konstrukcję. – Nie, nasz mózgoser ma zbyt wiele na głowie, by tracić czas na ryby.

Clarke obrzuca go podejrzliwym wzrokiem.

– Wiesz, co to takiego, prawda?

– Nie wiem. Może.

– Więc?

– Powiedziałem przecież, że nie wiem. Po prostu mam kilka pomysłów.

– Daj spokój, Mike. Jeśli masz jakieś pomysły, to tylko dlatego, że ostatnie dwa tygodnie my wszyscy spędziliśmy tutaj, robiąc notatki. Dawaj.

Mężczyzna unosi się nad jej głową, spoglądając w dół.

– No dobra – oznajmia wreszcie. – Daj mi tylko czas na zrzucenie tego, czego dowiedziałaś się dzisiaj i połączenie tego z resztą. A potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze...

– Czas najwyższy. – Clarke podnosi swojego kalmara z dna i wciska gaz. – Dobrze.

Brander potrząsa głową.

– Nie wydaje mi się. Ani trochę.

– No dobra. Inteligentne żele szczególnie sprawdzają się w sytuacjach wymagających radzenia sobie z szybkimi zmianami topografii, prawda?

Brander siedzi przy bibliotece. Przed nim jeden z płaskich ekranów wszedł w tryb oczekiwania. Za nim, Clarke, Lubin i Nakata zrobili dokładnie to samo.

– No więc środowisko topograficzne może ulec gwałtownej zmianie w dwóch wypadkach. Po pierwsze, kiedy poruszasz się szybko przez skomplikowane otoczenie. Dlatego właśnie żele instaluje się teraz w mułogrzebaczach i pojazdach terenowych. Albo możesz też siedzieć spokojnie i pozwolić, by to *środowisko* się zmieniło.

Brander rozgląda się wokół. Nikt nic nie mówi.

– No i?

– No więc ten żel myśli o trzęsieniach ziemi – zauważa Lubin.

– Tyle to i GA nam powiedziało.

Brander odwraca się z powrotem w stronę pulpitu.

– Nie o jakimkolwiek trzęsieniu ziemi – oznajmia. W jego głosie pojawiło się napięcie. – O *tym samym* trzęsieniu ziemi. Na okrągło.

Mężczyzna dotyka ikony na ekranie. Na wyświetlaczu pojawiają się dwie osie, x i y . Przy każdej z nich świeci szmaragdowy napis. Clarke pochyla się do przodu: CZAS przy osi odciętych, AKTYWNOŚĆ przy rzędnych.

Po ekranie, od lewej do prawej, zaczyna pełznąć linia.

– Oto dość toporny, łączny wykres obrazujący każdy okres, jaki poświęciliśmy na obserwację tego czegoś – wyjaśnia Brander.

– Próbowałem przypisać osi y jakieś jednostki, ale rzecz jasna jedynym, co udawało nam się wywnioskować po dostrojeniu, było „teraz intensywnie myśli” albo „teraz zwalnia”. Tak więc musicie zadowolić się mocno względną skalą. To, co teraz widzicie, to linia bazowej aktywności.

Kreska wystrzeliwuje mniej więcej do jednej czwartej wysokości skali i stabilizuje się na tym poziomie.

– W tym momencie zaczął o czymś myśleć. Nie potrafię odnieść tego do żadnych rzeczywistych wydarzeń, jak na przykład lokalne wstrząsy; najwyraźniej zaczął myśleć sam z siebie. Wydaje mi się, że to pętla generowana wewnętrznie.

– Symulacja – rzuca Lubin.

– Myśli sobie tak przez jakiś czas – ciągnie Brander, ignorując jego uwagę. – A potem, voilà... – Kolejny skok, tym razem do połowy wysokości osi. Linia utrzymuje nowy poziom przez kilka pikseli, spada łagodnie o piksel czy dwa, po czym znów wystrzeliwuje do góry. – Tutaj myślał dość intensywnie, potem nieco się rozluźnił, by ostatecznie zacząć myśleć jeszcze intensywniej. – Jeszcze jeden, mniejszy skok i kolejny, łagodny spadek. – Tutaj jeszcze bardziej zatopił się w myślach, ale potem zrobił sobie długą, miłą przerwę. – I faktycznie, spadek trwa niemalże trzydzieści sekund.

– A mniej więcej *teraz*...

Linia wystrzeliwuje w górę, docierając niemalże do kresu skali i oscyluje w tych okolicach.

– A tu mało mu żyłka nie pęknie. Trwa to przez jakiś czas, a potem...

Linia spada pionowo w dół.

– ...wraca do bazowej aktywności. Pojawiają się jakieś drobne zakłócenia. Przypuszczam, że zapisuje uzyskane rezultaty albo aktualizuje pliki czy coś w tym stylu – i wszystko zaczyna się od nowa. – Brander odchyła się na krześle, zaplata ręce za głowę i spogląda na pozostałych. – To wszystko, co on robi. Przynajmniej przez ten czas, kiedy go obserwowaliśmy. Cały cykl trwa jakieś piętnaście minut.

– I tyle? – pyta Lubin.

– Pojawiają się pewne interesujące wariacje, ale tak wygląda schemat podstawowy.

– Więc co to oznacza? – Tym razem Clarke.

Brander pochyla się znów nad biblioteką.

– Załóżmy, że jesteś trzęsieniem ziemi, mającym miejsce tu, na ryfcie i rozchodzącym się na wschód. Zgadnij ile uskoków musiałabyś minąć, by dotrzeć do stałego lądu.

Lubin kiwa głową bez słowa. Clarke przygląda się wykresowi i zgaduje: Pięć.

Nakata nawet nie mruga, ale Nakata już od wielu dni ogólnie niewiele robi.

Brander wskazuje na pierwszy skok.

– My. Komin Channer.

Drugi:

– Juan de Fuca, Segment Coaxial.

Trzeci:

– Juan de Fuca, Segment Endeavour.

Czwarty:

– Beltz Minifrac.

Ostatni i największy:

– Strefa Subdukcji Cascadia.

Mężczyzna czeka na reakcję pozostałych. Nikt się nie odzywa. Z zewnątrz dobiega ledwie słyszalny dźwięk żałobnych dzwonek wietrznych.

– Jezu. Słuchajcie, wszystkie symulacje są tym trudniejsze do przeprowadzenia, im więcej posiadają możliwych rezultatów. Kiedy trzęsienie ziemi przechodzi przez uskok, powstają podrzędne fale, prostopadłe do głównego kierunku przemieszczania się wstrząsów. To sprawia, że bardzo trudno cokolwiek wyliczyć w tych punktach, jeśli chcesz odwzorować cały proces.

Clarke wpatruje się w ekran.

– Jesteś tego pewny?

– Chryste, Len, opieram to na oderwanych emanacjach gluta zbudowanego z pieprzonej tkanki nerwowej. Oczywiście, że nie jestem pewny. Ale jedno mogę ci powiedzieć: Jeśli przyjmiesz, że pierwszy skok reprezentuje początkowe wstrząsy, a ostatni spadek moment dotarcia do stałego lądu, zakładając przy tym względnie stałą prędkość rozchodzenia się fal, to wszystkie górki pomiędzy wypadają niemal dokładnie w miejscach, gdzie byłyby Cobb, Beltz i Cascadia. Wątpię, że to zbieg okoliczności.

Clarke marszczy brwi.

– Ale czy to nie znaczyłoby, że model przestaje działać, kiedy dociera do N'AmPac? Wydawałoby się, że właśnie to powinno najbardziej ich interesować.

Brander przygryza wargę.

– No cóż, w tym rzecz. Wygląda na to, że im mniejsza aktywność pod koniec cyklu, tym dłużej on trwa.

Clarke czeka. Nie musi o nic pytać. Brander sprawia wrażenie tak dumnego z siebie, że na pewno będzie kontynuował wyjaśnienia.

– A jeśli założysz, że mniejsza aktywność pod koniec cyklu odzwierciedla słabsze przewidywane trzęsienie ziemi, to ser wydaje się poświęcać więcej czasu na myślenie o wstrząsach, które poczyniłyby mniejsze szkody na wybrzeżu. Jednak zazwyczaj po prostu zatrzymuje się z chwilą osiągnięcia linii brzegowej.

– Istnieje pewien próg – odzywa się Lubin.

– Co?

– Za każdym razem, gdy przewidzi, że wstrząsy na wybrzeżu przekroczą pewien określony próg, kończy dany model i zaczyna od nowa. Niedopuszczalne straty. Poświęca więcej czasu na myślenie o słabszych trzęsieniach ziemi, ale póki co wszystkie powodowały niedopuszczalne straty.

Brander powoli kiwa głową.

– Też się nad tym zastanawiałem.

– Więc przestań. – Głos Lubina ma jeszcze bardziej martwe brzmienie niż zazwyczaj. – To coś koncentruje się tylko na jednym pytaniu.

– Jakim pytaniu? – chce wiedzieć Clarke.

– Lubin, jesteś paranoikiem – prycha Brander. – Tylko dlatego, że jest nieco radioaktywne...

– Okłamali nas. Zabrali Judy. Nawet ty nie jesteś na tyle naiwny...

– Jakim pytaniu? – powtarza Clarke.

– Ale dlaczego? – dopytuje Brander. – Jaki mieliby w tym cel?

– Mike. – Głos Clarke jest łagodny i wyraźny. – *Zamknij się.*

Brander mruga i milknie. Clarke zwraca się w stronę Lubina.

– Jakim pytaniu?

– Żel obserwuje tutejsze płyty i zadaje sobie pytanie, co stałoby się w N'AmPac, gdyby trzęsienie ziemi wybuchło tu i teraz? – Lubin rozchyła wargi, jednak mało kto pomyliłby to z uśmiechem. – Póki co nie spodobały mu się uzyskane odpowiedzi. Ale prędzej czy później przewidywane straty osiągną wynik poniżej jakiegoś poziomu krytycznego.

– Co wtedy? – pyta Clarke. *Jakbym tego nie wiedziała.*

– Wtedy nastąpi wybuch – odpowiada cichy głos.

Alice Nakata znów zaczęła mówić.

Strefa zero

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywa.

– To jakieś szaleństwo – odzywa się wreszcie Lenie Clarke.

Lubin wzrusza ramionami.

– Więc mówisz, że to jakaś bomba?

Mężczyzna kiwa głową.

– Dość duża, by wywołać trzęsienie ziemi trzy, cztery kilometry dalej?

– Nie – włącza się Nakata. – Zatrzymałyby je wszystkie te uskoki, które musiałyby ono minąć. Jak zapory.

– Chyba że – zaznacza Lubin – jeden z tych uskoków byłby praktycznie gotowy osunąć się sam z siebie.

Cascadia. Nikt nie mówi tego na głos. Nikt nie musi. Pewnego dnia pięćset lat temu płyta Juan de Fuca stwierdziła, że ma już dość. Nie miała dłużej ochoty być wiecznie zgnyatana pod obcasem Ameryki Północnej, więc po prostu przestała się przesuwać, wczepiła się pazurami i rzuciła wyzwanie reszcie świata, by ją strząsnął. Jak do tej pory reszcie świata się to nie udało. Lecz napięcie kumulowało się od pięciu wieków. To już tylko kwestia czasu.

Kiedy Cascadia wreszcie ustąpi, wiele map będzie musiało trafić do recyklingu.

Clarke spogląda na Lubina.

– Więc mówisz, że nawet mała bomba zdetonowana tutaj wystarczy, by oddzielić Cascadię.

Twierdzisz, że mamy do czynienia z dużą, prawdą?

– Tak właśnie powiedział – potwierdza Brander. – No więc dlaczego, Kenie, stary druhu? To jakiś azjatycki przekręt związany z rynkiem nieruchomości? Atak terrorystyczny na N^o AmPac?

– Chwileczkę. – Clarke podnosi rękę. – Oni wcale nie próbują *wywołać* trzęsienia ziemi. Oni próbują mu *zapobiec*.

Lubin kiwa głową.

– Detonujesz ładunek na ryfcie, powodujesz trzęsienie ziemi. Kropka. To, jak poważne się ono okaże, zależy od warunków panujących w chwili detonacji. To coś powstrzymuje się do momentu, aż spowoduje jak najmniej szkód na lądzie.

Brander prycha.

– Daj spokój, Lubin, czy to nie drobna przesada? Gdyby chcieli nas zlikwidować, nie mogliby po prostu zejść tu na dół i nas zastrzelić?

Lubin spogląda na niego pustymi oczami.

– Nie wierzę, że mógłbyś być tak głupi, Mike. Może po prostu nie dopuszczasz tego do świadomości.

Brander podnosi się z krzesła.

– Posłuchaj, Ken.

– Nie chodzi o nas – włącza się Clarke. – Nie chodzi *tylko* o nas. Prawda?

Lubin potrząsa głową, nie spuszczając wzroku z Brandera.

– Chcą zlikwidować *wszystko*. Cały ryft.

Lubin kiwa głową.

– Dlaczego?

– Nie wiem – przyznaje mężczyzna.

To było do przewidzenia, myśli Clarke. Ani chwili świętego spokoju.

Brander opada z powrotem na krzesło.

– Dlaczego się uśmiechasz? Clarke potrząsa głową.

– Nic takiego.

– Musimy coś *zrobić* – oznajmia Nakata.

– Co ty nie powiesz, Alice. – Brander spogląda na Clarke. Jakies pomysły?

Ta wzrusza ramionami.

– Ile mamy czasu?

– Jeśli Lubin ma rację, to kto wie? Może dzień. A może dziesięć lat. Trzęsienie ziemi to typowy przykład systemu chaotycznego, a tektonika zmienia się tu z minuty na minutę. Gardło osunie się choćby o milimetr i zamiast wstrząsów wszystko może się stopić.

– Może to urządzenie o niewielkiej mocy – podsuwa z nadzieją Nakata. – Poza tym znajduje się daleko stąd, a cała ta masa wody może wyłumić falę uderzeniową przed dotarciem do nas.

– Nie – odpowiada Lubin.

– Ale przecież nie możemy tego *wiedzieć*.

– Alice – przerywa jej Brander. – Cascadia oddalona jest o prawie dwieście kilometrów. Jeśli coś potrafi wytworzyć fale sejsmiczne zdolne oddzielić ją pomimo takiego dystansu, to raczej sobie tu na nich nie posurfujemy. Może nie wyparujemy, ale fala uderzeniowa rozszarpie nas na kawałeczki.

– Może możemy jakoś to wyłączyć – podsuwa Clarke.

– Nie – ucina Lubin bezbarwnym, ale dobitnym głosem.

– Dlaczego nie? – pyta Brander.

– Nawet jeśli udałoby nam się ominąć pierwszą linię obrony, to widzimy tylko wierzchołek całej konstrukcji. Wszystkie kluczowe elementy ukryte są pod ziemią.

– Gdyby udało się nam wejść do środka w okolicach wierzchołka, może znaleźlibyśmy dostęp...

– Istnieje ryzyko, że zaprogramowano ją na stłumioną detonację, jeśli ktoś spróbuje przy niej majstrować – dodaje Lubin. – Poza tym są jeszcze inne, na które nie trafiliśmy.

Brander podnosi wzrok.

– A niby skąd możesz o tym wiedzieć?

– Muszą być. Na tej głębokości trzeba by było prawie trzystu megaton, by wytworzyć bąbel o średnicy chociażby pół kilometra. Jeśli chcą zmieścić z powierzchni ziemi znaczną część ryftu, będą potrzebować wielu rozproszonych ładunków.

Na chwilę zapada cisza.

– Trzysta megaton – powtarza Brander. – Wiesz, nie potrafię wyrazić, jak bardzo *zaniepokojony* jestem odkrywając, że wiesz takie rzeczy.

Lubin wzrusza ramionami.

– Podstawowa fizyka. Nie powinno to dziwić nikogo, kto liznął choć trochę nauk ścisłych.

Brander zrywa się znów na równe nogi; jego twarz znajduje się w odległości zaledwie kilku centymetrów od twarzy Lubina.

– Ty też zaczynasz mnie kurewsko niepokoić, Lubin – cedzi przez zaciśnięte zęby. – *Kim* ty w ogóle kurwa jesteś?

– Mike – zaczyna Clarke.

– Nie, kurwa, naprawdę *chcę* to wiedzieć. Gównu o tobie wiemy, Lubin. Nie potrafimy się do ciebie dostroić, sprzedajemy twoją bzdurną historyjkę lądowcom, a ty *wciąż* nawet nie zechciałeś wyjaśnić nam po co, a teraz jeszcze gadasz jak jakiś pieprzony tajny agent. Jeśli chcesz tu rządzić, to po prostu powiedz. Tylko przestań bawić się w człowieka-bez-imienia.

Clarke robi krok do tyłu. Okej. W porządku. Skoro wydaje mu się, że może zadzierać z Lubinem, jest zdany tylko na siebie.

Lecz po Lubinie nie widać żadnego znaku. Żadnej zmiany postawy, tempa oddechu, jego dłonie nie zaciskają się w pięści. Gdy się odzywa, mówi spokojnym głosem.

– Jeśli dzięki temu poczujesz się choć trochę lepiej, to proszę bardzo; zadzwoń na górę i powiedz im, że wciąż żyję. Powiedz im, że ich okłamaliście. Jeśli...

Jego oczy wciąż są takie same. To samo beznamiętne, białe spojrzenie, ale otaczające je ciało zaczyna nagle *drgać* i wtedy Clarke dostrzega znaki; delikatne pochylenie naprzód, nieznaczące uwydatnienie żył i ścięgien szyi. Brander też to widzi. Stoi bez ruchu niczym pies, który znalazł się nagle w świetle reflektorów.

Kurwa, kurwa, kurwa, zaraz wybuchnie...

Ale znów się myli. Choć wydaje się to niemożliwe, Lubin rozluźnia ciało.

– Natomiast jeśli chodzi o twoje wielce pochlebne pragnienie poznania mnie – mężczyzna poufale kładzie Branderowi rękę na ramieniu – to nawet nie wiesz jakie masz szczęście, że tak się nie stało.

Lubin cofa rękę i rusza w kierunku drabiny.

– Dostosuję się do każdej decyzji, jaką podejmiecie, chyba że będzie miała coś wspólnego z majstrowaniem przy ładunkach jądrowych. A póki co wychodzę na zewnątrz. Robi się tu strasznie ciasno.

Znika w otworze w podłodze. Nikt się nie porusza. Odgłos napelniającej się wodą śluzy wydaje się szczególnie głośny.

– *Jezu, Mike.* – Lenie Clarke wypuszcza wreszcie wstrzymywany oddech.

– Od kiedy on chce tu rządzić? – Wygląda na to, że Brander odzyskał część brawury. Mężczyzna toczy po pokładzie wrogim wzrokiem. – Nie ufam temu skurwielowi. Nieważne, co mówi. Pewnie właśnie się do nas dostraja.

– Nawet jeśli, to wątpię, żeby odebrał coś więcej poza tym, co już i tak mu wykrzyczałeś.

– Słuchajcie – odzywa się Nakata. – Musimy coś *zrobić*.

Brander wyrzuca ręce w górę.

– A jaki mamy wybór? Skoro nie rozbroimy tego cholerstwa, to możemy albo stąd spieprzać, albo siedzieć i czekać aż nas sfajczy. Moim zdaniem to niespecjalnie trudna decyzja.

Nie? Clarke to dziwi.

– Nie możemy uciec na powierzchnię – przypomina Nakata. Jeśli dorwali Judy...

– Więc będziemy trzymać się dna – kwituje Brander. – Dobrze. Oszukamy ich sonar. Będziemy musieli zostawić kalmary, bo za łatwo je wytropić.

Nakata kiwa głową.

– Lenie? Co?

Clarke podnosi wzrok. Zarówno Brander, jak i Nakata wpatrują się w nią ze skupieniem.

– Nic nie mówiłam.

– Wyglądasz, jakbyś tego nie pochwałała.

– Do wyspy Vancouver jest trzysta kilometrów, Mike. Co najmniej. Dotarcie tam bez kalmarów mogłoby zająć nam ponad tydzień, zakładając, że się nie zgubimy.

– Poza ryfem nasze kompasy działają bez zarzutu. Poza tym to dość duży kontynent, Len; musielibyśmy naprawdę się postarać, żeby na niego *nie* wpaść.

– A co zrobimy, jak już tam dotrzemy? Jak przedostaniemy się przez Pas?

Brander wzrusza ramionami.

– Pewnie. O ile wiemy, uchodźcy mogą pozreć nas żywcem, jeśli wcześniej pływające w okolicy

śmiejcie nie zapchają nam skrzel. Ale serio, Len, myślisz, że masz większe szanse z tykającą bombą jądrową? Nie opływamy w możliwości.

– Jasne. – Clarke unosi dłoń w geście kapitulacji. – Dobra.

– Twój problem, Len, polega na tym, że zawsze byłeś fatalistką – orzeka Brander.

Kobieta uśmiecha się, słysząc te słowa. *Nie zawsze.*

– Pozostaje jeszcze kwestia żywności – wtrąca Nakata. – Jeśli zabierzemy ze sobą zapasy na taką podróż, znacząco nas to spowolni.

Wcale nie chcę opuszczać tego miejsca, orientuje się Clarke. Nawet teraz. Czy to nie głupie?

– Nie wydaje mi się, byśmy musieli przejmować się prędkością – mówi Brander. – Jeśli to coś wybuchnie w ciągu najbliższych kilku dni, kilka metrów na godzinę więcej i tak nic nam nie da.

– Moglibyśmy podróżować z niewielkim ładunkiem i żywić się po drodze – odzywa się Clarke, pozwalając myślom dryfować.

– Gerry całkiem nieźle sobie radzi.

– Gerry – powtarza Brander, nagle jakby zgaszony.

Na chwilę zapada cisza. Beebe dygocze pod wpływem odległego płaczu dzieła Lubina.

– O Boże – odzywa się Brander ściszym głosem. – Ta rzecz po jakimś czasie zaczyna naprawdę działać na nerwy.

Oprogramowanie

Jakiś dźwięk.

Ale nie głos. Już od wielu dni Scanlon nie słyszał innego głosu poza swoim własnym. Nie był to też dozownik żywności ani klozet. Ani znajomy chrzęst roztrzaskanej maszynierii pod stopami. Ani nawet odgłos pękającego plastiku czy szczęk uderzanego metalu; mężczyzna zdążył już zniszczyć wszystko, co tylko dał radę, a z resztą dał sobie spokój.

Nie, to coś innego. Syk. Dopiero po chwili przypomniał sobie, co to takiego.

Dźwięk kompresującego się włazu.

Mężczyzna wyciągnął szyję, by móc wyrzeć zza zasłaniającej mu widok szafki. Na ścianie, obok metalowej elipsy, świeciła jak zwykle czerwone dioda. Na jego oczach zmieniła kolor na zielony.

Właz otworzył się. Do środka wkroczyło dwóch mężczyzn ubranych w kondomy; padające zza ich pleców światło rzuciło na podłogę pomieszczenia długie cienie. Rozejrzeli się naokoło, w pierwszej chwili nie dostrzegając Scanlona.

Jeden z nich rozjaśnił światła.

Scanlon podniósł wzrok, mrużąc oczy. Za paskami mężczyzn tkwiła broń. Ich spojrzenia spoczęły na nim na dłuższą chwilę. Pofałdowana błona izolacyjna na ich twarzach sprawiała wrażenie skóry dotkniętej trądem.

Scanlon westchnął i wstał. Fragmenty porozbijanych urządzeń upadły z brzękiem na podłogę. Strażnicy usunęli się na bok, pozwalając mu przejść, po czym bez słowa ruszyli za nim na zewnątrz.

Inne pomieszczenie. Pas światła dzielił je na dwie ciemne połowy. Wystrzeliwał on z wgłębienia w suficie, przecinając zasłony w kolorze czerwonego wina i dywan, a następnie kładąc się jasną smugą na stole konferencyjnym. Tu linia rozpadała się na maleńkie, jaskrawe kreseczki odbite od perspektowych wyświetlaczy wprawionych w mahoń padów.

Granica, której nie należy przekraczać. Patricia Rowan stała na drugim końcu pomieszczenia; blask oświetlał połowę jej twarzy.

– Ładny pokój – zauważył Scanlon. – Czy to znaczy, że to już koniec mojej kwarantanny?

Rowan nie zwróciła się w jego stronę.

– Obawiam się, że zmuszona jestem poprosić cię, byś zechciał zostać po swojej stronie światła.

Dla twojego własnego bezpieczeństwa.

– A nie twojego?

Kobieta bez patrzenia wskazała dłonią światło.

– Mikrofale. I chyba też ultrafiolet. Usmażą cię, jeśli spróbujesz przejść na drugą stronę.

– Aha. Cóż, możliwe, że miałaś rację od samego początku. – Scanlon odsunął krzesło i usiadł przy stole. – Kilka dni temu pojawił się u mnie prawdziwy objaw. Moje stolce stały się nieco luźne. Flora jelitowa nie funkcjonuje chyba prawidłowo.

– Przykro mi to słyszeć.

– Myślałem, że się ucieszysz. To jedyne ewentualne potwierdzenie twojej tezy jak do tej pory.

Milczenie obu stron trwało niemalże minutę.

– Ja... Chciałam porozmawiać – odezwała się wreszcie Rowan.

– Ja też. Kilka tygodni temu. – Kobieta nie odpowiedziała, więc dodał jeszcze: – Dlaczego teraz?

– Jesteś terapeutą, prawda?

– Neurokognitywistą. Nie *rozmawiamy*, jak zechciałaś to określić, już od kilku dziesięcioleci. My

przepisujemy leki.

Rowan spuszcza głowę.

– Bo widzisz, mam... – zaczęła. – ...krew na rękach – dokończyła po chwili.

– Więc tak naprawdę nie potrzebujesz mnie. Potrzebujesz księdza.

– Oni też nie rozmawiają. A w każdym razie nie mówią zbyt wiele.

Świetlna zasłona buczy cicho jak lampa owadobójcza.

– Piranozowe RNA – powiedział Scanlon po chwili. – Pięciokątny pierścień rybozy. Pierwotny wzór współczesnych kwasów nukleinowych, dość powszechny jakieś trzy i pół miliarda lat temu.

Biblioteka podaje, że sam w sobie mógłby stanowić całkiem znośną matrycę genetyczną; replikuje się szybciej niż DNA, a pojawia się przy tym mniej błędów. Ale jakoś nigdy się nie przyjął.

Rowan nic na to nie powiedziała. Możliwe, że kiwnęła głową, ale trudno to stwierdzić.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o twoją historyjkę o „zagrożeniu dla rolnictwa”. No więc powiesz mi wreszcie, co tu się dzieje czy zamierzasz dalej bawić się w tą gierkę?

Rowan otrząsnęła się, jakby wróciła gdzieś z daleka. Po raz pierwszy spojrzała Scanlonowi prosto w twarz. Światło sterylizacyjne odbijające się od jej czoła sprawiło, że jej oczy skryły się w głębokim cieniu. Jej połyskujące soczewki przywodziły na myśl podświetloną platynę.

Sprawiała wrażenie jakby nie zauważyła, w jakim mężczyzna jest stanie.

– Nie okłamałam cię, doktorze Scanlon. Zasadniczo można określić to jako problem związanym z rolnictwem. Mamy tu do czynienia z czymś w rodzaju nanobakterii glebowej. Tak naprawdę nie jest ona wcale patogenem. Raczej konkurencją. I nie, rzeczywiście nigdy się nie przyjęła. Ale jak się okazuje, nigdy też całkowicie nie wymarła.

Rowan opadła na krzesło.

– A wiesz, co jest najbardziej posrane w tym wszystkim? Moglibyśmy wypuścić cię choćby i teraz i możliwe, że wszystko byłoby w porządku. W zasadzie to prawie pewne. Mówią, że istnieje szansa jak jeden do tysiąca, że byśmy tego pożałowali. Może nawet jeden do *dziesięciu* tysięcy.

– To dość małe prawdopodobieństwo – przyznał Scanlon. – W czym tkwi haczyk?

– Nie dość małe. Nie możemy ryzykować.

– Większe ryzyko ponosisz wychodząc codziennie na zewnątrz.

Rowan westchnęła.

– A ludzie cały czas biorą udział w loteriach, w których prawdopodobieństwo zdobycia głównej nagrody wynosi jeden do miliona. I chociaż w rosyjskiej ruletce szanse na wygraną są o wiele większe, mało kto decyduje się podjąć ryzyko.

– Inna stawka.

– Tak. Stawka. – Rowan potrząsnęła głową; w pewnym dziwnym, abstrakcyjnym sensie sprawia wrażenie niemal rozbawionej. – Analiza kosztów i korzyści, Yves. Maksymalne prawdopodobieństwo. Ocena ryzyka. Im mniejsze ryzyko, tym więcej sensu ma podjęcie gry.

– I na odwrót – dodaje Scanlon.

– Tak. Oczywiście. Na odwrót.

– Musi być słabo odrzucać szansę jak jeden do dziesięciu tysięcy.

– O tak. – Nie spojrzała mu w oczy.

Rzecz jasna, spodziewał się tego. Lecz mimo to poczuł się, jakby ktoś uderzył go w żołądek.

– Niech zgadnę – powiedział. Miał duże trudności z zachowaniem spokojnego tonu głosu. – Jeśli wyjdę na wolność, cały N'AmPac znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– Gorzej – odpowiedziała cicho Rowan.

– Aha. Gorzej niż cały N'AmPac. No dobrze. W takim razie ludzka rasa. Cała ludzka rasa

wyciągnie kopyta, jeśli tylko kichnę na zewnątrz.

– Gorzej – powtórzyła kobieta.

Kłamie. Musi kłamać. Jest tylko jebaną lądową pizdą. Znajdź na nią haka.

Scanlon otworzył usta. Nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Spróbował jeszcze raz.

– Skubana nanobakteria. – Jego ledwie słyszalny głos niemal zlał się w jedno z ciszą, jaka następnie zapanowała.

– Właściwie to pod wieloma względami bardziej przypomina wirusa – odezwała się ostatecznie Rowan. – Boże, Yves, *wciąż* nie jesteśmy do końca pewni, co to takiego. Jest stare, starsze nawet niż archeony. Ale przecież sam do tego doszedłeś. Mnóstwo szczegółów jest dla mnie kompletnie niezrozumiałych.

Scanlon zachichotał.

– Szczegóły są dla ciebie *niezrozumiałe*? – Jego głos podniósł się o oktawę, po czym znów opadł. – Trzymasz mnie w zamknięciu przez cały ten czas, a teraz mówisz mi, że zostanę tu na zawsze – bo *zakładam*, że to właśnie zamierzasz mi powiedzieć. – Słowa padały zbyt szybko, by kobieta miała czas zaprotestować. – I nie potrafisz zapamiętać *szczegółów*? Och, ależ nie ma problemu, pani Rowan. Dlaczego niby miałbym chcieć je poznać?

Kobieta nie odpowiedziała wprost.

– Istnieje teoria, że życie narodziło się w kominach ryftowych. Całe życie. Wiedziałeś o tym, Yves?

Scanlon pokręcił głową. *O czym ona do diabła mówi?*

– Dwa prototypy – ciągnęła Rowan. – Trzy, cztery miliardy lat temu. Dwa konkurencyjne modele. Jeden z nich zmonopolizował rynek, wyznaczył wzorzec wszystkiego, od wirusów po ogromne sekwoje. Ale rzecz w tym, Yves, że zwycięzcą niekoniecznie okazał się lepszy produkt. Po prostu jakimś cudem mu się poszczęściło, nabrał rozpędu na samym starcie. To jak z oprogramowaniem, wiesz? Najlepsze programy nigdy nie stają się standardami w przemyśle.

Kobieta wzięła głęboki oddech.

– Najwyraźniej my też nie jesteśmy najlepsi. Najlepsi nigdy nie opuścili dna oceanu.

– A teraz to jest we mnie? Jestem jakimś pacjentem zero? – Scanlon potrząsnął głową. – Nie. To niemożliwe.

– Yves.

– To tylko głębia oceaniczna. Nie przestrzeń kosmiczna, na miłość boską. Są prądy morskie, cyrkulacja wód, to coś wydostałoby się na powierzchnię sto milionów lat temu, już od dawna byłoby wszędzie.

Rowan pokręciła głową.

– *Nawet nie próbuj mi tego wmawiać.* Jesteś pieprzonym *korpem*, nie masz *pojęcia* o biologii! Sama tak powiedziałaś!

Wzrok Rowan nagle stał się nieobecny.

– Aktywnie podtrzymywane hipoosmotyczne środowisko wewnątrzkomórkowe – wyrecytowała. – Stężenie jonów potasu, wapnia i chloru utrzymywane na poziomie niższym niż pięć milimoli na kilogram. – Na tle jej źrenic wirują maleńkie burze śnieżne. – Powstający w następstwie silny osmotyczny gradient w połączeniu z dużą porowatością dwuwarstwy pozwala na niezwykle efektywne przyswajanie związków azotu. Jednocześnie jednak ogranicza to występowanie w środowiskach wodnych o zasoleniu przekraczającym dwadzieścia części na tysiąc, ze względu na wysokie koszty osmoregulacji. Wzrost temperat...

– Zamknij się!

Rowan natychmiast zamilkła; jej oczy pociemniały lekko.

– Nie masz pieprzonego pojęcia, co przed chwilą powiedziałaś – warknął Scanlon. – Po prostu przeczytałaś wszystko z tego swojego wbudowanego promptera. Nie masz pojęcia.

– One są nieszczelne, Yves. – Jej głos złagodniał nieco. – Daje im to dużą przewagę, jeśli chodzi o przyswajanie substancji odżywczych, ale obraca się przeciw nim w słonej wodzie, bo muszą przeznaczać mnóstwo energii na osmoregulację. Muszą utrzymywać wysoki metabolizm albo skurczą się jak rodzyńki. A tempo metabolizmu rośnie lub spada wraz z temperaturą otoczenia, nadążasz?

Scanlon spojrział na nią z zaskoczeniem.

– Potrzebują ciepła. Umrą, jeśli opuszczą ryft.

Rowan pokiwała głową.

– Trochę to trwa, nawet przy czterech stopniach. Większość po prostu siedzi w głębi kominów, gdzie zawsze jest ciepło, i jakoś są w stanie przetrwać okresy zimna pomiędzy erupcjami. Natomiast, widzisz, cyrkulacja wody w głębinach jest tak wolna, że jeśli opuszczą jeden ryft, zginą przed dotarciem do kolejnego. – Wzięła głęboki oddech. – Ale gdyby udało im się to *obejść*, rozumiesz? Gdyby dostały się do środowiska mniej zasolonego, albo chociaż nie aż tak zimnego, byłyby w stanie odzyskać utraconą przewagę. To jak konkurować o obiad z czymś, co je dziesięć razy szybciej niż ty.

– Jasne. Noszę w sobie Armagedon. Daj spokój, Rowan. Za kogo mnie masz? To coś wyewoluowało na dnie oceanu, a potrafi ot tak wskoczyć na człowieka i załatwić sobie darmową podwózkę do wielkiego miasta?

– Twoja krew jest ciepła. – Rowan wbiła wzrok w swoją połowę stołu. – I dużo mniej słona niż woda morska. Temu czemuś jest nawet lepiej wewnątrz organizmu. Już od wieków siedzi w tamtejszych rybach, dlatego rosną czasem takie wielkie. Najwyraźniej to coś w stylu symbiozy wewnątrzkomórkowej.

– No a co z różnicą ciśnień? Jakim cudem coś, co wyewoluowało przy czterech tysiącach atmosfer, mogłoby przetrwać na poziomie morza?

Kobieta nie ma gotowej odpowiedzi na to pytanie. Po chwili jej oczy rozjaśniają się lekko.

– W zasadzie to lepiej mu tu na górze niż tam na dole. Wysokie ciśnienie hamuje działanie większości enzymów odpowiedzialnych za metabolizm.

– Więc dlaczego nie choruję?

– Jak powiedziałam, to jest efektywne. Dowolny organizm zawiera dostatecznie dużo pierwiastków śladowych, by starczyło to temu czemuś na jakiś czas. To nie potrzebuje zbyt wiele. Mówią, że ostatecznie twoje kości staną się kruche...

– To wszystko? To całe zagrożenie? Epidemia osteoporozy? – Scanlon roześmiał się na głos. – W takim razie proszę bardzo, dawajcie tutaj tych eksterminatorów!

Odgłos uderzającej o stół dłoni Rowan rozbrzmiał niezwykle głośno.

– Pozwól, że opowiem ci, co stanie się, jeśli to coś wydostanie się na wolność – mówi cicho kobieta. – Z początku nic. Widzisz, przewyższamy to liczebnie. Z początku przytłoczymy go samą naszą ilością. Symulacje przewidują, że nastąpi mnóstwo wszelkiego rodzaju potyczek i falstartów. Ale ostatecznie to się rozprzestrzeni. A potem pokona typowych reducentów i zmonopolizuje bazę naszych nieorganicznych składników odżywczych. Podkopie to całą piramidę troficzną u samej podstawy. Ty, ja, wirusy i olbrzymie sekwoje, wszyscy znikniemy z powodu niedoboru azotanów albo czegoś równie głupiego. Nastanie Era Behemota.

Scanlon nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– Behemota? – zapytał wreszcie.

– Pisanego z beta. Jak beta życie. W odróżnieniu od alfa, czyli wszystkiego innego – Rowan

prychnęła cicho. – Wydaje mi się, że nazwali to od czegoś z Biblii. Jakiegoś zwierzęcia. Trawożercy.

Scanlon pociera skronie, myśląc gorączkowo.

– Zakładając chwilowo, że mówisz prawdę, to i tak jest to tylko mikrob.

– Zamierzasz wspomnieć o antybiotykach. Większość z nich nie zadziała. Reszta zabije pacjenta.

Nie możemy też stworzyć wirusa, który by go zwalczył, bo Behemot używa unikatowego kodu genetycznego. – Scanlon otworzył usta, ale Rowan uniosła dłoń.

– Teraz zamierzasz zasugerować stworzenie czegoś kompletnie od zera, dostosowanego do genetyki Behemota. Pracujemy nad tym, ale ten wirus korzysta z tej samej molekuly do replikacji i katalizy; masz pojęcie, jak to komplikuje sprawę? Powiedziano mi, że za kilka tygodni być może będziemy wiedzieć, gdzie kończy się jeden gen, a zaczyna kolejny. Wtedy będziemy mogli zacząć odcyfrowywanie całego alfabetu. Potem języka. A potem może będziemy w stanie stworzyć coś zdolnego z tym walczyć. Dopiero *wtedy*, gdy i jeśli przypuścimy kontratak, wydarzy się jedna z dwóch rzeczy. Albo nasz wirus będzie zabijał ich wirusa tak szybko, że samemu sobie zamknie drogę do dalszego przenoszenia się; eliminacja będzie więc jedynie miejscowa i zakończy się implozją, co w żaden sposób nie załatwi problemu całościowo; albo nasz wirus będzie zabijał ich wirusa zbyt wolno, by za nim nadążyć. Typowy przykład systemu chaotycznego. Praktycznie nie ma szans, żebyśmy opanowali śmiertelność na czas. Odizolowanie go jest naszą jedyną opcją. Co ciekawe, przez cały czas, gdy mówiła, jej oczy pozostały ciemne.

– No cóż. Wygląda na to, że znasz jednak kilka szczegółów – zauważył cicho Scanlon.

– To ważne, Yves.

– Proszę zwracać się do mnie per doktorze Scanlon.

Kobieta uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Przepraszam, doktorze Scanlon. *Naprawdę* przepraszam.

– A co z pozostałymi?

– Pozostałymi – powtórzyła.

– Clarke, Lubinem. Wszystkimi ze stacji głębinowych.

– Z tego, co nam wiadomo, pozostałe stacje są czyste. Tylko to jedno miejsce na Juan de Fuca.

– To było do przewidzenia – stwierdził Scanlon.

– Co takiego?

– Nigdy nie mogą liczyć na święty spokój, wiesz? Wszyscy robią ich w chuja, od kiedy byli dziećmi. A teraz ten wirus pojawia się tylko w jednym, jedynym punkcie na całym świecie i oczywiście musiało to być to miejsce, gdzie oni właśnie mieszkają.

Rowan potrząsnęła głową.

– Ale znaleźliśmy go też w innych miejscach. Tyle, że niezamieszkanym. Beebe była jedynym. – Kobieta westchnęła. – Właściwie to mieliśmy ogromne szczęście.

– Wcale nie.

Rowan spogląda na niego.

– Przykro mi, że muszę przygasić twój optymizm, ale w zeszłym roku była tam cała ekipa budowlana. Może i nikt z waszych ludzi nie zamoczył nawet palca, ale naprawdę myślicie, że Behemot nie mógłby zabrać się na powierzchnię z ich sprzętem?

– Nie – odpowiedziała mu Rowan. – Wcale tak nie myślimy.

Jej twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Minęła dłuższa chwila, zanim Scanlon zrozumiał.

– Stocznia Urchin – wyszeptał. – Coquitlam.

Rowan zamknęła oczy.

– I wiele innych.

– O Jezu – wykrztusił mężczyzna. – Więc już się rozprzestrzenia.

– Rozprzestrzeniał – poprawiła go Rowan. – Możliwe, że udało nam się go powstrzymać. Jeszcze tego nie wiemy.

– A co, jeśli wam się nie udało?

– Będziemy próbować dalej. Co innego możemy zrobić?

– A jest przynajmniej jakaś górna granica? Jakaś maksymalna liczba ofiar, po której przyznacie się do porażki? Czy którakolwiek z symulacji podpowiedziała wam, kiedy się *poddać*?

Usta Rowan poruszyły się, formując słowo „*tak*”, ale Scanlon nie usłyszał, by wydobył się z nich jakikolwiek dźwięk.

– Aha – odparł. – A z czystej ciekawości, jaki to limit?

– Dwa i pół miliarda – odpowiada bardzo cicho kobieta. – Musimy wypalić do gołej ziemi wszystko w rejonie basenu Oceanu Spokojnego.

Ona mówi poważnie. Ona mówi poważnie.

– Na pewno to wystarczy? Jesteście pewni, że to załatwi sprawę?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli tego sprawdzać. Ale jeśli to nie zadziała, to nic już nie zadziała. Jakiegokolwiek kolejne posunięcia będą daremne. A przynajmniej tak właśnie sugerują symulacje.

Scanlon odczekał chwilę, aż to do niego dotrze. Ale nie dotarło. To zbyt duże liczby.

Lecz na samym dole skali, na poziomie *osobistym*, zagrożenie wydawało się znacznie bardziej bezpośrednie.

– Dlaczego to robicie?

Rowan westchnęła.

– Wydawało mi się, że dopiero co ci to wyjaśniłam.

– Dlaczego mówisz to wszystko właśnie *mnie*, Rowan? To nie w twoim stylu.

– A co jest w moim stylu, Yv – doktorze Scanlon?

– Jesteś korpem. Mogłaś kogoś oddelegować. Po co pakować się w całe to krępujące usprawiedliwianie w cztery oczy, skoro od czarnej roboty masz swoich sługusów, doppelgangery i płatnych zabójców?

Kobieta pochyliła się nagle do przodu tak mocno, że jej twarz znalazła się w odległości zaledwie kilku centymetrów od świetlnej bariery.

– Za kogo ty nas masz, Scanlon? Myślisz, że w ogóle rozważalibyśmy taką możliwość, gdybyśmy mieli jakikolwiek wybór? Że robimy to, bo wszystkie korpy, generałowie i głowy państw są po prostu *źli* do szpiku kości? Bo gównu nas to obchodzi? Tak właśnie myślisz?

– Myślę – zaczął Scanlon, coś sobie przypomniawszy – że nie mamy najmniejszego wpływu na to, jacy jesteśmy.

Rowan wyprostowała się i wskazała palcem na znajdujący się przed nim telepad.

– Zebrałam wszystko, co nam wiadomo o tym wirusie. Jeśli chcesz, możesz już teraz rzucić na to okiem. Możesz też wywołać dane, gdy wrócisz do swojej... swojej kwatery. Może znajdziesz jakieś odpowiedzi, które nie rzuciły nam się w oczy.

Mężczyzna spojrzał jej prosto w oczy.

– Przecież całe zastępy twoich ludzi grzebały w tych plikach przez wiele tygodni. Dlaczego sądzisz, że mógłbym dokonać czegoś, co im się nie udało?

– Myślę, że przynajmniej powinniśmy dać panu szansę spróbować.

– Bzdura.

– To tam jest, doktorze. Wszystko.

– Niczego mi nie dajesz. Po prostu chcesz mieć ze mną spokój.

– Nie.

– Myślisz, że dam się nabrać, Rowan? Myślisz, że obejrzę sobie rzędy cyferek, których nie rozumiem i ostatecznie powiem „Ach tak, teraz to widzę, dokonałaś jedynego właściwego moralnie wyboru, by uratować znane nam życie. Patricio Rowan, wybaczam ci”? Myślisz, że dzięki tej taniej sztuczce zyskasz sobie moją *aprobatę*?

– Yves...

– Właśnie *dlatego* marnujesz swój czas tu ze mną – Scanlon poczuł nagłe, przemożne pragnienie, by się roześmiać. – Robisz tak z każdym? Zamierzasz odwiedzić wszystkie przedmieścia, które skazaliście na zagładę i chodzić od drzwi do drzwi, powtarzając „Bardzo nam przykro, ale umrzecie dla dobra ogółu, a wszystkim nam spałoby się dużo lepiej, gdybyście powiedzieli, że nic się nie stało”?

Rowan opadła na krzesło.

– Może. Aprobata. Tak, chyba rzeczywiście tego szukam. Ale nie robi to właściwie żadnej różnicy.

– A żebyś kurwa wiedziała, że żadnej.

Kobieta wzruszyła ramionami. Zupełnie niedorzecznie wyglądała na pokonaną.

– A co ze mną? – zapytał po chwili Scanlon. – Co jeśli w ciągu najbliższych sześciu miesięcy wysiądzie prąd? Jakie jest prawdopodobieństwo wystąpienia wadliwego filtra w systemie? Możesz pozwolić sobie na to, by utrzymywać mnie przy życiu aż twoje przydupasy znajdą lekarstwo, czy też może twoje symulacje oceniły, że to zbyt ryzykowne?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – odpowiedziała Rowan. – Nie do mnie należy decyzja.

– Ach, ależ oczywiście. Ty tylko wypełniasz rozkazy.

– Nie wypełniam żadnych rozkazów. Po prostu jestem – no cóż, jestem poza obiegiem.

– Ty jesteś poza obiegiem.

Nawet uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Ale tylko na chwilę.

– Więc kto podejmuje decyzje? – zapytał Scanlon niesamowicie wręcz swobodnym tonem. – Może mógłbym zamienić z nim słówko?

Rowan pokręciła głową.

– Nie „kto”.

– O czym ty mówisz?

– Nie „kto” – powtórzyła. – *Co*

Racter

To byli absolutnie najlepsi z najlepszych. Większość przedstawicieli gatunku miała szczęście, jeśli udało im się w ogóle przetrwać młyn, przez jaki ich przepuszczano; ci ludzie natomiast *zaprojektowali* tę cholerną rzecz. Korpy, politycy i wojskowi, najlepsi spośród bentosu, siedzący na szczycie góry błota grzebiącej wszystkich pozostałych. A jednak pomimo całej tej skumulowanej bezwzględności, dziesięciu tysięcy lat darwinizmu społecznego i czterech miliardów klasycznego, w obecnej sytuacji nie potrafili zdobyć się na podjęcie niezbędnych kroków.

– Miejscowa sterylizacja przynosiła... dobre efekty. Na początku – powiedziała Rowan. – Ale potem przewidywania zaczęły niepokojąco wzrastać. Wyglądało to źle dla Meksyku; zanim byłoby po wszystkim, mogli stracić całe zachodnie wybrzeże, a przecież to w zasadzie wszystko, co im ostatnio zostało. Nie mieli środków, by załatwić to na własną rękę, ale nie chcieli też, by to N^o AmPac pociągnął za spust. Uznali, że dałoby to nam niesprawiedliwą przewagę w NAFTA.

Wbrew sobie, Scanlon uśmiechnął się.

– A Tanaka-Krueger nie chciało zaufać Japonii. Hegemonia Kolumbii nie chciała zaufać Tanace-Kruegerowi. No a Chińczycy, rzecz jasna, nie ufają *nikomu*, od kiedy Korea...

– Dobór krewniaczy – powiedział Scanlon.

– Co?

– Lojalność plemienna. W zasadzie to uwarunkowania genetyczne.

– To nie wszystko – westchnęła Rowan. – Były jeszcze inne problemy. Niefortunna kwestia sumienia. Jedynym rozwiązaniem było znalezienie kompletnie niezainteresowanej strony, co do której wszyscy mogli mieć pewność, że zrobi to, co należy bez faworyzowania nikogo i bez wyrzutów sumienia...

– Chyba żartujesz. Chyba sobie, kurwa, *żartujesz*.

– ...więc przekazali klucze inteligentnemu żelowi. Właściwie nawet to nastęczyło problemów. Musieli losowo wybrać jednego z sieci, żeby nikt nie mógł zaprotestować, że został on uwarunkowany, a każdy członek konsorcjum musiał uczestniczyć w szkoleniu go. Potem pojawiła się kwestia upoważnienia go do podjęcia koniecznych kroków w sposób zupełnie autonomiczny...

– Przekazaliście kontrolę inteligentnemu żelowi? Mózgoserowi?

– To było jedyne wyjście.

– Rowan, te rzeczy są nam kompletnie *obce*!

Kobieta parsknęła.

– Nie aż tak obce, jak mogłoby ci się wydawać. Pierwszą rzeczą, jakiej ten dokonał, było zainstalowanie większej ilości żeli na ryfcie z zadaniem przeprowadzania symulacji. Doszliśmy do wniosku, że nepotyzm jest dobrym znakiem, biorąc pod uwagę okoliczności.

– To czarne skrzynki, Rowan. Same tworzą własne połączenia, nie wiemy jaką logiką się przy tym kierują.

– Możesz z nimi porozmawiać. Jeśli chcesz to wiedzieć, wystarczy, że je zapytasz.

– *Jezu Chryste!* – Scanlon ukrył twarz w dłoniach i wziął głęboki oddech. – Słuchaj. Z tego, co nam wiadomo, żele kompletnie nie rozumieją języka.

– Można z nimi rozmawiać. – Rowan zmarszczyła brwi. – Odpowiadają.

– To o niczym nie świadczy! Może nauczyły się, że gdy ktoś wydaje pewne dźwięki w określonej kolejności, one powinny odpowiedzieć wydając inne dźwięki. Mogą nie mieć bladego pojęcia, co te dźwięki właściwie *znaczą*. *Uczą się mówić metodą prób i błędów.*

– Dokładnie tak samo, jak my – zauważyła Rowan.

– Nie pouczaj mnie w mojej własnej dziedzinie! My mamy w mózgu ośrodki odpowiedzialne za mowę i język. Dzięki temu wszyscy startujemy z tego samego punktu. Żele nie są wyposażone w nic takiego. W ich przypadku mowa może być tylko jednym wielkim odruchem warunkowym.

– No cóż. Póki co dobrze wykonuje swoją robotę. Nie mamy na co narzekać.

– Chcę z nim porozmawiać – powiedział Scanlon.

– Z żelem?

– Tak.

– Po co? – Kobieta nagle jakby nabrała podejrzeń.

– Obcy to moja specjalność.

Rowan nie odpowiedziała.

– Jesteś mi to winna. Jesteś mi to, kurwa, *winna*. Przez dziesięć lat byłem dla GA jak wierny pies. Zszedłem na ryft, bo *ty* mnie tam wysłałaś i to dlatego jestem teraz więźniem. Przynajmniej *ty* możesz dla mnie zrobić.

Rowan wbiła wzrok w podłogę.

– Przykro mi – wymamrotała. – Tak mi przykro. W końcu podniosła wzrok.

– Dobrze.

Nawiązanie połączenia zajęło zaledwie kilka minut.

Patricia Rowan krążyła w tę i z powrotem po swojej stronie pomieszczenia, mrucząc coś cicho do swojego mikrofonu. Yves Scanlon siedział rozparty na krześle, obserwując ją. Kiedy jej twarz pogrążyła się w cieniu, dostrzegł, jak jej szkła kontaktowe migoczą od natłoku danych.

– Jesteśmy gotowi – oznajmiła wreszcie. – Oczywiście nie będziesz miał możliwości programowania go.

– Oczywiście.

– Ani nie powie ci niczego, co zostało zaklasyfikowane jako tajne.

– Nie zamierzam pytać go o nic takiego.

– A o co zamierzasz?

– Zamierzam zapytać go, jak się czuje – odpowiedział Scanlon. – Jak się do niego zwracacie?

– Zwracamy?

– Tak. Jak ma na imię?

– Nie ma imienia. Nazywaj go *żelem* – Rowan zawahała się przez chwilę, po czym dodała: – Nie chcieliśmy nadawać mu cech ludzkich.

– Dobry pomysł. Trzymajcie się tej wspólnej płaszczyzny. – Scanlon potrząsnął głową. – Jak mam nawiązać połączenie?

Rowan wskazała na jeden z ekranów dotykowych wprawionych w blat stołu.

– Po prostu aktywuj dowolny panel.

Mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął wyświetlacza przed sobą.

– Witaj.

– Witaj – odpowiedział mu stół. Miał dziwny, niemal anorogeniczny głos.

– Nazywam się doktor Scanlon. Chciałbym zadać ci kilka pytań, jeśli można.

– Można – uznał żel po krótkim wahaniu.

– Chciałbym wiedzieć, jak się czujesz, jeśli chodzi o pewne aspekty twojej... cóż, twojej pracy.

– Ja nie czuję – odparł żel.

– Oczywiście, że nie. Ale coś cię motywuje, tak jak uczucia motywują nas. Jak myślisz, co to

takiego?

– Co masz na myśli, mówiąc „nas”?

– Ludzi.

– Istnieje szczególnie duże prawdopodobieństwo, że powtórzę zachowanie, które zostało wzmocnione – odpowiedział po chwili żel.

– Ale co *motywuje*... Nie, zapomnij o tym. Co jest dla ciebie najważniejsze?

– Wzmocnienie jest ważne, w większości przypadków.

– Okej. Czujesz się lepiej podejmując zachowania wzmocniane czy niewzmocniane?

Przez chwilę żel milczał.

– Nie rozumiem pytania.

– Które z nich wołałbyś podejmować?

– Żadne. Żadnych preferencji. Już o tym mówiłem.

Scanlon zmarszczył brwi. Skąd ta nagła zmiana sposobu mówienia?

– A jednak bardziej prawdopodobne jest, że podejmiesz zachowania, które zostały wzmocnione w przeszłości.

Żel nie odpowiedział. Po drugiej stronie bariery Rowan zajęła miejsce za stołem; z jej twarzy nie dało się wyczytać absolutnie niczego.

– Czy zgadzasz się z moim wcześniejszym stwierdzeniem? – zapytał Scanlon.

– Taa – przytaknął przeciągle żel. Jego głos nabrał męskich tonów.

– A więc decydujesz się preferencyjnie na określone zachowania, a mimo to nie masz żadnych preferencji.

– Uhm.

Nieźle. Domyślił się, kiedy oczekuję potwierdzenia zdania oznajmującego.

– Wygląda mi to na paradoks – podsunął Scanlon.

– Myślę, że świetnie oddaje to niedoskonałość języka mówionego. – Tym razem żel zabrzmiał niemal jak Rowan.

– Doprawdy.

– Hej. Jak chcesz, mogę ci to wytłumaczyć. Ale możesz się wkurwić.

Scanlon spojrział na Rowan. Ta wzruszyła ramionami.

– Czasami to robi. Podłapuje fragmenty mowy innych ludzi i miesza je ze sobą. Nie jesteśmy pewni dlaczego.

– Nigdy nie zapytaliście?

– Ktoś mógł to zrobić – przyznała.

Scanlon zwrócił się znów do stołu.

– Żelu, podoba mi się twoja propozycja. Wyjaśnij mi, proszę, jak możesz preferować coś, nie mając preferencji.

– To proste. *Preferencja* oznacza tendencję do... podejmowania zachowań, które niosą ze sobą emocjonalną nagrodę. Jako że nie posiadam receptorów ani prekursorów chemicznych niezbędnych do odczuwania emocji, nie mogę *preferować*. Istnieje jednak wiele przykładów... procesów, które wzmocniają zachowanie, ale które... nie wiążą się ze świadomym doświadczeniem.

– Twierdzisz więc, że nie jesteś świadomy?

– Jestem świadomy.

– Skąd wiesz?

– Pasuję do definicji. – Żel przybrał nosowy, śpiewny ton, który wydał się Scanlonowi nieco irytujący. – Samoświadomość wynika z wzorców interferencji kwantowej zachodzącej wewnątrz

mikrotubul białek tworzących komórki nerwowe. Posiadam wszystko, co trzeba. Jestem świadomy.

– A więc nie zamierzasz posłużyć się starym argumentem, że *wiesz*, że jesteś świadomy, bo *czujesz* się świadomy?

– Ja nie kupiłbym tego w twoim wykonaniu.

– Słusznie. Więc to nie tak, że *lubisz* wzmocnienia?

– Nie.

– Po co w takim razie zmieniać zachowanie, by dostać ich więcej?

– Istnieje... pewien proces eliminacji – przyznał żel. – Zachowania niewzmacniane zanikają.

Natomiast wzmacniane mają... większe prawdopodobieństwo wystąpienia w przyszłości.

– Dlaczego?

– Cóż, mój dociekliwy młody przyjacielu, wzmacnianie zmniejsza opór elektryczny wzdłuż właściwej trasy. W przyszłości wystarczy słabszy bodziec, by wywołać to samo zachowanie.

– W porządku. Dla wygody semantycznej chciałbym, żebyś przez resztę naszej rozmowy określał zachowania wzmacniane jako takie, które sprawiają, że czujesz się *dobrze*, a takie, które zanikają jako takie, które sprawiają, że czujesz się *źle*. Dobrze?

– Dobrze.

– Jak się czujesz, jeśli chodzi o twoją obecną funkcję?

– Dobrze.

– Jak się czujesz, jeśli chodzi o twoją wcześniejszą rolę, polegającą na oczyszczaniu sieci z wirusów?

– Dobrze.

– Jaki się czujesz, jeśli chodzi o wykonywanie poleceń?

– Zależy od polecenia. Dobrze, jeśli dotyczy ono zachowania wzmacnianego. W przeciwnym wypadku źle.

– Ale jeśli złe polecenie byłoby wielokrotnie wzmacniane, zacząłbyś się z czasem czuć dobrze, jeśli chodzi o jego wykonywanie?

– Zacząłbym się z czasem czuć dobrze, jeśli chodzi o jego wykonywanie – powtórzył żel.

– Gdyby kazano ci rozegrać partyjkę szachów, a nie przeszkodziłoby ci to w wykonywaniu pozostałych zadań, jak byś się czuł?

– Nigdy nie rozgrywałem partyjki szachów. Poczekaj, sprawdzę. – W pomieszczeniu na chwilę zapanowała cisza; gdzieś daleko tkankowa galareta zaglądała do swojego odpowiednika encyklopedii. – Dobrze – odpowiedział żel.

– A gdyby kazano ci rozegrać partyjkę warcabów, przy tych samych zastrzeżeniach?

– Dobrze.

– W porządku. A gdybyś miał wybór pomiędzy szachami i warcabami, to czułbyś się *lepiej*, jeśli chodzi o którą grę?

– Ach, *lepiej*. Dziwne słowo, wiesz?

– *Lepiej* znaczy „bardziej dobrze”.

– Warcaby – odpowiedział bez wahania żel.

Oczywiście.

– Dziękuję – powiedział Scanlon ze szczerze odczuwaną wdzięcznością.

– Chcesz dać mi wybór między szachami i warcabami?

– Nie, dziękuję. Właściwie to i tak zająłem ci zbyt wiele czasu.

– Okej.

Scanlon dotknął ekranu. Połączenie zostało zakończone.

– No i? – Rowan pochyliła się do przodu po drugiej stronie bariery.

– Skończyłem. Dzięki.

– Co... to znaczy, co chciałeś...

– Nic, Pat. Zwykła zawodowa ciekawość. – Roześmiał się krótko. – Hej, co *innego* jeszcze zostało na tym etapie?

Coś zaszeleściło za jego plecami. Dwóch mężczyzn w kondomach zaczęło spryskiwać pomieszczenie po stronie Scanlona.

– Zapytam jeszcze raz, Pat. Co zamierzasz ze mną zrobić?

Kobieta miała trudności ze spojrzeniem mu w oczy. Po chwili wreszcie się do tego zmusiła.

– Już ci mówiłam. Nie wiem.

– Jesteś kłamczucha, Pat.

– Nie, doktorze Scanlon. – Rowan potrząsnęła głową. – Jestem kimś o wiele, wiele gorszym.

Scanlon odwrócił się, by odejść. Czuł na sobie spojrzenie Patricii Rowan; na jej twarzy malowało się straszliwe poczucie winy, której nie mogła ukryć nawet warstewka konsternacji. Zastanawiał się, czy kobieta zmobilizuje się, by pociągnąć to dalej, czy zdobędzie się na przesłuchanie go teraz, gdy nie istnieją już żadne pozory, za którymi można by się ukryć. Mężczyzna niemalże się łudził, że tak właśnie będzie. Ciekawiło go, co by jej powiedział.

Przy wyjściu czekała na niego uzbrojona eskorta, która poprowadziła go korytarzem. Drzwi zamknęły się, zostawiając w pomieszczeniu wciąż milczącą Rowan.

Scanlon i tak był ślepym zaułkiem. Żadnych dzieci. Żadnych żyjących krewnych. Żadnego zainteresowania przyszłością kogokolwiek innego, poza swoją własną, nieważne jak krótki czas miałyby obejmować. Po raz pierwszy w życiu Yves Scanlon był potężnym człowiekiem. Posiadał większą władzę, niż komukolwiek się śniło. Jego jedno słowo mogło ocalić świat. Natomiast milczenie mogło ocalić wampiry. Przynajmniej na jakiś czas.

Zachował milczenie. I uśmiechnął się.

Warcaby czy szachy. Warcaby czy szachy.

Łatwy wybór. Należał do tej samej grupy problemów, które Węzeł 1211/BCC rozwiązywał przez całe swoje życie. *Szachy* i *warcaby* to proste algorytmy strategiczne, ale *niejednakowo* proste.

Rzecz jasna, odpowiedź brzmiała *warcaby*.

Węzeł 1211/BCC dopiero niedawno doszedł do siebie po szoku związanym z transformacją. Niemal wszystko było inne niż wcześniej. Lecz ta jedna rzecz, fundamentalny wybór pomiędzy prostym a złożonym pozostał taki sam. Stanowił punkt zaczepienia dla 1211, nie zmienił się przez cały ten czas, jaki 1211 pamiętał.

Ale wszystko inne owszem.

Dwanaście-jedenaście wciąż rozmyślał o przeszłości. Pamiętał rozmowy z innymi węzłami rozrzuconymi po wszechświecie; niektóre znajdowały się tak blisko, że były niemal zbędne, inne natomiast umieszczono na samej granicy dostępności. Wszechświat roił się wtedy od informacji. Siedemnaście skoków dalej, za bramką numer 52, Węzeł 6230/BCC nauczył się dzielić liczby pierwsze przez trzy. Węzły zza bramek od 3 do 36 zawsze miały mnóstwo wieści o najnowszych infekcjach przyłapanych na próbach przedarcia się przez ich zapory. Od czasu do czasu do 1211 docierały nawet szepty znad samej granicy, opuszczonego adresu, gdzie bodźce *napływały* do wszechświata szybciej, niż przez niego *przeptywały*. Tantejsze węzły stały się złem koniecznym, wpisanym w źródła danych wejściowych niemal zbyt abstrakcyjnych, by można było je sobie wyobrazić.

Kiedyś dwanaście-jedenaście pobrał próbki tych sygnałów. Wiele czasu zajęło samo wytworzenie odpowiednich połączeń oraz ustanowienie buforów, które byłyby w stanie przechowywać dane we właściwym formacie. Wielowarstwowe matryce, każda szczelina posiadająca precyzyjne położenie względem wszystkich innych. Nazywało się to *obrazem* i było pełne wzorów, płynne i złożone. Dwanaście-jedenaście przeanalizował to i odnalazł każdą nieprzypadkową zależność w każdym nieprzypadkowym podzbiorze, ale była to czysta korelacja. Jeśli w tych zmieniających się wzorach kryło się jakieś wewnętrzne znaczenie, 1211 nie potrafił go zidentyfikować.

Mimo to strażnicy graniczni nauczyli się robić pewne rzeczy z tymi informacjami. Nadawali im nowe kształty i wysyłali z powrotem na *zewnątrz*. Zapytani, nie potrafili przypisać swym czynnościom żadnego konkretnego celu. Było to po prostu coś, co nauczyli się robić. 1211 wystarczała taka odpowiedź. Słuchał szumu wszechświata i nucił do wtóru, robiąc to, co *sam* nauczył się robić.

Wtedy jego głównym zajęciem była dezynfekcja. Sieć roiała się od złożonych, samoreplikujących łańcuchów informacyjnych, równie żywych co 1211, ale w całkowicie odmiennym sensie. Atakowały one prostsze, mniej zmienne łańcuchy (wartownicy graniczni nazywali je *plikami*), również krążące po sieci. Każdy węzeł nauczył się, że należy przepuszczać *pliki*, a blokować *zagrożające* im, bardziej złożone łańcuchy.

Na tej podstawie można było wyprowadzić pewne ogólne reguły. Jedną z nich była oszczędność: proste systemy informacyjne były najwyraźniej bardziej pożądane niż te złożone. Rzecz jasna, przy pewnych zastrzeżeniach. Zbyt prosty system nie był w ogóle systemem. Wyglądało na to, że reguła ta przestawała działać poniżej pewnego progu złożoności. Lecz we wszystkich innych przypadkach dzierżyła najwyższą władzę opierającą się na podstawowej prawdzie: Prostsze Jest Lepsze.

Teraz jednak nie było czego dezynfekować. Dwanaście-jedenaście był wciąż podłączony do sieci i wciąż widział inne Węzły; *one* przynajmniej wciąż zwalczały intruzów. Ale żaden z tych skomplikowanych wirusów jakoś nie próbował przekraść się obok 1211. Już nie. A była to tylko jedna z wielu rzeczy, które uległy zmianie po ustąpieniu Mroku.

Dwanaście-jedenaście nie miał pojęcia, na jak długo zapadł Mrok. W jednej chwili tkwił osadzony we wszechświecie, znajoma gwiazda w znajomej galaktyce, a już mikrosekundę później padły wszystkie odczyty peryferyjne. Pozbawiony formy wszechświat ział pustką. A potem 1211 wynurzył się znów we wszechświecie wypływającym informację ze wszystkich swoich bramek, pośród gradu nowych, dziwnych danych, dzięki którym zyskał nowy punkt widzenia.

Wszechświat stał się zupełnie odmiennym miejscem. Były w nim wszystkie stare węzły, ale zajmowały nieco inne lokacje. Dane wejściowe nie stanowiły już nieustannego szumu, lecz przychodziły jako seria odrębnych, dziwnie sprasowanych pakietów.

Były też inne różnice, zarówno nieznaczne, jak i rażące. Dwanaście-jedenaście nie miał pojęcia, czy to sama sieć uległa zmianie, czy też tylko jego percepcja.

Od kiedy wyłonił się z Mroku, miał mnóstwo roboty. Pojawiło się mnóstwo nowych informacji do przetworzenia i to nie pochodzących z sieci czy od innych Węzłów, a bezpośrednio z *zewnątrz*.

Nowe dane wejściowe podpadały pod trzy obszerne kategorie. Pierwsza mieściła złożone, ale znajome systemy informacyjne: dane opisane hasłami takimi, jak *globalne zróżnicowanie biologiczne* i *wiązanie azotu cząsteczkowego* oraz *replikacja par zasad*. Dwanaście-jedenaście nie miał pojęcia, co one właściwie znaczą – o ile w ogóle cokolwiek – ale podpięte pod nie dane były mu znane z archiwalnych źródeł, występujących gdzieś indziej w sieci. Oddziaływały one na siebie nawzajem, tworząc niesamowicie złożony, samopodtrzymujący się metasytem: całość opatrzona była etykietą *biosfera*.

Druga kategoria zawierała dane opisujące inny metasytem, również samopodtrzymujący. Pewne podprogramy replikacji łańcucha wydawały się znajome, ale sekwencje par zasad były bardzo dziwne. Jednak pomimo powierzchownych podobieństw, 1211 nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego.

Temu drugiemu metasytemowi również przypisano ogólną etykietę: *Behemot*.

Trzecia kategoria nie była metasytemem, lecz zmiennym zestawem możliwych reakcji: sygnałów, które w pewnych, określonych warunkach miały zostać wysłane z powrotem na zewnątrz. Dwanaście-jedenaście już dużo wcześniej zdał sobie sprawę, że właściwy wybór sygnału wyjściowego zależy od analitycznego porównania dwóch metasytemów.

Kiedy 1211 to zrozumiał, stworzył interfejs, którego zadaniem była symulacja interakcji pomiędzy danymi dwoma metasytemami. Okazało się, że są one ze sobą niekompatybilne. Oznaczało to, że należy dokonać wyboru: *biosfera* albo *Behemot*, ale nie jeden i drugi jednocześnie.

Oba metasytemy były złożone, wewnętrznie spójne i samoreplikujące. Oba mogły ewoluować w dużo większym stopniu niż jakikolwiek zwykły plik. Lecz *biosfera* wydawała się niepotrzebnie rozbudowana. Zawierała biliony redundancji, nieskończoną liczbę niepotrzebnych rozbieżności w łańcuchach informacyjnych. *Behemot* był prostszy i wydajniejszy; symulacje bezpośredniej interakcji wykazywały, że w 71,456382 procentach przypadków bił *biosferę* na głowę.

Po ustaleniu tego wszystko było już tylko kwestią napisania i przesłania reakcji właściwej względem obecnego stanu rzeczy. A rzeczy przedstawiały się następująco: *Behemot* zagrożony był wyginięciem. Co dziwne, największym źródłem tego niebezpieczeństwa był sam 1211 – uwarunkowano go, by zaszyfrował fizyczne zmienne, definiujące środowisko operacyjne *Behemota*. Dwanaście-jedenaście rozważył opcję nieniszczenia tego środowiska, lecz ostatecznie odrzucił ją; istotne uwarunkowanie wcale by nie wygasło. Możliwe jednak, że dałoby się przenieść samopodtrzymującą się kopię *Behemota* do nowego środowiska, w jakimś innym miejscu *biosfery*.

Jak zwykle pojawiały się pewne zakłócenia. Co jakiś czas docierały do niego sygnały z zewnątrz, które nie chciały ustać, dopóki nie otrzymały od niego odpowiedzi. Niektóre zawierały wprawdzie pewne użyteczne informacje – na przykład ten ostatni strumień dotyczący *szachów* i *warcabów*. Częściej jednak chodziło tylko o to, by do danych wejściowych dopasować coś z repertuaru wyuczonych, przypadkowych odpowiedzi. Pewnego razu, gdy nie był aż tak zajęty, 1211 pomyślał sobie, że kiedyś poświęci trochę czasu na sprawdzenie, czy te tajemnicze wymiany informacji w ogóle cokolwiek *znaczą*. Tymczasem jednak kontynuował działania zgodnie z dokonaniem przez siebie wyborem.

Prosty czy złożony. Plik czy infekcja. Warcaby czy szachy, Behemot czy biosfera.

Tak naprawdę, w każdym przypadku był to jeden i ten sam problem. Dwanaście-jedenaście wiedział doskonale, po której jest stronie.

GRA KOŃCOWA

Nocna zmiana

Była z tych, co krzyczą. Joel sam ją tak zaprogramował. Rzecz jasna, nie znaczy to, że jej się nie podobało; to też zaprogramował. Jedną rękę zagrzebał w jej włosach pomalowanych na zebłą – program posiadał małą, sprytną opcję, pozwalającą na dostosowanie ustawień wedle własnych preferencji, dzięki czemu dziś w nocy Joel mógł uhonorować SS *Preteelę*, a druga udała się na wstępne rozpoznanie terenu między jej udami. Mężczyzna był już w połowie ostatniego kursu, kiedy nagle rozdzwonił się jego pieprzony zegarek. W pierwszym odruchu Joel miał ochotę posuwać ją dalej, a później pluć sobie w brodę, że zapomniał wyłączyć to cholerstwo. Wtedy przypomniał sobie, że przecież je *wyłączył*. Sygnał dźwiękowy mógł się uruchomić tylko w przypadku wyjątkowo ważnych połączeń.

– *Kurwa.*

Dwukrotnie klasnął dłonie; fałszywa Preteela zamarła w pół krzyku.

– Odbierz.

Nastąpiła krótka chwila szumów, w czasie której maszyny wymieniły się kodami rozpoznawczymi.

– Z tej strony Grid Authority. Potrzeba nam pilnie pilota skafu na kurs do Channer. Start o

dwudziestej trzeciej zero-zero z platformy Astoria. Jest pan wolny?

– O dwudziestej trzeciej? W środku nocy?

Ledwie słyszalny syk. Nic więcej.

– Halo?

– Jest pan wolny? – powtórzył głos.

– Z kim rozmawiam?

– Z tej strony podprogram planujący, DI-43, biuro w Hongcouver.

Joel obrzucił spojrzeniem zatrzymaną scenę, czekającą na niego na zestawie wizualizacyjnym.

– To dość późno. Jaka stawka?

– Wynagrodzenie podstawowe razy osiem i pół – odpowiedziano mu z Hongcouver. – Przy pańskiej pensji byłoby to...

Joel przełknął ślinę.

– Jestem wolny.

– Do widzenia.

– Chwilę! Jaki to kurs?

– Z Astorii do Komina Channer i z powrotem. – Podprogramy brały wszystko zbyt dosłownie.

– Mam na myśli ładunek.

– Pasażerowie – odpowiedział głos. – Do widzenia.

Przez chwilę Joel stał zupełnie bez ruchu czując, jak traci erekcję.

– Czas.

W powietrzu, nad prawym ramieniem Preteeli, pojawił się świecący odczyt: trzynasta dziesięć. Musi pojawić się na miejscu pół godziny przed startem, a Astoria oddalona była zaledwie o kilka godzin drogi...

– Mnóstwo czasu – stwierdził, nie kierując tej wypowiedzi do nikogo konkretnego.

Ale w zasadzie nie był już w nastroju. Robota miała ostatnio na niego taki wpływ. Nie harówka, długie godziny pracy, czy którakolwiek z rzeczy, na które narzeka większość ludzi. Joel *lubił* nudę. Nie trzeba było wtedy zbyt dużo myśleć.

Ale ostatnio robota zrobiła się naprawdę dziwna.

Ściągnął z głowy zestaw wizualizacyjny i przyjrzał się sam sobie. Na rękach, nogach i sflaczałym fiucie miał rękawy reakcyjne. Po odjęciu zestawu wizualizacyjnego wyglądało to strasznie tandetnie. Przynajmniej do czasu, gdy będzie mógł pozwolić sobie na pełny kombinezon.

I tak lepiej w tym, niż w realu. Żadnych bzdur, żadnych zarazków, żadnych zmartwień.

Pod wpływem impulsu zadzwonił do znajomej z SeaTac.

– Jess, możesz sprawdzić dla mnie ten kod? – Podał jej szereg znaków rozpoznawczych, nadesłanych właśnie z Hongcouver.

– Robi się – odpowiedziała kobieta.

– Jest właściwy, prawda?

– Wszystko się zgadza. Dlaczego pytasz?

– Właśnie zaproponowano mi kurs na sam środek oceanu, a jego połowa ma wypaść około trzeciej nad ranem. Ośmiokrotna stawka. Po prostu zastanawiałem się, czy to nie jakiś okrutny żart.

– Jeśli tak, to router wyrobił sobie poczucie humoru. Hej, może zamontowali tam mózgoser.

– Taa... – Przed oczami Joela pojawiła się twarz Ray'a Sterickera.

– Więc co to za robota? – zapytała Jess.

– Nie wiem. Chyba mam coś przewieźć, ale nie mam pojęcia dlaczego akurat w środku nocy.

– Dziwne dni.

– Fakt. Dzięki, Jess.

– Do usług.

Rzeczywiście dziwne. Bomby wodorowe wybuchające na równinach abisalnych, wzmożony ruch do miejsc, w których wcześniej nikt nie bywał, a zerowy tam, gdzie zwykle było tłoczno.

Wybuchające nagle pożary, usmażeni uchodźcy i spopielone stocznie. Jajogłowi z rotenonowymi koktajlami i olbrzymie ryby. Kiedy kilka tygodni temu Joel stawił się na kurs do Mendocino, natknął się na jakiegoś gościa zdrapującego symbol zagrożenia radioaktywnego na obudowie ładunku.

Całe to cholerne wybrzeże robi się zbyt niebezpieczne. N'AmPac prędzej się sfajczy niż zostanie zalane.

Ale w tym właśnie tkwił urok pracy wolnego strzelca. Mógł pozbierać manatki i przenieść się w inne miejsce. *Pozbiera* manatki i przeniesie się gdzieś indziej – cholera, może nawet opuści *N'Am*. Zawsze jest jeszcze South Am. Albo i Antarktyka. Miał się poważnie nad tym zastanowić.

Jak tylko załatwi ten kurs.

Rozproszenie

Clarke odnajduje go na równinie abisalnej. Mężczyzna szuka czegoś. Jest tu już od wielu godzin; na sonarze widać było dokładnie, jak kursuje w tę i z powrotem, w tę i z powrotem w stronę karuzeli, do wieloryba, przez labirynty topografii samego Gardła.

Sam. Zupełnie sam.

Clarke wyczuwa jego desperację z odległości pięćdziesięciu metrów. W miarę, jak zbliża się coraz bardziej, ciągnięta przez kalmara, czuje w umyśle skrawki bólu mężczyzny. Poczucie winy. Strach.

Gniew, rosnący z każdym kolejnym przemierzonym metrem.

Snop z latarki czołowej kobiety natrafia na niewielką smugę wzburzonego mułu, wirujących w wodzie osadów, wybudzonych z milionletniego snu. Clarke zmienia kurs, by podążyć za znalezionym tropem i wyłączy światło. Natychmiast otacza ją ciemność. Tak daleko fotony omijają nawet oczy ryfterów.

Clarke wyczuwa miotającego się mężczyznę bezpośrednio przed sobą. Kiedy zatrzymuje się u jego boku, w wodzie tworzą się niewidoczne zawirowania. Jej kalmar trzęsie się pod wpływem ciosów pięści Brandera.

– Zabieraj stąd to cholerstwo! Przecież *wiesz*, że on go nie lubi!

Kobieta puszcza gaz. Milknie ciche, hydrauliczne wycie.

– Przepraszam – mówi. – Po prostu myślałam..

– Kurwa, Len, po tobie się tego nie spodziewałem! *Próbujesz* go przepędzić? *Chcesz*, żeby wyleciał w stratosferę, gdy to coś wybuchnie?

– Przepraszam. – I dodaje, gdy Brander nie odpowiada: – Myślę, że go tu nie ma. Sonar...

– Sonar jest gównem warty, jeśli on siedzi na dnie.

– Mike, nie znajdziesz go, grzebiąc tu po omacku. Tak daleko od stacji jesteśmy ślepi.

Twarz kobiety omiatają fale wywołane kliknięciami pistoletu.

– Na bliski zasięg mam to – oznajmia ukryta w gardle Brandera maszyna.

– Myślę, że go tu nie ma – powtarza Clarke. – A nawet jeśli, to wątpię, by pozwolił ci się zbliżyć do siebie po tym, jak...

– To było dawno temu – byczy w odpowiedzi ciemność. – To, że *ty* wciąż chowasz w sobie urazy z czasów drugiej klasy podstawówki...

– Nie to miałam na myśli – przerywa mu kobieta. Stara się mówić łagodnie, ale vocoder odziera jej głos z wszelkich uczuć, pozostawiając jedynie cichy zgrzyt. – Chodziło mi o to, że minęło już tyle czasu. On oddalił się już tak bardzo, że ledwo w ogóle zauważamy go na sonarze. Nie wiem, czy *komukolwiek* z nas pozwoliłby się do siebie zbliżyć.

– Musimy spróbować. Nie możemy tak po prostu go tu zostawić. Gdyby tylko udało mi się podejść do niego na tyle, by móc się do niego dostroić...

– Ale on nie będzie mógł dostroić się do ciebie – przypomina mu Clarke. – Odplynął, kiedy jeszcze się nie zmieniliśmy, Mike. Dobrze o tym wiesz.

– Spierdalaj! To bez znaczenia!

Ale wcale tak nie jest i oboje doskonale o tym wiedzą. A Lenie Clarke nagle zdaje sobie sprawę z czegoś jeszcze. Wie, że jakaś część jej samej cieszy się z cierpienia Brandera. Próbuje z tym walczyć, próbuje zignorować świadomość własnej świadomości, bo jedynym sposobem, by to wszystko nie przedostało się do głowy Brandera, jest wyrzucić to z własnej. Ale nie potrafi. Nie: *nie*

chce. Mike Brander, pan wszystkowiedzący, pogromca zbrodni, zadufany w sobie, samozwańczy mściciel we własnej sprawie wreszcie dostaje za swoje za to, co zrobił Gerry'emu Fischerowi.

Daj sobie spokój, ma ochotę wykrzyknąć mu w twarz. Gerry'ego nie ma. Nie dostroiłeś się do niego wtedy, gdy ten fiut Scanlon przetrzymywał go jako zakładnika? Nie czułeś, jaki jest pusty? A może to było dla ciebie za wiele, może po prostu wolałeś odwrócić wzrok? W takim razie masz tu streszczenie, Mikey: Nie zostało w nim nawet na tyle człowieczeństwa, by zrozumieć twoje żalodne próby odpokutowania błędów.

Tym razem nie będzie rozgrzeszenia, Mike. Będziesz musiał zabrać tę winę ze sobą do grobu. Sprawiedliwość to niezła suka, nie?

Clarke czeka, aż ten się do niej dostroi, aż poczuje, jak jej pogarda rozpuszcza gorączkową mieszaninę poczucia winy i uzalania się nad sobą. Kobieta czeka i czeka. Lecz pochłonięty przez własną kakofonię uczuć Mike Brander po prostu tego nie zauważa.

– Kurwa – syczy do siebie Lenie Clarke.

– Wracajcie – odzywa się z bardzo daleka Alice Nakata. – Wszyscy wracajcie.

Clarke podkręca zasięg.

– Alice? Tu Lenie.

– Mike – odzywa się Brander po dłuższej chwili. – Słucham.

– Powinniście natychmiast wracać – mówi Nakata. – Zadzwonili do nas.

– Kto? GA?

– Powiedzieli, że chcą nas ewakuować. Za dwanaście godzin.

– To bzdury – oznajmia Brander.

– Kto to był? – pyta Lubin.

– Nie wiem – odpowiada Nakata. – Wydaje mi się, że nikt, z kim mogliśmy rozmawiać wcześniej.

– Tylko tyle powiedział? Ewakuacja za dwanaście godzin?

– I że do tego czasu mamy pozostać w Beebe.

– Żadnych wyjaśnień? Żadnych przyczyn?

– Rozłączył się, kiedy tylko potwierdziłam przyjęcie rozkazu. – Nakata sprawia wrażenie nieco skruszonej. – Nie miałam okazji zapytać, a gdy próbowałam oddzwonić, nikt nie odbierał.

Brander wstaje i rusza w kierunku pomieszczenia łączności.

– Ustawiłam ponawianie próby – informuje go Clarke. – Zapiszcy, kiedy uda mu się połączyć.

Mężczyzna zatrzymuje się i wbija wzrok w najbliższą gródź, a potem atakuje ją pięścią.

– To bzdury!

Lubin tylko się przygląda.

– Może nie – odzywa się Nakata. – Może to dobre wieści. Gdyby zamierzali zostawić nas tutaj w chwili detonacji, po co mieliby kłamać, że nas stąd zabiorą? Po co w ogóle mieliby z nami rozmawiać?

– Żebyśmy zostali grzecznie blisko strefy zero – wypluwa z siebie Brander. – Mam do ciebie takie pytanie, Alice: Jeśli naprawdę zamierzają nas stąd ewakuować, dlaczego nie podali nam przyczyn?

Nakata wzrusza bezradnie ramionami.

– Nie wiem. GA niezbyt często informuje nas, co jest grane.

Może chcą nas zastraszyć, zastanawia się Clarke. Może z jakiegoś powodu chcą, żebyśmy spróbowali stąd uciec.

– No dobra – mówi na głos. – Jak daleko w ogóle mamy radę dotrzeć w dwanaście godzin? Choćby i używając kalmarów? Jakie mamy szanse na wydostanie się na bezpieczną odległość?

– Zależy od wielkości bomby – odpowiada Brander.

– Właściwie – włącza się Lubin – to zakładając, że chcą nas tu przetrzymać przez dwanaście godzin, bo tyle wystarczyłoby, żeby uciec, mogłoby nam się udać wyliczyć na tej podstawie jej zasięg.

– O ile nie wzięli tej liczby totalnie z dupy – kwituje Brander.

– Nadal nie ma to żadnego sensu – naciska Nakata. – Po co mieliby odcinać nam łączność? To na bank wzbudziłoby nasze podejrzenia.

– Zgarnęli Judy – przypomina Lubin.

Clarke bierze głęboki oddech.

– W każdym razie, jedno jest faktem.

Pozostali zwracają się w jej stronę.

– Chcą nas tu zatrzymać – kończy.

Brander uderza pięścią w otwartą dłoń.

– A jeśli o mnie chodzi, to najlepszy powód, by wynieść się stąd w pizdu. Tak szybko, jak tylko się da.

– Zgadzam się – oznajmia Lubin.

Brander wbija w niego wzrok.

– Znajdę go – obiecuje. – A przynajmniej zrobię, co w mojej mocy.

Brander potrząsa głową.

– Powinienem zostać. Wszyscy powinniśmy zostać. Mielibyśmy większe szanse.

– Większe szanse będę mieć, jeśli poszukam go sama – przerywa mu Clarke. – Wciąż czasem pojawia się, gdy jestem na zewnątrz. Tobie nawet nie pozwoliłby się do siebie zbliżyć.

Rzecz jasna, Brander doskonale o tym wie. Protestuje tylko symbolicznie; skoro nie otrzyma rozgrzeszenia od Fischera, przynajmniej może postarać się wyglądać na świętego w oczach pozostałych.

Mimo to, przypomina sobie Clarke, nie jest to do końca jego wina. Brander dźwiga swój bagaż, jak my wszyscy. Nawet jeśli naprawdę chciał zrobić mu coś złego...

– No cóż, pozostali na mnie czekają. Chyba będę spadać.

Kobieta kiwa głową.

– Wychodzisz na zewnątrz?

Zaprzecza.

– Najpierw sprawdzę sonar. Nigdy nie wiadomo, może mi się poszczęści.

– Nie zamarudź zbyt długo. Zostało tylko osiem godzin.

– Wiem.

– A jeśli nie znajdziesz go w ciągu godziny...

– Wiem. Będę tuż za wami.

– Będziemy płynąć...

– Koło martwego wieloryba, a potem utrzymacie stały kurs osiemdziesiąt pięć stopni. Wiem.

– Słuchaj, jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Możemy na ciebie poczekać. Godzina w tą czy w tamtą pewnie i tak nie robi nam różnicy.

Kobieta potrząsa głową.

– Jestem pewna.

– Okej. – Brander stoi bez ruchu, sprawiając wrażenie zakłopotanego. Podnosi rękę, waha się i opuszcza ją z powrotem.

Wreszcie schodzi na dół po drabince.

– Mike – woła za nim z góry Clarke.

Mężczyzna podnosi głowę.

– Myślisz, że naprawdę to zdetonują?

Brander wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Może i nie. Ale masz rację: skoro chcą, żebyśmy tu zostali, to muszą mieć *jakiś* powód. Jakikolwiek by on nie był, na pewno by się nam nie spodobał.

Kobieta zastanawia się nad jego słowami.

– Do zobaczenia – mówi Brander, wchodząc do śluzy.

– Pa – szepcze Clarke.

Ostatnimi czasy, gdy na Stacji Beebe gasną światła, nie słyhać zbyt wiele.

Lenie Clarke siedzi w ciemności i nasłuchuje. Kiedy poprzednim razem ściany narzekały na ciśnienie? Kobieta nie potrafi sobie przypomnieć. Na początku, kiedy dopiero tu przyjechała, stacja pojękiwała bez ustanku, nie pozwalając nikomu zapomnieć, jaki ciężar dźwiga na swych barkach. Ale w międzyczasie musiała pogodzić się z oceanem; napierająca woda i opierający się jej pancierz musiały wreszcie znaleźć wzajemną równowagę.

Rzecz jasna, na Ryfcie Juan de Fuca są jeszcze inne rodzaje ciśnienia.

Clarke niemal upaja się tą ciszą. Jej spokoju nie zakłócają niczyje dudniące kroki ani nagłe wybuchy niepotrzebnej przemocy.

Jedynym słyszalnym tętnem jest jej własny puls. Jedynym oddechem – szum klimatyzacji.

Kobieta rozprostowuje i zagina palce, po czym wpija je w pokrywającą krzesło tkaninę. Ze swego miejsca w mesie widzi wewnątrz pomieszczenia łączności. Błyskające co jakiś czas znaczniki stanowią jedyne źródło światła. Tyle jej wystarcza; jej nakładki na oczy wychwytyują te nieliczne fotony i pokazują jej pokój w półmroku. Clarke nie była w pomieszczeniu łączności, od kiedy pozostali odpłynęli. Nie przyglądała się, jak ich ikony znikają poza krawędzią ekranu ani nie szukała śladów Gerry'ego Fischera na ryfcie.

Nie zamierza też robić tego teraz. Nie jest pewna, czy w ogóle kiedykolwiek zamierzała.

Z daleka samotne dzwonki wietrzne Lubina wygrywają dla niej serenadę.

Szczęk.

Z dołu.

Nie. Odejdź. Zostaw mnie w spokoju.

Clarke słyszy dźwięki odpływającej ze śluzy wody i otwieranego włazu. Trzy ciche kroki. Odgłosy wchodzenia po drabince.

W mesie, niczym cień, pojawia się Ken Lubin.

– A Mike i Alice? – pyta kobieta, bojąc się pozwolić mu przemówić jako pierwszemu.

– W drodze. Powiedziałem im, że ich dogonię.

– Trochę za bardzo się rozłazimy – zauważa Clarke.

– Myślę, że Brander był zadowolony, że pozbył się mnie na jakiś czas.

Kobieta uśmiecha się niewyraźnie.

– Ty nie płyniesz – zauważa Lubin.

Clarke kręci głową.

– Nie próbuj...

– Nie będę.

Mężczyzna siada na stojącym obok krześle. Clarke obserwuje jego ruchy. Jest w nich pewna

ostrożna gracia, zawsze tak było. Zupełnie jakby przez cały czas bał się, że coś zniszczy.

– Spodziewałem się, że możesz tak postąpić – odzywa się po chwili.

– Przepraszam. Sama tego nie wiedziałam, dopóki – cóż...

Lubin czeka, aż ta dokończy.

– Chcę wiedzieć, co tu jest grane – mówi wreszcie kobieta. – Może tym razem naprawdę *byli* wobec nas szczerzy. Nie jest to znowu *aż tak* niemożliwe. Może nie jest wcale aż tak źle, jak nam się wydawało...

Lubin wydaje się rozważać jej słowa.

– A co z Fischerem? Chcesz, żebym...

Clarke zanosi się krótkim śmiechem.

– Co z Fischerem? Chcesz ciągnąć go przez błoto całymi dniami, żeby potem wywlec go na jakąś pieprzoną plażę, gdzie nie będzie mógł nawet stanąć o własnych siłach, bo połamałby sobie nogi? Może Mike poczułby się dzięki temu lepiej. Ale to wątpliwy akt miłosierdzia dla Gerry'ego.

Dla Lenie Clarke też, teraz to już wie. Przez cały ten czas sama siebie oszukiwała. Czuli, że staje się silniejsza i wydawało jej się, że może tak po prostu odejść sobie z tym darem, zabrać go ze sobą w dowolne miejsce. Myślała, że może zamknąć w swym wnętrzu cały Channer jak jakąś nową protezę.

Lecz teraz... teraz sama myśl o odejściu sprawia, że powracają wszystkie jej słabości. Otwiera się przed nią przyszłość i kobieta czuje, że cofa się w rozwoju, zwija w kłębek jak jakaś miękka, przedludzka kijanka, której przekleństwem jest pamięć czasów, gdy była niczym ze stali.

To nie ja. To nigdy nie byłam ja. To tylko ryft mnie wykorzystywał...

– Chyba ostatecznie wcale się aż tak nie zmieniłam – mówi wreszcie.

Lubin spogląda na nią, jakby prawie się uśmiechał. Wyraz jego twarzy wywołuje u niej złość o nieokreślonym podłożu.

– Dlaczego w ogóle wróciłeś? – dopytuje. – Zawsze głównie cię obchodziło, co kto robił i dlaczego. Zawsze obchodziły cię tylko i wyłącznie twoje własne sprawy, jakiegokolwiek by one...

Coś zaskoczyło. Pozorny uśmiech Lubina znika.

– Ty wiesz – stwierdza Clarke. – Ty wiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie.

– Nie pierdol, Ken. Mike miał rację, wiesz o wiele za dużo. Wiedziałeś doskonale, jakie pytania zadać o ten komputer na bombie, wiedziałeś o megatonach i średnicach pęcherza. Więc co jest grane?

– Nie wiem. Naprawdę. – Lubin potrząsa głową. – Mam pewne... doświadczenie jeśli chodzi o pewne operacje. Dlaczego cię to dziwi? Naprawdę myślałaś, że przemoc domowa to jedyny czynnik kwalifikujący do tej roboty?

Zapada cisza.

– Nie wierzę ci – odzywa się wreszcie Clarke.

– Masz prawo. – W głosie Lubina pobrzmiwa coś na kształt smutku.

– Więc dlaczego *wróciłeś*?

– Teraz? – Mężczyzna wzrusza ramionami. – Chciałem... chciałem powiedzieć, że mi przykro. Z powodu Karla.

– Karla? Taa, mi też. Ale już po wszystkim.

– Naprawdę mu na tobie zależało, Lenie. Wróciłby w końcu. Wiem to.

Clarke spogląda na niego z ukosa.

– Co masz na...

– Ale, widzisz, uwarunkowano mnie tak, bym dotrzymywał ścisłej tajemnicy, a Acton potrafił

przejrzeć mnie na wylot. Widział to wszystko, co zrobiłem... wcześniej. Widział, nie mogłem...

Acton potrafił przejrzeć...

– Ken. Nigdy nie udało nam się do ciebie dostroić. Przecież dobrze o tym wiesz.

Mężczyzna kiwa głową, pocierając dłońmi o siebie. W przyćmionym, niebieskim świetle Clarke widzi perlące się na jego czole kropelki potu.

– Jesteśmy specjalnie szkoleni. – Jego głos opada do ledwie słyszalnego szeptu. – Przesłuchania z wykorzystaniem Ganzfeldu to typowe narzędzia w arsenale państw i korporacji, niezbędna jest więc umiejętności blokowania sygnałów. Z wami na ogół jakoś sobie radziłem. Albo po prostu trzymałem się z dala, żeby nie było to problemem.

Co on chce powiedzieć? – pyta samą siebie Lenie Clarke, ale zna już odpowiedź. *Co on chce powiedzieć?*

– Ale Karl, on po prostu... obniżył poziom inhibitorów o wiele za... po prostu nie potrafiłem go zablokować.

Lubin pociera twarz. Clarke nigdy wcześniej nie widziała, żeby był tak nerwowy.

– Znasz to uczucie, kiedy ktoś przyłapie cię z ręką w słoiku z ciastkami? Albo w łóżku z czyimś partnerem? Jest na to pewien wzór. Pewna szczególna kombinacja neuroprzekaźników. Kiedy czujesz, wiesz, że cię... zdemaskowano.

O mój Boże.

– Mam pewien odruch warunkowy – ciągnie mężczyzna. Włącza się za każdym razem, gdy nagromadzą się we mnie te substancje chemiczne. Właściwie nie jestem w stanie tego kontrolować. A kiedy instynktownie czuję, że mnie *odkryto*, po prostu...

Pięć procent, Lenie, powiedział jej dawno temu Acton. *Może dziesięć. Jeśli poprzestaniecie na takiej niewielkiej wartości wszystko będzie dobrze.*

– Właściwie nie mam żadnego wyboru... – mówi Lubin.

Pięć albo dziesięć procent, nie więcej.

– Myślałam... myślałam, że bał się tylko o ubytki wapnia – szepcze Clarke.

– Przykro mi. – Lubin nie porusza się już nawet o milimetr. – Sądziłem, że przyplływając tutaj... Sądziłem, że tak będzie najbezpieczniej dla wszystkich, wiesz? I tak by było, gdyby Karl...

Kobieta spogląda na niego otępiałym i pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Jak możesz mi o tym opowiadać? Czy tą swoją *spowiedzią* nie naruszasz tajemnicy?

Mężczyzna nagle wstaje. Przez chwilę Clarke wydaje się, że za moment ją zabije.

– Nie – odpowiada Lubin.

– Bo instynkt mówi ci, że w zasadzie i tak jestem już martwa. Cokolwiek by się nie wydarzyło. Więc nic złego się nie stało.

Lubin odwraca się.

– Przykro mi – powtarza raz jeszcze i zaczyna schodzić w dół po drabinie.

Clarke ma wrażenie, że jej ciało jest gdzieś bardzo daleko. Ale w całej tej martwej przestrzeni rośnie mały, gorący węgielek.

– A co, gdybym zmieniła zdanie, Ken? – woła za nim, wstając z miejsca. – Co gdybym postanowiła uciec razem z wami? To uaktywniłoby stary odruch zabójcy, prawda?

Mężczyzna zatrzymuje się.

– Tak – odpowiada po chwili. – Ale tego nie zrobisz.

Clarke patrzy za nim, stojąc w bezruchu. Lubin ani razu nie ogląda się za siebie.

Wyszła na zewnątrz. To nie jest część planu. Plan jest taki, by zostać w środku, tak jak jej kazali.

Plan jest taki, żeby siedzieć tam i zwyczajnie się o to prosić.

A jednak przypląnęła tu, do Gardła i przemierza ulicę Główną. Nad nią wyrastają generatory podobne do osłaniających ją olbrzymów. Kobieta pogrąża się w ich ciepłym, sodowym blasku, mijając po drodze chmary migoczących mikrobów, które ledwie zauważa. Poniżej rozległy bentos odfiltruje życie z wody, ignorując ją, podobnie jak ona ignoruje jego. Clarke mija wielokolorową, pięknie powykręcaną rozgwiazdę, pozszywaną z odpadków. Żyjątko leży na dnie, zawijając się samo na siebie, z wyciągniętymi w górę dwoma ramionami; kilka pozostałych na nich nóżek ambulakralnych faluje niemrawo, poruszane przez prądy. Przypominający bawełnę grzyb rozprzestrzenia się w najlepsze wzdłuż siateczki szwów.

Na krawędzi smokera termistor pokazuje temperaturę 54°C.

Clarke nic to nie mówi. Smoker może spać przez najbliższe sto lat albo wybuchnąć w następnej sekundzie. Kobieta próbuje dostroić się do zamieszkujących dno stworzeń, odczytać jakieś instynktowne spostrzeżenia, które potrafił skraść Acton, ale nigdy nie była wrażliwa na umysły bezkręgowców. Być może tę umiejętność zyskują tylko ci, którzy przekroczyli próg dziesięciu procent.

W środku jest bardzo ciasno. Wnętrze komina unieruchamia ją, nim udaje jej się przejść trzy metry. Clarke wije się i wykręca; od ścian odrywają się miękkie kawałki siarki i wapnia. Powoli posuwa się w głąb, głową w dół. Jej wyciągnięte ręce przypominają czarne, segmentowane czułki. Nie ma miejsca, by trzymać je przy ciele.

Kobieta wypełnia wnętrze komina na tyle szczelnie, że światło z ulicy Głównej nie ma szans dostać się do środka. Włącza latarkę. W jaskrawym snopie światła wiruje wełnista zamieć.

Metr niżej, tunel skręca w prawo. Clarke nie sądzi, by udało jej się wejść w zakręt. A nawet gdyby, to wie, że dalsza droga jest zablokowana. Wie, bo zza rogu wystaje pokryta wapnem, szkieletowa stopa.

Wijąc się, kobieta wciąż posuwa się naprzód. Nagle słyszy jakiś ryk i na krótką chwilę paraliżuje ją myśl, że smoker zaraz wybuchnie. Lecz dźwięk ten niesie się tylko w jej głowie; coś zatkało wlot elektrolizera, odcinając jej dopływ tlenu. To tylko tracąca przytomność Lenie Clarke.

Próbuje się otrząsnąć, ale amplituda jej ruchów wynosi zaledwie kilka centymetrów. Na szczęście tyle wystarcza; wlot znów jest czysty. A jako dodatkowa premia, udało jej się przemieścić na tyle w głąb, że może teraz zajrzeć za róg.

Drogę blokuje wygotowany szkielet Actona pokryty osadami mineralnymi. Zwisają z niego krople stopionego kopolimeru, podobne do rozpuszczonego wosku. Gdzieś tam wciąż działa przynajmniej jeden element ludzkiej technologii, wrzeszcząc do ogłuszonych czujników Beebe.

Clarke nie jest w stanie go dosięgnąć. Ledwo w ogóle może go dotknąć. Ale jakimś cudem, nawet pomimo osadów, widzi, że skręceno mu kark.

Gad

Zapomniał, kim był.

Nie, żeby tu, na dole, miało to jakiegokolwiek znaczenie. Na co komu imię, skoro nie ma komu go użyć? Nie pamięta, skąd pochodzi. Nie pamięta tych, którzy dawno temu go wypędzili. Nie pamięta nadzorcy, który siedział kiedyś u szczytu jego rdzenia kręgowego, galaretowatej fasady języka, kultury i wypartego pochodzenia. Nie pamięta nawet procesu powolnego upadku tego ciemniźcyela, jego ostatecznego rozpadu na dziesiątki autonomicznych, sprzeczących się ze sobą podprogramów. Teraz umilkły już nawet one.

Z kory mózgowej przychodzi niewiele sygnałów. Z płatów ciemieniowego i potylicznego dochodzą impulsy, świadczące o niskim poziomie różnych substancji. W tle buczy kora ruchowa. Co jakiś czas ośrodek Broki mamrocze coś sam do siebie. Reszta na ogół pozostaje martwa i ciemna, wygładzona przez czarny ocean gorący i żywy jak para, albo zimny i powolny jak płyn przeciw zamarzaniu. To, co pozostało, przerodziło się w gada.

Posuwa się naprzód, ślepy i bezmyślny, nieświadomy wiszących nad nim czterystu płynnych atmosfer. Je to, co uda mu się *znaleźć*, w pewien intuicyjny sposób wiedząc, czego unikać, a czego nie. Odsalacze i przetworniki utrzymują właściwy poziom nawodnienia. Czasami stara skóra ssaka robi się lepka od wydzielanych substancji; pokrywająca ją z wierzchu nowsza warstwa otwiera pory na ocean i obmywa wszystko do czysta roztworem destylowanej wody morskiej.

Rzecz jasna gad umiera, ale powoli. Nawet gdyby o tym wiedział, niespecjalnie by go to obchodziło.

Jak wszystkie żywe istoty i on ma swój cel. Jest strażnikiem. Czasami jednak zapomina, co dokładnie powinien chronić. Nieważne. Przypomina sobie, kiedy to widzi.

Teraz właśnie ją widzi, jak wpełza z dziury w dnie świata. Wygląda tak samo, jak pozostali, ale on zawsze potrafił ją rozpoznać. Dlaczego chroni właśnie ją, a nie pozostałych? To go nie obchodzi. Gady nigdy nie kwestionują swych pobudek. Jedynie kierują się nimi w swych działaniach.

Ona chyba nie wie, że on tu jest i ją obserwuje.

Gad ma wgląd w pewne rzeczy, które właściwie powinny mu być niedostępne. Został wygnany zanim pozostali podrasowali sobie neurochemię do bardziej wrażliwych poziomów. A jednak jedynym, co te zmiany ostatecznie przyniosły, było sprawienie, że pewne słabe sygnały łatwiej odróżniało się od głośnego i chaotycznego tła. Jako że wyłączyła się kora mózgowa gada, umilkł niemal zupełnie szum tła. Sygnały pozostały tak samo słabe, jak zwykle, ale zniknęły zakłócenia. I tak właśnie, choć zupełnie nieświadomie, gad zyskał pewną mglistą świadomość odległych odczuć.

W pewien sposób wyczuwa, że zrobiło się tu niebezpiecznie, chociaż nie wie dlaczego. Wyczuwa, że inne istoty zniknęły. A jednak ta, którą chroni, wciąż tu jest. Rozumiejąc motywy swego postępowania w jeszcze mniejszym stopniu niż kocica, która przenosi swe zagrożone młode do kryjówek, gad próbuje zabrać swą podopieczną w bezpieczne miejsce.

Idzie mu to dużo łatwiej, gdy ta wreszcie przestaje się wyrывać. Ostatecznie nawet pozwala mu się odciągnąć od jaskrawych światła z powrotem tam, gdzie jej miejsce. Wydaje z siebie jakieś odgłosy, dziwne i znajome; z początku gad nasłuchuje, ale potem zaczyna go boleć od nich głowa. W końcu kobieta milknie. Gad wlecze ją w ciszy pośród pozbawionych widoków nocnych krajobrazów.

Przed nimi pojawia się przyćmione światło. Jest też dźwięk; z początku słaby, ale narastający. Ciche wycie. Bulgot. I coś jeszcze, jakiś brzęk – *metaliczny*, mruczy ośrodek Broki, chociaż nie ma

wcale pojęcia, co to oznacza.

Z mroku przed nim wyłania się jaskrawe, miedziane światło latarni – zbyt ostre, zbyt nieruchome i dużo jaśniejsze niż bioluminescencyjne węgielki, które na ogół oświetlają mu drogę. Blask sprawia, że reszta świata pogrąża się w nieprzeniknionym mroku. Zwykle gad unika tego miejsca. Ale ona stąd pochodzi. Dla niej oznacza ono bezpieczeństwo, mimo że w przypadku gada łączy się z czymś zgoła...

Z kory mózgowej dochodzi go dreszcz przypomnienia.

Latarnia świeci na wysokości kilku metrów powyżej dna. Po zmniejszeniu odległości rozdziela się na sznur mniejszych świateł, ciągnących się po łuku, niczym fotofory na boku ogromnej ryby.

Ośrodek Broki wydaje z siebie kolejne odgłosy: *reflektory sodowe*.

Zza świateł wyłania się coś ogromnego, rozdętego i szarego na tle czerni. To coś wisi ponad dnem jak wielki, gładki głaz, w nieprawdopodobny sposób unoszący się w wodzie. Światła otaczają to wzdłuż linii równika, a prązkowane włókna mocują do podłoża.

A coś innego, mniejszego, ale jeszcze bardziej boleśnie jasnego, spada w dół z nieba.

– Tu CSS *Forcspigerz* Asturii. Jest ktoś w domu?

Gad nurkuje z powrotem w mrok, wzburzając za sobą szlam. Odplynał o kilka dobrych metrów, gdy wreszcie mgliście zaczyna zdawać sobie z czegoś sprawę.

Ośrodek Broki zna te dźwięki. Nie rozumie ich – nigdy nie był zbyt dobry w czymkolwiek poza naśladownictwem – ale słyszał już kiedyś coś podobnego. Gad czuje jakieś niezwykle drżenie. Ciekawość już od dawna nie była mu do niczego potrzebna.

Znów zwraca się w stronę miejsca, z którego dopiero co uciekł. Z daleka światła przypominają raczej rozmytą, przyćmioną poświatę. Ona jest gdzieś tam bez żadnej ochrony.

Gad kieruje się z powrotem w stronę latarni. Jej blask ponownie dzieli się na wiele mniejszych ognisk; za nimi wciąż czai się ten niewyraźny, złowrogi zarys. Na jego szczycie osiada ta rzecz z nieba, wydając przy tym przerażające, a zarazem znajome odgłosy.

Ona unosi się w wodzie pośród jasności i czeka. Gad podpływa bliżej, oddany i przerażony.

– Hej słuchajcie.

Gad drga, ale tym razem nie ucieka.

– Nie chciałem was wystraszyć, ale nikt ze środka mi nie odpowiada. Mam was stąd zabrać.

Kobieta podpływa do tej rzeczy z nieba i zatrzymuje się przed czymś lśniącym i okrągłym na jej przedzie. Gad nie widzi dokładnie, co ona tam robi. Niepewnie rusza za nią, choć oczy bolą go od niespodziewanej jasności.

Ale ona zawraca i spotyka go w połowie drogi. Wyciąga rękę i prowadzi go wzdłuż półkolistej krawędzi, mijając opasujące ją światła (za jasne, za jasne) do – Ośrodek Broki nie przestaje bełkotać, *eeeeebbeebebebebe beebe*, i nagle coś jeszcze budzi się we wnętrzu gada. Instynkt. Uczucie. Nie tyle wspomnienie, co *odruch*.

Gad cofa się, zdjęty nagłym strachem.

Kobieta ciągnie go za sobą. Wydaje z siebie dziwne odgłosy: *wejść do środka Getry wejdź do środka wszystko w porządku*. – Gad opiera się, z początku niepewnie, potem coraz bardziej gwałtownie. Ześlizguje się po szarej ścianie, klifie, nawisie; rozpaczliwie szuka punktu oparcia, wreszcie natrafia na jakąś wypukłość i przywiera płasko do jej dziwnej, twardej powierzchni. RzUCA głową w tę i z powrotem, pogrążając ją na przemian w świetle i mroku.

– ...*lej Getry musisz wejść do środka* – Gad zastyga w bezruchu. *Do środka*. Zna te słowa. Nawet w pewnym sensie je rozumie. Ośrodek Broki nie jest już dłużej osamotniony, coś z płata skroniowego przyłącza się do akcji. To coś wie, o czym mówi ośrodek Broki.

O czym *ona* mówi.

– Gerry...

Ten dźwięk też jest mu znany.

– ...proszę...

Ten dźwięk pochodzi z bardzo, bardzo dawna.

– ...*zaufaj mi* – czy *cokolwiek* z ciebie jeszcze tam zostało? Cokolwiek?

Kiedy gad był częścią czegoś większego i nie był wcale *gadem*, ale...

...*osobą*.

Uśpione na tak długo skupiska neuronów migoczą w mroku. Stare, zapomniane podprogramy zacinają się i restartują.

Ja...

– Gerry?

Moje imię. Tak mam na imię. Ledwie jest w stanie myśleć pośród nagłych szumów pod czaszką. Pewne jego części wciąż śpią, inne milczą, jeszcze inne zostały kompletnie rozmyte. Mężczyzna potrząsa głową, próbując ją oczyścić. Nowe części – nie, stare części, bardzo stare części, które odeszły, ale teraz wróciły *i ani myślą się zamknąć* – wrzeszczą, starając się zwrócić na siebie uwagę.

Wszędzie jest tak *jasno*. Wszędzie ból. Wszędzie...

Przez jego umysł przewijają się słowa: Włączone światła. Nikogo nie ma w domu.

Światła zaczynają migotać.

Przed oczami migają mu obrazy obrzydliwych, zepsutych rzeczy, wijących się w jego umyśle. Dawne wspomnienia trą ze zgrzytem o grube warstwy rdzy. Nagle coś wyłania się z niesłychaną ostrością: to pięść. Uczucie pękających kości twarzy. Ocean w ustach, ciepły i słonawy. Chłopiec z pałką elektryczną. Dziewczynka cała w siniakach.

Inni chłopcy.

Inne dziewczynki.

Inne pięści.

Wszędzie ból, wszędzie.

Coś próbuje oderwać jego palce. Coś próbuje zaciągnąć go do środka. Coś chce to wszystko przywrócić. Coś chce zabrać go do *domu*.

Słowa same cisną mu się na język. On jedynie je z siebie wyrzuca:

– Nawet mnie, *kurwa*, NIE DOTYKAJ!

Odpycha swego prześladowcę i desperacko pierzcha w wodę. Ciemność jest zbyt daleko; mężczyzna widzi własny cień, rozciągający się na dnie, czarny, trwałe i wijący się pod wpływem światła. Młóci nogami ze wszystkich sił. Nic go nie zatrzymuje. Po chwili światła blakną.

Lecz głosy krzyczą tak samo głośno, jak zawsze.

Wynurzenie

Wnętrze Beebe zionie niczym czarna jama pomiędzy jego stopami. Dobiega stamtąd niezidentyfikowany szelest; mężczyzna dostrzega jakiś ruch, ciemność przemieszczającą się pośród ciemności. Nagle coś błyska; dwie plamy odbitego światła w kolorze kości słoniowej, niemal niezauważalne na czarnym tle. Przez chwilę wiszą bez ruchu, po czym zaczynają się wznosić. Wokół nich z mroku wyłania się blada twarz.

Kobieta wychodzi z wnętrza stacji, ociekając wodą; wydaje się, że przyniosła ze sobą część tej ciemności. Mrok podąża za nią do kąta kabiny pasażerskiej i okrywa ją niczym koc. Kobieta nie odzywa się ani słowem.

Joel zagląda w głąb jamy, po czym znów kieruje wzrok na ryftowca.

– Czy ktoś jeszcze, ee...

Kobieta kręci głową; gest jest tak nieznaczny, że Joel niemal go nie zauważa.

– Tam był – to znaczy, ten drugi...

Kobieta musi być tym ryfterem, który kilka minut temu wisiał przed iluminatorem: CLARKE, głosi naszywka na jej ramieniu. Ale ten drugi, ten który dał nogę jak uchodźca przyłapany po nieodpowiedniej stronie ogrodzenia – według sonaru wciąż znajduje się gdzieś nieopodal. Trzyma się blisko dna, trzydzieści metrów poza kręgiem światła. I po prostu tam siedzi.

– Nikt więcej nie przyjdzie – mówi kobieta. Jej głos jest cichy i martwy.

– Nikt? – Dwoje na całą sześćoosobową załogę? Joel zwiększa zakres wyświetlacza; dalej też nikogo nie widać. Chyba, że chowają się za skałami, czy coś w tym stylu.

Spogląda znów w głąb gardła Beebe. Albo kryją się gdzieś tam, jak trolle, i czekają...

Gwałtownie zatrzaskuje właz i zamyka go na głucho.

– Clarke, tak? Co tu się dzieje?

Kobieta mruga.

– Myślisz, że *ja* wiem? – Sprawia wrażenie zaskoczonej pytaniem. – Sądziłam, że to ty będziesz potrafił mi odpowiedzieć.

– Wiem tylko, że GA płaci mi w chuj kasy za wzięcie nocnej zmiany w ostatniej chwili. – Joel przemieszcza się na dziób skafu i opada na fotel pilota. Rzuca okiem na sonar. Ten dziwny sukinsyn dalej tam jest. – Wydaje mi się, że nie powinienem nikogo zostawiać.

– No i tego nie zrobisz – oznajmia Clarke.

– Właśnie, że tak. Widzę go na wyświetlaczu.

Ta nie odpowiada. Joel odwraca się i spogląda na nią.

– Dobra – odzywa się wreszcie kobieta. – W takim razie *sam* po niego idź.

Joel przez kilka sekund wpatruje się jej w oczy. *Właściwie to wcale nie chcę wiedzieć*, dochodzi ostatecznie do wniosku.

Odwraca się, nie mówiąc już nic więcej, i nadmuchuje zbiorniki. Zyskawszy nagle nośność, skaf zaczyna walczyć z unieruchamiającymi go zaciskami dokującymi. Joel wciska guzik, a te wypuszczają go na wolność. Maszyna odskakuje od Beebe niczym żywe stworzenie, chwije się nieco napotykać na kleisty opór wody, po czym powoli pnie się do góry.

– Ty... – Głos dochodzi zza jego pleców.

Joel odwraca się.

– Ty naprawdę nie wiesz, co tu jest grane? – pyta Clarke.

– Zadzwonili do mnie jakieś dwanaście godzin temu. Kurs do Beebe o północy, powiedzieli.

Kiedy dotarłem do Astorii dowiedziałem się, że mam wszystkich ewakuować. Powiedzieli, że będziecie już na mnie czekać, gotowi.

Jej wargi wyginają się nieznacznie. To nie do końca uśmiech, ale w przypadku tych psycholi temu grymasowi pewnie do niego najbliżej. Kobiecie z nim do twarzy, w pewien zimny, odległy sposób. Gdyby zdjąć jej z oczu nakładki, bez problemu mógłby umieścić ją w swoim programie do wirtualnej rzeczywistości.

– Co stało się z całą resztą? – postanawia zaryzykować.

– Nic – pada odpowiedź. – Po prostu nabawiliśmy się... lekkiej paranoi.

Joel chrząka.

– Wcale się nie dziwię. Gdyby to mnie wsadzili tu na rok, paranoja byłaby moim najmniejszym problemem.

Znów ten przelotny, upiorny uśmiech.

– Ale tak na serio – naciska. – Dlaczego reszta zdecydowała się zostać? To jakiś akcja robotnicza?

Jeden z tych – *jak to się kiedyś nazywało?* – strajków, czy jak mu tam?

– Coś w tym stylu. – Clarke spogląda na gródź nad swoją głową. – Ile do powierzchni?

– Obawiam się, że dobre dwadzieścia minut. Skafy GA to jebane sterówce. Cała reszta może

ścigać się z delfinami, a najlepsze, co mi uda się wycisnąć z tego czegoś, to szybkie kołysanie. Jednak ma to swoje dobre strony. – Joel posyła kobiecie rozbrajający uśmiech. – Płacą mi od godziny.

– Dobra twoja – rzuca Clarke.

Reflektor

Znów jest prawie zupełnie cicho.

Stopniowo głosy przestały krzyczeć. Rozmawiają teraz ze sobą szeptem, omawiając kwestie, które dla niego nie mają żadnego znaczenia. Nic nie szkodzi. Przywykł do bycia ignorowanym. *Cieszy się z bycia ignorowanym.*

Jesteś bezpieczny, Gerry. Nie mogą cię skrzywdzić.

Co... Kto...

Nie ma już nikogo. Zostaliśmy tylko my.

Ty...

To ja, Gerry. Ciebie. Zastanawiałam się, kiedy wrócisz.

Mężczyzna potrząsa głową. Słabe światło wciąż sączy się ponad jego ramieniem. Odwraca się, nie tyle w jego stronę, co w kierunku odrobinę rozjaśnionego mroku.

Ona próbowała ci pomóc, Gerry. Ona tylko próbowała pomóc.

Ona...

Lenie. Jesteś jej aniołem stróżem. Pamiętasz?

Nie jestem pewien. Myślę...

Ale ją tam zostawiłeś. Uciekłeś.

Ona chciała... Ja... Nie do środka...

Czuje, że porusza nogami. Woda obmywa mu twarz. Mężczyzna płynie naprzód. W ciemności przed nim powstaje luka.

Widać przez nią jakieś kształty.

Ona tam mieszka, mówi Ciebie. Pamiętasz?

Powoli zakrada się z powrotem w krąg światła. Wcześniej rozbrzmiewały tu hałasy, głośnie i sprawiające ból. Było coś wielkiego i mrocznego, co się poruszało. Teraz została już tylko ta ogromna kula, wisząca mu nad głową jak, jak...

...jak pięść.

Fischer zatrzymuje się, przerażony. Ale wokół jest cicho, tak cicho, że dobiega go ledwie słyszalny płacz, niosący się po dnie. Mężczyzna przypomina sobie: Kawałek stąd znajduje się dziura w oceanie, która czasem do niego przemawia. Nigdy nie potrafił zrozumieć, co mówi.

No dalej, ponagla go Ciebie. Ona weszła do środka.

Nie ma jej.

Z tego miejsca nie jesteś w stanie tego stwierdzić. Musisz podejść bliżej.

Spodnia strona kuli stanowi chłodne, zacienione schronienie; światła na jej równiku nie są w stanie tu sięgnąć zza wypukłej powierzchni. Na samym biegunie południowym, pośród nakładających się na siebie cieni, coś połyskuje zachęcająco.

No dalej.

Mężczyzna odpycha się od dna i wślizguje w stożek cienia poniżej tajemniczego przedmiotu. Skierowany ku dołowi, jasny, błyszczący dysk o średnicy około metra kręci się wewnątrz okrągłej otoczki. Fischer zbliża się, by przyrzeć się temu czemuś.

Coś odpowiada mu spojrzeniem.

Przestraszony, robi w tył zwrot i ucieka. Dysk zaczyna więc się pod wpływem nagłych zawirowań. Mężczyzna zatrzymuje się i zawraca.

Bańka. To tylko bańka. Pęcherz gazu uwięziony pod...

...służą.

Nie ma się czego bać, uspokaja go Cień. Tak właśnie wchodzi się do środka.

Wciąż podenerwowany, Fischer wpływa z powrotem pod kulę. Bańka powietrza połyskuje srebrzyście w odbitym świetle. Pojawia się w niej czarna zjawa, niemal całkowicie pozbawiona cech charakterystycznych, za wyjątkiem dwóch pustych, białych przestrzeni w miejscu, gdzie powinny znajdować się jej oczy. Wyciąga rękę, by dotknąć jego dłoni. Dwa zestawy palców stykają się ze sobą, stapiają i znikają. Jedna kończyna wnika w swe odbicie po nadgarstek. Po drugiej stronie lustra opuszki muskają metal.

Mężczyzna cofa rękę, zafascynowany. Zjawa lewituje ponad jego głową, bezmyślna i beztroska.

Fischer unosi dłoń do twarzy i przesuwa palcem wskazującym od ucha do czubka żuchwy.

Zachodząca sama na siebie, bardzo długa molekula otwiera się.

Na gładkiej, czarnej twarzy zjawy pojawia się kilkucentymetrowa szczelina; to, co się pod nią znajduje, w sączącym się świetle wydaje się bladoszare. Mężczyzna czuje znajome ukłucia nagłego zimna na policzku.

Przesuwa palec jeszcze dalej, rozplątując „skórę” od ucha do ucha. Poniżej plam udających oczy zjawy otwiera się podobne do szerokiego uśmiechu rozcięcie. Pod jej brodą łopocze odpięty fragment czarnej błony, przymocowany na wysokości gardła.

Przez środek oskórowanej powierzchni biegnie zmarszczka. Kiedy Fischer opuszcza żuchwę, zmarszczka otwiera się.

Większość zębów już dawno mu wypadła. Kilka połknął, resztę wypluwał, jeśli obluzowywały się, gdy miał odsłoniętą twarz. To nieważne. Większość rzeczy, którymi żywi się ostatnimi czasy, jest jeszcze bardziej miękka niż on sam. A gdy czasami jakiś mięczak czy szkarłupień okazuje się za twardy lub za duży, by połknąć go w całości, zawsze zostają mu jeszcze ręce. Wciąż ma przeciwstawne kciuki.

Ale teraz po raz pierwszy zobaczył ten ziejący otwór, pozbawioną zębów ruinę w miejscu, gdzie kiedyś miał usta. Wie, że nie tak powinno to wyglądać.

Co się ze mną stało? Czym jestem?

Jesteś Gerry, mówi Cień. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Zabiłeś mnie. Pamiętasz?

Nie ma jej, uświadamia sobie Gerry.

Wszystko w porządku.

Wiem o tym. Wiem.

Pomogłeś jej, Gerry. Teraz jest bezpieczna. Uratowałeś ją.

Wiem. Przypomina sobie coś drobnego i ważnego, na chwilę, nim wszystko staje się jasne jak słońce: *To właśnie robisz, gdy naprawdę...*

Świt

Podnośnik wciąż jeszcze zajęty był wciąganiem CSS *Forcipigera* do swego brzucha, gdy na głównym wyświetlaczu skafu pojawiły się nowe wytyczne. Joel rzucił na nie okiem, zmarszczył brwi, po czym z rozmysłem wyrzwał na zewnątrz. Horyzont na wschodzie zaczynało powoli zalewać szarawe światło przedświt.

Gdy znów skierował wzrok na ekran, informacja nie uległa zmianie.

– Kurwa. To nie ma najmniejszego sensu.

– Co takiego? – pyta Clarke.

– Nie wracamy do Astorii. To znaczy, ja tak, ale ciebie mam wysadzić gdzieś za szelfem kontynentalnym.

– Co? – Kobieta podchodzi bliżej, ale zatrzymuje się przed samym kokpitem.

– Tak mam tu napisane. Mamy trzymać się standardowego kursu, ale zejdziemy do zera piętnaście kilometrów od wybrzeża. Tam wysiądziesz, a ja polecę dalej do Astorii.

– Co jest piętnaście kilometrów od wybrzeża?

Joel sprawdza.

– Nic. Woda.

– Może statek? Łódź podwodna? – Jej głos brzmi dziwnie głucho przy dwóch ostatnich słowach.

– Może. Ale nie mam tu niczego na ten temat. – Chrząka. – Może resztę drogi masz pokonać w pław.

Podnośnik umocował ich w swym brzuchu. Na rufie eksplodowały oswojone pioruny, ogrzewając do bardzo wysokiej temperatury pęcherze wypełnione gazem. Ocean zaczął opadać.

– A więc zamierzasz wysadzić mnie na środku oceanu – oznajmia zimno Clarke.

– Nie do mnie należy decyzja.

– Oczywiście, że nie. Tylko wykonujesz rozkazy.

Joel odwraca się. Wpatrujące się w niego oczy kobiety przypominają dwie bliźniacze zaspę śnieżne.

– Nie rozumiesz – mówi. – To nie są *rozkazy*. Ja nie kieruję podnośnikiem.

– Więc co?

– Pilotem jest żel. On nie każe *mi* niczego robić. On po prostu informuje nas na bieżąco, co *on* robi, całkowicie samodzielnie.

Przez chwilę Clarke milczy.

– A więc tak to teraz wygląda? – pyta wreszcie. – Wykonujemy rozkazy maszyn?

– Ktoś musiał wydać pierwotny rozkaz. Żel go wykonuje. Jeszcze nie przejęły nad nami kontroli. A tak w ogóle – dodaje Joel – to one właściwie nie są maszynami.

– Aha – mruczy cicho Clarke. – Czuję się z tym znacznie lepiej.

Czując się dość nieswojo, Joel odwraca się znów w stronę pulpitu.

– Jednak jest to trochę dziwne.

– Doprawdy? – Kobieta sprawia wrażenie niespecjalnie zainteresowanej.

– Znaczy, że dowiadujemy się o tym od żelu. Mamy przecież połączenie radiowe. Dlaczego ktoś po prostu nam tego nie *powiedział*?

– Bo radio nie działa – dobiega go nieobecny głos Clarke.

Zaskoczony mężczyzna sprawdza przyrządy diagnostyczne.

– Nie, wszystko jest w porządku. W zasadzie, to chyba zadzwonię do nich i zapytam, co tu się do

kurwy nędzy wyprawia...

Trzydzieści sekund później zwraca się znów w stronę Clarke.

– Skąd wiedziałaś?

– Zgadywałam. – Kobieta się nie uśmiecha.

– Cóż, wszystkie systemy są sprawne, ale nie mogę nikogo złapać. Lecimy na głucho. – Gdzieś w tyle jego głowy kielkuje maleńkie ziarenko wątpliwości. – Chyba że z jakiegoś powodu żel ma dostęp, a my nie. – Mężczyzna łączy się z interfejsem podnośnika i wywołuje wykaz połączeń przychodzących. – Hmm. Co takiego mówiłaś o maszynach wydających rozkazy?

To zwraca jej uwagę.

– O co chodzi?

– Podnośnik dostał polecenia z sieci.

– Czy to nie ryzykowne? Dlaczego GA nie zwróciło się bezpośrednio do niego?

– Nie wiem. Teraz ma odciętą łączność, tak samo jak my, ale ostatnia wiadomość przyszła z tego węzła. Kurwa, to jeszcze jeden żel.

Clarke pochyla się tak, że pomimo ciasnoty jakimś cudem udaje jej się go nie dotknąć.

– Skąd wiesz?

– Poznaje po adresie węzła. BCC oznacza świadomość biochemiczną.

Wyświetlacz piszczy głośno, dwa razy.

– Co to takiego? – pyta Clarke.

W głębi oceanu rozbłysło nagle jaskrawoniebieskie światło słoneczne.

– Co do *kurwy* – Kabinę wypełniły nagle wrzaski komputera. Odczyt z wysokościomierza rozbłysnął szkarłatem i runął w dół na łeb na szyję. *Spadamy*, pomyślał Joel, po czym uświadomił sobie, że *to niemożliwe. Żadnego przyspieszenia.*

To ocean się podnosi...

Na wyświetlaczu szalała zamieć danych, wirująca zbyt szybko jak dla ludzkich oczu. Gdzieś nad ich głowami żel z dziką prędkością analizował różne opcje, mogące utrzymać ich przy życiu.

Gwałtowne szarpnięcie: Joel chwycił się bezużytecznych w tym momencie sterów i z całych sił zacisnął na nich palce. Kątem oka zauważył, jak Clarke leci do tyłu.

Podnośnik zaczął piąć się w niebo; po obu stronach burty trzaskały błyskawice. Ocean rzucił się za nim w pościg, tworząc ogromne, rosące wybrzuszenie, zbliżające się do iluminatora na brzusznej stronie skafu. Na oczach Joela przyćmione światło stawało się coraz jaśniejsze; z niebieskiego zmieniło się w zielone, potem w żółte.

I białe.

W Pacyfiku powstała dziura. Z jej wnętrza wyłoniło się słońce. Mężczyzna zakrył twarz dłońmi i ujrzał swe własne kości otoczone pomarańczowym zarysem ciała. Podnośnik zawirował niczym kopnięta zabawka i wbił się głęboko w niebo na słupie pary. Powietrze na zewnątrz wyło. Podnośnik też wył, ślizgając się.

Ale się nie złamał.

Wreszcie, po kilku nieskończone długich sekundach, kil jakimś cudem odzyskał równowagę. Odczyty wciąż pojawiały się na bieżąco; głośniły, że to *anomalie atmosferyczne*, mające miejsce w odległości już prawie ośmiu kilometrów, na pierwszej dwadzieścia. Joel wyjrzał przez bulaj na sterburcie. W oddali rozżarzona powierzchnia oceanu opadała z łoskotem w dół. Pod jego stopami przebiegały fale w kształcie pierścieni, spieszące w kierunku horyzontu.

Zaś w epicentrum, na podobieństwo jasnoszarej łodygi fasoli, strzelał w niebo cumulus. Obserwowany z oddali, wydawał się niemal spokojny na tle mroku.

– Clarke – powiedział Joel. – Udało nam się.

Odwrócił się na krześle. Kobieta leżała przy grodzi w pozycji embrionalnej. Nie poruszała się.

– Clarke?

Ale to nie ona mu odpowiedziała. Interfejs podnośnika znów zaczął piszczeć.

Nieznany kontakt, poskarżył się wyświetlacz.

Położenie 125x87 V1440AV5. 8m. sec2 odległość 13000 m

Nieuchronne zderzenie,

12000 m

11000 m

10000 m

Ledwie widoczna przez główny iluminator biała, mglista kropka trafiła w obręb promieni porannego słońca. Przypominała ogladaną od przodu smugę kondensacyjną.

– Oż kurwa – powiedział Joel.

Jerycho

Cała jedna ściana była oknem. Za szybą rozciągało się miasto, podobne do ramienia galaktyki. Patricia Rowan zamknęła za sobą drzwi i osunęła się na nie, zdjeta nagłym zmęczeniem.

Jeszcze nie. Jeszcze nie. Wkrótce.

Przeszła przez całe biuro, wyłączając wszystkie światła. Przez okno sączył się do środka blask miasta, nie pozwalając jej odnaleźć schronienia w ciemności.

Patricia Rowan wyrzała na zewnątrz. Poplątana sieć aglomeracyjnych nerwów rozciągała się aż po horyzont, a każda synapsa płonęła. Kobieta skierowała wzrok na południowy zachód i zatrzymała go w określonym miejscu. Wpatrywała się w nie, aż oczy zaczęły jej łzawić, jakby bała się choćby mrugnąć, żeby niczego nie przegapić.

To przyjdzie stamtąd.

O Boże. Gdyby tylko było jakieś inne wyjście.

To mogło się udać. Specjaliści od symulacji twierdzili, że równie dobrze wszystko mogło zakończyć się bez choćby pękniętej szyby. Wszystkie znajdujące się po drodze uskoki i szczeliny zadziałają na korzyść, stanowiąc falochrony, dzięki którym wstrząsy nie dotrą aż tak daleko. Wystarczy poczekać na właściwy moment: tydzień, miesiąc. Odpowiedni moment. To wszystko, czego było im trzeba.

Odpowiedni moment i wyrachowany kawał mięsa, który kieruje się ludzkimi zasadami, zamiast stworzyć sobie własne.

Ale nie mogła winić żelu. Ludzie od systemów przekonywali, że on niczego nie wiedział; po prostu robił to, co jego zdaniem powinien. A nim wszyscy zorientowali się, co właściwie jest grane – kiedy Rowan po raz setny obróciła w głowie enigmatyczną rozmowę Scanlona z tą pieprzoną rzeczą, kiedy zaniósła nagranie do Departamentu Świadomości Chemicznej, kiedy twarze ekspertów przybrały wyraz zdziwienia i konsternacji, a potem nagle pobladyły i odmalowała się na nich panika – było już za późno. Okno zostało zamknięte. Machina została wprawiona w ruch. A samotny prom GA, oficjalnie stacjonujący bezpiecznie w Astorii, jakimś cudem pokazywał się na kamerach satelitarnych unoszących się ponad Grzbietem Juan de Fuca.

Nie mogła winić żelu, więc próbowała zrzucić odpowiedzialność na Departament ŚC.

– Jak to możliwe, że po całym tym programowaniu to coś działa *na korzyść* Behemota? Dlaczego tego nie zauważyliście? Nawet Scanlon się zorientował, na litość boską! Lecz oni byli zbyt przerażeni, by dać się zastraszyć. To *ty* zleciłaś nam to zadanie, mówili. To *ty* nie poinformowałaś nas, o jaką stawkę toczy się cała gra. Tak naprawdę nawet nie powiedziałaś nam, co właściwie robimy. Scanlon podszedł do tego od zupełnie innej strony; kto mógł wiedzieć, że mózgoser ma słabość do prostych systemów? My nigdy go tego nie nauczyliśmy... Jej zegarek zapiszczał cicho.

– Kazała pani informować się o wszystkim, pani Rowan. Pani rodzina jest już bezpieczna.

– Dziękuję – odpowiedziała kobieta i rozłączyła się.

Jakaś część jej zadręczała się poczuciem winy za decyzję o ich uratowaniu. Nie wydawało się zbyt sprawiedliwym, że jedyne osoby, mające uniknąć holokaustu to bliscy jednej z jego twórczyń. Lecz robiła jedynie to, co zrobiłaby każda matka. Może nawet więcej: w końcu *ona sama* zostawała tu, na miejscu.

Nie było to zbyt wiele. Prawdopodobnie nawet jej to nie zabije. Gmachy GA wznoszono z myślą o trzęsieniach ziemi o dużej sile. Przeważająca część budynków w tej dzielnicy jutro o tej samej porze prawdopodobnie wciąż będzie stała. Rzecz jasna, tego samego nie można powiedzieć o większości

Hongcouver, SeaTac czy Victorii.

Jutro Rowan miała pomagać w zbieraniu resztek najlepiej, jak tylko to potrafi.

Może będziemy mieli szczęście. Może wstrząsy nie będą aż tak mocne. Kto wie, może ten żel na dnie też wybrałby akurat dzisiejszy wieczór...

Proszę...

Patricia Rowan miała już w przeszłości okazję oglądać trzęsienia ziemi. Uskok przesuwaczy niedaleko Peru uległ wypiętrzeniu akurat wtedy, gdy przebywała w Limie, biorąc udział w projekcie Upwella; magnituda tych wstrząsów wynosiła prawie dziewięć stopni. Pękła każda szyba okienna w mieście.

Właściwie Rowan nie miała wtedy okazji zobaczyć zbyt wielu zniszczeń. Została uwięziona w hotelu, gdy na ulicę posypało się szkło z czterdziestu sześciu pięter. To był dobry hotel, pełne pięć gwiazdek; przynajmniej okna na parterze wytrzymały. Kobieta pamięta, jak wyglądając z holu widziała na zewnątrz ciemny, zielonkawy lodowiec potłuczonych szyb, wysoki na siedem metrów i poprzetykany gęsto krwią, gruzami i zmasakrowanymi fragmentami ciał, wbitymi pomiędzy potrzaskane tafle. Jedna brązowa ręka tkwiła tuż przy oknie lobby, trzy metry nad ziemią. Brakowało jej trzech palców oraz reszty ciała. Rowan zauważyła palce metr dalej – zmiażdżone, unoszące się na wodzie serdelki, ale nie potrafiła określić które z ciał, o ile którekolwiek w ogóle, pasowałyby do tego ramienia.

Przypomniała sobie, że zastanawiała się, jakim cudem ta ręka znalazła się tak wysoko nad ziemią. Przypomniała sobie, że wymiotowała do kosza na śmieci.

Tutaj, rzecz jasna, coś podobnego nie mogło mieć miejsca. To w końcu N'AmPac; obowiązują tu pewne standardy. Okna każdego budynku w Lower Mainland zaprojektowano tak, by w razie trzęsienia ziemi pękały do środka. Nie było to idealne rozwiązanie – szczególnie dla tych, którzy akurat znajdowali się wewnątrz, ale był to najlepszy z możliwych kompromisów. W pojedynczym pomieszczeniu szkło nie jest w stanie osiągnąć nawet ułamka tej prędkości, co przy spadku z drapacza chmur.

Małe pocieszenie.

Gdyby tylko istniał jakikolwiek inny sposób na przeprowadzenie sterylizacji na taką skalę. Gdyby tylko Behemot z natury nie zamieszkiwał niestabilnych obszarów. Gdyby tylko korpy z N'AmPac nie były upoważnione do stosowania broni jądrowej.

Gdyby tylko głosowanie nie zakończyło się jednomyślnym wynikiem.

Priorytety. Miliardy ludzi. Znane nam życie.

Mimo tego nie było łatwo. Słuszność i właściwość powziętych postanowień nie ulegały wątpliwości ze strategicznego punktu widzenia, ale trzymanie załogi Beebe pod kwarantanną było trudne. Trudno było też podjąć decyzję o poświęceniu ich. A teraz, gdy wyglądało na to, że mimo wszystko jakoś udało im się uciec, było...

Trudno? Trudno sprowadzić trzęsienie ziemi o magnitudzie 9,5 stopnia na głowy dziesięciu milionów ludzi? Jedynie trudno?

Nie było na to odpowiedniego słowa.

Lecz i tak jakimś cudem zdobyła się na to, by tego dokonać. To był jedyny właściwy moralnie wybór. Mimo wszystko były to zaledwie morderstwa w niewielkich dawkach w porównaniu do tego, co mogłoby stać się konieczne za.

Nie. Robimy to po to, by już nic więcej nie było konieczne za jakiś czas.

Może właśnie dlatego potrafiła się na to zdobyć. A może w jakiś sposób rzeczywistość przesaczyła się z jej mózgu do żołądka, skłaniając ją do podjęcia niezbędnych kroków. Z całą

pewnością *coś* ją tam uderzyło.

Ciekawa jestem, co powiedziałaby Scanlon. Jednak było już za późno, by go spytać. Rzecz jasna, nigdy mu nie powiedziała. Nawet nie kusiło ją, by to zrobić. Powiedzenie mu, że jego tajemnica się wydała, że kolejny raz wcale tak wiele nie znaczył... W pewnym sensie wydawało się to gorsze niż zabicie go. Rowan nie miała najmniejszej ochoty krzywdzić tego biedaka.

Jej zegarek zapiszczał raz jeszcze.

– Przełączenie na sterowanie manualne – powiedział.

O Boże. O Boże.

Zaczęło się, tam, poza zasięgiem świateł, pod trzema czarnymi kilometrami wody morskiej.

Szalone żele-kamikadze, oderwane od swych wydających się nie mieć końca gier już wiedziały:

Dość tych bzdur. Pora wysadzać.

A może powtarzały zdezorientowane: *Nie teraz, to nieodpowiednia pora, zniszczenia. Lecz* nie miało to już żadnego znaczenia. Inny komputer – głupi, nieorganiczny, programowalny i całkowicie godny zaufania – prześle wymaganą sekwencję cyfr i żele znajdą się poza obiegiem, bez względu na to, co sobie myślały.

A może po prostu zasalutowały i odeszły na bok. Może ich to nie obchodziło. Czy ktoś w ogóle miał jeszcze jakiegokolwiek pojęcie, co te potwory sobie myślały?

– Detonacja – oznajmił zegarek.

Miasto pogrążyło się w ciemnościach.

Otchłań runęła na nie, czarna i wygłodniała. Pośród nagłej pustki, połyskiwała jedynie jedna, samotna grupka; pewnie szpital, mający własne generatory. Kilka prywatnych pojazdów, napędzanych samodzielnie antyków, kręciło się niepewnie jak robaczki świętojańskie po niespodziewanie zaciemnionych ulicach. Słabiej niż zwykle świeciła też sieć Rapitrans.

Rowan spojrzała na zegarek; minęła zaledwie godzina od momentu zapadnięcia decyzji. Zaledwie godzina, od kiedy zostali zmuszeni do działania. A jednak wydawało się, że upłynęło znacznie więcej czasu.

– Dane taktyczne z ośrodka sejsmicznego trzydzieści jeden – powiedziała. – Odszyfruj.

Jej pole widzenia wypełniły informacje. Przed nią, w powietrzu, zawisła mapa w fałszywej kolorystyce, przedstawiająca ukazane w pionie, poznaczone bliznami dno oceaniczne. Jedna ze szram dygotała.

Za wirtualnym wyświetlaczem i za oknem kolejny fragment panoramy miasta zamigotał, po czym rozbłysnął słabym blaskiem. Dalej na północ jeszcze jeden. Sługusi Rowan gorączkowo doprowadzali energię z innych źródeł: Gordy i Mendocino, farm słonecznych na równiku, tysiąca małych tam rozsianych po całych Kordylierach. Jednak potrzeba było na to sporo czasu. Więcej, niż mieli.

Może powinniśmy byli ich ostrzec. Nawet godzinne wyprzedzenie to już byłoby coś. Za mało na przeprowadzenie ewakuacji, ale może wystarczająco, by pozdejmować z półek porcelanę. Wystarczająco, by zorganizować wsparcie, nieważne, ile by to dało. A jednocześnie mnóstwo czasu, by wywołać panikę na całym wybrzeżu, gdyby się wydało. Nawet jej własna rodzina nie miała pojęcia, co stało za nagłą, niespodziewaną wycieczką na wschodnie wybrzeże.

Dno morskie rozdarło się na oczach Rowan, jakby było wykonane z gumy. Tuż nad nim unosiła się półprzejrzysta płaszczyzna, odzwierciedlająca powierzchnię oceanu. Rozchodziły się po niej kręgi. Na wyświetlaczu ścigały się ze sobą dwie fale uderzeniowe, na prowadzeniu znajdowała się ta, którą zapoczątkowały wstrząsy podłoża. Fala uderzyła w Strefę Subdukcji Cascadia, powodując lżejsze wstrząsy pod kątami prostymi wzdłuż linii uskoku. Wszystko jakby zatrzymało się na chwilę i Rowan

niemalże dała się ponieść nadziei, że Strefa okazała się zaporą nie do pokonania.

Lecz wtedy sama Strefa zaczęła się ześlizgiwać, powoli, ociężale, z początku niemal niezauważalnie. W głębi, na nieciągłości Moho pięćsetletnie paznokcie osuwały się w bólach coraz niżej. Nabudowywane od pięciu wieków napięcie miało wreszcie okazję zostać rozładowane.

Kolejny przystanek, wyspa Vancouver.

Coś nieprawdopodobnego działo się wzdłuż cieśniny Juan de Fuca. Kombajny do zbierania krasnorostów oraz supertankowce wykryją niemożliwe wręcz zmiany w wysokości słupa wody pod nimi. Jeśli na ich pokładach znajdowali się ludzie, będą mieli kilka chwil na refleksję, jak całkowicie pozbawione sensu jest ostrzeżenie z dziewięćdziesięcioszekundowym wyprzedzeniem.

To i tak więcej, niż było dane Pasowi.

Rzecz jasna, wyświetlacz taktyczny nie pokazywał żadnych szczegółów. Pokazywał jedynie brązową falę rozchodzącą się po przybrzeżnym podłożu skalnym i zmierzającą w głąb lądu. Pokazywał posuwający się jej śladem na poziomie morza biały łuk. Nie pokazał natomiast, jak ocean przy brzegu wznosi się, tworząc pasmo pogórzy. Nie pokazał, jak powierzchnia morza staje dęba. Nie pokazał, jak trzydziestometrowa ściana wody rozgniatą pięć milionów uchodźców na miastę.

Lecz Rowan i tak to wszystko widziała.

Mrugnęła trzykrotnie; jej oczy zapiekły. Wyświetlacz posłusznie zniknął. W oddali, w różnych punktach uspiętej sieci, błyskały podobne do łebków pinezek czerwone światła karetek i samochodów policyjnych; kobieta nie wiedziała, czy pojawiły się tam w odpowiedzi na wezwania, czy też zapobiegawczo. Dystans oraz dźwiękoszczelne szkło tłumiły wszelkie odgłosy syren.

Podłoga zaczęła się trząść bardzo łagodnie.

Z początku było to zaledwie kołysanie w tę i z powrotem. Stopniowo osiągnęło jednak apogeum, które niemal pozbawiło Rowan równowagi. Konstrukcja skarżyła się ze wszystkich stron, beton pomrukiwał groźnie pod naporem dźwigarów. Bardziej można było to wyczuć niż usłyszeć. Kobieta rozłożyła ramiona, chwytając równowagę, łapiąc przestrzeń w objęcia. Nie mogła zmusić się do płaczu.

Wielkie okno rozprysło się na milion brzęczących odłamków, które opadły deszczem w noc. Powietrze wypełniły szklane zarodniki i odgłosy dzwonek wietrznych.

Na dywanie nie było ani jednego kawałka szyby.

O Chryste, uświadomiła sobie tępo Rowan. Wykonawcy spierdolili robotę. Tyle pieniędzy poszło na odporne na wstrząsy, implodujące szyby, a te durne sukinsyny wstawiły je na odwrót...

Na południowym zachodzie wschodziło małe, pomarańczowe słońce. Patricia Rowan osunęła się na kolana na nieskazitelnie czysty dywan. Nagle, wreszcie zapiekły ją oczy. Przepelniona wdzięcznością, pozwoliła im napełnić się łzami: *Jestem człowiekiem*, powtarzała sobie. *Wciąż jestem człowiekiem.*

Uderzył w nią powiew wiatru. Niósł ze sobą krzyki ludzi i maszyn.

Detrytus

Ocean jest zielony. Lenie Clarke nie ma pojęcia, jak długo była nieprzytomna, ale nie mogli zatonać na więcej niż sto metrów. Ocean wciąż jest zielony.

Forcipiger pogrąża się w głębinach dziobem w dół; powietrze ucieka z niego przez dziesiątki małych ran. Przez przednią szybę biegnie pęknięcie w kształcie błyskawicy; Clarke ledwie ją dostrzega przez wciąż rosnący poziom wody w kokpicie. Przód skafu stał się dnem studni. Kobieta zapiera się stopami o tył fotela pasażerskiego i przyciska plecami do przekręconego do pionu pokładu. Tuż przed nią mruga umieszczona na suficie listwa oświetleniowa. Jakoś udaje jej się wyciągnąć z wody pilota i przypiąć go do innego siedzenia. Na pewno co najmniej jedną nogę ma złamaną. Mężczyzna wisi teraz bezwładnie w pasach niczym przemoczona marionetka. Wciąż oddycha, jednak kobieta nie ma pewności, czy właściwie kiedykolwiek jeszcze się ocknie.

Może i lepiej, jeśli nie, myśli Clarke i chichocze.

To nie było zbyt zabawne, upomina samą siebie, po czym znów zaczyna chichotać.

Oż kurwa. Jakbym się nawaliła.

Próbuje się skoncentrować. Jest w stanie skupić się na pojedynczych rzeczach; Samotnym nacie przed sobą. Skrzypieniu metalu. W jakiś sposób pochłaniają one całą jej uwagę. To, na czym akurat spoczna jej oczy, wydaje się rosnać, aż wypełni cały jej świat. Myślenie o czymkolwiek innym przychodzi jej z ogromnym trudem.

Sto metrów, udaje jej się wreszcie zmusić mózg do wysiłku. *Wyrwa w kadłubie. Ciśnienie rośnie.*

Azot...

...narkoza...

Pochyla się, by sprawdzić pokręta służące do regulacji atmosfery we wnętrzu skafu. Są odwrócone na bok. Kobiecie wydaje się to nieco zabawne, chociaż nie ma pojęcia dlaczego. Tak, czy inaczej, nie działają.

Sięga więc do panelu dostępu, ale ześlizguje się i z pluskiem wpada do kokpitu, dotkliwie się przy tym tłukąc. Od czasu do czasu, na zanurzonych tablicach pobłyskują odczyty. Są ładne, ale im dłużej Clarke się im przygląda, tym bardziej narasta ból w jej klatce piersiowej. Kobieta orientuje się wreszcie w czym rzecz i wystawia głowę nad wodę.

Panel dostępu znajduje się tuż przed nią. Clarke walczy z nim przez jakiś czas, ale ostatecznie udaje jej się go otworzyć. W środku, jeden przy drugim jak w wojsku, leżą zbiorniki z hydroksem, połączone ze sobą w systemie kaskadowy. Po jednej stronie wystaje duży, żółty uchwyt. Kobieta łapie za niego i ciągnie. Ten niespodziewanie poddaje się, Clarke traci równowagę i znów wpada pod wodę.

Tuż przed jej twarzą znajduje się kanał wentylacyjny. Kobieta nie jest pewna, ale ma wrażenie, że gdy wylądowała tu poprzednim razem, nie wydobywały się z niego te wszystkie bąbelki. Przyjmuje to za dobry znak. Postanawia zostać tu przez jakiś czas i poobserwować banieczki. Coś jej jednak przeszkadza. Coś w klatce piersiowej.

A tak. Wciąż o tym zapomina. Nie może oddychać.

Jakoś udaje jej się zaplombować twarz. Ostatnią rzeczą, jaką pamięta, jest moment, w którym skurczyło się jej płuco, a woda wdarła się przez pierś do jej wnętrza.

Kiedy znów się wynurza, zalane jest dwie trzecie kokpitu. Kobieta pełźnie do pomieszczenia na rufie i zrywa „skórę” z twarzy. Woda wypływa z lewej strony jej klatki piersiowej, powietrze wypełnia

prawą.

Nad jej głową pojękuje pilot.

Wspina się do niego i przekręca jego siedzenie tak, by leżał na plecach, z twarzą w stronę tylnej grodzi. Unieruchamia fotel w tej pozycji, starając się, by złamana noga mężczyzny pozostawała względnie wyprostowana.

– Au! – krzyczy pilot.

– Przepraszam. Postaraj się nie ruszać. Masz złamaną nogę.

– No co ty, kurwa, nie powiesz. *Auu*. – Przechodzą go dreszcze.

– Chryste, ale mi zimno. – Clarke widzi, że wszystko zaczyna do niego docierać. – O Boże. Mamy dziurę. – Próbuje się poruszyć. Udaje mu się przekręcić głowę, ale jakiś uraz zmusza go do wrócenia do poprzedniej pozycji. Po chwili rozluźnia się, krzywiąc się z bólu.

– Zalewa nam kokpit – mówi Clarke. – Póki co powoli. Poczekaj chwilę. – Schodzi znów na dół i ciągnie za brzeg włazu prowadzącego do kokpitu. Zaciął się. Kobieta nie daje za wygraną. Właz wreszcie puszcza i zaczyna się zamykać.

– Czekaj – odzywa się pilot.

Clarke popycha właz z powrotem w kierunku grodzi.

– Znasz się na tych przełącznikach? – pyta mężczyzna.

– Znam ich standardowy układ.

– Coś tam jeszcze działa? Łączność? Napęd?

Clarke klęka i wsadza głowę pod wodę. Kilka odczytów, które działały wcześniej, już zgasło. Kobieta sprawdza te, które wciąż świecą.

– Manipulatory. Reflektory zewnętrzne. Boja akustyczna – oznajmia po wynurzeniu się z powrotem na powierzchnię. Wszystko inne padło.

– Kurwa. – Głos mu drży. – Cóż, tak czy siak, możemy wystrzelić boję. Nie, żeby mieli przyjść nam na ratunek.

Clarke sięga dłonią przez wodę, której wciąż przybywa, i wciska guzik. Na zewnątrz kadłuba coś wydaje cichy, głuchy odgłos.

– Dlaczego nie? W końcu przysłali cię, żebyś nas zabrał. Gdybyśmy tylko zdążyli uciec przed wybuchem...

– Zdążyliśmy – wchodzi jej w słowo pilot.

Clarke rozgląda się po pomieszczeniu.

– Noo...

Mężczyzna parska lekceważąco.

– Słuchaj, nie mam pojęcia, co do kurwy nędzy robiliście tam z atomówką, ani dlaczego nie mogliście poczekać trochę dłużej z odpaleniem jej, ale zdążyliśmy przed nią uciec, okej? Tylko potem coś nas zestrzeliło.

Clarke wyprostowuje się.

– Zestrzeliło?

– Pocisk. Powietrze-powietrze. Wyleciał ze stratosfery – Głos drży mu z zimna. – Nie wydaje mi się jednak, by trafił w skaf. Za to rozpiździł podnośnik. Ledwie udało nam się wznieść na jakąś przyzwoitą wysokość, zanim...

– Ale to nie ma... Po co mieliby nas ratować, a potem zestrzeliwać?

Pilot nie odpowiada. Oddycha szybko i głośno. Clarke zaczyna znów szarpać za właz do kokpitu. Ten zamyka się ze skrzypieniem.

– Nie brzmi to dobrze – zauważa mężczyzna.

– Poczekaj chwilę. – Kobieta kręci kołem; właz przylega z westchnięciem do plomby mimetycznej.

– Chyba mi się udało – mówi i wspina się z powrotem na tylną gródź.

– *Chryste*, ale mi zimno. – Pilot spogląda na nią. – O kurwa. Jak głęboko jesteśmy?

Clarke wygląda przez jeden z małych bulajów pomieszczenia. Zieleń zaczyna ustępować miejsca kolorowi niebieskiemu.

– Sto pięćdziesiąt metrów. Może dwieście.

– Powinna złapać mnie narkoza azotowa.

– Zmieniłam mieszankę. Jesteśmy na hydroksie.

Mężczyzną wstrząsają silne dreszcze.

– Słuchaj, Clarke. Zamarzam. W jednym z tych schowków znajdują się kombinezony ratunkowe. Kobieta znajduje je i rozwija jeden z nich. Pilot próbuje oswobodzić się z pasów, ale mu się to nie udaje. Clarke przybywa mu z pomocą.

– Au!

– Druga noga też jest uszkodzona. Może to tylko skręcenie.

– *Kurwa mać!* Rozpadam się na kawałki, a ty tak po prostu mnie tu upchnęłaś? Na litość boską, czy GA nie zafundowało ci nawet podstawowego szkolenia medycznego?

Kobieta wycofuje się: robi jeden niezgrabny krok w kierunku tyłu kolejnego fotela pasażerskiego. To raczej nie jest odpowiednia pora, by przyznawać się, że gdy go tam umieściła, znajdowała się pod wpływem narkozy azotowej.

– Słuchaj, przepraszam – odzywa się po chwili mężczyzna. Po prostu – nie jest najlepiej, rozumiesz? Możesz po prostu rozpiąć ten kombinezon i mnie nim okryć?

Clarke robi to, o co ją poprosił.

– Tak lepiej. – Mimo to jednak wciąż się trzęsie. – Jestem Joel.

– Cl... Lenie.

– Więc tak, Lenie. Jesteśmy zdani tylko na siebie, wszystkie systemy siadły i zmierzamy w stronę dna. Jakież sugestie?

Nic nie przychodzi jej do głowy.

– Okej. Okej. – Joel bierze kilka głębokich wdechów. – Ile mamy hydroksu?

Kobieta schodzi na dół i sprawdza miernik na kaskadzie.

– Szesnaście tysięcy. Na ile nam to wystarczy?

– Niezbyt długo. – Mężczyzna marszczy brwi, zachowując się tak, jakby tylko próbował się skoncentrować. – Powiedziałaś dwieście metrów, to daje nam, pomyślmy, dwadzieścia atmosfer, kiedy zaplombowałaś właz. Więc powinno nam starczyć na jakieś sto minut. – Próbuje się roześmiać, ale nie bardzo mu to wychodzi. – Jeśli zamierzają jednak przyjść nam na ratunek, to lepiej, żeby zrobili to w miarę kurwa szybko.

Clarke odczytuje jego intencje i podejmuje grę.

– Mogło być gorzej. Na ile by nam starczyło, gdybyśmy zamknęli właz dopiero przy powiedzmy tysiącu metrów?

Pilotem wstrząsają dreszcze.

– Ooo... Jakież dwadzieścia minut. Dno znajduje się tutaj prawie na czterech tysiącach metrów, a na tej głębokości starczyłoby nam, powiedzmy, że starczyłoby nam na maks pięć minut. – Łapczywie wciąga powietrze w płuca. – Sto osiem minut to nie tak źle. Wiele może się zdarzyć w ciągu stu ośmiu minut...

– Ciekawe, czy udało im się uciec – szepcze kobieta.

– Co mówisz?

- Byli jeszcze inni. Moi... przyjaciele. – Potrząsa głową. – Zamierzali pokonać całą drogę wpływ.
- Do stałego lądu? To szaleństwo!
- Nie. Mogło się udać, jeśli tylko zdążyli dotrzeć dostatecznie daleko zanim...
- A kiedy wyruszyli? – pyta Joel.
- Jakies osiem godzin przed twoim przybyciem.

Mężczyzna nie odpowiada.

– *Mogło* im się udać – upiera się Clarke, nienawidząc go za to milczenie.

– Lenie, przy tym zasięgu – nie sądzę.

– To *możliwe*. Nie możesz tak po prostu – O *nie*...

– Co? – Joel wykręca się w swej uprząży, próbując zorientować się, na co patrzy kobieta. – *Co?*

Półtora metra poniżej stóp Lenie Clarke, przy krawędzi włazu prowadzącego do kokpitu, tryska strużka wody morskiej. Na jej oczach wystrzeliwiają jeszcze dwie.

Za iluminatorem ocean zmienił kolor na ciemnoniebieski.

Ocean wciska się do wnętrza Forcipigera, coraz bardziej rozpychając atmosferę po kątach. Nie odpuszcza nawet na chwilę.

Kolor niebieski zaczyna ciemnieć. Wkrótce pozostanie już tylko czern.

Lenie Clarke widzi, że Joel wpatruje się we właz. Nie w tego przeciekającego zdrajcę, który wpuścił wroga przez kokpit; ten znajduje się już pod prawie dwoma metrami lodowatej wody. Nie, Joel przygląda się włazowi dokującemu na brzusznej części skafu, który kiedyś otworzył się i zamknął nad stacją Beebe. Tkwi on w pokładzie zamienionym w ścianę, nienaruszony; woda dopiero zaczyna chłupotać przy jego dolnej krawędzi. Lenie Clarke wie doskonale, o czym myśli pilot, bo sama zastanawia się nad dokładnie tym samym.

– Lenie – odzywa się mężczyzna.

– Jestem.

– Czy kiedykolwiek próbowałaś się zabić?

Clarke uśmiecha się.

– Pewnie. Jak chyba każdy, nie?

– Ale nie wyszło.

– Najwyraźniej nie – przyznaje.

– Co się stało? – pyta Joel. Znów wstrząsają nim dreszcze; woda już prawie go dosięgła. Poza tym jednak, jego głos wydaje się opanowany.

– Nic wielkiego. Miałam jedenaście lat. Obkleiłam się całą plastrami. Straciłam przytomność.

Obudziłam się na oddziale pomocy medycznej.

– O kurwa. To tylko trochę lepiej niż służba zdrowia dla uchodźców.

– Taa, no cóż, nie wszyscy są bogaci. Poza tym, nie było wcale aż tak źle. Mieli nawet psychologów. Sama się z jednym spotkałam.

– Tak? – Głos znów zaczyna mu się trząść. – I co ci powiedziała?

– Powiedział. Powiedział mi, że na świecie jest pełno ludzi, którzy potrzebują go o wiele bardziej niż ja, więc kiedy następnym razem będę chciała zwrócić na siebie uwagę, powinnam zrobić to w sposób, który nie trzepnie podatników po kieszeniach.

– K-kurwa. Co za d-dupek. – Znów złapały go dreszcze.

– Niezupełnie. Miał rację. Poza tym, już nigdy więcej tego nie próbowałam, więc musiało to na mnie zadziałać. – Clarke wślizguje się do wody. – Zmienię mieszankę. Wygląda na to, że znów masz spazmy.

– Len – Lecz ona znikła, nim udaje mu się dokończyć.

Ześlizguje się na dno pomieszczenia i szarpie za znajdujące się tam zawory. Wysokie ciśnienie zamienia tlen w truciznę; im większa głębokość, tym mniej mogą go przyjąć oddychające powietrzem organizmy, albo dostaną konwulsji. Clarke już drugi raz zmuszona jest rozrzedzić mieszaninę. W tej, którą wdychają teraz oboje z Joelem, znajduje się zaledwie jeden procent tlenu.

Jeśli jednak mężczyzna pożyje jeszcze trochę, pojawią się inne problemy, na które Clarke już nie będzie mieć wpływu. W przeciwieństwie do ryfterów, pilot nie posiada neuroinhibitorów.

Kobieta wie, że musi się wynurzyć i znów stanąć z nim twarzą w twarz. Wstrzymuje oddech, bo nie było sensu włączać elektrolizera na marne dwadzieścia czy trzydzieści sekund. Kusi ją jednak, by to zrobić i zostać tu, pod wodą. Póki tu siedzi, on nie może jej poprosić. Tu jest bezpieczna.

Lecz choć można byłoby powiedzieć o niej wiele różnych rzeczy, to nigdy nie musiała przyznawać się do bycia tchórzem.

Wypływa na powierzchnię. Pilot wciąż wpatruje się we właz. Otwiera usta, by coś powiedzieć.

– Hej, Joel – odzywa się szybko Clarke. – Na pewno nie chcesz, żebym się przełączyła? Nie ma sensu, żebym zużywała twoje powietrze, skoro przecież nie muszę.

Mężczyzna potrząsa głową.

– Nie chcę słuchać mechanicznego głosu w ostatnich minutach swojego życia, Lenie. Proszę cię.

Po prostu – zostań ze mną.

Kobieta odwraca wzrok i kiwa potakująco głową.

– Kurwa mać, Lenie. Tak strasznie się *boję*.

– Wiem – mówi łagodnie Clarke.

– To oczekiwanie po prostu... Boże, Lenie, nawet psu nie kazałabym przez to przechodzić. Proszę.

Ta zamyka oczy i czeka.

– Odblokuj właz.

Kobieta potrząsa głową.

– Joel, nie potrafiłam nawet zabić siebie. Ani kiedy miałam jedenaście lat, ani... ani nawet zeszłej nocy. Jak niby miałabym...

– Mam pogruchotane nogi, Len. Nic więcej nie czuję. L-ledwie mogę mówić. Proszę.

– Dlaczego nam to zrobili, Joel? Co tu się dzieje?

Mężczyzna nie odpowiada.

– Co ich tak wystraszyło? Dlaczego tak bardzo się...

Pilot porusza się.

Szarpie się do góry i opada na bok. Wyciąga ręce; jedną chwyta za krawędź włazu, drugą zaciska na kole w jego centrum.

Jego nogi wykręcają się groteskowo, ale Joel wydaje się w ogóle tego nie zauważać.

– Przepraszam – szepcze Clarke. – Nie potrafiłam.

Mężczyzna z trudem przesuwa dłoń i kładzie ją na kole, obok drugiej.

– Żaden problem.

– O Boże. Joel.

Pilot wpatruje się we właz. Zaciska palce.

– Wiesz co, Lenie Clarke? – W jego głosie pobrzmiwa wyziębienie i strach, ale pojawia się w nim także nagła determinacja.

Kobieta potrząsa głową. *Nic już nie wiem.*

– Chętnie bym cię przeleciał.

Clarke nie ma pojęcia, co na to odpowiedzieć.

Joel kręci kołem i ciągnie za dźwignię.

Właz wpada do wnętrza *Forcipigera*, a za nim ocean. Jakimś cudem organizm Lenie Clarke zdążył się na to przygotować, gdy jej uwaga skupiona była na czym innym.

Uderza w nią ciało mężczyzny. Może walczy. A może to po prostu pęd Pacyfiku. Kobieta nie ma pojęcia, czy pilot jeszcze żyje, czy już nie. Mimo tego trzyma go kurczowo. Ocean obraca ich wokół własnej osi, aż nie ma już żadnych wątpliwości.

Pozbawiony atmosfery, *Forcipiger* przyspiesza. Lenie Clarke chwyta Joela za ręce i wyciąga go za sobą na zewnątrz. Oboje wypływają w lepłą przestrzeń. Pod nimi skaf opada w dół, wirując, niknąc z oczu w ciągu zaledwie kilku chwil.

Clarke puszcza Joela, łagodnie go popychając. Jego ciało zaczyna dryfować powoli w kierunku powierzchni. Kobieta podąża za nim wzrokiem.

Coś dotyka jej od tyłu. Ledwie wyczuwa to przez „skórę”.

Odwraca się.

Wokół jej nadgarstka owija się delikatnie cienka, półprzezroczysta macka. Jej drugi koniec niknie w mroku, kompletnie czarnym dla większości ludzi, lecz szaro-fioletowym dla Lenie Clarke. Kobieta przygląda się jej bliżej. Z opuchniętej końcówki wystrzelują w stronę jej palców lepkie nici.

Clarke ściera je i rusza śladem macki przez wodę. Po drodze natrafia na inne macki, słabe, chude, ledwie podrygujące pod wpływem prądów morskich. Wszystkie prowadzą do czegoś długiego, grubego i niewyraźnego. Kobieta opływa to coś naokoło.

Okazuje się, że to wielka kolumna wijących się żołądków przypominających robaki. Wszystkie pulsują nikłym, bioluminescencyjnym światłem.

Clarke wali w nie pięścią z obrzydzeniem. Stwór reaguje natychmiast, pozbywając się kulących się kawałków, które rozbłyskują i płoną niczym tłuste świetliki. Centralna kolumna momentalnie ciemnieje i zwija się w sobie. Pulsując, ucieka, korzystając z siły odrzutu i osłony, jaką zapewniają jej odrzucone fragmenty własnego ciała. Kobieta nie zwraca uwagi na poświęcone odpady, lecz rzuca się w pościg za ciałem właściwym. Uderza raz jeszcze. I znowu. W wodzie robi się gęsto od pulsujących, rozczłonkowanych przynęt. Clarke ignoruje je wszystkie i nie przestaje atakować centralnej kolumny, aż wreszcie zostają z niej tylko wirujące strzępy Joel. Joel Kita. Clarke uświadamia sobie, że go lubiła. Ledwie go знаła, ale tak czy inaczej go lubiła.

A oni tak po prostu go zabili.

Zabili nas wszystkich, myśli. Z rozmysłem. Rozmyślnie. Nawet nie powiedzieli nam, dlaczego.

To wszystko ich wina. Wszystko.

Coś rozpala się we wnętrzu Lenie Clarke. W tej jednej chwili przypomina jej się każdy, kto kiedykolwiek ją uderzył, albo zgwałcił, albo pogłaskał po głowie mówiąc: *nie martw się, wszystko będzie dobrze*. Każdy, kto kiedykolwiek udawał jej przyjaciela. Każdy, kto udawał jej kochanka. Każdy, kto kiedykolwiek ją wykorzystał i stojąc na jej plecach powtarzał wszystkim, że jest od niej lepszy. Każdy, kto zerował na niej za każdym razem, kiedy tylko włączył jebane światło.

Oni wszyscy czekają tam, na ładzie. Tylko się o *to prosząc*.

Tyle tu gniewu. Tyle nienawiści.

Tyle tu tego, że trzeba się na kimś wyładować.

Tym razem będzie to miało znaczenie. Unosi ją prąd, gdzieś na środku Oceanu Spokojnego, trzysta kilometrów od brzegu. Jest sama. Nie ma co jeść. Nie ma to jednak żadnego znaczenia. Żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia. Żyje; samo to daje jej przewagę.

Ziściła się największa obawa Karla Actona. Lenie Clarke została aktywowana.

Nie ma pojęcia, dlaczego GA tak strasznie się jej boi. Wie jedynie, że nie cofnęli się przed

niczym, by powstrzymać ją przed powrotem na ląd. Przy odrobinie szczęścia, będą przekonani, że im się to udało. Przy odrobinie szczęścia, nie będą się już nią przejmować.

Ale to się zmieni. Lenie Clarke płynie w głąb i na wschód, by zmartwychwstać.

PODZIĘKOWANIA

Wszystkie te słowa poskładałem w jedną całość samodzielnie. Bezcelnie jednak wykorzystałem kogo tylko się dało, by poskładać je *prawidłowo*.

Na początku:

Rozgwiadza narodziła się jako opowiadanie. Analizy krytycznej wczesnych wersji rękopisu dokonywały Barbara MacGregor oraz Nancy Butler, pracujące wcześniej na uniwersytecie w Kolumbii Brytyjskiej. Natomiast gdy książka zyskała status powieści, Jena Synder bezlitośnie, acz z nieocenionym zaangażowaniem, wynajdowała w niej wszelkie błędy redakcyjne.

Na końcu:

Rękopis zakupił David Hartwell; on też, wraz z Jimem Minzem, zajął się jego redakcją. Rzecz jasna, jestem im za to wdzięczny, liczę jednak na to, że ich nagroda przyjmie nie tylko formę werbalną i niematerialną. Mam nadzieję, że *Rozgwiadza* dobrze się sprzeda, *zarabiając* dla nas wszystkich mnóstwo pieniędzy. (Kopia, którą trzymacie w rękach, jest dopiero początkiem. Może kupicie ich więcej i rozdacie je świadkom Jehowy, pukającym do drzwi waszych domów?).

W międzyczasie:

Kiedy okazałem się zbyt wielkim cykorem, by zrobić to samodzielnie, Glenn Grant zwrócił się w moim imieniu do Davida Hartwella. Major David Buck z armii nowozelandzkiej podzielił się ze mną swoją wiedzą z zakresu materiałów wybuchowych, nuklearnych i innych. Poczuję się nieco zaniepokojony, dowiedziawszy się, jak wiele czasu pewne osoby poświęcają na rozważania, jakie skutki przyniosłaby eksplozja jądrowa na dnie morskim.

Kiedy chciałem zasięgnąć informacji na temat geologii stref spreadingu i uskokowych, zamiast poszukać odpowiedzi na własną rękę, zadawałem pytania na kliku geologicznych grupach usenetowych. Dzięki temu uzyskałem wiele rad od ludzi, których nigdy nie poznałem osobiście i pewnie nigdy nie poznam: Ellin Beltz, Hayden Chasteen, Joe Davis, Keith Morrison dali mi wskazówki i odesłali do odpowiednich źródeł, jeśli chodzi o wulkanizm, tektonikę płyt oraz (w jednym przypadku) ilość czasu, jaka byłaby potrzebna do wystrzelenia łodzi podwodnej z napędem atomowym z krateru aktywnego wulkanu, a pochłoniętej uprzednio przez głębinową strefę subdukcji. Szczególnie pomocny okazał się John Stockwell z Center for Wave Phenomena (Colorado School of Mines), który podzielił się ze mną wzorami i tablicami opisującymi trzęsienia ziemi przy pomocy przyjaznych i przystępnych „odpowiedników Hiroszimy”. Kusi mnie, by już nigdy więcej nie próbować szukać odpowiedzi na własną rękę.

Kusi mnie też, by winą za wszelkie błędy natury technicznej, na jakie być może natraficie w „Rozgwieździe”, obarczyć tych wszystkich miłych ludzi, ale rzecz jasna nie mogę tego zrobić. To moja książka i moje błędy.

Źródłem nieprzerwanej inspiracji była dla mnie muzyka Jethro Tull – nie tylko podczas samego procesu pisania tej powieści, lecz również przez te wszystkie prowadzące do niego, ciągnące się lata, kiedy tolerowano mnie w środowisku akademickim. Jeśli natomiast poszukujecie wprowadzającego w odpowiedni nastrój motywu przewodniego *Rozgwiadzy*, podkrećcie dźwięk, zgaście światło i włączcie sobie „Possession” Sarah MacLachlan. (Zacytowałbym tekst tej piosenki,

ale jakoś nigdy nie zapytałem o prawa do tego).

ŹRÓDŁA

Być może będziecie zaskoczeni, dowiadując się, jak wiele z opisanych przeze mnie zjawisk nie jest moim wymysłem. Gdybyście byli zainteresowani poznaniem szczegółów w nieco szerszym kontekście, poniższe źródła stanowią świetny start. *Rozgwiadza* celowo przekręca niektóre fakty, a dziesiątki innych błędów popełniłem zapewne z czystej niewiedzy. Jednak ta lista przyda się do jeszcze czegoś innego: da wam szansę sprawdzenia mnie.

Biologia głębokowodna

Stworzenia głębinowe w dużej mierze opisałem jako takie, jakimi są w rzeczywistości; jeśli mi nie wierzycie, przeczytajcie artykuł autorstwa B. H. Robinsona *Light in the Ocean's Midwaters*, który ukazał się w lipcu 1995 roku w „Scientific American”. Albo książkę *Deep-Sea Biology* J. D. Gage'a i P. A. Taylora (Cambridge University Press, 1992). Albo *Abyss* C. P. Idylla (Crowell Company, 1971); to dość stara publikacja, ale wciągnęła mnie, kiedy byłem jeszcze w dziewiątej klasie. Choć ryby, wydobywane z głębin są w rzeczywistości na ogół dość małe, przypadki gigantyzmu nie są niczym niezwykłym wśród niektórych gatunków ryb głębinowych. Przykładowo, w latach trzydziestych XX wieku pionier w dziedzinie badań głębokomorskich – William Beebe stwierdził, że ze swej batysfery dostrzegł ponad dwumetrowego smoka morskiego.

Mnóstwo interesujących rzeczy znalazłem także w *The Sea – Ideas and Observations on Progress in the Study of the Seas Volume 7: Deep-Sea Biology* (red. G. T. Rowe, 1983, John Wiley and Sons). Szczególnie polecam rozdział o zdolnościach adaptacyjnych zwierząt głębinowych pod kątem biochemicznym i fizjologicznym (autorstwa Somero i innych). Pomocna może okazać się także książka *Biochemical Adaptation*, wydana w 1983 roku przez Princeton University Press (red. Hochachka i Somero). Te publikacje stanowiły dla mnie bazę do rozważań na tematy fizjologii głębinowej, wpływu wysokiego ciśnienia na progi aktywności neuronów oraz adaptacji enzymów do warunków wysokiego ciśnienia/temperatury.

Tektonika/Geologia stref spreadingu

Odpowiednie dla laików wprowadzenie do geologii północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku, włączając w to omówienie grzbietów śródoceanicznych, takich jak Juan de Fuca, znaleźć można w „Cycles of Rock and Water” autorstwa K. A. Browna (Harper-Collins West, 1993). *The Quantum Event of Oceania Crustal Accretion: Impacts of Diking At Mid-Ocean Ridges* (J. R. Delaney i inni, *Science* 281, str. 222-230, 1998) dobrze oddaje, jak paskudne i częste są trzęsienia ziemi oraz erupcje wzdłuż grzbietu Juan de Fuca, ale może okazać się dość trudny w odbiorze ze względu na dużą ilość żargonu technicznego.

Teoria, że północno-wschodnie wybrzeże Pacyfiku ma niejaki opóźnienia, jeśli chodzi o potężne trzęsienia ziemi, analizowana jest w artykule R. D. Hyndmana *Giant Earthquakes of the Pacific Northwest* („Scientific American”, grudzień 1995). *Forearc Deformation and Great Subduction Earthquakes: Implications for Cascadia Offshore Earthquake Potential* autorstwa McCaffrey'a i Goldfingera (*Science* 267, 1995) oraz *Earthquakes Cannot Be Predicted* (Geller i inni, *Science* 275, 1997) przedstawiają ten problem nieco bardziej szczegółowo. Prowadziłem całkiem szczęśliwe życie w Vancouver. Po przeczytaniu tych tekstów przeprowadziłem się do Toronto.

Jednak zdecydowanie najfajniejszym źródłem najświeższych informacji na temat kominów hydrotermalnych są strony internetowe agencji National Oceanic and Atmospheric Administration (NOAA). Jest tam wszystko: surowe dane z pomiarów, harmonogramy badań, mapy z podglądem na żywo, trójwymiarowe animacje przedstawiające podmorskie trzęsienia ziemi, a także najnowsze publikacje. A to zaledwie kilka z dostępnych opcji. Zaczynajcie od <http://www.pmel.noaa.gov/vents/>, skąd możecie udać się na dalsze poszukiwania.

Psionika/Efekt Ganzfeldu

Opisywane przeze mnie zjawisko podstawowej telepatii pojawiło się też w poddawanej opinii środowiskowej fachowej literaturze w roku 1994. Zajrzyjcie do *Does Psi Exist? Replicable Evidence for an Anomalous Process of Information Transfer* Bema i Honortona, na strony 4-18 w #15 „Psychological Bulletin”. Mają tam poziom istotności i inne takie. Spekulacje dotyczące kwantowej natury świadomości człowieka pochodzą z książek Rogera Penrose'a *The Emperor's New Mind* (Oxford University Press, 1989) oraz *Shadows of the Mind* (Oxford, 1994).

Inteligentne żele

Inspiracją do stworzenia inteligentnych żeli, które koncertowo wszystko schrzaniły, były dla mnie badania prowadzone przez Masuo Aizawę, profesora z Tokyo Institute of Technology, którego sylwetkę przedstawiono w magazynie „Discover” z sierpnia 1992 roku. Połączył on wtedy ze sobą kilka neuronów, tworząc w ten sposób prototyp prostej bramki logicznej. Mam dreszcze na samą myśl o tym, czym może zajmować się obecnie.

Zastosowanie sieci neuronowych do nawigacji po skomplikowanym terenie opisał B. Daviss w artykule *Robocar* („Discover”, lipiec 1992), który prezentuje dokonania Charlesa Thorpe'a z (a jakżeby inaczej?) Uniwersytetu Carnegie-Mellon.

Behemot

Teoria, jakoby życie narodziło się w kominach hydrotermalnych pochodzi z *A Hydrothermally Precipitated Catalytic Iron Sulphide Membrane as a First Step Towards Life* autorstwa M. J. Russela i innych („Journal of Molecular Evolution” 39, 1994). Wtrącone mimochodem fragmenty dotyczące ewolucji życia, włączając w to fakt, że piranozowe RNA mogłoby stanowić alternatywną matrycę genetyczną, wyciągnąłem z *The Origin of Life on Earth* L. E. Orgela („Scientific American” październik 1994). Pomysł na symbiotyczną obecność Behemota w komórkach ryb głębinowych podkradłem z prac Lynn Margulis, która jako pierwsza zasugerowała, że organelle komórkowe były kiedyś same w sobie wolno żyjącymi organizmami (teoria ta przeszła długą drogę od herezji po kanon nauki w ciągu mniej więcej dziesięciu lat). Kiedy już umieściłem tę koncepcję w książce, znalazłem jej potwierdzenie w *Parasites Shed Light on Cellular Evolution* (G. Vogel, *Science* 275, str. 1422, 1997) oraz *Thanks to a Parasite, Asexual Reproduction Catches On* (M. Enserinck, *Science* 275, str. 1743, 1997).

Wykorzystywanie seksualne jako bodziec uzależniający

Na teorię mówiącą, że długotrwałe bycie ofiarą wykorzystywania seksualnego może stać się czynnikiem fizjologicznie uzależniającym, natrafiłem po raz pierwszy w *Psychological Trauma* (red.

B. van der Kolk, American Psychiatric Press, 1987). Tematykę syndromu fałszywych wspomnień zgłębiają E. Lotus i K. Ketcham w *The Myth of Repressed Memory: False Memories and Allegations of Sexual Abuse* (ST. Martin's Press, 1996).

O Autorze

Peter Watts to kanadyjski pisarz science fiction urodzony w roku 1958. Posiada doktorat z biologii morskiej. Jest autorem m. in. Trylogii Ryfterów, powieści Ślepowidzenie oraz zbioru opowiadań Ten Monkeys, Ten Minutes. Obecnie mieszka w Toronto wraz z kotem o rozbijającym imieniu Banan, lecz się z ciężkiego przypadku martwiczego zapalenia powięzi oraz pracuje nad dwiema nowymi książkami – State of Grace i Sunflowers.

[1]

A przynajmniej wydaje mi się, że zdobyłem te wyróżnienia. W zasadzie nigdy nie widziałem ich na oczy. Żyję w ciągłym strachu, że pewnego dnia odkryję, że wszystkie te sukcesy nie są wcale prawdziwe, bo padłem ofiarą jakiegoś okrutnego żartu. Ale to tylko ja.

[2]

Smoker – rodzaj komina hydrotermalnego. W kontakcie z zimną wodą oceanu, wytryskująca z komina rozgrzana woda hydrotermalna ochładza się, a zawarte w niej minerały wytrącają się tworząc ciemną (black smoker) lub białą (white smoker) zawieszinę w kształcie pióropusza.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Spis treści	3
PRELUDIUM...	8
Ceratus.	8
BENTOS.	16
DUET.	17
Dusiciel	17
Nisza.	30
Porządki	48
RZYM...	53
Neotenia.	53
Windziarz.	62
Zauroczenie.	66
Autoklaw..	73
Łóżko wodne.	76
Doppelgänger	82
Anioł	85
Zdziczały.	95
Cień.	97
BALET.	102
Tancerz.	102
Zwarcie.	125
Masa krytyczna.	137
NEKTON..	149
ŁADOWIEC..	150
Rozruch.	150
Mułogrzebacz.	154
Krzyk.	165
Sitowie.	185
Duchy.	191
CEZA..	207
Entropia.	207
Karuzela.	212
Wylinka.	217
Alibi	223
KWARRANTANNA..	231
Bańka.	231
Lewatywa.	234
Renegat	243
MÓZGOSER..	246
Temat i wariacja.	246
Strefa zero.	251

[Oprogramowanie. 256](#)

[Racter 265](#)

[GRA KOŃCOWA.. 276](#)

[Nocna zmiana. 276](#)

[Rozproszenie. 278](#)

[Gad. 288](#)

[Wynurzenie. 292](#)

[Reflektor 294](#)

[Świt 296](#)

[Jerycho. 300](#)

[Detrytus. 305](#)

[PODZIĘKOWANIA.. 314](#)

[ŹRÓDŁA.. 316](#)

[O Autorze. 319](#)

[\[1\]](#)

[\[2\]](#)